

ARABIA INCOGNITA

Tym, którzy widzą nie tylko na jedno oko, mówią nie tylko jednym językiem, a rzeczy nie są dla nich wyłącznie czarne i białe. Tym, którzy w Polsce, Europie i na całym globie wyciągają do innych ludzi otwartą dłoń.

KRZYSZTOF PŁOMIŃSKI

ARABIA INCOGNITA

Raport polskiego
ambasadora

Redakcja: **Leszek Kamiński**

Redakcja techniczna: **Antoni Dragan**

Korekta: **Natalia Drozdowicz**

Skład i łamanie: **Natalia Roszkowska**

Projekt okładki: **Katarzyna Plichta**

Dobór fotografii: **Krzysztof Płomiński**

Fotografie pochodzą z kolekcji Autora lub innych wskazanych w opisie źródeł.
Autor i wydawnictwo dziękują wskazanym instytucjom i osobom za ich udostępnienie.

Copyright for the Polish edition by: Grupa M-D-M & Krzysztof Płomiński

ISBN 978-83-948485-8-3

Warszawa 2019

Druk i oprawa:

Indygo Sp. z o.o.

36-004 Łąka 258B

tel. (17) 772 75 39

www.indygodruk.pl

e-mail biuro@indygodruk.pl

Wydawnictwo „Grupa M-D-M”, sp. z o.o.

00-336 Warszawa, ul. Kopernika 30 lok. 535

Biuro: 02-445 Warszawa, ul. Parowcowa 6c tel. +48 608 357474,

e-mail: biuro@m-d-m.pl; www.m-d-m.pl

Sprzedaż internetowa: sklep@m-d-m.pl

Spis treści

Tytułem wstępu	9
Rozdział pierwszy	
Droga do dyplomacji	
Z małej Ojczyzny gdzieś w PRL	28
Rosyjska uczelnia	38
Studencka Moskwa (1966–1971)	42
Rozdział drugi	
Staż w MSZ. Pierwsza placówka (Trypolis, 1972–1975)	
Staż w MSZ	54
Trypolis	61
Rozdział trzeci	
Na etacie w Ministerstwie (Warszawa, 1975–1980)	
Przed wszystkim Libia	80
Współpraca z Egiptem i Sudanem	86
Rozdział czwarty	
W jordańskim królestwie (Amman, 1981–1985)	
Trudne początki	94
Stan wojenny z perspektywy Ammanu	99
Polskie lobby i Polacy w Jordanii	102
Kultura i zabytki	107
Rozdział piąty	
Od referenta do ambasadora (Warszawa, 1985–1990)	
Powrót do Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu	114
Nowe obowiązki	118
Czas przełomu – Krzysztof Skubiszewski na czele MSZ	125

Rozdział szósty

Iracka epopeja (Bagdad, 1990–1996)

Wojenna misja	132
Dwanaście tygodni przedwojnia. Operacja wywiadu	140
Ewakuacja	154
Bagdad znów pracuje. USA pod polską flagą	164
Dyplomatyczna rutyna w kraju objętym sankcjami	190

Rozdział siódmy

Zmienne losy w MSZ (Warszawa, 1996–1999)

Nowe zadania	196
Kadrowe konsekwencje restrukturyzacji MSZ	203

Rozdział ósmy

Pierwszy ambasador w Arabii (Rijad, 1999–2003)

Przygotowania	210
Budowanie kontaktów	215
Budowa podstaw relacji gospodarczych	220
Kultura łączy i pomaga	231
Nowe obszary współpracy	234
Życie codzienne w Rijadzie	239

Rozdział dziewiąty

Dyrektor Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu (Warszawa, 2003–2006)

Priorytety i wyzwania	250
Zmiany na horyzoncie	265

Rozdział dziesiąty

Ku rozstaniu ze służbą publiczną (2006–2013)

Przygoda ze światem biznesu	274
Referent we Wschodnim Departamencie	278

Rozdział jedenasty

Aktywność emeryta

Korzystać z doświadczenia emerytowanych dyplomatów 288

Władza nie ma monopolu na patriotyzm 292

Załącznik. 296

ARABIA INCOGNITA.

RZUT OKA NA PRZESZŁOŚĆ ARABII

Indeks osób 317

TYTUŁEM WSTĘPU

Postanowiłem napisać raport. Kolejny z tysięcy sporządzonych podczas czterdziestoletniej służby. Jednocześnie różniący się od nich, tym razem przygotowany bowiem dla szerokiego odbiorcy, a właściwie adresowany do podatnika finansującego aparat państwa. Nie nazywam go ostatnim, by nie przywoływać skojarzeń z tytułami publikacji autorów o wielkich nazwiskach w dyplomacji II RP. Zadania podejmuję się z własnej inicjatywy, wyręczając macierzysty resort i odwołując się do istniejącej gdzieś w świecie praktyki zlecenia przez ministerstwa spraw zagranicznych doświadczonym ambasadorom spisania historii własnej służby dla celów szkoleniowych i dokumentacyjnych. Prezentuję głównie osobiste doświadczenia i wydarzenia, w których uczestniczyłem, skoncentrowane na bliskowschodnim wycinku polskiej polityki, któremu pozostałem wierny przez całe dorosłe życie, poczynając od studiów i włączając lata emerytury.

Przedstawiam świadectwo swojej drogi do służby zagranicznej i pracy w tym obszarze dla Polski. Opisuję losy dyplomaty, przyjmując, że taki zawód faktycznie istnieje, absolwenta Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (MGIMO), uczelni u nas mitologizowanej lub demonizowanej i postrzeganej jako szkoła szpiegów i matecznik agentów. Zastrzegam, że moją ścieżkę zawodową trudno uznać za typową, chociażby z uwagi na wąską specjalizację w zakresie raczej peryferyjnego z punktu widzenia polskich interesów regionu świata. Ponadto miałem sporo szczęścia być rzuconym na głęboką wodę i sprawdzać się w zadaniach o pionierskim charakterze. Przecierałem drogę innym jako pierwszy – kolejno – kadrowy pracownik MSZ na placówkach handlowych w Trypolisie i Ammanie, absolwent MGIMO na kierowniczym stanowisku w MSZ, ambasador ze znajomością języka arabskiego w kraju arabskim oraz inaugurujący listę ambasadorów Rzeczypospolitej w Rijadzie. Ta pionierskość w praktyce oznaczała również konieczność zmierzania się wraz z rodziną z problemami osobistymi i zawodowymi, jakich z reguły unika dyplomata zajmujący miejsce wymoszczone przez poprzedników.

Z uczelni wyniosłem wykształcenie specjalistyczne na światowym poziomie i przekonanie, że polską inwestycję w moje stypendium powinienem spłacić z możliwie wysoką dywidendą. Pamiętam o tym również jako emeryt. Nigdy nie miałem satelickich uzależnień i kompleksów. Niezależnie od aktualnych sojuszy starałem się właściwie odczytywać i realizować polski interes narodowy w praktycznym, codziennym wymiarze. Praca w służbie zagranicznej może mieć również zwykły, ponadustrojowy format, gdy chodzi o gospodarkę i handel, współpracę inwestycyjną i finansową, warunki zatrudnienia polskich obywateli, promowanie turystyki i kultury, budowę korzystnych relacji z partnerami, ale także obiektywną informację konieczną przy formułowaniu zadań polityki zagranicznej.

W latach głębokiego PRL na zachodnich przykładach uczyłem się służebnej roli dyplomacji i pragmatyzmu w sprawach ekonomicznych, co w Polsce do dziś pozostaje trudnym do osiągnięcia celem. Przesiąkłem tym podejściem. Na Bliskim Wschodzie, choć nie tylko tam, oznacza ono wykorzystywanie na rzecz gospodarki instrumentów politycznych oraz nakładanie się sfer interesu i konfliktu. Korzystałem ze znajomości języka i uwarunkowań kulturowych regionu, wiedzy o jego historii i realiach, doświadczenia z pracy na kolejnych placówkach w tym samym obszarze cywilizacyjnym. Uważałem, że dyplomata nie może ulegać emocjonalnej fascynacji krajami specjalizacji, ale musi rozumieć je i kreować współpracę na zasadach obopólnych korzyści. Im bardziej poznawałem Bliski Wschód, tym lepiej rozumiałem całą jego różnorodność etniczną, wyznaniową, gospodarczą, społeczną i historyczną oraz sfery konfliktów i zawirowań politycznych rozdzierających ten świat. Pracę w MSZ rozpocząłem cztery lata po zerwaniu przez Polskę stosunków dyplomatycznych z Izraelem. Obserwowałem negatywne konsekwencje tej decyzji dla naszych interesów. Doceniałem mocarstwowość tego maleńkiego terytorialnie państwa, pozwalającą dominować nad zdeintegrowanymi, słabymi i nękanymi rozlicznymi problemami sąsiadami oraz nieskładającą do ustępstw i kompromisów. We wszystkich krajach, w których pracowałem lub dłużej przebywałem, przyglądałem się śladom historycznej obecności Żydów, dzielących na przestrzeni tysiącleci dobre i złe losy z innymi ludami – Aramejczykami, Arabami, Persami, Berberami, Koptami, Kurdami

czy Turkami, a niekiedy mieszających się z nimi w trudny do rozdzielania konglomerat.

Miałem udział w procesie przywracania, odbudowywania i kształtowania specjalnego charakteru stosunków Polski z Izraelem na przełomie naszej transformacji. Zawsze stałem na stanowisku, że w dobrze pojętym interesie RP leży rozwój korzystnej współpracy zarówno z Izraelem, jak i państwami muzułmańskimi, pragmatycznie i bez kompleksów, wzorem rozwiniętych państw Zachodu. Nadal wierzę, choć jest to wiara coraz bardziej wietrzejąca, że wzajemne korzyści z pokoju, gospodarcze, cywilizacyjne i strategiczne, przeważą w końcu nad filozofią permanentnego konfliktu bliskowschodniego, którego rozwiązanie jest niemożliwe dopóty, dopóki Izrael nie będzie nim zainteresowany. Normalizacja izraelsko-arabska wymaga racjonalnego kompromisu z Palestyńczykami, o który w testamencie apelował David Ben Gurion. Dziś pozostaje to poza zasięgiem realiów politycznych, podobnie jak proces pojednania, pełen wybojów również w relacjach polsko-żydowskich. Tylko wtedy normalizację można przenieść poniżej szczybla elit. Konflikt ten wpływa na całą bliskowschodnią rzeczywistość, nawet jeśli dla większości obserwatorów jest to niedostrzegalne.

Swą pozycję w MSZ budowałem na kompetencjach i solidnej pracy. Unikałem wchodzenia w układy i koterie, rozgrywki personalne i polityczne, podwieszania się pod decydentów oraz innych patologii, od których resort nigdy nie był wolny. Taka filozofia przez wiele lat się sprawdzała, by w końcu zderzyć się z brutalną rzeczywistością. Po czterech dekadach moja kariera w służbie zagranicznej zatoczyła krąg – od referenta do referenta.

Czytelnik znajdzie na stronicach tej książki przykłady realiów służby zagranicznej, techniki pracy, uwarunkowań związanych z funkcjonowaniem dyplomaty w odmiennym kulturowo środowisku, a czasami jakąś ciekawostkę. Mam nadzieję, że moje obserwacje pomogą w zrozumieniu opisywanego regionu, postrzeganego w Polsce coraz rzadziej jako sąsiad i partner, a coraz bardziej jako obszar zagrożenia i konfrontacji, budzący strach i fobie podsycane przez propagandę wojny. A jej pierwszą ofiarą jest zawsze prawda.

To fakt, że ogromna część Bliskiego Wschodu znajduje się obecnie w stanie anarchii i chaosu, bez realnej perspektywy normalizacji. Niestety, wiele odpowiedzialności za tę sytuację ponosi Zachód, a bardziej precyzyjnie – główni rozgrywający. Nie usprawiedliwia to oczywiście rządzących państwami tamtego regionu. Korzenie obecnego rozchwiania sięgają okresu rozbioru Imperium Osmańskiego i późniejszego rozwoju wydarzeń pod dyktando zachodnich mocarstw, z polityką i ropą w tle. Bliższe powierzchni rozsądki znajdują się w warstwie zimnej wojny, którą w tych stronach tylko pozornie zamykało wypędzenie Rosjan z Afganistanu i pierwsza wojna w Zatoce. Upadek żelaznej kurtyny był błogosławieństwem dla Polski i naszego otoczenia. Dla Bliskiego Wschodu oznaczał jednak początek dramatu na nieznaną wcześniej skalę. To wówczas ugruntowała się instrumentalizacja islamu jako wygodnego narzędzia polityki, detonował konflikt pomiędzy głównymi odłamami tej religii, ukształtował się współczesny dżihadyzm z jego zdegenerowaną terrorystyczną odmianą. Przede wszystkim jednak nastąpiło odejście od dyplomacji w rozwiązywaniu kryzysów. Jej miejsce zajęło wzniesienie kolejnych konfliktów na całym obszarze. Byłem jednym z pierwszych, którzy publicznie ostrzegali przed konsekwencjami ignorowania przez Zachód bliskowschodnich realiów i skutkami nieprzemyślanej polityki, między innymi podczas debat medialnych w Warszawie po ewakuacji Ambasady RP z Bagdadu na początku 1991 roku. Mówiłem również o hipokryzji i nieodpowiedzialności głównych światowych graczy, pozwalających, w zależności od doraźnego interesu, zmieniać status bohaterskich bojowników sunnickich z Afganistanu na pozostawionych sobie bandytów i terrorystów. Nie ulegało wątpliwości, że się zorganizują i zmienią front, w mniejszym czy większym stopniu wymykając się spod kurateli sponsorujących ich służb specjalnych różnych państw.

Państwa arabskie zostały po I wojnie światowej skrojone przez mocarstwa zachodnie w sztucznych etnicznie i wyznaniowo granicach, które wcześniej przez całe wieki funkcjonowania przestrzeni imperialnej de facto nie istniały. Powstały twory o kruchych strukturach wewnętrznych, z wyselekcjonowanymi elitami władzy, głęboko uzależnione od wpływów zewnętrznych. Nigdzie się nie rozwinął proces tworzenia narodów, w Europie trwający przynajmniej od XVII wieku, z długim etapem władzy autorytarnej u zarania. W takich krajach,

jak Irak czy Syria, wielowyznaniowych i wieloetnicznych, wypracowanie modelu państwa nawiązującego do współczesnego państwa zachodniego i tradycji wspólnoty islamskiej – *ummy*, a jednocześnie inkluzywnego, praworządnego, pozwalającego budować zręby społeczeństwa obywatelskiego i demokracji, było nierealne. Bliskowschodnia rzeczywistość i miara czasu nie przystawały nijak do europejskiego wzorca również z uwagi na fakt, że region ten bardzo późno, jako ostatni na świecie, został poddany wpływowi zachodnim. Nastąpiło to po czterystu latach rządów osmańskich zakończonych głębokim kryzysem i cywilizacyjnym zastojem całego imperium. Arabowie byli sfrustrowani fiaskiem nadziei na utworzenie narodowego państwa, obiecane przez Brytyjczyków w zamian za powstanie przeciwko Turkom. Nie było cudu na piaskach Arabskiej Pustyni. Rozpłynęła się również wizja państwa kurdyjskiego. Wraz z Deklaracją Balfoura z 1917 roku kształtowanie się realiów bliskowschodnich pozostawało w ścisłym związku z projektem budowy żydowskiego ogniska narodowego w Palestynie. Oddziaływanie to się utrzymało po powstaniu w 1948 roku Państwa Izrael. Żydzi oparli je na modelu europejskim, jako skuteczne, skonsolidowane, kierowane przez zdeterminowane elity zdolne zdyscyplinować własne organizacje ekstremistyczne, nawet o terrorystycznym profilu, opresyjne wobec mniejszości, ale rozwijające od początku struktury demokratyczne, choć niekoniecznie w sposób podręcznikowy. Podobny model nie mógł się sprawdzić w państwach arabskich, czy szerzej muzułmańskich, gdyż nie były tym zainteresowane ani mocarstwa kolonialne i Związek Radziecki, ani trzymane na smyczy przez zagranicznych sponsorów lokalne reżimy.

Nacjonalistyczne dyktatury wojskowe, które od połowy XX wieku kształtowały znaczną część bliskowschodniego krajobrazu, próbowały wprawdzie podążać śladem europejskiego procesu modernizacji i budowy państw narodowych, ale każdorazowo aspiracje ich przywódców wchodziły w kolizję z realiami społeczno-politycznymi na miejscu i w regionie oraz z interesami graczy zewnętrznych. Poważną przeszkodą na drodze rozwoju w kierunku liberalizacji i praworządności było oddanie przez mocarstwa zachodnie systemu władzy w poszczególnych państwach w ręce elit reprezentujących mniejszości religijne i etniczne, czego klinicznymi przykładami są Irak i Syria, czy też wyłonionych z plemiennej arystokracji, tak jak miało to miejsce

na Półwyspie Arabskim. Zakończenie zimnej wojny i rozbitcie bipolarnego układu sił w stosunkach globalnych, zapewniającego na Bliskim Wschodzie względną równowagę, zapoczątkowało proces, który – mówiąc w ogromnym uproszczeniu – doprowadził do erozji i demontażu struktur wewnętrznych szeregu państw, przy czym istotną rolę destabilizacyjną odegrały interwencje zewnętrzne. I znowu laboratoryjnym przypadkiem jest Irak. Po upadku ZSRR Saddam Husajn był przejściowo kreowany na głównego zastępczego wroga Zachodu, ale w roli tej nie mógł się sprawdzić. Jego obalenie w 2003 roku w wyniku interwencji podjętej w oparciu o fałszywe przesłanki i bez planu na przyszłość (chyba że to, co później nastąpiło, było właśnie planem!) doprowadziło do zniszczenia instytucji państwa. A miało być tak pięknie! Lobbując 12 września 2002 roku w amerykańskim Kongresie na rzecz inwazji na Irak, późniejszy premier Izraela, Benjamin Netanyahu, mówił: „Jeśli skończycie z Saddamem Husajnem i jego reżimem, to gwarantuję, że będzie miało to olbrzymie pozytywne konsekwencje dla całego regionu”. Należy o tym pamiętać dzisiaj, słuchając deklaracji orędowników wojny z Iranem. Zamiast sielanki w Iraku powstały chaos i próżnia bezpieczeństwa, które po części wypełniły Iran, zapewniając sobie poczesne miejsce w kolejce państw regionu mogących oczekiwać kolejnej zachodniej interwencji. Polityka zdominowanego przez szytów proirańskiego rządu w Bagdadzie okazała się egzystencjalnym zagrożeniem dla irackich sunnitów. To przynajmniej w części wyjaśnia fenomen tzw. Państwa Islamskiego, które w okresie swego funkcjonowania w Iraku i Syrii dawało sunnitom złudną ochronę, a jednocześnie stanowiło przeszkodę w tworzeniu korytarza wpływów irańskich, obejmującego poza Irakiem (z wyłączeniem Kurdystanu) Syrię i część Libanu kontrolowaną przez rosnący w siłę Hezbollah. Sytuacja w Iraku umożliwiła przejęcie części funkcji państwa przez mnożące się milicje, będące w zasadzie bojówkami tworzonymi na bazie etniczno-wyznaniowej, często niczym nieróżniące się od ugrupowań terrorystycznych. W ten krajobraz wpisują się również formacje prywatnych najemników, działające z błogosławieństwem państw zaangażowanych w regionie lub będące na ich usługach. Ambicje Iranu, sięgające również Jemenu, zasiały strach w Arabii Saudyjskiej i innych sunnickich monarchiach Półwyspu Arabskiego. Zadziałał syndrom obleganej twierdzy, pogłębiany rysami w stosunkach Rijadu z USA za prezydentury Baracka Obamy oraz niepewnością konsekwencji zbliżającego się końca ery

naftowej. Na sprzeczne interesy narodowe i historyczne fobie dzielące państwa regionu i elity rządzące nałożyły się antagonizmy pomiędzy oboma odłamami islamu, włączając do gry irracjonalny czynnik konfliktu religijnego.

Niekiedy przeprowadzam ze studentami symulację rozwoju sytuacji w Polsce w okresie poprzedzającym transformację, przyjmując wystąpienie w naszym kraju i w bezpośrednim sąsiedztwie podobnych do bliskowschodnich czynników destabilizacyjnych. Proponuję Czytelnikom podobne ćwiczenie, by lepiej uświadomili sobie, z czym mamy do czynienia na Bliskim Wschodzie. Komponentami tej układanki są: niestabilne i słabe państwo konfrontowane z wyzwaniem gospodarczymi i społeczno-politycznymi, skorumpowane i żądne rozliczeń elity władzy, silni sąsiedzi działający na pogłębienie destabilizacji, finansujący „swoje” partie oraz ugrupowania ekstremistyczne i terrorystyczne, podsycanie regionalizmów oraz konfliktów na tle narodowościowym i religijnym, rozgrywanie z zewnątrz korumpowanych polityków, fizyczne eliminowanie z ich grona nastawionych mniej bezkompromisowo. A wszystko to przy bierności lub cichym przyzwoleniu mocarstw, paraliżu ONZ i milczeniu tak zwanej społeczności międzynarodowej. Opisana sytuacja nie musiała być i nie jest wyłącznie hipotetyczna. Proszę postarać się odpowiedzieć na pytanie, jak długo potrwałby chaos i jakie mogłyby być jego konsekwencje dla państwa i narodu, z wojną domową włącznie. Mamy powody do tego, by dziękować opatrzości i losowi za łaskę okazaną w i po 1989 roku oraz obdarzenie narodu zbiorową mądrością wyrażoną w Okrągłym Stole, nawet jeśli realizacja jego procesu była daleka od doskonałości. Kolejny raz, powstanie II RP też było bowiem nadzwyczajnym zrzędzeniem losu! Zachowując odniesienia bliskowschodnie, przypomnę jedynie, że po I wojnie światowej nie tylko Arabowie nie zaspokoiли swych aspiracji państwowych. Nie powstało państwo kurdyjskie, mimo że miało oparcie w liście amerykańskich celów wojny i traktacie pokojowym w Sèvres z 1920 roku. W przypadku Kurdów fundamentalną okolicznością wydarzeń tamtego okresu była rewolucja bolszewicka. Przekreśliła ona pierwotnie trójstronny brytyjsko-francusko-rosyjski plan podziału Imperium Osmańskiego przewidujący oddanie Rosji prawie całego obszaru kurdyjskiego i przejściowo utrudniła realizację imperialnej polityki Moskwy na Bliskim Wschodzie.

Otwarte pozostaje pytanie, czy działania USA i sojuszników na Bliskim Wschodzie, mające kiedyś usprawiedliwienie w konfrontacji z ZSRR i uwarunkowaniach zimnej wojny, nie mogły zostać zmodyfikowane wraz z ukształtowaniem się jednobiegunowego świata tak, by zainicjować tam przemiany na skalę przekształceń w Europie Środkowej i Wschodniej. Odpowiedź możemy odczytywać jedynie z faktów. Będzie ona wysoce niejednoznaczna. Konsekwencje demokratyzacji nie w każdym regionie będą takie same i odpowiadające interesom głównych graczy. A i materia bliskowschodnia jest znacznie bardziej skomplikowana niż realia europejskie ukształtowane przez wieki konfliktów i wojen, w tym dwie wielkie pożogi. Zakładając dobre intencje, trudno jednak usprawiedliwić powtarzanie tych samych błędów i niewyciąganie wniosków. Nie ulega wątpliwości, że w polityce decydują interesy, ale na Bliskim Wschodzie mamy do czynienia z działaniami USA, których skutki nie zawsze znajdują usprawiedliwienie w tych interesach. Od czasu kryzysu energetycznego w 1973 roku USA wydały „na zabezpieczenie bliskowschodnich dostaw ropy” około ośmiu bilionów dolarów, a jeśli doliczyć do tego tylko materialne koszty wojny afgańskiej i irackiej, to suma ta zwiększy się o kolejny bilion (tysiąc miliardów). Nic dziwnego, że prezydent Donald Trump pyta, co USA z tego mają. Porównując tę inwestycję do osiągniętych rezultatów, można dojść do przygnębiających wniosków oraz zapytać o kompetencje analityków, doradców i polityków stojących za decyzjami podejmowanymi kiedyś i dzisiaj, bez rozliczenia zaszłości. Powtórka Afganistanu w Iraku musiała prowadzić do analogicznych, tyle że zwielokrotnionych, rezultatów. Z Rijadu pisałem o tym w jawnych depeszach do Warszawy i mówiłem amerykańskim i zachodnim kolegom. Na Bliskim Wschodzie łatwo nasiąknąć teoriami spiskowymi. Staram się więc zachować powściągliwość. Trudno jednak nie zauważyć, jak wiele zachodzących tam wydarzeń układa się zgodnie z tezami Thomasa Hobbesa, prekursora przemyślanego mąciicielstwa oraz zarządzania przez kryzys, chaos i anarchię. Jest to filozofia zastępująca tradycyjną dyplomację, która niestety na Bliskim Wschodzie od dawna leży w gruzach. Z Hobbesem czy nie, toczy się tam wielopiętrowa gra i ścieranie się interesów okryte gęstą mgłą pozorów i hipokryzji, propagandy i kamuflażu, utrudniającą zrozumienie realiów oraz intencji pociągających za sznurki. Globalna głębia bliskowschodniej rozgrywki nie zawsze dociera do świadomości opinii publicznej na Zachodzie i w Polsce. Ponadto od ćwierćwiecza jej

obraz jest skutecznie deformowany przez wojenną propagandę, paraliżujący myślenie strach przed terroryzmem, widmo hegemonii islamu, mimo że religia ta przeżywa bodaj największy kryzys w swej historii i prędko się z niego nie podniesie. Teraz do zachodnich demokracji dotarł jeszcze kolejny upiór w postaci problemu uchodźców i migrantów, do którego na Bliskim Wschodzie przyzwyczajono się od dekad. A przy tym politycy i grupy interesów przestają widzieć granicę pomiędzy uprawianą przez siebie propagandą a realiami bliskowschodniej gry, w coraz większym stopniu przenoszonej na grunt rozgrywek wewnętrznych. A migranci napływają do Europy, gdyż stworzono im ku temu warunki i jest to dopiero zapowiedź kolejnych fal, które zaleją nasz kontynent, o ile nie nastąpi zmiana polityki wobec obszaru południowego sąsiedztwa, którego integralną częścią pozostaje Afryka Subsaharyjska.

Dzisiaj to dżihadyzm zyskał na Zachodzie rangę wroga publicznego numer jeden, bardziej zdemonizowanego niż kiedyś komunizm. Eksperci i komentatorzy koncentrują się na mrozjących krew w żyłach objawach tej zarazy, a szeroka publiczność drży ze strachu, oglądając się za silną, by nie powiedzieć autorytarną, władzę. Jak ognia unika się jednak głębszej analizy przyczyn pojawienia się tej pandemii, jej rzeczywistych uwarunkowań i uwzględnienia, że 95% ofiar ataków terrorystycznych na świecie stanowią muzułmanie. A bez takiej diagnozy i przepisania na jej podstawie recepty można jedynie w nieskończoność walczyć z symptomami choroby. W starym dowcipie słusznie minionej epoki na temat ukraińskiej reklamy kołchoźnik okłada kijanką dziewczynę robiącą pranie w rzece. Na jej wołanie o pomoc głos spoza kadru wyjaśnia, że molestowanie nie ustanie do czasu, gdy nie zakupi pralki automatycznej wskazanej marki. A może panna jest odporna na reklamę? Również w przypadku islamskiego terroryzmu potrzebna jest wola definitywnego rozwiązania problemu, a nie gonienie króliczka. Przyznanie, że ten współczesny ekstremizm o podłożu religijnym, a wraz z nim konstelacja terrorystycznych – lub tak opisywanych – ugrupowań, narodził się z instrumentu stosowanego przez uznanych członków społeczności międzynarodowej, zajmując na Bliskim Wschodzie stopniowo miejsce terroryzmu w barwach narodowych. Pewną cezurą jest tutaj wojna 1967 roku z jej jerozolimską symboliką.

W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych byłem w Jordanii świadkiem tworzenia fundamentów pod przyszłą Al-Kaidę i jej kolejne przepoczwarczenia. Amerykańscy, pakistańscy i jordańscy instruktorzy, za pieniądze bogatych arabskich sojuszników, masowo szkolili tam mudżahedinów, tj. bojowników **dżihadu** (wytłuszczenia obrazują ten sam korzeń obu słów), rekrutowanych, gdzie się dało. Na tyle skutecznie, że w imieniu wolnego świata wypędzili oni Sowieców z Afganistanu i – *chapeau bas* – walenie przyczynili się do rozpadu ZSRR i jego strefy wpływów. Przyszły polski minister spraw zagranicznych, Radosław Sikorski, jako młody człowiek pomagał im w afgańskim interiorze i z formalnego punktu widzenia powinien być traktowany jako były kolaborant dżihadystów. Raz uruchomiony instrument szeroko akceptowanej wojny religijnej w postaci wielonarodowych bojówek sunnickich stał się demonem niedającym się zapędzić do butelki. Po wypełnieniu zadania bohaterzy, podziwiani i nieźle wynagradzani mudżahedini zostali pozostawieni samym sobie i zmienili status na terrorystów, bandytów i pariasów. Pytanie, ilu z nich trafiło pod skrzydła zainteresowanych wywiadów, pozostawiam wrażliwości Czytelników. W 1988 roku świeżo przekwalifikowani terroryści postanowili skorzystać z dostępności komputerów i stworzyć elektroniczną bazę kontaktów, czyli po arabsku „al-ka'idę”. W przeciwieństwie do genezy dalszy ciąg dokonań tej międzynarodówki pod wodzą Osamy bin Ladena i jego następców jest dobrze znany. 11 września 2001 roku (11/9) zmienił świat i już nigdy nie będzie on taki jak wcześniej. Wojna z terroryzmem, znacząca łańcuszkiem wydarzeń od zachodniej interwencji w Afganistanie i Iraku (dzięki której Iran wybawiono od dwóch czołowych zagrożeń – Talibów i Saddama Husajna), powstaniem tak zwanego Państwa Islamskiego i setek bliźniaczych ugrupowań, destabilizacją całych regionów, milionami uchodźców i przebudową uwarunkowań bezpieczeństwa i swobód obywatelskich na Zachodzie, gruntownie przeorała planetę. Kiedyś terrorysta miał szansę zatrzeć swą przeszłość i się zrehabilitować. Mężami stanu stali się przecież Menachem Begin i Jaser Arafat. Można też sięgnąć po polskie przykłady i epizody z młodości marszałka Józefa Piłsudskiego. Mudżahedini mieli w Afganistanie swe pięć minut bohaterstwa, ale ten okres odszedł w niepamięć, może poza pamiętliwą Rosją, dla której pozostaje nadal aktualnym przypomnieniem doznanego wtedy upokorzenia i memento, że historia może się powtórzyć. Dzisiaj potomkowie i naśladowcy tych samych ludzi

są tylko wyjętą spod prawa zwierzyną, dla której myśliwi nie przewidują ścieżki nawrócenia.

W 1982 roku w Ammanie mówiłem zachodnim kolegom, że nie wszyscy bojownicy zginą w Afganistanie i kiedyś wrócą, rozpełzną się i być może wymkną się spod kontroli. Wśród moich rozmówców był I sekretarz Ambasady USA, Matthew Gannon. Perfidny los sprawił, że Matt, z którym współprzewodniczyliśmy Klubowi Młodych Dyplomatów akredytowanych w Jordanii, sam padł ofiarą terroru, ginąc nad Lockerbie w roku utworzenia Al-Kaidy, wraz z całym zespołem CIA z Bejrutu. Wspominając nasze dyskusje z dzisiejszej perspektywy, muszę przyznać, że rzeczywistość przerosła moją wyobraźnię.

Nie jest zadaniem tej książki pisanie scenariusza rozwiązań, których i tak nikt nie wdroy. Zachód musi najpierw sam dojrzeć do odpowiedzi na kilka znanych, choć rzadko zadawanych, pytań. Czy we współczesnych stosunkach międzynarodowych dopuszczalne jest wykorzystywanie religii jako instrumentu polityki i prowokowanie konfliktów religijnych? Dlaczego długoletnia i potwornie kosztowna walka z islamskim terroryzmem przyniosła odwrotne do oczekiwanych rezultaty? Faktem jest bowiem, że każdego zlikwidowanego terrorystę zastępuje paru nowych. Czy główni gracze zachodni i autorytarne reżimy państw muzułmańskich nie mają przypadkiem wspólnego interesu, by w pewnych obszarach regionu utrzymywać chaos i nastroje antyzachodnie, którymi żywi się terroryzm? Te ostatnie chronią dzięki temu własną skórę. Czy usprawiedliwione jest twierdzenie, że islam w założeniu jest w niezgodzie z demokracją? Przecież w rządzonej przez Arabów Hiszpanii istniały instytucje przedstawicielskie będące wzorem dla Kortezów i parlamentaryzmu brytyjskiego. Może jedynie zmieniły się warunki, na co muzułmanie mieli ograniczony wpływ. Jak do obiegowych opinii na ten temat ma się los prodemokratycznego programu rządu Mossadeka w Iranie, utopionego we krwi z udziałem CIA, czy grupy saudyjskich książąt – reformatorów na czele z Talalem bin Abdulazizem, którzy w połowie XX wieku domagali się demokratyzacji monarchii? W mojej pracy dyplomowej wzmiankowałem zapomnianą dziś sprawę Mehdiego Ben Barki, marokańskiego opozycjonisty i działacza demokratycznego, uprowadzonego i zamordowanego wspólnym wysiłkiem funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa Maroka, Izraela,

Szwajcarii i Francji. Koran nie stoi w sprzeczności z demokracją, co oczywiście nie oznacza, że muzułmanie chcą bezkrytycznie importować jej zachodni model, też wymagający pewnego remontu. Islam zobowiązuje wiernych do obalenia rządów przeżartych korupcją, która w katalogu bliskowschodnich plag sąsiaduje z terroryzmem i autorytarną władzą. Jakie są powody, dla których nikt nie zaproponował idei planu bezpieczeństwa dla Bliskiego Wschodu czy choćby koncepcji nawiązującej do Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy? Dlaczego w tamtym regionie Zachód nawet nie próbował, abstrahując od retoryki, narzucić w państwach sojusznicznych rygory praworządności i przestrzegania praw człowieka, co w ogromnym stopniu przyczyniło się do demontażu sowieckiego systemu? Czy w ONZ rzeczywiście nie można wypracować prawnie obowiązującej i adekwatnej do aktualnych realiów definicji terroryzmu zamiast będących w obiegu bodaj dwustu wybiórczo stosowanych? Obecny stan prawny sprawia, że każde zainteresowane państwo może mieć w obszarach konfliktów, i nie tylko, swojego terrorystę. Kiedyś w tym celu wykorzystywano korsarzy, dbając, by nie ujawnili flagi mocodawcy. Jaką rolę we współczesnych relacjach Europy z jej południowymi – również afrykańskimi – sąsiadami odgrywa brak pojednania mocarstw kolonialnych ze społecznościami państw zależnych, na eksploatacji których metropolie budowały swój dobrobyt i gdzie niejednokrotnie dokonano zbrodni porównywalnych z nazistowskimi i komunistycznymi? Nie zostały one przecież ani rozliczone, ani zapomniane, również przez kolejne pokolenia potomków ofiar osiadłych we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Belgii czy w innych krajach zachodniej Europy, która poza nielicznymi wyjątkami cała ma za sobą kolonialną przeszłość? Proszę zapytać Algierczyków, czy szczytne hasła rewolucji francuskiej, będące dla nas elementem europejskiej tożsamości, kojarzą im się z kolonialną polityką i poczynaniami Paryża w ich kraju. Dlaczego zachodnie stolice od dziesięcioleci dawały gościnę radykalnym imamom, pozwalając im sęczyć nienawiść i nietolerancję? Nie reagowano też na promocję radykalnego wahabickiego islamu. W jaki sposób Izrael może pomóc w modernizacji, demokratyzacji i cywilizacyjnej transformacji sąsiadów, co w wielu przypadkach stanowi warunek pomyślnej realizacji tych procesów? Co doprowadziło do wojny religijnej w łonie islamu, mimo że antagonizm pomiędzy sunnitami i szyitami pozostawał uśpiony przez stulecia? Dlaczego po obu stronach barykady spreparowanego

zderzenia cywilizacji argumentem ekstremistów muszą być agresywne treści Koranu, choć islam w teorii i historycznej praktyce równoważy je elementami tolerancji, pokojowego współistnienia i współpracy, podobnie jak Stary i Nowy Testament? Czy któreś państwo zachodnie na poważnie kontroluje treści nauczane w prywatnych szkołach fundamentalistów muzułmańskich, chrześcijańskich, żydowskich, a zapewne także innych wyznań? Może sami hodujemy bestie, na które potem polujemy i się dziwimy, gdy nauczyły się kąsać? Jak to jest, że w dobie, gdy dzięki satelitom szpiegowskim mysz nie prześlizgnie się niezauważona i można prześledzić logowanie się każdego telefonu komórkowego czy lokalizację komputera, takie tzw. Państwo Islamskie mogło bezkarnie handlować latami ropą naftową, której każda baryłka ma metrykę pochodzenia, i artefaktami za grube miliardy dolarów trafiającymi do zachodnich kolekcjonerów? I wreszcie pytanie fundamentalne: czy jako demokracja zachodnia chcemy zmierzać w kierunku współpracy i pokoju w globalnym świecie, którego częścią jest półtoramiliardowa głęboko zróżnicowana i skonfliktowana społeczność muzułmańska, czy też prostą drogą podążamy do permanentnej konfrontacji, w naturalny sposób prowadzącej do III wojny światowej, w której jednak to nie muzułmanie będą po drugiej stronie frontu. Okoliczności mogą z każdego zrobić terrorystę! Nie tylko w Afganistanie, Iraku, Syrii, Egipcie, Libii, Jemenie, Somalii, Nigerii czy Gazie lub na Zachodnim Brzegu, ale wszędzie na świecie. Zwłaszcza, gdy znajdują się sponsorzy. Na koniec jeszcze jedno pytanie: jaki interes mogą mieć autorytarne reżimy muzułmańskie w całkowitym zlikwidowaniu islamskiego ekstremizmu na Bliskim Wschodzie, jeśli to właśnie walka z nim jest spoiwem ich sojuszu z USA Donalda Trumpa, parasolem ochronnym i pretekstem do opóźniania demokratycznych reform zagrażających ich władzy? I jeszcze jedna refleksja: czy może się sprawdzić program eksterminacji islamskich terrorystów niezawierający zakazu hodowli wściekłych psów, niezależnie od rasy i właściciela, oraz oferty powrotu do normalnego życia dla chcących się poddać kuracji?

Bliski Wschód można porównać do zaniedbanego od dekad składu łatwopalnych materiałów. Nie jest problemem niepostrzeżenie zaprószyć ogień, by następnie stawić się do gaszenia. Często pożar wymyka się spod kontroli i zaczyna rządzić własnymi prawami, przenosząc zarzewie na wielkie odległości, Europy i USA nie wykluczając. Innym

razem się wypala, by wybuchnąć w innym miejscu. Paliwa i podpalaczy jest pod dostatkiem. Posprzątaniem bałaganu i ustanowieniem twardej przepisów przeciwpożarowych zainteresowani są głównie prości ludzie, którzy – bezradni – są trzymani żelazną ręką. Jeśli podnoszą bunt i próbują dokonać demokratycznego wyboru, spotykają się z bezwzględными represjami. Dotyczy to również sytuacji, gdy opcją jest umiarkowany islam polityczny wywodzący się z Bractwa Muzułmańskiego, tak jak miało to miejsce podczas kolejnych fal przemian demokratycznych w świecie i regionie – w 1989 roku w Algierii czy podczas Arabskiej Wiosny w Egipcie. Również te przypadki pokazują, jak w danych warunkach i w sytuacji zagrożenia dla istniejącego porządku ugrupowanie o konstruktywnym programie może się radykalizować i zasłużyć na etykietkę terrorystycznego.

Ja świat arabski widziałem inaczej, niż jest on dzisiaj postrzegany. Jako partnera, ale też ofiarę historii i sojuszu lokalnych satrapów z zachodnimi lub wschodnimi sponsorami, toczącymi tam zastępcze potyczki i wojny. Miotający się w kompleksie problemów nierozwiązywalnych bez woli mocarstw, w tym Izraela, od kwestii palestyńskiej pochodząc. Świat bez perspektyw i modelu rozwojowego, z potężną rzeszą odrzuconych lub zdemoralizowanych naftowym eldorado. Daleki od ideału, ale posiadający ambicje i stopniowo w wielu dziedzinach zmieniający się na lepsze. Zawsze był to obszar, gdzie powszechnie zazdrozczono Polakom – wywalczenia niepodległości, swobód i warunków życia w późnym PRL (!), międzynarodowej solidarności, sukcesów transformacji, ale także otwartości i umiejętności akceptacji odmiennych kultur.

Wśród wydarzeń, w których uczestniczyłem, nie ma momentów przełomowych, kształtujących światową historię, może jeśli nie liczyć Iraku. Są natomiast sprawy ważne dla tysięcy Polaków i polskich interesów. Miałem szczęście obserwować bezprecedensowy rozwój współpracy starej Polski z niektórymi państwami arabskimi, nawiązujący do ambicji II Rzeczypospolitej. Byłem także świadkiem jej dogorywania po 1990 roku, któremu towarzyszył proces znajdowania nowych partnerów w regionie Zatoki Perskiej i Półwyspu Arabskiego. Dołożyłem cegiełkę do przejęcia przez Polskę odpowiedzialności za interesy USA w Iraku w 1991 roku, skąd rok wcześniej w pierwszych

dniach mojego urzędowania oficerowie polskiego wywiadu z narażeniem życia ewakuowali grupę oficerów CIA i innych tajnych służb amerykańskich. Były to wydarzenia uwiarygodniające nasz kraj i istotny segment kadry z korzeniami w PRL wobec nowych sojuszników, stanowiące ważny punkt na drodze naszego członkostwa w NATO, a po części również do integracji z Europą. Irackie dokonania przyczyniły się też do redukcji połowy długów PRL wobec zachodnich publicznych i prywatnych wierzycieli, które wynosiły 50 miliardów dolarów. Miałem ponadto pewien udział w operacji „Most” – tranzycie radzieckich Żydów przez Warszawę. Łącznie przez osiem lat nadzorowałem jako referent w MSZ sprawy związane z udziałem polskiego kontyngentu wojskowego w siłach pokojowych ONZ-u na Bliskim Wschodzie. Wojskowi PRL uczyli się tam współdziałania z kolegami z NATO i testowali kontakty z Izraelczykami. Nie zawsze bez konsekwencji. Za okazjonalną rozmowę bez upoważnienia z dziennikarzem rozgłośni „Kol Israel” („Głos Izraela”) w 1977 roku usunięcie z wojska groziło młodemu oficerowi Polskiego Kontyngentu Wojskowego w UNEF II, Franciszkowi Gągorowi. To późniejszy Szef Sztabu Generalnego WP, który zginął w Smoleńsku. Wówczas uratowało go wstawiennictwo MSZ. Często nowe ma stare korzenie, nawet jeśli niektórzy chcieliby je odciąć.

W książce jest wiele odniesień gospodarczych. Zarówno pozytywnych, jak i świadczących o ignorancji i błędach polskich władz, instytucji i biznesu. Niezależnych od zmian ustrojowych. Tworzą długi łańcuch – od prób sprzedania wagonów i lokomotyw do Libii, w latach gdy nie miała ona ani kilometra kolei, po całkiem współczesny brak reakcji kolejnych rządów RP na arabskie oferty inwestycji. I od rozebrania na Okęciu szefa libijskich celników, podczas masowych przylotów polskich pracowników do Benghazi, po zainteresowanie już na Lotnisku Chopina garderobą emirackiego ministra gospodarki, wielkiego orędownika współpracy z Polską.

Nigdy nie uległem emocjonalnej fascynacji regionem arabskim, choć przeżyłem tam ponad dwadzieścia lat i żywo interesowałem się jego kulturą. Traktowałem go pragmatycznie, widząc zalety i przywary. Starłem się zabiegać o polskie interesy, dostrzegać racje partnerów, akcentować wspólne elementy i szukać kompromisu,

podstawy dyplomacji. Na studiach wcielaliśmy się wmiennie w role. Coś z tych ćwiczeń zostało na zawsze, skłaniając niekiedy do występowania w roli adwokata diabła, nie zawsze rozumianej przez otoczenie. Nigdy też nie pisałem notatek i opracowań pod oczekiwania centrali w Warszawie, traktującej ten region raczej reaktywnie, niezależnie od ustroju. Często nie ukrywałem sceptycyzmu wobec ograniczonego zainteresowania nim władz, kontrastującego z praktyką państw zachodnich. Na szczęście nie zostałem jednak skierowany na reedukację do innego obszaru świata, jak mój amerykański kolega w Ammanie, wybitny orientalista. Przenoszony do Chin po zaledwie dwóch latach pracy w Jordanii żartował, że ich dyplomaci po zbyt długim zasiedzeniu się na Bliskim Wschodzie stają się odrobinę... antyamerykańscy.

Słów „dyplomacja” i „dyplomata” używam w książce raczej z wygodnictwa. Czynię to jednak z pewnym zażenowaniem. Uważałem się za urzędnika państwowego w służbie zagranicznej. Nie protestowałem, gdy w ten sposób ktoś obiektywnie docenił moje kwalifikacje dyplomatyczne, ale już „ekscelencją” w polskim środowisku i prywatnie nie pozwoliłem się tytułować. Nie cierpiałem napuszenia osób, dla których paszport dyplomatyczny, często otrzymany wyłącznie z powodów technicznych, był traktowany jak patent szlachectwa lub tytuł arystokratyczny. Nie kłamałem i nie szpiegowałem w służbie państwa, co potocznie kojarzone jest z pojęciem „dyplomata”. Pisząc, nie koloruję, stąd w tej książce mało sensacji i spraw oryginalnie niejawnych. W MSZ mówiliśmy, że naszą największą tajemnicą jest brak tajemnic. Jest to opinia ponadustrojowa, aczkolwiek w PRL procedury traktowania i ochrony informacji zakwalifikowanych jako niejawne były zdecydowanie bardziej rygorystyczne. Niejednokrotnie do przesady, jak w historii o agencie twierdzącym, że jest zatrudniony w tak tajnej komórce, iż nie ma pojęcia, na czym polega jego praca. Z kolei w RP niektóre procedury bezpieczeństwa rozdęto do absurdu, czemu sprzyjała bezprecedensowa rozbudowa personelu Głównego Inspektoratu Służby Zagranicznej. Podczas całej mojej służby jedyną sprawą ściśle tajną była informacja uzyskana na dachu Ambasady RP w Bagdadzie o planowanej akcji wywiadu. W tym przypadku chodziło nie tylko o podlegający ochronie wyższy interes, ale także o bezpieczeństwo i życie ludzi, w tym polskich obywateli. Przypadki śmierci kilku Polaków

pracujących i działających w Iraku potwierdzają autentyczność tej opinii. Podobnie traktowaliśmy operację „Most”, choć o jej realizacji arabscy ambasadorowie w Warszawie wiedzieli nie mniej, niż ja o szkoleniu mudżahedinów w Ammanie. Wpadka w Bagdadzie miałaby jednak katastrofalny wymiar.

MGIMO uczyło sprawnego posługiwania się narzędziami dyplomacji. Jednak nawet wybitny dyplomata niewiele zwojuje w pojedynkę. Jego efektywność zależy od dobrze funkcjonującego systemu, którego jest ogniwem. A z tym bywało różnie. Byłem przywiązany do czystej dyplomacji, choć rzeczą naturalną na całym świecie jest istnienie w niej komponentu służb, koniecznego, ale w racjonalnych granicach, a także przepływów osobowych. To samo dotyczy pracowników rekrutowanych spoza resortu, w tym ambasadorów. Źle znosiłem przenikanie do służby zagranicznej zasad korporacyjnych, podważających jej istotę, najbardziej widoczne w ostatniej dekadzie mojej służby. Doprowadziło to do osłabienia instynktu państwowego pracowników, centralizacji procesu decyzyjnego, dowolności w sferze awansów, zmniejszenia indywidualnej odpowiedzialności w centrali i na placówkach, nadmiernego *outsourcingu*, degradacji departamentów merytorycznych tworzących substancję współpracy, przy jednoczesnym rozděciu ponad miarę personelu komórek usługowych. Nadmierną autonomię uzyskały placówki oraz poszczególne ich pioniry, w szczególności konsularny, za granicą faktycznie pozostający poza nadzorem ambasadora. Problemem o kapitalnym znaczeniu jest słabe i przypadkowe zaangażowanie dyplomatów i generalnie aparatu państwa w problematykę gospodarczą. Starałem się zwracać uwagę na większe ukierunkowanie resortu na ten sektor, co jednak bez kompleksowej ogólnokrajowej reformy mogło przynosić tylko cząstkowe efekty.

Przedstawiając uwagi o charakterze ogólnym, chciałbym jednak podkreślić, że celem tej książki jest zaprezentowanie pewnego wycinka służby zagranicznej, łączącego się z moimi osobistymi doświadczeniami. Myślę, że uzasadnia to rozpoczęcie relacji od samego początku. Pokazanie krajobrazu drogi, jaką na przestrzeni ponad czterdziestu lat przebyłem w służbie publicznej, prowadzącej od małego osiedla w centralnej Polsce przez Piotrków Trybunalski, Łódź, Warszawę, Moskwę, Trypolis, Amman, Bagdad i Rijad, aż po emeryturę w zielonej dzielnicy

podwarszawskiego Piaseczna. Pięćdziesięciu lat pozostawania w związku z Bliskim Wschodem, przecież do okresu służby należy bowiem doliczyć lata studiów specjalistycznych i obecny okres aktywnego zaangażowania w sprawy tego regionu jako emerytowanego ambasadora.



Rozdział pierwszy

DROGA DO DYPLOMACJI

Z MAŁEJ OJCZYZNY GDZIEŚ W PRL

Jest w Łódzkiem, pomiędzy Radomskiem a Piotrkowem Trybunalskim, niewielka aglomeracja, zrosnięta z trzech osiedli przylepionych do warszawsko-wiedeńskiej kolei żelaznej oraz drogi z Katowic do Warszawy, później ochrzczonej jako Gierkówka, na szlaku pielgrzymek do nieodległej Częstochowy. Gmunicie to gmina, szkoła podstawowa, ośrodek zdrowia, kolejowa stacja pasażersko-towarowa i kościół parafialny, a także jedyne w okolicy gospodarstwo rolne, później zabudowane domkami jednorodzinnymi. Wojciechów, gdzie się urodziłem w 1947 roku, składał się w zasadzie z jednej długiej ulicy wzdłuż fabryki ceraty, zakładu przeniesionego tutaj jeszcze przed wojną z Lubelskiego. W zabudowie dominowały jednopiętrowe drewniane domy pracownicze, dziś po części zabytkowe. Były jeszcze klub sportowy i świetlica. Trzecie osiedle stanowił Wielki Bór, przed 1939 rokiem lotnisko dla wczasowiczów z okolicznych miast, aż po Częstochowę i Zagłębie.

Powojenne losy złączyły tam moich rodziców – Mariannę i Kazimierza. Na tyle trwale, że w Gomunicach i w sąsiednich gminach mieszka nadal większość rodziny, w tym obaj moi bracia – Zbigniew i Wiesław, a także dzieci siostr ojca z rodziny Pawlików i Jurczaków. Tylko Lewańscy, siostra mojej mamy z mężem i dwoma synami, osiedlili się po wojnie w Kłodzku. Jako dziecko spędzałem tam część każdych wakacji. Rodzice najpierw wynajmowali jednoizbowy domek, a później kupili podupadłą piekarnię na działce obok. Z cegieł rozbiieranego etapami budynku powstał nasz dom rodzinny. Jako najstarszy z rodzeństwa miałem osobny pokój na piętrze z balkonem, stanowiącym corocznie element ołtarza na Boże Ciało. Stwarzał idealne warunki do nauki, czytania książek po nocy i eksperymentów technicznych. Najbardziej udanym było zainstalowanie studia radiowego według wzoru z „Młodego Technika”. Audycje odbierane w radioodbiorniku na dole i u sąsiadów ze spokrewnionej rodziny Wojtasińskich potrafiły nieźle zdezorientować gości. Inne radio, ponemieckie, służyło do słuchania Wolnej Europy i Głosu Ameryki. Władza starała się zagłuszać audycje, podobnie jak dzisiaj niektórzy dziennikarze swych rozmówców, ale całe fragmenty powtarzanych audycji były zrozumiałe. Z perspektywy małej miejscowości, żyjącej swoim życiem, podejmowane

tam tematy krajowe brzmiały nieco abstrakcyjnie. Pasjonowałem się natomiast sprawami międzynarodowymi, konfrontując przekaz radiowy z dostępną prasą. Zastanawiałem się, w którym miejscu pomiędzy skrajnościami leży prawda.

Przy domu był ogródek-warzywnik, poletko ziemniaków i kilka owocowych drzew, łącznie z potężną cukrową gruszą. Posesja od tyłu graniczyła z rozległą łąką należącą do wsi Słostowice, jeziorkami, torfowiskami i kompleksem leśnym. Tam bawiliśmy się, czasem ryzykownie, jak w przypadku próby przeprawy naprędcie skleconą tratwą na tajemniczą bagienną wyspę pośrodku sporego rozlewiska. Środowisko to przestało istnieć w latach siedemdziesiątych, wraz z budową odkrywki węgla brunatnego i elektrowni w pobliskim Bełchatowie. Pewną rekompensatą dla mieszkańców stało się sfinansowanie przez kopalnię ujęcia wody i wodociągu, a następnie kanalizacji. To wtedy domowa spiżarnia stała się łazienką.

Rodzice pracowali w miejscowej i okolicznych spółdzielniach. Ojciec, członek oddziału Armii Krajowej z sąsiedniego Kamieńska, rozbitego w drodze na pomoc walczącej w 1944 roku Warszawie, po wojnie włączył się w działalność lokalnych struktur ruchu ludowego, pracując przez kilka dekad jako magazynier w spółdzielniach ogrodniczych w Kamieńsku, Piotrkowie Trybunalskim i Gomunicach. Mama kierowała kolejnymi sklepami Gminnych Spółdzielni, zakotwicząc się ostatecznie na wiele lat w Gorzkowicach. W tej miejscowości znajdowało się lokalne centrum prywatnych masarzy, co było nie bez znaczenia w czasach, kiedy mówiono, że ostatnim życzeniem polskiej świni jest powrót jej kości do kraju. Obaj dziadkowie zmarli jeszcze przed wojną. Babcia Walentyna, ze strony ojca, była częściowo sparaliżowana i w jej domu w Barczkowicach pod Kamieńskiem widywaliśmy się głównie okazjonalnie. Codzienną pieczę nad rodzinnym domem i naszą trójką sprawowała babcia Janina Kubacka. Trzymała wnuków twardą ręką, ucząc pracowitości i dyscypliny. W lekcjach patriotyzmu prym wiodła jej siostra, Leokadia Sabatowa, kiedyś pielęgniarka w szpitalu Polskiej Organizacji Wojskowej. Kultywowała tradycje piłsudczykowski. Jej medal pamiątkowy „Polska Swemu Obrońcy. 1918”, wielkości pięciogroszówki, należy do moich najcenniejszych pamiątek. Ciocia zaszczepiła mi propaństwową postawę. Zawsze ubolewała, że los

i sojusznicy skazali nas na PRL, podnosząc przy tym odważnie kwestię odpowiedzialności za klęskę 1939 roku i dramat okupacji oraz podwójną zdradę sojuszników. Jej mężowi Bolesławowi zawdzięczam wczesne zainteresowanie Orientem. Był felczerem w carskiej armii, stacjonującej na północnym Kaukazie i w Iranie, skąd przywiózł trwałą fascynację regionem i szacunek dla jego mieszkańców, historii, kultury i religii.

W szkole podstawowej w Gomunicach, obchodzącej w 2015 roku stulecie istnienia, usytuowanej wtedy w starym budynku z cegły na obrzeżu sosnowego lasu, ton nadawali przedwojenni nauczyciele z miejską praktyką. Linijka i piórnik były stosowane, ale sprawiedliwie. Wychowawczyni Zofia Szlęzakowa traktowała nas jak własne dzieci, starając się wychwytywać indywidualne zdolności, pobudzać ambicje i uczyć myślenia. Akceptując moje skrzywienie humanistyczne, dbała, bym nie zaniedbywał przedmiotów ścisłych. Pod jej kierownictwem działało kółko historyczne, realizujące program związany z przygotowaniem do 1000-lecia polskiej państwowości, uczciwie liczonej od daty chrztu. Na jakimś etapie napisałem referat na temat arabskich kupców opisujących kształtujące się państwo piastowskie. Dobrze, że się nie zachowałem. Gdy później korygowałem wiedzę, „arabscy kupcy” okazali się Żydami z arabskiej wówczas Andaluzji, a przedmiotem handlu również najbardziej dochodowy żywy towar, który odegrał niebagatelną rolę w procesie konsolidacji piastowskiego państwa. O skali procederu może świadczyć angielskie słowo *slave* (niewolnik), pisane prawie tak samo jak Słowianin (ang. *Slav*, łac. *Sclavus*, ar. *Siclab*). Pamiętałem o tym i o braniu ludzi w jasyr przez osmańskich Turków, kiedy przyglądałem się rysom i jasnej cerze wielu mieszkańców muzulmańskich metropolii. Szkolne doświadczenia na zawsze ukształtowały mój sceptycyzm do podręcznikowej wiedzy, obiegowych poglądów, ale też propagandy, niezależnie od jej źródeł. Stopniowo krystalizowało się również moje przekonanie o względności rzeczy i poglądów, zmieniających się w zależności od okoliczności oraz punktu widzenia. Dawno temu zasłyszałem pasującą do tego jak ułał anegdotę. W odwiecznym sporze o lokalizację miejsc determinujących ludzkie zachowania wielcy myśliciele – Salomon, Jezus, Marks i Freud, sytuowali je w porządku od głowy w dół. Wreszcie Einstein pogodził wszystkich teorią względności, proponując godny naśladowania kompromis.

Liczący się wpływ na moje wychowanie w podstawówce miał ks. Ignacy Opolski, wieloletni proboszcz gomunicki i świątły kapłan. W pierwszych klasach religia była nauczana w szkole, a dopiero potem została wysiedlona do salki parafialnej. Wcześniej zostałem ministrantem i byłem nim aż do matury i łódzkich studiów. Uczestniczyłem w organizacji kościelnych uroczystości i pielgrzymek. To była niezła szkoła. Dzięki ks. Opolskiemu zainteresowałem się historią religii. Efektem ubocznym stało się badanie kultów poprzedzających przekaz biblijny, co wpłynęło na moje pojmowanie wiary. Przy okazji odkrywałem ciemne karty w historii Kościoła, dramat kościołów Wschodu, traktowanych po macoszemu przez główny nurt łaciński i bizantyński, ewolucję doktryny wraz ze zmianami cywilizacyjnymi, ale przede wszystkim wspólne korzenie religii objawionych, poprzedzające o tysiąclecia Stary Testament. Po latach dobrze rozumiałem Karen Armstrong i mogłem się podpisać pod manifestem Johna Lennona z *Imagine*, jako „marzyciel”, osłonięty jednak solidną warstwą pragmatyzmu i realizmu.

W szkole nie byłem buntownikiem, ale raczej docieklwym konformistą. Grzecznie nosiłem naszywkę „Wzorowy uczeń”. Byłem zafascynowany harcerstwem, przemycającym wówczas wiele elementów patriotycznych i mającym sporo cech szkoły przetrwania. Wyjazd na obóz oznaczał samodzielne przygotowanie posłań w namiotach, latryn, dyżury w kuchni, nocne warty niezależnie od pogody i trudne ćwiczenia sprawnościowe. Przyrzeczenie harcerskie traktowałem poważnie, nie pijąc, nie paląc i nie przeklinając. Podczas zgrupowań wraz z całą drużyną wkraczaliśmy dwójkami na niedzielne nabożeństwa do najbliższego kościoła, w regulaminowych czerwonych chustach. Ze szkoły nie pamiętam szczególnych uciążliwości realnego socjalizmu, choć w jednym przypadku oberwałem. W związku ze śmiercią Bolesława Bieruta w 1956 roku, a byłem wtedy w II klasie, mieliśmy zadane wklejenie do zeszytu zdjęcia zmarłego. W domu jakoś nie było takiego zdjęcia, więc narysowałem podobiznę, wzorując się na przyfabrycznym plakacie. Inwencji nie doceniono! Była pała i babcia tłumacząca się w szkole w imieniu rodziców. Od tamtego czasu twórczość artystyczną ograniczyłem do rysowania kwiatków w notesie.

Poza zgonami przywódców większy świat docierał do Gomunic dzięki przyfabrycznej świetlicy w Wojciechowie, goszczącej obwoźne kino,

dziecięcy, a czasem i dorosły teatr, zespoły i artystów. Organizowano tam też zajęcia pozaszkolne. Zespoły modelarstwa samolotowego, majsterkowania i fotografii były dobrą szkołą celowej pracy zespołowej i rywalizacji opartej na przejrzystych zasadach. Z tego okresu wyniosłem niezmiennie kultywowany nawyk naprawiania wszystkiego, co tylko można, i szacunek dla jakości, a ponadto skłonność do innowacji oraz ulepszania rzeczy i pomysłów, niewątpliwie uciążliwą dla moich współpracowników. Tuż przed emeryturą nauczyłem się spawania, by wykorzystać odpadowe metalowe słupki. Szkolne kółko filatelistyczne zaszczepiło we mnie zainteresowanie znaczkami pocztowymi, powracające falami. Dziś mam kilka nieco uśpionych zbiorów tematycznych, w tym „II RP”, „Kolonie niemieckie” oraz „Architekturę meczetów”, lecz daleko mi do najlepszego filatelisty wśród dyplomatów, chyba nie tylko mojego pokolenia – ambasadora Janusza Niesyty, choć i o ambasadorze Andrzeju Załuckim zapominać nie wolno. Niemniej moja kolekcja tematyczna „Architektura meczetów” też robi wrażenie, a w Arabii Saudyjskiej stanowiła klucz do wielu drzwi.

W 1961 roku zdałem egzamin do III Liceum Ogólnokształcącego im. Juliusza Słowackiego w historycznym Piotrkowie Trybunalskim. Ceną za wybór szkoły o poziomie lepszym, niż w bliższym Radomsku, było codzienne pokonywanie pociągiem łącznie ponad sześćdziesięciu kilometrów. Pociągi na szczęście kursowały dość regularnie i w miarę punktualnie po świeżo zelektryzowanym odcinku kolei, chyba że pogoda zimą zawodziła. Świeżo reaktywowana i jedyna w mieście koedukacyjna „Trójka” była nowoczesną placówką, skutecznie konkurującą z pozostałymi dwoma ogólniakami. Nasza „łacińska” klasa D, mieszanka piotrkowian i „dojeżdżających”, szybko się zintegrowała w zgrany zespół. Wielką w tym zasługą wychowawczyni Jadwigi Ludwikowskiej. Ta wielkiej mądrości życiowej łacinniczka potrafiła łączyć dyscyplinę rzymskiego legionisty z otwartością oraz umiejętnością stymulowania zdolności i ambicji wychowanków. Wśród pozostałych profesorów było również szereg osobowości, w tym moja gwiazda przewodnia – polonistka Hanna Laszkiewicz. Cały zespół pedagogiczny zadbał o wyrównywanie naszego poziomu edukacji i doprowadzenie zainteresowanych na studia wyższe. Wielu klasowych kolegów i wiele koleżanek osiągnęło liczącą się pozycję zawodową. Przykładem może być Władysław Mazurczyk, którego droga życiowa prowadziła od dramatycznej biedy



Wybór znaczków pocztowych z reprezentatywnego zbioru „architektura meczetów”

w podmiejskiej wsi, w osieroconej po śmierci ojca rodzinie, do uznanej międzynarodowo pozycji profesora w dziedzinie rolnictwa. Niestety, po latach nasze kontakty klasowe bardzo się rozluźniły.

Przejawem ambicji szkoły, troszczącej się o budowanie renomy, było systemowe podejście do międzyszkolnych konkursów, w tym Olimpiad Szkolnych Lig Quizowych „Polska i świat współczesny”. W tej kategorii drużyna z moim udziałem trzykrotnie sięgnęła po wojewódzkie laury. Wśród nagród za Olimpiadę 1963 roku mam książkę Kazimierza Bierońskiego *El Talamiz*, historię polskiego giermka wziętego w jasyr na początku XVI wieku i sprzedanego w Stambule żydowskiemu lekarzowi i kupcowi, wtopionemu w środowisko muzułmańskiej arystokracji. Mistrz i uczeń podróżowali przez bliskowschodnie pustkowia, pirackie wysepki na Morzu Czerwonym, do Mekki i Medyny. Dotarli do Koczinu na Malabarskim Wybrzeżu Indii, gdzie od pradawnych czasów Arabowie i Żydzi wspólnie robili interesy, poddane w XVI w. ciężkiej próbie w wyniku ekspansji Portugalii, która wcześniej wyrzuciła Żydów ze swego terytorium, a opanowując Ocean Indyjski zniszczyła istniejącą tam strefę wolnego handlu. Chłopak uczył się języków, kultury i tradycji oraz szacunku dla ludzi Orientu, by stać się jako wolny człowiek sukcesorem swego mistrza. Miało się okazać, że część tej drogi przejdę osobiście, odszukując opisane w książce ślady i konfrontując literacką fabułę ze współczesnymi realiami. Niekiedy dochodziłem do wniosku, że wykonuję bardziej niewolniczą pracę niż bohater książki.

Okres licealny przyniósł jedno wstydlive wydarzenie, wpływające na moje losy. W drugiej klasie musieliśmy napisać konkursową recenzję z wybranego filmu, prezentowanego podczas Dni Kina Radzieckiego. Seanse odbywały się w Piotrkowie po lekcjach, co oznaczało perspektywę powrotu do domu późnym, wieczornym pociągiem. Wybrałem kompromis: zamiast w bilet do kina zainwestowałem w trzy tygodniki: „Politykę”, „Kulturę” i bodaj „Życie Literackie”. Czasopisma te zamieszczały recenzje ze wszystkich pokazywanych filmów. Na ich podstawie napisałem czwartą, własną. I... zdobyłem drugie miejsce w województwie! Szkoła była dumna z sukcesu i wzmianek w mediach lokalnych. Ja zyskałem źle zasłużony dyplom i dobrej klasy aparat fotograficzny, oczywiście radziecki. Wkrótce przyszły też zaproszenia na koktajl

w Ambasadzie ZSRR w Warszawie dla krajowych laureatów, również dla dyrektor szkoły. Stałem się ulubieńcem rusycystki i „działaczem społecznym”, co polegało głównie na redagowaniu gazetki ściennej i zabieraniu głosu na szkolnych akademiach.

Krystalizowało się moje zainteresowanie studiami związanymi z problematyką międzynarodową. Rodzina była tym nieco skonsternowana, gdyż oczekiwała, że pójdę do seminarium duchownego. Na przeszkodzie wówczas stanęła jednak pewna uroczą młodszą koleżanką z liceum. Rodzinne aspiracje zrealizował mój najmłodszy brat Wiesław, dzisiaj kanonik i prałat, a poniekąd także Zbigniew, którego córka została zakonnicą i aktualnie kieruje Kolegium Matki Kościoła w rzymskim Castel Gandolfo. W Polsce, po likwidacji w 1961 roku Szkoły Wyższej Służby Zagranicznej w Warszawie, nie było żadnej uczelni o profilu „stosunki międzynarodowe”. W tej sytuacji pragmatyczne rozwiązanie widziałem w podjęciu studiów prawniczych, umożliwiających w dalszych latach specjalizację w zakresie prawa międzynarodowego.

W 1965 roku zdałem trudny egzamin na oblegany Wydział Prawa Uniwersytetu Łódzkiego i zostałem przyjęty. Warunkiem realizacji planów było skoncentrowanie się na nauce i uzyskanie stypendium, by odciążyć rodziców. Studia prawnicze były bardzo ciężkie, zwłaszcza po ich skróceniu do czterech lat, z zachowaniem sylabusu. „Odsiew” po I roku sięgał 20–25%. Wydział prezentował wówczas wysoki poziom, zatrudniając wybitnych profesorów, w znacznej części z Warszawy. Istniał stosunkowo otwarty klimat dyskusji podczas ćwiczeń i w kołach zainteresowań, gdzie nie unikano problematyki politycznej. Miasteczko akademickie przy ul. Kopcińskiego, gdzie mieszkałem w czteroosobowym pokoju, tworzyło zróżnicowaną społeczność. Liczącą się grupą byli studenci zagraniczni, w większości z krajów Trzeciego Świata. Studium Języka Polskiego było dla nich centralnym ośrodkiem nauki języka polskiego i przygotowania do regularnych studiów. Domy studenckie stanowiły miejsce integrowania się z polskimi studentami. Pobieraliśmy wzajemnie pierwsze lekcje wielokulturowości. Z reguły mieliśmy do czynienia z przedstawicielami lokalnych elit. Tym bardziej szokujące były ich relacje o skali wyzysku i przestępstw, jakich „demokratyczne” państwa kolonialne dopuściły się na terytoriach zależnych. Przypominało to nasze relacje z Rosją, też nigdy

do końca nierozliczone. Leżąc w nowoczesnej studenckiej poliklinice w związku z przeziębieniem, w spokoju potrzebnym do przygotowania się do trudnego egzaminu, spotkałem innego pacjenta – Omara Badżiego, Palestyńczyka z Nablus z jordańskim paszportem. Był wówczas na pierwszym etapie poznawania Polski i konfrontacji zastanych realiów z wyobrażeniami ukształtowanymi w Jordanii i Libanie. O wyborze Polski zdecydował głównie smak naszych eksportowych dżemów i konfitur, o których w Łodzi nikt oczywiście wówczas nie słyszał. Omar został przyjacielem rodziny i był pierwszym na liście znajomych cudzoziemców zdziwionych naszą rzeczywistością, w czasach PRL często absurdalną, ale niekiedy mającą specyficzny koloryt również po transformacji.

Na początku drugiego semestru załatwiałem w dziekanacie sprawy związane z rozpoczynającym się właśnie studium wojskowym, gdzie wiosną 1966 roku dosłużyłem się nadal posiadanego stopnia starszego szeregowca. Na tablicy ogłoszeń zauważyłem informację o konkursowej rekrutacji na studia na Wydziale Stosunków Międzynarodowych MGIMO. Oferta była adresowana do studentów I roku prawa polskich uniwersytetów oraz SGPIS (dziś SGH). Zelektryzowany czytałem warunki: zainteresowania problematyką międzynarodową, średnia z sesji zimowej w granicach „4” i wymagany podobny wynik w letnim semestrze, znajomość języka rosyjskiego, niekaralność i dobra opinia środowiskowa (to milicjanci sprawdzali w Gomunicach, wywołując później plotki, że jestem poszukiwany za jakieś przestępstwa), zaświadczenie o stanie zdrowia, zdanie specjalistycznych testów. Wszystko to spełniałem lub mogłem spełnić. Termin mijał za dwa dni, ale bez trudu zebrałem wymagane dokumenty i złożyłem podanie. Znalazłem się w gronie około trzydziestu zainteresowanych z łódzkiej uczelni, w tym klasowego kolegi z Piotrkowa – Krzysztofa Górskiego i wydziałowej prymuski – Bożeny Piskorskiej. Tylko ta nasza trójka pomyślnie przebrnęła etap testów i uczelnianych procedur kwalifikacyjnych. Egzamin w resorcie szkolnictwa w Warszawie, organizowany z udziałem MSZ, przypominał pytania licealnych olimpiad. Testy zaliczyłem jako jedyny z Łodzi.

Po przedstawieniu dobrych wyników letniej sesji otrzymałem zaproszenie na trzytygodniowy wakacyjny kurs dla studentów mających wyjechać za granicę, na osiedlu studenckim na warszawskich

Jelonkach. Zgromadzono tam kilkaset osób, stypendystów rządu polskiego. Do MGIMO takich stypendiów w 1966 roku było dziesięć. Program zgrupowania obejmował wykłady i zajęcia grupowe prowadzone przez przedstawicieli poszczególnych resortów i specjalistów, lektoraty, sprawdziany kompetencji i rozmowę z przedstawicielami MSZ. Poprzedzała ona ostateczną decyzję, ale już w jej trakcie informowano o przypisanej specjalizacji regionalnej i wiodącym języku. Mnie wskazano Azję Południowo-Wschodnią i język wietnamski, z pomocniczym językiem francuskim. Zapachniało frontem, bo przecież w Indochinach toczyła się właśnie wojna na pełną skalę. Inni koledzy z prowincji też dostali tak egzotyczne języki, jak indonezyjski (Tadeusz Wojcieszek i Marian Staszewski), urdu (Bogdan Marczewski) czy albański (Leszek Lampart i Jerzy Szewczyk). Te uważane za bardziej atrakcyjne – chiński (Wojciech Kałuża i Krzysztof Stronczyński) oraz arabski (Roman Chałaczkiwicz) przypadły „warszawiakom”. W tej grupie były jeszcze dwie osoby, które jednak nie wytrzymały długo w Instytucie. O samej uczelni wiedzieliśmy wówczas niewiele, a i dzisiaj wiedza o niej w Polsce jest tak bałamutna, że warto przywołać podstawowe fakty.



ROSYJSKA UCZELNIA

Moskiewski Państwowy Instytut Stosunków Międzynarodowych (MGIMO) powstał w 1944 roku poprzez wydzielenie Wydziału Międzynarodowego z Uniwersytetu im. Łomonosowa. Dziesięć lat później został połączony z Instytutem Badań Wschodnich, kontynuatorem utworzonego przez rodzinę Łazariewów w 1815 roku Instytutu Języków Wschodnich. Oznaczało to nie tylko przejście najbogatszej na obszarze rosyjskim specjalistycznej biblioteki orientalnej, ale także trwale wpłynęło na profil akademicki uczelni, która w 1958 roku wchłonęła jeszcze Instytut Handlu Zagranicznego, przekształcony w Wydział Międzynarodowych Stosunków Gospodarczych. W następnych latach powstały kolejne fakultety – Międzynarodowego Prawa i Międzynarodowego Dziennikarstwa. Dziś jest ich łącznie siedem, a placówka działa jako uniwersytet.

MGIMO od początku pozostawało w gestii moskiewskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i miało za zadanie formować wysoko wyspecjalizowane kadry na światowym poziomie, pod kątem potrzeb tego resortu i innych sektorów obsługujących współpracę międzynarodową. Miało cywilny charakter, w odróżnieniu od istniejących odrębnie dwóch innych szkół przygotowujących kadry dla służb specjalnych. Trudno powiedzieć, na ile założenie „czysto dyplomatycznego profilu” uczelni było realizowane w praktyce, niemniej podczas pięcioletnich studiów nie zaobserwowałem przykładów podważających ten charakter. Instytut miał uprzywilejowaną pozycję. Jej wyrazem były preferencje budżetowe, doborowe kadry i zaplecze akademickie, bieżący dostęp do zachodnich książek i publikacji, w oryginale i w tłumaczeniach na język rosyjski, nowoczesne wyposażenie techniczne, w tym laboratoria językowe. Merytoryczny program ogólnego i specjalistycznego nauczania w stosunkowo niewielkim stopniu był poddany obróbce ideologicznej. Edukacja miała wysoce praktyczny charakter. Prestiż i elitarność Instytutu podkreślało pierwotne usytuowanie przy Moście Krymskim, w pobliżu Kremla. Dla studentów bardziej liczyło się jednak sąsiedztwo pełnego młodzieży parku i otwartego całorocznego basenu kąpielowego „Czajka”. Wśród studentów radzieckich dominowały dzieci członków aparatu władzy szczebla związkowego

i republikańskiego. Próby rozszerzania bazy rekrutacji nie przynosiły większych rezultatów.

Już od 1946 roku zaczęto przyjmować studentów zagranicznych, pochodzących z państw „obozu” mających dobre stosunki z ZSRR. W połowie lat sześćdziesiątych nie było więc Chińczyków, północnych Koreańczyków, Albańczyków, ale także Kubańczyków i przedstawicieli Trzeciego Świata. Tę praktykę w zasadzie utrzymano do rozpadu ZSRR, by następnie szeroko otworzyć bramy uczelni dla studentów z ponad sześćdziesięciu krajów, w tym USA i innych państw zachodnich. Uczelnia przyjmuje około tysiąca studentów rocznie, a od początku istnienia jej mury opuściło ponad sześćdziesiąt tysięcy absolwentów. Są wśród nich – przykładowo – prezydenci państw (Ilham Alijew, Azerbejdżan), ministrowie spraw zagranicznych (Miroslav Lajčák, Słowacja; Jan Kohout, Czechy; Siergiej Ławrow, Rosja), wysocy urzędnicy Unii Europejskiej (Maroš Šefčovič, Węgry, wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej; Štefan Füle, Czechy, komisarz), szefowie organizacji międzynarodowych (UNESCO – Irina Bokova, Bułgaria), korporacji międzynarodowych (Euroasian Natural Resources Co. – Felix Vulis, USA), ministrowie resortowi od Kambodży po Mongolię, setki ambasadorów i tysiące dyplomatów. W Rijadzie spotkałem kilku w Ambasadzie USA, którzy ukończyli MGIMO z językiem arabskim w połowie lat dziewięćdziesiątych. Dokładnie wtedy przestano tam kierować studentów z Polski. Dziś uczelnia jest w pierwszej setce światowego rankingu „The Global Go To Think Tank Index Report” Uniwersytetu Pensylwanii w sześciu kategoriach i na pierwszym miejscu, jeśli chodzi o zatrudnienie absolwentów. Jako pierwsza w Rosji utworzyła w 2007 roku, w oparciu o Stowarzyszenie Absolwentów, żelazny fundusz kapitałowy wspierający jej działalność statutową i kontakty zagraniczne. W 2017 roku wynosił on ponad 25 milionów USD, co pozwalało wraz z darowiznami pokryć 10% budżetu.

Pierwszych polskich stypendystów w kilkusobowych grupach skierowano do Instytutu po 1956 roku. Decyzję taką podjął minister spraw zagranicznych – Adam Rapacki. Miało się to wiązać z jego przekonaniem, że polska dyplomacja ma szanse na pewną samodzielność w mniej priorytetowych dla Moskwy lub trudniejszych politycznie regionach świata. Do tego potrzebni byli specjaliści

znający rzadkie języki, których przygotowanie było realne wówczas jedynie w Moskwie. Później nastąpiła kilkuletnia przerwa w kształceniu, ale sam kierunek myślenia okazał się trwały. Zaowocował po raz pierwszy w historii wzbogaceniem naszego MSZ o pokaźną grupę „egzotycznych” specjalistów, z językiem koreańskim, japońskim, chińskim, wietnamskim, indonezyjskim, urdu, suahili, perskim czy arabskim, w kolejnych latach rekrutowanych również spośród absolwentów uczelni krajowych i innych państw, niezależnie od MGIMO. Priorytetem były specjalizacje i języki obszarów konfliktów – na Półwyspie Koreańskim, w Indochinach i na Bliskim Wschodzie, gdzie działały agendy ONZ, z liczącym się udziałem polskich dyplomatów i wojskowych. Przygotowanie i zdobyte doświadczenie budowało ich pozycję w MSZ, również w III RP. Przez ponad trzydzieści lat przez polski MSZ trwale lub przejściowo przewinęło się około trzystu absolwentów MGIMO, z których kilkudziesięciu zostało ambasadorami, często wybitnymi. Zawsze wyróżniali się w Ministerstwie, jeśli chodzi o sprawność w wykorzystywaniu narzędzi dyplomacji.

Elitarność uczelni niezmiennie budziła w Rosji skrajne odczucia – od podziwu i zazdrości po uszczypliwe uwagi. Skrót nazwy rozszyfrowywano jako *mnogo gordostii i mało obrazowanija* (wiele dumy i mało wykształcenia). W indywidualnych przypadkach nie zawsze musiało to wynikać wyłącznie ze złośliwości. Otoczka wyjątkowości i pewnej tajemniczości oraz styk z niedostępną dla większości zagranicą wystarczały, by postrzegać MGIMO jako fabrykę szpiegów. Na tyle trwale, że taka generalizująca opinia pokutuje do dziś w obszarze poradzieckim i w Polsce. Nie wiem, jak innych, ale mnie żadne polskie, radzieckie czy jakiegokolwiek inne służby nie próbowały pozyskać – ani podczas studiów, ani po ich zakończeniu. Sam też nie składałem im ofert. I chyba bym się do tej roboty nie nadawał. Udokumentowany został natomiast werbunek grupy polskich absolwentów przez służby Rzeczypospolitej. Co więcej, kilku naszych absolwentów MGIMO „wybrało wolność” na Zachodzie, niektórzy nie czekając na otrzymanie dyplomu (Mikołaj Hołub).

Międzynarodową renomę MGIMO zawdzięczało harmonijnemu połączeniu w sylabusie różnych elementów procesu studiów: ogólnego, obejmującego historię dyplomacji i powszechną, współczesne stosunki

międzynarodowe, prawo, również krajowe wybranych państw, stosunki gospodarcze, protokół dyplomatyczny, zasady negocjacji, kulturowe uwarunkowania relacji zewnętrznych, a także statystykę oraz specjalistycznego – z przedmiotami zawężonymi do obszaru specjalizacji i uzupełnianymi przez takie komponenty, jak lokalna literatura, religia, stosunki społeczne, uwarunkowania kulturowe, tradycje i prawo zwyczajowe. Trzecim składnikiem były języki – podstawowy i pomocniczy zachodni. Łącznie nauczano średnio sześćdziesięciu języków, reagując elastycznie na zapotrzebowanie. Lektoraty trwały odpowiednio dwanaście i sześć godzin tygodniowo, przez dziesięć miesięcy w roku i dziewięć semestrów. Nauczanie języków było ustawione praktycznie i miało niewiele wspólnego z filologią, choć w Polsce absolwenci mieli z reguły etykiety sinologów, japonistów czy arabistów. Język był traktowany jako narzędzie pracy, a nie cel sam w sobie. W przypadku takich języków, jak arabski zapoznawano również z zasadami dialektów. Nauczanie odbywało się w języku rosyjskim. Zainteresowani mogli zapisać się na kolejne lektoraty, w zasadzie bez ograniczeń i niekiedy odbywające się w dwu- czy trzyosobowych grupach. Syllabus w bloku ogólnym obejmował również cztery przedmioty o charakterze ideologicznym, wykładane jedynie na pierwszym i drugim roku, z egzaminem. Uzupełnieniem programu były spotkania z wybitnymi osobistościami i specjalistyczne ćwiczenia, w tym behawioralne i przygotowujące do radzenia sobie w różnych sytuacjach związanych z prowadzeniem negocjacji, redagowaniem dokumentów, reagowaniem kryzysowym. Brakowało natomiast zajęć kształtujących takie cechy, jak umiejętności analityczne, podtrzymywanie kontaktów, zapamiętywanie nazwisk oraz twarzy, szczególnie przydatne w krajach, w których chusty na głowie i zunifikowane stroje są noszone nie tylko przez kobiety. Student musiał co roku przygotować tematyczne opracowanie, które co bardziej przedsiębiorczy i konsekwentni sklejali na piątym roku w pracę dyplomową. O terminie przypominały plakaty z ponurym facetem, śniącym się po nocach. Istotnym komponentem nauczania były półroczne praktyki, organizowane na ostatnim roku za granicą, z reguły w państwach specjalizacji, a w przypadku polskich studentów – w Warszawie.



STUDENCKA MOSKWA (1966–1971)

Do Moskwy dowieziono nas – wszystkich studentów rozpoczynających naukę w ZSRR – specjalnym pociągiem kilka dni przed rozpoczynającym się pierwszym wrześniem roku akademickim. Akademik MGIMO mieścił się przy ul. Krzyżanowskiego w dzielnicy Nowe Czeriomuszki, blisko stacji metra Profsojuznaja. Był to ponury gmach zbudowany z czerwonej cegły, ale wewnątrz warunki zakwaterowania nie różniły się specjalnie od łódzkich. Tyle, że pod względem dyscypliny dom studencki oscylował gdzieś pomiędzy polskim internatem a koszarami. Przydzielono mi miejsce w czteroosobowym pokoju, gdzie zastałem trójkę kolegów. Skład był międzynarodowy, co poza szerszym przekazem miało skłaniać do posługiwania się rosyjskim, którego poziom w całej polskiej grupie był daleko niedoskonały. Pierwszą załogę pokoju tworzyli Rosjanin z żydowskimi korzeniami, Aleksander Szewczenko, (a w kolejnych latach również Wadim Timofiejew), Mongoł Haliun Pandżunaj (przyszły ambasador w Ankarze) i przedstawiciel kraju mojej zadekretowanej specjalizacji, kolega Tho. To on uświadomił mi grozę „wietnamskiego wariantu” i to wcale nie z powodu wojny. Dostałem dwie pouczające lekcje – wietnamski posiłek, którego widok, zapach i smak zdecydowanie odstraszały, oraz negatywny wynik sprawdzianu mojej zdolności rozróżniania tonów kierunkowego języka specjalizacji. Nazajutrz dyskwalifikacyjną opinię dołożył uczelniany lektor. Powiało widmem ekspresowego powrotu do Łodzi. Przydział języka przedstawiono mi przecież w Warszawie jako wynikający z „perspektywicznego planowania potrzeb państwa”.

W wisielczym nastroju pojechałem metrem do Ambasady. W Wydziale Studenckim zamiast wręczenia biletu powrotnego usłyszałem: „to niech pan sobie wybierze jakiś inny język!” To był szok. Pierwszy do głowy przyszedł mi arabski. Musiało podziałać kilka czynników zakodowanych w podświadomości – średniowieczni kupcy arabsko-żydowscy, wujek Sabat, szkolna nagroda autorstwa Bierońskiego, opowieści Omara Badżiego o sielskiej egzotyce Jordanii, Libanu i regionu, nieskażonego jeszcze konsekwencjami sześciodniowej wojny arabsko-izraelskiej 1967 roku. Procedura zmiany specjalizacji okazała się zadziwiająco prosta. Wystarczył telefon na uczelnię, potwierdzony

pismem z Ambasady. O drugim języku nie rozmawialiśmy i zapewne dlatego pozostawiono mi francuski, przesądzający podspecjalizację - „Kraje Maghrebu”, w ramach kierunku „Bliski Wschód i Północna Afryka”.

Językowe perypetie umocniły moją determinację dobrego wykorzystania akademickiej szansy. Pierwszy rok był najcięższy, co wynikało również z konieczności douczania się języka rosyjskiego i zawsze pożytecznego „zapracowania na indeks”. Priorytet miało jednak opanowanie kierunkowego języka. Motywowaliśmy się wzajemnie z Romanem Chałaczkiwiczem. Byliśmy w jednej grupie, a przez pewien czas mieszkaliśmy również w tym samym pokoju. Na kierunku ekonomicznym z językiem arabskim był jeszcze - zmarły w 2018 roku - Maciej Muszyński, studiujący na „koszt własny” rodziny, podobnie jak kilku innych studentów, których rodzice pracowali w polskich placówkach dyplomatycznych w Moskwie. Łącznie w MGIMO było wówczas nieco ponad dwudziestu Polaków, prawie wyłącznie na pierwszych latach.

Wszyscy byliśmy członkami Zrzeszenia Studentów Polskich. W przeciwieństwie do innych organizacji działających w środowisku studenckim, ZSP, z wieloma funkcjami związku zawodowego, miało charakter powszechny, a przez władze uczelniane było traktowane jako reprezentant grupy narodowej, nazywanej „ziomkostwem”. Poszczególne osoby prezentowały bardzo zróżnicowane podejście do studiów, w Rosji bardziej przypominających naukę niż dominujący w Polsce studencki luz. Część grupy konkurowała też o pozycję i stanowiska w organizacjach studenckich. Tworzyło to zaczyn fermentu, w którym punktem odniesienia była nie tyle nauka, co jakieś „ustawienie się”, mające określać perspektywę przyszłej pracy w dyplomacji. Po raz pierwszy zetknąłem się wówczas z tak silnym zróżnicowaniem mikrośrodowiska, w którym elementy destrukcji przeważały nad dążeniem do harmonijnej współpracy. Skoncentrowany na nauce, pozostawałem poza tymi układami, co doprowadziło do nieoczekiwanych konsekwencji. Wiosną 1967 roku Ambasada miała dość wewnętrznego fermentu w grupie i narzekań uczelni na dyscyplinę studiów i wymusiła wprowadzenie „zarządu komisarycznego”. Jako niezaangażowany i niezagrożony zawaleniem roku, zostałem wybrany na „komisarycznego przewodniczącego uczelnianego ZSP”. W ten sposób zapoczątkowana

została moja kariera w Zrzeszeniu. Po wakacjach zachowałem funkcję już w trybie statutowym. Wraz z kilkoma kolegami opracowaliśmy atrakcyjny program działania, zakładający zaangażowanie i współpracę całego zespołu. Poskutkowało, również poprawą atmosfery. Bardziej kontrowersyjne okazało się wpływanie na dyscyplinę studiów, monitorowaną przez Ambasadę, której przedstawiciele uczestniczyli nawet w czymś w rodzaju wywiadówek, poprzez wprowadzone wówczas uznaniowe premie do stypendiów. Miesięcznie otrzymywaliśmy z Ambasady dziewięćdziesiąt rubli, co było porównywalne ze średnim wynagrodzeniem pracowniczym w Moskwie. Nie płaciliśmy przy tym za akademik i korzystaliśmy z marnej, ale bezpłatnej opieki medycznej. Nie było konieczności dorabiania, na przykład przemytem, grożącym relegowaniem z uczelni. Niemniej sięgająca 20% kwoty stypendium stopniowana premia stanowiła liczące się uzupełnienie budżetu i jej pozabawienie lub zmniejszenie w danym miesiącu było bolesne. Regulamin premii uwzględniał zaangażowanie w pracę zespołu, co sprzyjało jego integracji, ale nie cieszyło się powszechnym uznaniem.

Instrument finansowy dobrze funkcjonował w sferze kultury, gdzie konieczny był zbiorowy wysiłek. Mieliśmy atut w postaci zespołu rockowego „Tarakany”, którego dobre tradycje po zmianie składu przez kilka lat z powodzeniem podtrzymywała grupa „Sarmaci”. Uczelnia nie była zachwycona zachodnią linią muzyczną, ale tolerowała zespół, który nawet wystąpił w ogólnokrajowym kanale telewizyjnym, grając *Biały krzyż*. Z perspektywy czasu można ocenić, że przebijająca się wówczas przez cenzurę muzyka wielkich zachodnich grup bigbitowych przyczyniła się do dekompozycji Związku Radzieckiego w nie mniejszym stopniu niż *hard power* zimnej wojny. Podczas licznych imprez, kostiumowych balów, nauki poloneza i innych polskich tańców (Ambasada załatwiła stroje) wyłoniła się szersza grupa wykonawców, do której włączyli się koledzy z uczelni artystycznych. Poziom zróżnicowanego programu umożliwił naszym wykonawcom między innymi bezpłatne wakacyjne wyjazdy pod flagą ZSP do odległych regionów ZSRR. Były one finansowane w ramach programu przez uczelnię i lokalne władze. Stanowiły atrakcyjny sposób zaprezentowania polskiej kultury studenckiej oraz poznania kraju, bez uciążliwego zabiegania o przepustkę. Poza podróżą do Polski każdy dalszy niż pięćdziesiąt kilometrów wyjazd studenta zagranicznego poza Moskwę wymagał

bowiem uzyskania indywidualnej zgody. Samowolne podróżowanie mogło oznaczać odesłanie do domu. Niemniej czasami podejmowaliśmy ryzyko. Raz byłem bliski wpadki. Na IV roku nielegalnie leciałem do białoruskiego Mińska do koleżanki, która nagle zdecydowała się zorganizować urodziny w wąskim gronie. Bilet na samolot ze zniżką zakupiłem, korzystając ze studenckiej legitymacji uzbeckiego kolegi. Kontrolerka na lotnisku niebezpiecznie długo dopatrywała się mojego podobieństwa z fotografią, ale w końcu uznała, że miły uśmiech i garść komplementów są ważniejsze niż skośne oczy. W drodze powrotnej już jednak nie ryzykowałem i wróciłem pociągiem, gdzie w zasadzie nie było kontroli.

Stworzenie na bazie narodowej grupy zdolnej dać regularny koncert przed większą publicznością nobilitowało również uczelnię. Nagrodzono nas między innymi przyznaniem sali w akademiku na polskiego sylwestra, o co każdego roku trwały boje między „ziomkostwami”. Na dodatek powtórzyliśmy wyczyn w kolejnym roku, dzięki wspólnemu wnioskowi z faworyzowanymi Wietnamczykami, którym jednak ich Ambasada zakazała imprezowania.

Wakacyjne wyjazdy z kilkudziesięcioosobowym zespołem w teren to jedno z najciekawszych studenckich przeżyć, nie tylko moich. Kierowałem taką tańcząco-śpiewającą grupą do Dagestanu i Czeczenii-Inguszetii. Działała pod szyldem „brygady agitacyjnej”, co i wtedy brzmiało fatalnie, ale liczyły się rzeczywista treść, walor integracyjny, przygoda oraz finansowanie przez gospodarzy blisko trzytygodniowej podróży. A przy tym nikt od nas nie oczekiwał jakiejś agitacji. Na koncerty w Machaczkałe i Groznom przychodziło po kilka tysięcy widzów, niezależnie od transmisji i opisów w lokalnych mediach. Byliśmy tam egzotyczną atrakcją i bodaj pierwszymi „artystami z Polski”. Pierwszymi rodakami byliśmy też niejednokrotnie dla spotykanych Polaków, ale także innych mniejszości. W Machaczkałe już sama próba zespołu przyciągnęła do miejskiego amfiteatru kilkuset mieszkających w sąsiedztwie Żydów. W programie podróży był również czas na odpoczynek nad morzem i w górach, odwiedzanie pijalni wina, oferujących za bezcen lokalny dobrej jakości trunek, zwiedzanie zabytków. Byliśmy też gośćmi urzędów republikańskich. Przed jednym z nich spotkałem woźnego pogrążonego w lekturze Koranu. Nie przeszkadzało

mu, że w trzymał świętą księgę do góry nogami. Języka arabskiego i tak nie znał, za to cały tekst wykuł na pamięć. Ateizacja miejscowej ludności szła opornie, choć część muzułmanów na wino miała chyba dyspensę. Miejscowi górale dumnie zaznaczali swą odrębność i przywiązanie do wolności. Ta wizyta na Kaukazie stała się dla mnie przepustką do wielu domów czeczeńskich i czerkieskich w Jordanii, gdzie sporo kaukaskich uchodźców znalazło drugą ojczyznę i pracę w osobistej ochronie króla.

Poprzez ZSP organizowaliśmy również wycieczki w trakcie roku akademickiego, zwiedzanie obiektów historycznych i bilety na imprezy kulturalne. Moskwa konkurowała w tym zakresie ze światowymi stolicami – wystawami, spektaklami, koncertami, festiwalami i pokazami, tanimi lub bezpłatnymi. Problemem była jedynie dostępność. Czasami rozwiązywało go pismo do organizatorów. Niekiedy korzystaliśmy z pomocy Ambasady. Dotyczyło to w szczególności licznych polskich imprez, a Polska była wtedy dla Rosjan Zachodem, również jeśli chodzi o kosmetyki, rajstopy, odzież, obuwie i oczywiście płyty. Korzystałem z tych możliwości pełnymi garściami, jakby na zapas, oferta kulturalna w moich krajach arabskich była bowiem raczej uboga. Poza nielicznymi wyjątkami, jak film *Doktor Żywago* wyświetlany w kinie Waddan w Trypolisie w 1972 roku, mimo protestów Ambasady ZSRR, ale z kompletem jej pracowników na widowni.

Stabilizacja naszej społeczności w MGIMO, pozytywne wyniki egzaminów i zrealizowane projekty zostały zauważone przez inne polskie grupy studenckie w Moskwie, raczej niedarzące tej uczelni szczególną sympatią. Zmianę przyniosła między innymi otwartość na wspólną organizację części studenckich przedsięwzięć i partnerskie dzielenie się doświadczeniami. Około sześciuset Polaków studiujących w Moskwie i skupionych w organizacjach uczelnianych tworzyło Ośrodek ZSP, działający na prawach rady okręgowej. Kandydowałem w wyborach do niej jesienią 1968 roku. Dostałem najwięcej głosów i zostałem przewodniczącym, rezygnując z funkcji na uczelni. Udało się zrealizować szereg inicjatyw i skonsolidować środowisko, umacniając jego pozycję wobec Ambasady. Wydziałem Studenckim kierował wówczas Roman Muranyi, otwarty na akademicką brać i przez nią szanowany. Wspólnie dopracowaliśmy transparentne kryteria przyznawania premii

stypendialnych. Współpracowaliśmy z innymi ośrodkami ZSP w ZSRR, z czym wiązały się sporadyczne wyjazdy do Leningradu/Petersburga, Kijowa czy Charkowa. Byłem też na międzynarodowej konferencji studenckiej w Kazaniu, gdzie po raz pierwszy wraz z kolegą odwiedziłem meczet na obszarze mużułmańskim. Tatarscy wierni nie zrozumieli moich wyjaśnień po arabsku, że chodzi o zwiedzenie świątyni i wprowadzili nas do sali modlitwy w środek żarliwie modlących się mężczyzn. Ja z grubsza znałem zasady, ale kolega najpierw został skarcony za próbę zdjęcia czapki, a potem omal nie rozbił sobie głowy przy pierwszym pokłonie. Na szczęście udało się nam po cichu wycofać. W ramach studenckiej eskapady zwiedziłem też Białoruś, a prywatnie pociągiem także trzy kraje bałtyckie. Pobyt na Litwie, m.in. w Wilnie i Trokach, był sentymentalną wędrówką po bardzo żywych śladach polskości. W wileńskim trolejbusie jadącym w kierunku cmentarza na Rossie podchmielony Polak wieszczył datę powrotu miasta do macierzy. W Trokach karaïmskie dzieci bawiące się pod murami zamku mówiły soczystą polszczyzną. Najczęstsze były jednak wypadki na podmoskiewską prowincję, by obejrzeć historyczne cerkwie, spróbować samogonu z beczki w jakiejś oddalonej leśniczówce, spędzić w miłym towarzystwie wolną niedzielę lub święta w zagubionym hoteliku, gdzie niekiedy zjedzenie posiłku wymagało zastąpienia w kuchni nieobecnego personelu.

Jako szef Rady Okręgowej ZSP byłem sporadycznie zapraszany na przyjęcia dyplomatyczne i okolicznościowe spotkania, niekiedy również w kremlowskim Pałacu Zjazdów. Przepychem mogły konkurować z recepcjami w pałacach saudyjskich książąt, na których jednak nie było kobiet i nie podawano alkoholu. Były dla mnie pierwszą okazją do zetknięcia się z „elitami dyplomatycznymi” z różnych stron świata. Widziałem dobrze podchmielonych ambasadorów i dostojników, mających gdzieś normy protokołu. Była to pożyteczna lekcja zachowań, których należy unikać w przyszłości. Wysoce przydatne jako doświadczenie były natomiast zaproszenia do udziału w programach radiowych i telewizyjnych, również zagranicznych, a także okazjonalne wypowiedzi dla mediów.

Kadencja w ZSP trwała rok. W kolejnych wyborach do Rady Ośrodka uzyskałem ponad 80% głosów, najwięcej. Musiałem jednak

zrezygnować z ubiegania się o przewodniczenie. Ambasada nalegała, bym wrócił do organizacji uczelnianej. Polska grupa w MGIMO, powiększona w kolejnym roku o kilkunastu stypendystów, znów uległa rozchwianiu. Zauważono to nawet w polskim MSZ, dokąd na praktykę trafili studenci ostatniego roku. Zastąpił mnie Rafał Kosztirko, kolega uczelniany, a później wykładowca akademicki w Kanadzie. Zostałem jego zastępcą, koncentrując się jednak na uporządkowaniu spraw uczelnianych. Musiałem też pamiętać, że wchodzi w decydujący okres studiów. Ustabilizowanie i ponowna aktywizacja już blisko sześćdziesięcioosobowej grupy nastąpiły stosunkowo szybko. Rozgrzane emocje, animozje i konflikty nadal się jednak tliły. Nastroje niepewności powodowała też komplikująca się sytuacja polityczna i gospodarcza w Polsce końca lat 60., przekładająca się na dyskusje i spory, których w zasadzie nie było podczas wydarzeń na uczelniach krajowych w marcu 1968 roku, poza niewielką komórką partyjną. W środowisku pojawiły się trudne do sprecyzowania obawy. Duże wrażenie zrobiły na mnie reakcje na pozornie niewinny żart na prima aprilis. Ktoś w akademiku wpadł na pomysł pilnego wzywania do mnie wieczorem kolejnych kolegów. Na twarzach wchodzących widziałem zdenerwowanie i niepokój. Zrobiliśmy spotkanie, by otwarcie porozmawiać o problemach, ale niewiele to pomogło. Transparentność nie załatwiła wszystkiego. Był to okres, kiedy kończyłem studencką aktywność społeczną, przygotowując się do ostatniej regularnej sesji egzaminacyjnej i praktyki w Departamencie V (afrykańsko-blisko-wschodnim) MSZ w Warszawie, organizowanej w semestrze jesienno-zimowym na piątym roku.

W tym czasie przyjąłem sugestię paru szanowanych znajomych, by kandydować do PZPR, z nieco mieszanymi uczuciami, gdyż nie przystawałem do partyjnego dogmatyzmu i schematyzmu, obserwowanego nie tylko w uczelnianym otoczeniu. Z domu i szkoły wyniosłem ostrożnie lewicowe poglądy i wyczulenie na niesprawiedliwość, które na studiach uległy zaostreniu. Pragmatyczny konserwatyzm przyszedł dopiero później. Po roku okazało się, że popełniłem błąd. Część moich kolegów z kilkunastoosobowej organizacji partyjnej w MGIMO, chyba odreagowując poprzednie lata, postawiła mi szlaban. Lista grzechów obejmowała samodzielność, budowanie własnej pozycji, niepewny szkielet ideologiczny i... brata, studiującego w Krakowskim

Seminarium Duchownym. Ta dyskwalifikacja nie przeszkodziła dekomunizatorom czasu polskiej transformacji opisywać mnie jako studenckiego działacza partyjnego. W przeddzień zakończenia studiów z człowieka sukcesu stałem się nagle osobą niepewną politycznie, a moja przydatność do służby państwowej stanęła pod znakiem zapytania. Przeżyłem stres, niesprzyjający racjonalnym zachowaniom, i poznałem, co znaczy być zastraszonym. Przeszedłem jednak test prawdziwości powiedzenia, że „co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Doświadczenie przydało się przy weryfikacjach stanu wojennego i transformacji, choć w tym przypadku postępowanie było prowadzone przez specjalne komisje zaocznie, a zainteresowani dowiadywali się o nim w przypadku negatywnej decyzji.

Gdy kończyłem studia latem 1971 roku, miałem świetną opinię merytoryczną i językową z półrocznej resortowej praktyki, odbytej pod okiem kompetentnych opiekunów – Tadeusza Biegańskiego i Kazimierza Tomaszewskiego. Wspomagała ich Mirosława Wiklik, która – pracując w Bagdadzie – przetarła szlaki innym polskim dyplomatom na Bliskim Wschodzie. W trakcie praktyki kilkakrotnie tłumaczyłem z języka arabskiego poważne rozmowy dyrektora departamentu z ambasadorami, w tym dotyczące kryzysu w stosunkach syryjsko-jordańskich, pisałem notatki i przygotowywałem robocze dokumenty. Uczelnia proponowała mi własne stypendium doktoranckie lub rekomendację na studia w Akademii Dyplomatycznej w Moskwie, funkcjonującej niezależnie od Instytutu. Dzisiaj taki doktorat byłby bardzo przydatny do instytucjonalizacji współpracy z uczelniami. Pracę magisterską napisałem pod kierownictwem naukowym profesora P.W. Miłogradowa. Jej recenzent, docent A.A. Złobin, prodziekan wydziału, odnotowując wykorzystanie bogatej literatury polskiej, postawił wniosek o nawiązanie bliższej współpracy uczelni z ośrodkami orientalistycznymi w Polsce, zrealizowany w kolejnych latach. Zwrócił też uwagę na „samodzielność myślenia dyplomanta i elementy prognozowania przyszłości, zawarte w opracowaniu zasadniczo historycznym”. Instytut zakwalifikował pracę do publikacji. Dotyczyła stosunków Algierii, Maroka i Tunezji z Francją w latach 1956–1970 i nie zawierała w tekście ani jednego odniesienia ideologicznego. Ambasada przesłała kopię pracy do Departamentu V MSZ w Warszawie, gdzie włączono ją do dokumentacji, do użytku pracowników i osób wyjeżdżających

na placówki w regionie. Wynik obrony i oceny w indeksie dały mi dyplom z wyróżnieniem. Wówczas otrzymałem też pierwsze „odznaczenie”, które cenię sobie na równi z najwyższymi orderami polskimi i zagranicznymi. Rada Naczelna ZSP, której Komisja Zagraniczna z Jackiem Paliszewskim uważnie obserwowała działalność ośrodka moskiewskiego, przyznała mi Srebrną Odznakę Zrzeszenia, będącą także nigdy nie wykorzystaną przepustką do Stowarzyszenia Ordynacka. Niezależnie od innych wyróżników, Zrzeszenie było świetną szkołą umiejętności organizacyjnych, które wprowadziły sporą grupę jego działaczy do służby zagranicznej. Na początku 1971 roku studentów mojego rocznika wizytował w Moskwie Marek Janikowski, kompetentny nowo mianowany kierownik Wydziału Szkolenia Biura Kadr MSZ. W rozmowie ze mną, będącej etapem kwalifikowania do pracy, powiedział, że „chciał mnie poznać, gdyż w aktach nie znalazł żadnego donosu ode mnie”, co zabrzmiało konstruktywnie (sam nigdy nie sprawdzałem, ile kwitów napisano na mnie). I nagle mogło się okazać, że to wszystko niewiele znaczy w kontekście przyszłości mojej pracy w służbie zagranicznej, gdyż stałem się „ideologicznie niepewny”.

Opuszczałem Moskwę po blisko pięciu latach z mieszanymi uczuciami. Z tamtej studenckiej i dzisiejszej perspektywy obiektywna ocena radzieckich realiów drugiej połowy lat sześćdziesiątych jest niezwykle trudna. Zresztą cały świat był wówczas inny i daleko niedoskonały, choć i obecnemu nie brakuje czarnych punktów. Jako studenci widzieliśmy w ZSRR jedynie część rzeczywistości, raczej jaśniejszą. Miejscowy konglomerat studencki rzadko bywał wylewny. W często ostrych dyskusjach na temat radzieckiej rzeczywistości nasi koledzy z obszaru ZSRR mieli zawsze jakieś wytłumaczenie. My przytaczaliśmy kolejne argumenty, z których niewiele wynikało. Niekiedy prezentowane opinie budziły irytację miejscowych, jak sugestie pozbycia się problemów skali poprzez oddanie nierosyjskich terytoriów i ograniczenie strefy wpływów. Niektórzy zapewne donosili władzom uczelni, ale nikomu z mówiących i słuchających nie stała się krzywda. To już nie były czasy, kiedy za byle nieprawomyślną anegdotę lub słowo groziła „podróż syberyjskim szlakiem zsyłek Lenina”. W studenckim obiegu był dowcip o dyrektorzce domu publicznego w Leningradzie, otwartego na fali liberalizacji. Wezwany do Moskwy, by wytłumaczył załamanie się planu odwiedzin, oświadczył, że sam nie rozumie, o co chodzi, gdyż przecież

zatrudnił same uczestniczki „Wielkiego Października”, a kilka z nich nawet znało Lenina. Czasami odwzajemniano się nam. Popularna była anegdota o dwóch warszawiakach na Marszałkowskiej. Jeden stał na głowie, a drugi wprowadził na nogach, ale z kartką „eksperyment”. Nawet trudno było się obrażać, bo przecież faktycznie stawać twarżo na nogach Polacy zaczęli nieco później. Nasza „inność” zapewniała również większą tolerancję ze strony władz uczelni.

Studiowaliśmy w latach względnej stabilizacji, ograniczenia represji i niezłej sytuacji gospodarczej. Żyliśmy dość wygodnie, wolni od codziennych problemów „ludzi radzieckich”. Stypendium pozwalało na pójście czasem do restauracji, zaproszenie koleżanki na kolację czy zorganizowanie imprezy oraz kupienie drobnych wakacyjnych prezentów dla rodziny w Polsce. Niezłe algierskie wino Gellala było tanie, a za kilka zwracanych do sklepu butelek można było mieć kolejną pełną. Przeglądając w czytelnicy zagraniczną prasę, odnajdowaliśmy głosy wybitnych ludzi z krajów zachodniej demokracji pełne podziwu dla radzieckich osiągnięć, widzących w Moskwie „przyszłość świata”. Byli wśród nich zarówno analitycy Centralnej Agencji Wywiadowczej, jak i laureaci Nagrody Nobla. Najpopularniejszym w świecie, wydanym w czterech milionach egzemplarzy i w ponad czterdziestu językach, był wówczas podręcznik *Ekonomia* Paula Samuelsona, przewidujący w realnej perspektywie prześcignięcie USA przez ZSRR pod względem PKB na mieszkańca. Choć zapewne nikt z nas nie był ślepym piewcą radzieckiej rzeczywistości, to trudno było również założyć, że wszystkie te opinie prezentowali wyłącznie ludzie opłacani przez radzieckie placówki, agenci KGB czy po prostu poczciwi idioci. Coś musiało być nie tak w obu systemach, na przekór propagandzie. Wątpliwości powodowały nawet takie zjawiska, jak powroty do „socjalistycznej ojczyzny” niektórych imigrantów do Izraela, nazywanych podwójnymi Żydami ZSRR, w sytuacji, gdy ta społeczność mocno podkreślała swą tożsamość. Odczułem to na własnej skórze. Zaproszona do pokoju dziewczyna zerwała ze mną, zobaczywszy na ścianie jakiś palestyński plakat. Naukę zapamiętałem na całe życie, zachowując najwyższą wstrzeźliwość w demonstrowaniu innych niż własne symboli.

ZSRR wielu imponował potęgą gospodarczą i rzeczywistymi osiągnięciami w kilku dziedzinach. Pod koniec lat 60. jednak już nie tyle

straszył, co odsłaniał liczne absurdy i groteskowe sytuacje. Restauracje zamknięte w godzinach popołudniowych, z informacją, że jest przerwa obiadowa. Żwawa muzyka z głośników przed fabryką goniącą plan pod koniec miesiąca, zastępująca spokojną na jego początku. I podsumowanie tego okresu, jakim był widok Moskwy obwieszanej transparentami z napisem „50 lat Radzieckiego Cyrku”. W większości mieliśmy oczy otwarte i byliśmy krytyczni, ale za obalanie czerwonego reżimu na pewno się nie braliśmy, nawet jeśli ktoś po latach przypominał sobie jakieś kombatanckie historie. Stosunki polsko-radzieckie nigdy nie były sielanką, ale w nowych warunkach po rozpadzie ZSRR mogły być podstawą do ich nowego dobrosąsiedzkiego ułożenia z Rosją, opartego na realnych interesach i konstruktywnym spojrzeniu w przyszłość. Szkoda, że tak się nie stało.



Rozdział drugi

**STAŻ W MSZ.
PIERWSZA PLACÓWKA**

TRYPOLIS, 1972–1975

STAŻ W MSZ

Do Polski wróciłem wczesnym latem 1971 roku. Był to początek epoki gierkowskiej, z którą całe społeczeństwo łączyło nadzieje na pozytywne zmiany i lepszą przyszłość. Nostryfikowałem dyplom dający tytuł magistra stosunków międzynarodowych, specjalisty w zakresie problematyki krajów Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki, niemieszczący się w żadnej rubryce. Zawodu nie określono, proponując, by stosować termin „politolog” jako najbliższe formule „miejdunarodnik”. Ostatnie wakacje spędzałem w rodzinnym Wojciechowie, kontynuując praktykę dorabiania letnimi prelekcjami na temat Bliskiego Wschodu w okolicznych zakładach pracy. Moje podanie o zatrudnienie w MSZ leżakowało tygodniami bez jakiegokolwiek reakcji, choć wszyscy aplikujący absolwenci z grupy stypendystów mojego roku zostali już przyjęci na roczny staż w resorcie. Pod koniec sierpnia otrzymałem telegram od jednego z nich, Jerzego Szewczyka, z prośbą o kontakt telefoniczny. Zadzwoiłem z poczty w Gomunicach. Okazało się, że w Protokole Dyplomatycznym, dokąd trafił, pilnie potrzebują kogoś ze znajomością języka francuskiego. Udało mi się połączyć z Tadeuszem Martynowiczem, który po odejściu dyrektora Edwarda Bartola kierował tą komórką. Zaprosił mnie na rozmowę już następnego dnia. Zdążyłem przyjechać porannym pociągiem. W zasadzie jedynym tematem spotkania było upewnienie się co do mojej praktycznej znajomości francuskiego. W Protokole był to podstawowy obcy język roboczy, uświęcony tradycją. O utrzymanie jego pozycji dbali reemigranci z Francji, którzy jednak powoli się wykruszali. Dzień później uzupełniłem w kadrach dokumenty, a po tygodniu dostałem skierowanie na staż w PD.

Do czasu otrzymania formalnego skierowania „waletowałem” w resortowej bursie przy ul. Obrońców na Saskiej Kępie. Było to miejsce dobrze zapisane w pamięci pokoleń słoików z MSZ i Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Przez lata ukształtował się tam specyficzny klimat, związany między innymi z barwnymi postaciami administratora – pana Pietrasa, a także mieszkającej przez wiele lat z córką woźnej Eugenii Jaworskiej. Przez dekady pracowała dla departamentu afro-bliskowschodniego i była tak do niego przywiązana, że zapowiedź

przeniesienia do innej komórki storpedowała wyglądającą na realną groźbę wyskoczenia przez okno z gabinetu dyrektora. Po okres transformacji i chwilę dłużej woźne w MSZ były instytucją. Obsługiwały po kilka komórek roznosząc korespondencję, w tym niejawną, w teczkach zamykanych na klucz, którym dysponowały jedynie sekretarki. Z przebiegu trasy, rodzaju dokumentów i rozmów potrafiły sporo wywnioskować, również w sprawach osobowych. Odpowiadały także za małą recepcję dla gości oficjalnych, a odpłatnie robiły kawę i herbatę dla pracowników oraz pomagały organizować okolicznościowe poczęstunki. Dla pani Geni wartością dodaną pracy w Departamencie była tradycyjnie przyjazna atmosfera i orientalny zwyczaj umacniania dobrych relacji drobnymi upominkami, najczęściej kawą.

W bursie mieszkalem w małym dwuosobowym pokoju. O zakwaterowanie było trudno, gdyż na przełomie lat 60. i 70. w MSZ dokonano się odmłodzenie kadry poprzez przyjęcie dużej ilości absolwentów polskich uczelni i MGIMO. Po części było to konsekwencją czystek przeprowadzonych po 1967 roku, których ofiarą padli przede wszystkim pracownicy o żydowskich korzeniach. Równoległe był to również wynik polityki rozszerzania relacji zewnętrznych Polski, realizowanej przez ekipę Edwarda Gierka. Wyróżnialiśmy się białymi kołnierzykami, dbałością o ubiór i wypastowane buty, co nie znaczy, że wcześniej pracownicy lekceważyli wygląd. W przypadku obuwia prawdziwą rewolucją w MSZ było jednak dopiero zainstalowanie za ministra Radosława Sikorskiego maszyn do czyszczenia butów przy wszystkich wejściach do gmachu. Moim osobistym wyróżnikiem stała się biała poszetka, noszona do garnituru od czasów studenckich do dziś. Na parapetówce moja narzeczona i przyszła pierwsza żona, Barbara, była z koleżanką z ławki w technikum drogowym. Rok później Lidia wyszła za mąż za Jurka Szewczyka. Na tle doświadczeń środowiska było to jedno z bardzo udanych i trwałych małżeństw. Pierwszą placówkę zaliczyli w Albanii, zgodnie ze specjalizacją, a następnie uczynili wszystko, by ponownie nie wracać już do kraju Envera Hodży, gdzie zresztą też ich specjalnie nie chciano. Przykład ten pokazuje problem pracowników ze specjalizacją na jeden mały i wysoce nieatrakcyjny kraj. Na kolejną placówkę Jurek trafił do USA. Pozostał tam wraz z rodziną, rezygnując z powrotu do PRL, i niestety zmarł przedwcześnie na nieuleczalną chorobę.

Pragmatyka MSZ przewidywała roczny staż nowych pracowników w jednej lub kilku komórkach resortu, a następnie wyjazd na praktykę w ambasadzie lub konsulacie. Zacząłem od Wydziału Protokolarnego. Komórka ta odpowiadała między innymi za organizację wizyt i przyjęć. Pod surowym okiem opiekuna, Stanisława Grabka, i w tandemie z Barbarą Radwańską, uczestniczyłem w tworzeniu programów wizyt, koordynacji procedur, ustalaniu list gości przyjęć, menu i precedencji, monitorowaniu przygotowania stołu lub bufetu, pracy kelnerów oraz estetyki pomieszczeń, wprowadzaniu i zabawianiu gości, przygotowywaniu życzeń, okolicznościowych depeš i kondolencji. To było też dobre miejsce do obserwacji zachowań świata dyplomacji. Już pierwsze przyjęcie z okazji święta narodowego ważnego państwa azjatyckiego dostarczyło wrażeń. Ambasador czekał z formalnym rozpoczęciem na głównego gościa, potem długo przemawiał na tle dobrze zastawionego i aromatycznego bufetu. Gdy skończył, ława przegłodzonych gości omal nie stratowała gospodarza. Scena jak u Puszkina: „szarańcza przyleciała, wszystko zżarła, odleciała”. No może tylko z tym odlotem to przesada, bo przecież były jeszcze alkohole, desery, kawa i czas na konwersacje. Kilkakrotnie uczestniczyłem w organizacji siedzących śniadań i obiadów wydawanych przez członków kierownictwa MSZ. Tego rodzaju recepcje miały zawsze elegancki charakter. Niemniej krążyły wokół nich liczne anegdoty. Przytoczę zasłyszaną w Bagdadzie: w okresie wojny z Iranem zaopatrzenie na miejscowym rynku było bardzo skromne. Po ekskluzywne zakupy trzeba było jeździć do Kuwejtu. Ambasador jednego z państw niemających takich możliwości podczas przyjęcia za stołem „po cichu zwinął” do kieszeni homara dla rodziny. Po chwili usłyszał szeptaną ofertę kelnera: „Ekscelencjo, może poleję panu tego homara sosem?”

Po trzech miesiącach zostałem przeniesiony do kolejnej komórki – Referatu Ewidencji Dyplomatycznej. To była mniej barwna robota na zapleczu, związana z przepisami i procedurami korzystania przez dyplomatów z przywilejów i immunitetów. W trójkę załatwialiśmy sprawy formalne łączące się z akredytacją, przyjazdami, pobytami i wyjazdami dyplomatów oraz personelu niedyplomatycznego, aktualizacją dokumentacji ruchu osobowego, zwolnieniami celnymi, wykroczeniami, wydawaniem legitymacji, bieżącą aktualizacją i publikacją listy CD. Praca była uporządkowana i monotonna, choć i tam zdarzały

się sytuacje podnoszące adrenalinę. Segregując otrzymaną z kancelarii pocztę, wyjąłem z dużej koperty notę z plikiem załączników, po czym przedarłem ją mechanicznie ... wraz z dwiema legitymacjami dyplomatycznymi. Wówczas były to składane kartoniki łatwe do zniszczenia. Przeżyłem dzięki koleżeńskiej solidarności Barbary Mizielińskiej, filaru PD jeszcze długo po osiągnięciu przez nią wieku emerytalnego. Wykonałem telefon do ambasady, że potrzebna jest aktualizacja zdjęć i wystawiłem nowe legitymacje, które naczelnik Henryk Purowski podpisał bez zmużenia oka. Najlepiej nie tworzyć problemów i zapobiegać im, ale gdy już powstają, trzeba bez paniki spokojnie szukać rozwiązania i można je prawie zawsze znaleźć. Nawet w przypadkach pozornie beznadziejnych. Jeden z moich kolegów, w amoku pilnego kompletowania kilkudziesięciu teczek z dokumentacją wizyty państwowej, przedziurkował podany mu i już parafowany oryginał dwustronnej umowy. Nie powiem, jak to zrobiliśmy, ale porozumienie zostało bezkolizyjnie podpisane zgodnie z programem. W referacie nauczyłem się pracy urzędniczej, znaczenia systematyczności, gromadzenia dokumentacji, obracania się w gąszczu procedur i zmieniających się przepisów, działania precyzyjnego, mimo presji okoliczności i terminów. Także elastyczności postępowania w ramach sztywnych reguł. Anegdota mówi, że pracownik protokołu różni się od terrorysty jedynie tym, że z terrorystą można negocjować. Prawda jest oczywiście bardziej złożona. Z jednej strony są procedury dotyczące fundamentalnych spraw, w przypadku których tylko ścisłe przestrzeganie pozwala utrzymać porządek oraz uniknąć nieporozumień, chaosu i nieszczęścia, a niekiedy niezadowolonia i gniewu obsługiwanych osób ze świecznika. Z drugiej – istnieje przestrzeń dla racjonalnego manewru, tam gdzie jest to możliwe. Można odesłać z kwitkiem ambasadora, który dopiero przed gabinetem głowy państwa stwierdza, że zapomniał listów uwierzytelniających lub posłużyć się pustą kopertą, wiedząc, że kopia została wcześniej złożona w MSZ. Bardziej kłopotliwa jest sytuacja, gdy na listach jest podpis już nieurzędującego szefa państwa lub będącego od dawna w zaświatach, co zdarzało się ambasadorom Korei Północnej. Problemy występują zresztą również po stronie przyjmującej. W Arabii Saudyjskiej częściowo sparaliżowany król Fahd przyjmował akredytujących się ambasadorów w gromadzie, raz lub dwa razy w roku. Termin i miasto składania listów były podawane w ostatniej chwili. Przy braku szczęścia można było zakończyć misję z listami

w sejfie. Koledze, któremu to groziło, radziłem skorzystać z poczty. Ja zaliczyłem pierwsze podejście tylko dlatego, że podczas wszystkich podróży miałem ten dokument przy sobie, trochę ryzykując.

Pełnego stażu w PD nie odbyłem, przekonując się, że pragmatyka resortowa w zderzeniu z życiem niekoniecznie musi być górą. Na początku 1972 roku upomniał się o mnie Departament Terytorialny, który traktowałem jako macierzysty, podtrzymując kontakt z jego pracownikami. Regularnie czytałem też tematyczne publikacje bliskowschodnie, dostępne w czytelnicy i bibliotece, oraz artykuły zamieszczane w Biuletynie Specjalnym PAP, nie wiadomo dlaczego zastrzeżonym „do użytku wewnętrznego”, czym zresztą nikt specjalnie się nie przejmował. Komórki terytorialne były wówczas numerowane od I do V, a ta ostatnia obejmowała Bliski Wschód i Afrykę. Obszar ten miał raczej marginalne znaczenie w polskiej polityce. Stosunki z Izraelem były zamrożone, a rodząca się współpraca z niektórymi krajami arabskimi i afrykańskimi pozostawała jeszcze w powijkach i koncentrowała się na pojedynczych partnerach i tematach, w tym na polskiej ofercie stypendialnej. Jednocześnie problematyka regionu i konsekwencje dekolonizacji zajmowały coraz bardziej liczące się miejsce w stosunkach międzynarodowych, w tym na forum ONZ. Wzrosła ranga polityczna państw w sąsiedztwie Izraela, a polskie firmy zaczęły wypracowywać pragmatyczną ofertę gospodarczą, głównie w sferze budownictwa i infrastruktury, mającą wsparcie kierownictwa politycznego. Mieliśmy niewiele pełnych ambasad, a w szeregu stolic, głównie arabskich (Amman, Chartum, Kuwejt, Trypolis, Tunis), pod tym szyldem funkcjonowały placówki pozostające w całości w gestii resortu handlu zagranicznego, co do zasady bez pracownika MSZ. W rzeczywistości były to biura radcy handlowego. Obsługę merytoryczną w Departamencie Terytorialnym zapewniało zaledwie czterech czy pięciu pracowników, a w kadłubowych ambasadach specjaliści zatrudnieni byli jedynie sporadycznie.

Wśród partnerów arabskich szczególne miejsce zajmowała Libia, gdzie nasze przedsiębiorstwa budowlane realizowały szereg kontraktów, zawartych jeszcze z administracją królewską. Po przewrocie 1969 roku stopniowo zwiększały swą obecność, ale borykały się z coraz poważniejszymi problemami wynikającymi z polityki nowej władzy,

w tym chaosem administracyjnym i gwałtownie wprowadzaną arabi-
zacją. Europejskich kontrahentów traktowano podejrzliwie, posądzając
o szpiegostwo. Pod takim zarzutem w 1971 roku aresztowano grupę
polskich pracowników. Również dla placówki w Trypolisie balanso-
wanie pomiędzy rosnącymi szansami współpracy i realnymi proble-
mami było coraz trudniejsze. Konsekwencją był wniosek Ministerstwa
Handlu Zagranicznego przekazany w końcu 1971 roku do MSZ
o wsparcie kadrowe. Była to precedensowa inicjatywa. W rzeczywisto-
ści chodziło o pilne skierowanie z Polski pracownika ze znajomością
języka arabskiego. W jakimś stopniu łączyło się to z podejrzeniami,
że miejscowy sekretarz-tłumacz pracuje dla służb specjalnych i ujawnia
tajemnice placówki. Pierwsze należało traktować jako oczywiste,
natomiast tych sekretów do wykradzenia nigdy nie mogłem się do-
szukać. MSZ uznał wniosek za zasadny, tyle że nie było pracownika
odpowiadającego wymogom, a wówczas raczej dobierano ich pod ką-
tem placówki, a nie odwrotnie. Nawet gdyby byli kandydaci, to pozost-
stałaby jeszcze kwestia przekonania ich do wyjazdu do trudnego pod
każdym względem kraju, na dodatek oznaczającego okresowe przejście
na etat MHZ i wzięcie urlopu bezpłatnego w macierzystym resorcie.
Ktoś wpadł na pomysł, że przecież jest stażysta z wymaganym językiem,
któremu można skrócić staż i rozwiązać problem. Nie powiem, by mnie
nie pytano o gotowość przyjęcia propozycji, ale uczyniono to w formie
pozostawiającej niewielki margines i czas na odmowę. Po krótkim namyśle
zgodziłem się, pomimo ostrzeżeń starszych kolegów, że mogę
nie podołać wyzwaniu, a urlop bezpłatny jedynie formalnie gwarantuje
powrót do MSZ. Dostałem nowo utworzony etat – stanowisko star-
szego referenta w BRH Ambasady, paszport służbowy MSZ i pensję
w wysokości 180 USD w lokalnej walucie. Częściowo transferowalną,
zakładając, że uzbiera się jakieś oszczędności. Poza skróceniem stażu
o prawie pół roku i odstąpieniem od zasady odbycia praktyki zagranicz-
nej kadry przeszły również do porządku nad tym, że wysyłają na pla-
cówkę bezpartyjnego kawalera. Wraz z nadzwyczajną sprawnością,
wykazaną przez machinę biurokratyczną MSZ i MHZ przy załatwianiu
formalności, musiało to oznaczać albo chęć pilnego pozbycia się
mnie z resortu, albo odzwierciedlenie autentycznych potrzeb placówki.
Miałem niecałe dwa miesiące na merytoryczne przygotowanie się
w obu resortach, załatwienie spraw organizacyjnych i bytowych, łącz-
nie z zakupem garniturów, odzieży i wyposażenia domowego oraz

wysłanie mienia przesiedlenia morskim cargo. Życzliwie wspominam od tego czasu nieocenioną kasę zapomogowo-pożyczkową w MSZ, gdzie solidarnie płaciłem składki do czasu emerytury, mimo braku potrzeby korzystania.



TRYPOLIS

Był kwiecień 1972 roku. Do Trypolisu leciałem tranzytem przez Rzym, gdzie odbierałem libijską wizę. Kilka dni oczekiwania wykorzystałem na zwiedzenie Wiecznego Miasta, mając bazę w maleńkim pensjonacie przy Stazione Termini. Na opornych językowo Włochów przydała się szkolna łacina i rozmówki. Dokonałem też życiowego zakupu – solidnej teczki z cielejącej skóry, na którą wydałem prawie połowę zasiłku instalacyjnego, będącego równowartością miesięcznej pensji. Inwestycja służyła mi jednak przez dekady i jeszcze dzisiaj jest w stanie użytkowym.

Zespół placówki powitał mnie życzliwie. W Trypolisie było siedmiu pracowników etatowych, w tym czterech delegatów firm oraz konsul i szyfrant. Szefował Tadeusz Dęborski, radca handlowy i chargé d'affaires. Był to kompetentny i dociążony pracą skład. Funkcjonował bez poważniejszych konfliktów, nawet jeśli nie wszystkie małżonki, poza żoną radcy, pracujące na ryczałtach darzyły się serdeczną przyjaźnią. Panie urządziły mi pierwszy egzamin z języka arabskiego, a właściwie garści słów dialektalnych, których one na co dzień używały przy zakupach, a o których ja nie miałem pojęcia. Role zmieniły się natomiast przy wymianie poglądów na temat lokalnej historii i kultury. Placówka zatrudniała też dwóch pracowników libijskich – kierowcę Ahmeda, wesołego i komunikatywnego, z dużą domieszką afrykańskiej krwi, co w czysto arabskim i berberskim środowisku Libii życia nie ułatwiało, a także sekretarza-tłumacza, Berbera Khosha. Skrytego i chadzającego własnymi ścieżkami, ale nieprezentującego negatywnych cech, o jakich wspomniano w Warszawie. Może poza niefrasobliwym podejściem do wykonywanych obowiązków, ale to w tamtych stronach nie było wyjątkiem od reguły. Wbrew sugestiom z kraju powiedziałem mu, że uczę się języka arabskiego, co poniekąd odpowiadało prawdzie, a w odniesieniu do dialektu było prawdą absolutną. Zapewniło mi to jego życzliwą pomoc i uznanie dla szybkich postępów. Dyskretnie zapoznawałem się z arabską korespondencją placówki i uczyłem się pisać w tym języku na maszynie. Po kilku miesiącach byłem gotowy samodzielnie przejąć całość arabskich spraw placówki. Zwalniany Khosh zegnał Ambasadę bez urazy,

gdyż dzięki jej rekomendacji dostał lepiej płatną i bardziej prestiżową pracę w firmie zachodniej.

Przez kilka tygodni mieszkałem w pobliskim hoteliku, dochodząc do biura zlokalizowanego wówczas w niewielkim parterowym budynku obok ronda ONZ. Dzielnica była uważana za jedną z lepszych. Graniczyła z Miastem Ogrodów. Natomiast wszystkie boczne drogi od głównej ulicy Ben Aszur były gruntowe, latem pełne kurzu, a zimą kałuż, błota i zapadlin powstających pod parkującymi samochodami. W zasadzie tylko centrum miasta, zabudowane na włoską modłę, i jego bezpośrednie otoczenie, z pałacem królewskim, katedrą, tureckim fortem, placem defilad i elegancką nadmorską promenadą, było w miarę uporządkowane i nadążało za europejskimi standardami. Znalezienie mieszkania w ramach określonych limitów powierzchni i czynszu było sztuką i z reguły wymagało kreatywności przy formułowaniu wniosku o akceptację. Wraz z Janem Kowalskim, handlowcem i sprawnym administracyjnym, znaleźliśmy w końcu akceptowalne mieszkanie z dwiema sypialniami w nowo wybudowanej kamienicy. Mankamentem było usytuowanie w biedniejszej dzielnicy Bab Ben Ghaszir i odległość od Ambasady wynosząca ponad cztery kilometry. Atrakcją stanowiło sąsiedztwo centralnego więzienia i obszernego zakrzewionego terenu pod planowane zoo. Tylko kuchnia była urządzona. Do czasu dosłania z kraju po kilku miesiącach skromnego zestawu mebli korzystałem z paru sprzętów pożyczonych od polskiej firmy. Po domu zdarzało się spacerować szczirom i karaluchom, ale do tego na całym Bliskim Wschodzie trzeba było się przyzwyczaić. Nie było natomiast pluskiew, z którymi walczyłem w Moskwie, umieszczając nogi łóżka w puszkach z wodą, co jednak nie chroniło przed insektami korzystającymi z drogi przez sufit. Pierwszego wieczoru zauważyłem, że przekręcenie kontaktu w przedpokoju włącza i wyłącza latarnie na całej ulicy, przy szalejącym liczniku. Konsul podejrzewał źle założony podsłuch. Ja nie wykluczałem partactwa lokalnych elektryków, gdyż był to okres, kiedy Libijczycy jeszcze sami wykonywali wiele prac. W końcu nasze testowanie kontaktu zaciemniło całą dzielnicę, a następnego dnia wszystko wróciło do normy. Tu muszę wyjaśnić, że w Libii pojęcie „norma” miało niewiele wspólnego z naszym jego rozumieniem. Był to kraj niedoścignionych paradoksów.

Przez pewien czas dojeżdżałem do pracy zbiorowymi taksówkami, w miarę tanimi i często kursującymi po stałych trasach. Było to jednak kłopotliwe, tym bardziej że przez wiele miesięcy narzucałem sobie pracę na dwie zmiany. W końcu za składkową pożyczkę od kolegów z Ambasady kupiłem od jednej z placówek czteroletniego fiata 125 special 1600 za równowartość trzech pensji. Auto zostało zarejestrowane na Ambasadę i używałem go niezwłocznie, nie przejmując się tym, że na termin egzaminu na prawo jazdy trzeba było czekać wiele tygodni. Przejechałem nim blisko sto tysięcy kilometrów, zaliczając tylko jedną stłuczkę, a przed wyjazdem z Libii sprzedałem za 1/3 ceny zakupu. Samochód pomógł mi między innymi przejść z lokalnych fast foodów (szawarma lub bagietki wypełniane tuńczykiem i warzywami) do posiłków w jednej z polskich firm.

Libia była generalnie karkołomną szkołą dla cudzoziemców, ale dla mnie pierwsze kilka miesięcy pracy stało się prawdziwym koszmarem. Szybko jednak nauczyłem się podstaw warsztatowych, dopracowałem język arabski i opanowałem posługiwanie się arabską maszyną do pisania, zabrałem się za język angielski, gdyż w Libii mój francuski na niewiele się przydawał. Intrygował mnie lokalny dialekt i po pewnym czasie zacząłem w nim mówić. Jest on odległy od języka klasycznego i dialektu egipskiego, o którym miałem jakieś pojęcie z uczelni. Poza odrębną wymową wyróżniał się naleciałościami berberskimi, włoskimi i plemiennymi, ale przyciągał jakimś śpiewnym afrykańskim akcentem. Ważne było, że do pracy nikt mi się nie mieszał. Rutynową korespondencję po arabsku oparłem na wzorach. Treść większości not referowałem radcy i konsulowi jedynie ustnie, a w przypadku pozostałych, z reguły opisywałem ręcznie tylko część merytoryczną. Rutynowe potwierdzenia i odpowiedzi robiłem wyłącznie po arabsku i były one parafowane przez szefa placówki w ciemno. Ustnie tłumaczyłem wyłącznie wymagające tego rozmowy oficjalne, choć często po koleżeńsku pomagałem również przy kontaktach handlowych. Wtedy się nauczyłem, że ktoś wyglądający jak sprzedawca na bazarze może być milionerem. Korespondencję polskich firm, wymagającą przekazania za pośrednictwem Ambasady, jedynie sprawdzałem. Było w tym na początku wiele chałupnictwa, ale zadania były realizowane i nie zanotowałem żadnej wpadki. Po pewnym czasie znalazłem czas na regularne monitorowanie lokalnych mediów, prawie wyłącznie arabskojęzycznych.

Wyzwaniem było pokazanie, że nie tylko wypełniam na placówce lukę, ale również tworzę wartość dodaną. Pierwszą taką okazją było wyciągnięcie z aresztu delegata Polservice. Został on aresztowany za drobną stłuczkę, spowodowaną ewidentnie przez Libijczyka. Najczęściej oznaczało to przynajmniej kilkudniową odsiadkę w raczej mało komfortowych warunkach. Dowodem winy był sam przyjazd do Libii, bez którego nie byłoby wypadku. Zakwestionowałem ten skądinąd oryginalny wywód, wykorzystując przygotowany werset Koranu. Zdezorientowany komendant drogówki wydał mi nieszcześnika, nawet nie wspominając o oczekiwaniu dowodu wdzięczności. Takich sytuacji było więcej, skutecznych, o ile do interwencji doszło, zanim sprawa ugrzęzła w biurokratycznych trybach. Pewnego razu na starym lotnisku w Trypolisie zatrzymano zwalistego elektryka wracającego po urlopie z Polski, przemycającego dziesięć litrowych puszek spirytusu. Celnicy nie chcieli uwierzyć w prawdziwość etykiet wskazujących na sok owocowy i otworzyli jedną puszkę. Zainteresowany upierał się przy soku i na dowód zaczął wypijać zawartość kolejnych puszek, padając dopiero przy trzeciej. Wspólnie z celnikami doceniliśmy wyczyn. Delikwent uniknął aresztu i deportacji. Skończyło się niewielką grzywną. Tym, co zapewniło mi trwałe uznanie w zespole pracowniczym, były jednak kupony benzynowe. Placówka otrzymywała je z libijskiego MSZ i zgodnie z adnotacją traktowała jako ilościowe, dające zniżkę na paliwo kupowane na stacji benzynowej w wysokości 50%. Przydział wynosił po kilkaset litrów miesięcznie na samochód. Niewykorzystaną dużą nadwyżkę zwracano wraz z upływem ważności (przy nocy, którą musiałem pisać). Tankując własny samochód, dowiedziałem się od pracownika stacji, że jeśli daje się dwa talony na nominalną ilość paliwa, nie ma potrzeby dopłacać. Takie odkrycie i dzisiaj byłoby cenne, a co dopiero przy tamtych marnych uposażeniach i relatywnie drogiej benzynie. Paliwo stało się tańsze od wody dopiero kilka lat później, po kryzysie energetycznym 1973 roku, i wtedy talony zlikwidowano. Koledzy autentycznie żalowali, że nie przyjechałem wcześniej.

Przed upływem roku mogłem się pokusić o przygotowywanie przeglądów prasy oraz pojedynczych notatek i szyfrogramów, przy życzliwym wsparciu radcy i nowego konsula Jerzego Mruka. Te ostatnie dotyczyły zwłaszcza ważnych wizyt zagranicznych i – po przekształceniu

tekstu w cyferki – były wysyłane przez szyfranta do kraju w formie telegramu nadawanego w urzędzie pocztowym. W ten sposób każde słowo miało znaną cenę. Radca zawsze dbał, by podać nazwisko autora, w czym później go naśladowałem. Mimo niskiego statusu miałem od razu niezłe kontakty w korpusie dyplomatycznym (CD), dzięki solidarności absolwentów MGIMO, też orientalistów, zatrudnionych w placówkach państw Europy Wschodniej. Były to regularne ambasady z rezydującymi ambasadorami. Do najbliższego kręgu należał Węgier Pal Fabian, Bułgar Zdravko Velew i Rosjanin Aleksander Zotov, w kolejnych latach wielokrotni ambasadorzy, a także korespondent TASS Vladimir Tissowski, ożeniony z gruzińską księżniczką. Dzielono się ze mną również skromnymi przydziałami alkoholu, do których jako nie dyplomata nie miałem prawa. Obowiązywała ścisła prohibicja, ale paszport dyplomatyczny umożliwiał import określonej liczby butelek. Na szczęście bez limitu pojemności. Ceniona maltańska firma Saccone & Speed, nadal działająca, dostarczała więc trunki w galonowych butlach. Rozlewane do mniejszych butelek, służyły również do załatwiania najtrudniejszych spraw w libijskich urzędach, fatalnie zorganizowanych i niesprawnych. Wielu, zwłaszcza starszych, Libijczyków alkoholu jednak nigdy nie piło i należało zachowywać ostrożność. Przez pewien czas legalnym źródłem alkoholu były apteki sprzedające bez recepty spirytus medyczny. Oczywiście kwitła produkcja domowa, często na profesjonalnym poziomie. Libijskie władze przymykały na to oko, o ile kogoś nie złapano po pijaku lub na sprzedawaniu alkoholu miejscowej ludności. Rodacy w firmach budowlanych pędzili bimber masowo, głównie na bazie taniego cukru, do którego sklepikarze dokładali stałym klientom wymaganą recepturą ilość drożdży jako bakszysz. Był też przemysł, głównie z Tunezji, również w formie „nafaszerowanych arbuzów”, a także z Algierii, karawanami wielbłądów przemieszczających pustynię znanym szlakiem bez poganaczy. Moim wynalazkiem w kontaktach z urzędnikami były niewielkie czyste karteczki, dzięki którym skłaniałem rozmówców nieposiadających z zasady wizytówek do identyfikacji i podania bezpośredniego telefonu. Dobrym sposobem na szybkie uzyskanie odpowiedzi stało się wręczanie urzędnikowi pisma z projektem proponowanej odpowiedzi. Niekiedy skutkowało słowa „Allahu ma’a as-sabirin” („Bóg sprzyja cierpliwym..., o ile w cierpliwości wytrwają”), sygnalizujące, że i ja niby mam czas.

Gospodarze byli raczej trudnymi partnerami we współpracy kulturalnej. Stąd tym większym sukcesem stało się doprowadzenie po dwóch latach starań całej placówki do wydania w 1973 roku przez pocztę libijską dwóch znaczków z okazji 500. rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Wymagało to decyzji politycznej najwyższego szczebla, przy podejmowaniu której być może najistotniejsze okazały się nasze argumenty, że polski astronom korzystał z arabskich przyrządów obserwacyjnych, a w dziele *De revolutionibus orbium coelestium* wymienił pięciu muzułmańskich poprzedników zasłużonych dla wypracowania teorii heliocentrycznej. Znaczki były ewenementem na skalę regionalną. W tym okresie zaczęły się również pojawiać pierwsze materiały prasowe na temat Polski, w tym turystyczne. Prawdziwy rozgłos promocyjny przyniósł nam jednak występ polskich piłkarzy na Mistrzostwach Świata w Niemczech. To wówczas Polska przestała być mylona z Holandią (**B**olanda – **H**olanda). Mecz finałowy był oglądany z trybun stadionu przez muftiego Libii Mahmuda Subhiego, dzięki czemu przez kilka lat byliśmy jedyną placówką państwa niemuzułmańskiego, do której chodził na przyjęcia narodowe i zachęcał miejscowych partnerów do współpracy gospodarczej z Polską. Mistrzostwa zbiegły się w czasie z przeniesieniem Ambasady do dwóch nowych i w miarę reprezentacyjnych budynków z niewielkim ogrodem przy ul. Ben Aszur, gdzie na dachu jednego z nich była przestrzeń recepcyjna umożliwiająca wydawanie większych przyjęć. Po kilku latach i one okazały się za małe i wynajęto sąsiedni bliźniaczy obiekt.

Do moich niepisanych obowiązków w sferze kultury należał również kontakt z załogami statków Polskich Linii Oceanicznych, w sprawach wymiany książek, filmów czy prezentacji na temat Libii i stosunków dwustronnych. Jednostki PLO zawijały do portu w Trypolisie po kilka miesięcznie, często po wielotygodniowym oczekiwaniu na redzie. Pewnego razu wchodząc na pokład po trapie z motorówki, wpadłem w objęcia Andrzeja Olejnika, licealnego kolegi z Gorzkowic. Miał on wyjątkowe szczęście do nieoczekiwanych spotkań. Rok wcześniej był w Ejlacie, skąd izraelski agent PLO zabrał oficerów do pubu w głębi pustyni Negew. A tam piwo nalewała... Kasia Jakubowska, nasza nieco młodsza urocza koleżanka z piotrkowskiego „Słowackiego”. Szalom, Kasiu!

Jak się jest singlem, można wycisnąć z siebie więcej potu. Latem 1973 roku nadchodził jednak czas realizacji moich planów małżeńskich. By poczynić konieczne przygotowania, poleciałem na tydzień do Warszawy na koszt własny. I wtedy okazało się, że moje rozeznanie w sprawach libijskich było marne. Nie przewidziałem, że pułkownik Kaddafi pod moją nieobecność dokona rewolucji kadrowej w służbach granicznych, by wymusić stosowanie dekretu Rady Dowództwa Rewolucji o niewpuszczaniu do Libii cudzoziemców bez „zarabizowanych” paszportów. Placówka i MSZ nalegały na mój powrót w terminie bez modyfikacji paszportu – co wymagało decyzji politycznej – licząc, że jako pracownik Ambasady zostaną oszczędzony. Niekoniecznie! Na lotnisku w Trypolisie pogranicznicy wyczuli okazję, by wykazać się determinacją, tym bardziej że mój przyjazd był precedensowy. Powitano mnie z kurtuazją, ale po obejrzeniu paszportu zaferowano dobrowolny lub z asystą powrót na pokład samolotu ČSA, którym przyleciałem z Pragi. Szef placówki polecił mi wylądować w Tunisie, gdzie samolot miał międzylądowanie. Zakładał, że za kilka dni sprawa się wyjaśni. To też było błędne rozumowanie! W Tunisie chciano mi wydać wizę wjazdową, póki nie zauważono, że mój paszport jest ważny jedynie „na wszystkie kraje Europy i Libię”. Dostałem więc *laissez-passer* na 48 godzin i sugestię kontaktu z miejscowym MSZ, gdybym musiał pozostać dłużej. Pracownik polskiej Ambasady, też handlowej, odwiózł mnie do hotelu w śródmieściu. I tam spędziłem miesiąc. Wprawdzie natychmiast przyszła zgoda na rozszerzenie paszportu na „wszystkie kraje świata”, ale nie było decyzji w sprawie arabizacji. Koledzy w Trypolisie też byli bezradni. Placówka w Tunisie nie wystąpiła od razu o wizę dla mnie, sądząc, że sprawa się wyjaśni szybko. Zwiedzałem miasto i okolice, jeździłem na plażę, ćwiczyłem język francuski, a nawet napisałem kilka notatek dla MSZ, „usprawiedliwiając” zakwalifikowanie moich przymusowych wakacji jako pobytu służbowego. Sielankę zakłócał jedynie zbliżający się termin mojego ślubu i świadomość, że jestem w Tunezji nielegalnie.

Władze w Warszawie wymyśliły w końcu kompromis – sporządzenie wkładki do paszportu z tłumaczeniem. Maszyny arabskiej Ambasada nie miała, więc sam wykaligrafowałem tekst na papierze kredowym. Z lakową pieczęcią, przymocowana biało-czerwonym sznurkiem, prezentowała się okazale. Niestety, nie odwróciła uwagi tunezyjskich

pograniczników od braku wizy i przeterminowanego *laissez-passer*. Musiałem wrócić do hotelu, a cała sprawa nabierała posmaku anegdoty. Tak też odebrał to dyrektor tunezyjskiego Protokołu Dyplomatycznego, którego radca handlowy, Tadeusz Baczyński, spotkał w dniu mojego niedoszłego wyjazdu podczas wieczornego przyjęcia. Następnego dnia dostałem od ręki „wizę kurtuazyjną” i bez przeszkód odleciałem samolotem Tunis Air, udającym się do Dżeddy w Arabii Saudyjskiej, z międzylądowaniami w Trypolisie i Kairze. Libijczycy z uznaniem obejrzeni wkładkę, ale oświadczyli, że nie mogą jej honorować, gdyż właśnie uzyskali wyjaśnienie, że wpis arabski ma być na stronach paszportu. *Déjà-vu!* W Kairze wylądowałem w środku nocy, szczęśliwy, że samolot nie leciał bezpośrednio do Arabii Saudyjskiej, z którą wówczas nie mieliśmy stosunków dyplomatycznych. Wydaniu wizy na lotnisku towarzyszyły żartobliwe komentarze pograniczników na temat porządków zaprowadzanych przez „libijskiego szaleńca” i... mego libijskiego akcentu. Pojechałem taksówką do hotelu w mieście. Obudziłem się koło południa i zdążyłem zadzwonić do Ambasady, zanim zaczęto mnie oficjalnie poszukiwać. Warszawa miała dość tych podróży na gapę po Afryce Północnej. Otrzymałem polecenie powrotu do Polski samolotem LOT. Najbliższy rejs był za trzy dni, które wykorzystałem na intensywne zwiedzanie Kairu i okolic. Pomogła Ambasada, kierowana wówczas przez ambasadora Janusza Lewandowskiego, akredytowanego również w Libii. Wracałem do Polski bez drobnego bagażu, czekającego od ponad miesiąca na lotnisku w Trypolisie, na szczęście bez psujących się produktów. Z bukietem dorodnych czerwonych róż, jakich wówczas w Polsce nie było, rzymską teczką i zapuszczoną po raz drugi w życiu brodą. Pierwszą zgoliłem, przychodząc na praktykę studencką do MSZ, po wysłuchaniu tam opinii, że wyglądam zbyt „orientalnie”. Drugą spotkał identyczny los z wyroku narzeczonej. Na ślub zdążyłem w ostatniej chwili.

Urlop wykorzystałem jedynie częściowo, gdyż w Trypolisie czekały stopy spraw. Absencja miała jednak pozytywne strony. Po upływie roku moje stanowisko pracy silnie wrosło w placówkę. Uciekanie się do outsourcingu było kłopotliwe, ale stworzyło precedens. Po powrocie wspomagał mnie świeżo zatrudniony w Polservice arabista z Krakowa, Jan Szczepański, oraz jego palestyńska żona, Maha. Historia ich związku to scenariusz na film. Zdesperowana rodzina Sarradżów z Gazy wysłała

do Polski – gdzie Maha studiowała – grupę specjalną, by nie dopuścić do zawarcia planowanego małżeństwa, nawet gdyby miało to oznaczać fizyczne wyeliminowanie pretendenta do ręki dziewczyny. Na szczęście zostali uprzedzeni i zdołali się ukryć, a potem sprawa przyschła.

Arabizacja polskich paszportów, wzorem państw zachodnich, polegała na wbiciu na wewnętrznej stronie tylnej okładki zunifikowanej stampili, wypełnianej ręcznie. Po dwóch tygodniach urlopu wróciłem z Barbarą do Trypolisu. Żona otrzymała ryczałt w sekretariacie, pozwalający zwrócić końcówkę pożyczki samochodowej i wygospodarować niewielkie oszczędności. Zmieniliśmy też mieszkanie. Znalazłem tańsze o podobnej powierzchni, również z karaluchami, na które zawzięcie polowała w nocy przygarnięta suczka, Kora. Lokal znajdowało się w kamienicy z widokiem na dawny pałac królewski. Obok mieściła się Ambasada USA, przed którą ciągle miały miejsce demonstracje i próby podpalenia, odzwierciedlające burzliwe stosunki pomiędzy obydwoma krajami, zapoczątkowane wojną związaną z piractwem na początku XIX wieku, o dziwo wygraną przez Libijczyków. Nieco później, „z dniem 1 stycznia 1974 roku obywatel Płomiński został mianowany attaché ambasady”. Otrzymałem paszport dyplomatyczny, symboliczną podwyżkę pensji i 10% ryczałtu na reprezentację. Formalny zakres obowiązków nie uległ zmianie. Oddzielną nominację otrzymałem też z Ministerstwa Handlu Zagranicznego.

Kryzys energetyczny 1973 roku zwiłokrotnił libijskie wpływy z eksportu ropy naftowej, w ogromnej części przeznaczane na inwestycje rozwojowe. W długiej kolejce chętnych do rozwoju współpracy ustawiła się również Polska. Jej fundamentem pozostawały projekty budowlane, infrastrukturalne i inne usługowe, eksport towarowy oraz sfera zatrudnienia zbiorowego i indywidualnego. Każdego miesiąca liczba polskich pracowników powiększała się o kilkuset, by na początku lat osiemdziesiątych sięgnąć kilkunastu tysięcy. Szacując na podstawie fragmentarycznych statystyk, można ocenić, że w całym dwudziestoleciu aktywnych stosunków polsko-libijskich przez Libię mogło się przewinąć około dwustu tysięcy Polaków. W najlepszej sytuacji – porównywalnej z pracownikami zachodnimi, z wyłączeniem sektora naftowego – byli eksperci indywidualni, niezależnie od haraczu płaconego przedsiębiorstwu Polservice, formalnie pośredniczącemu przy zawieraniu

umów. Dotyczyło to głównie lekarzy, inżynierów, architektów, geodetów, planistów i projektantów, przyjeżdżających z rodzinami, wynajmujących apartamenty lub wille, posyłających dzieci do szkół na Malcie, mogących kupić przyzwoite samochody, podróżować i gromadzić oszczędności, inwestowane w okresie transformacji w Polsce. W rankingu kolejne miejsce zajmowały branżowe kontrakty zbiorowe, również w większości aranżowane przez Polservice. Tu pracodawcą była polska firma, a zróżnicowane warunki zależały od rodzaju kontraktu ze stroną libijską. Dominowała służba zdrowia, między innymi dzięki promowaniu Polaków przez libijskiego wiceministra zdrowia, któremu jeden z naszych rodaków pomógł podjąć studia medyczne w Anglii, oferując bezpłatne zakwaterowanie w pierwszym okresie. Na dole drabiny znajdowali się pracownicy zatrudnieni w polskich firmach, głównie budowlanych i usługowych. Byli nisko opłacani, zakwaterowani najczęściej w barakach usytuowanych na obrzeżach miast lub w terenie, ze słabym zapleczem rekreacyjnym i socjalnym, prostym wyżywieniem. Rzadko mieli możliwość zaproszenia współmałżonków. W tym przypadku problemów było bez liku, choć dyrekcje z reguły jak ognia unikały informowania o nich Ambasady. Brakowało prasy, występowały trudności z uzyskaniem połączenia telefonicznego z krajem, szerzyły się problemy alkoholowe i psychiczne, występowały choroba sieroca, wypadki i ujawniające się schorzenia. Dochodziło do naruszeń prawa i sporadycznych zatargów z Libijczykami. Ludzie przyjeżdżający do pracy z reguły dobrze znali te uwarunkowania. Na wyjazd decydowali się ze względów finansowych, choć pewną rolę odgrywała też sama możliwość wyjazdu za granicę, najczęściej po raz pierwszy „poza obóz”, a także smak egzotyki. W latach mojej pracy w Trypolisie (1972–1975) liczba polskich pracowników wzrosła z kilkuset do ponad dwóch tysięcy. W tym czasie pracowało tam ogółem 223 tysiące cudzoziemców, stanowiąc 33% lokalnej siły roboczej. Placówka jakoś radziła sobie z obsługą konsularną, uwzględniając fakt, że większość bieżących spraw załatwiały same firmy. Problemy skumulowały się w następnych latach. Kopalnią wiedzy o realiach libijskiej Polonii jest Janusz Skolimowski, konsul w tym kraju i wysoki urzędnik MSZ. Może kiedyś i on coś o tym napisze.

Intensyfikacja współpracy i towarzyszących jej kontaktów oznaczała dla mnie dodatkowe zajęcia związane z tłumaczeniem i obsługą

delegacji. Przed ważniejszymi rozmowami zawsze prosiłem polskich delegatów o zreferowanie tez lub udostępnienie materiałów do rozmów, a także posiadanych tekstów wystąpień. Nie tylko bardzo ułatwiało to tłumaczenie, ale też pozwalało wpływać na klimat rozmów, unikać nieporozumień i nie gubić istotnych spraw przewidzianych do poruszenia. To wówczas odkryłem, jak wiele zależy od aktywnej roli tłumacza, umocowanego jednocześnie merytorycznie i zaangażowanego w realizację ustaleń. Wcześniej nieraz obserwowałem zadowolonych ze swoich wypowiedzi dygnitarzy, których słowa w przekładzie brzmiały żałośnie. Nie rozumieli, że tłumacz nie jest robotem. Prawdziwy przełom w stosunkach polsko-libijskich zapoczątkowała wizyta premiera Abdessalama Dżalluda w Warszawie w lutym 1974 roku oraz wizyta w Trypolisie wicepremiera Kazimierza Olszewskiego w maju 1975 roku, bezpośrednio przed moim powrotem do kraju. Kontakty te wprowadzały elementy instytucjonalizacji stosunków oraz ułatwiały polskim kontrahentom rywalizację ze wschodnią i zachodnią konkurencją, w perspektywie również na lukratywnym rynku dostaw specjalnych. Ich konsekwencją było także przejście placówki w Trypolisie przez MSZ i akredytowanie rezydującego ambasadora (Tadeusz Mulicki, 24.05.1975) oraz ustanowienie w 1976 roku Ambasady Libii w Warszawie. W pierwszym okresie miała ona szczęście do kierujących nią dyplomatów – Mohammada Zintaniego, Dżum’a al-Ferdżaniego i Hassuny Aszura, z którymi miałem przyjemność współpracować w Warszawie.

Tempo pracy i wysokość pensji ograniczały możliwości poznawania kraju, nie licząc wahadłowych wyjazdów z delegacjami do Leptis Magna i Sabraty, przepięknie położonych i świetnie zachowanych rzymskich miast w sąsiedztwie Trypolisu. Biezący relaks zapewniała natomiast bliskość morza, ze wspaniałą i zróżnicowaną linią brzegową oraz rewelacyjnymi plażami, w niektórych miejscach ciągnącymi się kilometrami w pustynię. Były to czasy, kiedy radykalizm i ekstremizm dopiero raczkowały w regionie. W Libii Europejki plażowały i pływały w bikini, a szczelnie okutane Libijki biwakowały obok i chłodziły się w morzu, z efektem mokrego podkoszulka. Nikomu to nie przeszkadzało i nie było poważnych incydentów. Może być to przyczynkiem do dzisiejszych dyskusji na temat „burkini” na plażach, francuskich i nie tylko. Białe burki nie były obowiązującym strojem miejscowych kobiet, ale noszono

je dość powszechnie. Często jedno odsłonięte oko potrafiło zabłysnąć na widok cudzoziemca, a wypuszczony na chwilę z zębów skraj zasłony ujawniał uśmiechniętą twarz. Opinie innych Arabek o moralności Libijek były mocno zróżnicowane, z wzajemnością. Sporadycznie latałem służbowo do Benghazi, gdzie znajdowało się jednoosobowe biuro attaché handlowego. Najczęściej chodziło o wsparcie w sprawach konsularnych, w tym wyekspediowaniu zmarłych Polaków w ostatnią drogę do kraju. Przy okazji odwiedzałem ciekawe miejsca Cyrenajki, z grecką Cyreną na czele. Wielokrotnie byłem w Tobruku oraz bazach polskich firm. Dłuższe prywatne wycieczki samochodem, z żoną i grupką przyjaciół, odbyliśmy zaledwie dwukrotnie. Wzdłuż wybrzeża, przez Misratę, Syrte, porty naftowe, Adżdabję, Benghazi, Al-Mardż i zabytki wybrzeża Zielonych Gór, Dernerę i Tobruk, aż po granicę egipską. To około tysiąca pięciuset km w jedną stronę. Drugi raz pojechaliśmy na południowy zachód, przez berberyjskie mateczniki w paśmie górskim Dżebel Nefusa, Saharę, zagrzebaną w piaskach pustyni oazę Ghadames, aż do granicy z Algierią, gdzie „rosły” bodaj najpiękniejsze w całej Afryce „róże pustyni” – kamienne struktury w formie płatków, stworzone z kwarcu przez wiatr i różnice temperatur. W zasięgu piątkowego wypadu były miasta wybrzeża w kierunku granicy tunezyjskiej, w większości berberyjskie, gdzie odwiedzaliśmy polskich lekarzy, mieszkających obok najbielszych plaż śródziemnomorskich i zagajników z maślakami. Białą plamą pozostał dla mnie prawdziwie afrykański Fezzan, dzikie podgórze Tibesti i dalekie zakamarki Sahary, kryjące ślady pradawnych i historycznych cywilizacji oraz tajemnice ewolucji pustyni na przestrzeni ostatnich ośmiu tysięcy lat – od soczystej sawanny poprzecinanej rzekami po bezwodny obszar, na którym gdzieniegdzie pozostały jednak zagubione jeziora i nieliczne oazy. Co więcej, zdolny na chwilę powracać do życia, gdy tylko spadnie parę kropli deszczu. A wczesną wiosną podgórski step na południe od Trypolisu zakwitał morzem barwnych kwiatów. Niespełnionym marzeniem pozostało dotarcie do oaz Kufra, gdzie stara Sahara pozostawiła głęboko pod ziemią ogromne jeziora słodkiej wody, łącznie czterdzieści km³ w czterech akwenach. Od lat woda ta poi całą Libię, rozprowadzana Wielką Sztuczną Rzeką, siecią rur o ogromnych przekrojach o długości czterech tysięcy kilometrów, niestety zbudowaną bez znaczącego polskiego udziału. Niedaleko stamtąd, jak na libijskie przestrzenie, rozciąga się prastara egipska oaza Siwa, której okoliczne piaski dwa tysiące pięćset lat temu pochłonęły

pięćdziesięcioletni perski korpus ekspedycyjny Kambyzesa, o ile Persowie powiedzieli Herodotowi całą prawdę o tym wydarzeniu.

Każdy wyjazd i okazję wykorzystywałem do poznawania ludzi. Libijczycy to bardzo zróżnicowane etnicznie społeczeństwo, o głębokich podziałach plemiennych. Konserwatywne i religijne, ale bez spotykanej w wielu innych miejscach skrajnej muzułmańskiej ortodoksji. W warsztatach czy drukarniach można było zobaczyć napisy *la ta'assub* (bez fanatyzmu). Nieufność wobec przybysza z Europy można zrozumieć w świetle doświadczeń włoskiej okupacji i dokonanego tu ludobójstwa. Ekipa Muammara Kaddafiego, podejmując proces modernizacji i alfabetyzacji społeczeństwa, chciała osłabić struktury plemienne, ale zabrnęła w ślepy zaułek. Nie udało się również zniwelować arabsko-berberyjskich antagonizmów w Trypolitanii. Spychana na margines rdzenna mniejszość zachowała jednak tożsamość i to właśnie Berberzy w walnie przyczynili się do dobitcia reżimu jesienią 2011 roku. Miałem serdecznych przyjaciół w berberskim górskim mateczniku Dżado. Po raz pierwszy trafiłem tam przypadkiem któregoś zimowego wieczoru z powodu problemów z ogumieniem prywatnego samochodu. Otrzymałem gościnę, pomoc i nocleg pod cieplejszym od puchu kocem z wielbłądziej wełny. Podobnie bezpośredni i otwarci byli arabscy rolnicy prowadzący gospodarstwa na w miarę urodzajnym wąskim pasie ziemi na południe od Trypolisu. Nawet przypadkowy gość był podejmowany słodką herbatą z orzeszkami, przy której toczyły się długie rozmowy z ciekawymi świata farmerami. Nie można było odmówić przyjęcia kartonu mandarynek, pomarańczy, arbuzów, melonów czy warzyw lub łubianki jaj. Rewanżowałem się zawsze uwielbianymi tam polskimi słodyczami dostarczonymi przez Baltonę, które zresztą jeszcze przed moim wyjazdem pojawiły się w sklepach. Na moich oczach w Libii dokonywał się proces przechodzenia większości populacji z okolic średniowiecza w techniczną nowoczesność, zamiany osłów i wielbłądów na samochody, często siłowej przeprowadzki z pustyni lub podmiejskich slumsów do specjalnie budowanych domów w miastach, z których przesiedleni uciekali lub przynajmniej rozpalali w nich ogniska, transferu ze skrajnej biedy do względnego dobrobytu.

Muammar Kaddafi wygrał los na loterii, a może raczej dostał złoty róg, gdy dokonał bezkrwawego przewrotu w końcu lata 1969 roku, tak

gorącego, że przygotowanie przewrotu umknęło uwadze CIA, mocno ulokowanej wokół dość nieudolnego króla Idrisa. Przejął kraj głęboko zacofany i całkowicie pozbawiony inteligencji, z traumą eksterminacji, przez dekady pozbawiony źródeł egzystencji, dla którego przez długie lata jedynym dostarczycielem dewiz był eksport złomu zbieranego na polach cudzoziemskich bitew II wojny światowej. Ale było to także państwo, gdzie zachodnie koncerny znalazły najlepszą na świecie wielką ropę. Moi wschodni i zachodni koledzy w Trypolisie zgodnie wróżyli Pułkownikowi rychły koniec. Tymczasem reżim przetrwał cztery dekady. I trwałby dłużej, gdyby nie zewnętrzny splot okoliczności i udany zachodni eksperyment przekształcenia autorytarnego, lecz stabilnego kraju w trudną do wyobrażenia otchłań chaosu, umożliwiającą zalew Europy milionami migrantów. Władcy Libii rozkradli i roztrwonili ogromne pieniądze, ale też zainwestowali setki miliardów dolarów w rozwój. Można było je oczywiście wykorzystać lepiej, ale problem z mądrym zagospodarowaniem naftowego bogactwa mają nawet Norwegowie, którzy nie musieli startować od zera. Płk Kaddafi nagrzeszył wiele, ale paradoksalnie Zachód wydał na niego wyrok, gdy zaczął cywilizować swoją politykę. Na ile wpłynęła na to finansowa hojność Pułkownika wobec niektórych zachodnich polityków i skuteczne popieranie przez niego afrykańskich sąsiadów w dążeniach do ograniczenia zależności od dawnych metropolii, a na ile katarsko-libijskie niesnaski wokół rozliczeń finansowych i warunków inwestycji nie ma jeszcze dzisiaj jednoznacznej odpowiedzi.

W próbach formowania społeczeństwa libijscy rewolucjoniści sięgali po hasła arabskie, muzułmańskie i afrykańskie, ale także patriotyczne. Nawiązywali do tradycji walki narodowowyzwoleńczej z inwazją Włoch, rozpoczętą w 1911 roku. W 1975 roku nadano wielkie znaczenie sześćdziesiątej rocznicy bitwy pod Gardabiją. Kilkuset dyplomatów przewieziono z Trypolisu samolotami w rejon Syrty w centralnej Libii. Był tam rozszerzony fragment nowo zbudowanej nadmorskiej autostrady umożliwiający lądowanie dużych maszyn. Autobusami dotarliśmy kilkadziesiąt kilometrów w głąb Sahary. Dwie godziny czekaliśmy w spiekocie na przybycie przywódcy rewolucji bez poczęstunku i wody, jednak na siedząco i pod namiotem. Na szczęście pamiętałem, by zabrać z samolotu kilka butelek. Program obejmował symboliczne wysadzenie muru, godzinne przemówienie i odznaczenie

przez premiera Abdessalama Dżalluda wiekowych kombatantów, stłoczonych pod gołym niebem. Pierwsze orderzy wręczano, ale przepychanie się wyczytywanych przez zwarty tłum spowalniało ruch i kolejne były już rzucane. Gdzieś w połowie „ceremonii” stało się jasne, że odznaczeń nie wystarczy dla wszystkich. Nigdy nie zapomnę widoku starców skaczących jeden przez drugiego, by złapać w powietrzu lecący krążek ze wstążką.

Większość dyplomatów miała mgliste pojęcie o okolicznościach bitwy, a gospodarze nie zadbali o dokumentację. Włoski kolega, pytany o szczegóły, skonstatował, że ich armia dostawała ciągi w różnych miejscach, nie można więc wykluczyć i Gardabiji. Tymczasem było to wydarzenie rzeczywiście doniosłe. Libijscy bojownicy zadali tu włoskim wojskom w marcu 1915 roku druzgocącą klęskę, otwierając drogę do wyzwolenia kraju własnymi siłami. Na przeszkodzie stanęła im jednak zmowa mocarstw. Wielka Brytania, Francja i Rosja podpisały nieco wcześniej w Londynie tajne porozumienie z Włochami, dające im wolną rękę w Libii w zamian za przyłączenie się do wojny po stronie Ententy. Umowa stanowiła wzór dla paktu Sykes-Picot z 1916 roku, na mocy którego dokonano ostatecznego podziału Imperium Osmańskiego. Warto pamiętać, że również w tym przypadku stroną była carska Rosja i tylko bolszewicka rewolucja wykluczyła ją z podziału łupów, o co dzisiaj Moskwa jakby się znów upominała, nawiązując do imperialnych tradycji. Dawne pomysły wykazują zresztą na całym Bliskim Wschodzie zadziwiająco żywotność, co w przypadku Libii może oznaczać perspektywę podziału na trzy części.

Włosi nie zdążyli zrealizować tych zamiarów, w kolejnej wielkiej wojnie stanęli bowiem po niewłaściwej stronie. Libię musieli oddać innym. Pozostawili chaos i pamięć potwornych zbrodni, poprzedzających okropności obu wojen światowych. To tam zorganizowano pierwsze w świecie obozy koncentracyjne. Wtrącono do nich 125 tysięcy bojowników ruchu oporu kierowanego przez Omara Muchtara. Stanowiło to około 15% ówczesnej ludności. Lampedusę zamieniono w miejsce eksterminacji tysięcy Libijczyków. Dzisiaj do tej włoskiej wyspy, oddalonej zaledwie sto kilometrów od afrykańskiego wybrzeża, starym szlakiem podążają dziesiątki tysięcy migrantów, dla których Libia przestała być wielkim pracodawcą i skuteczną barierą na drodze

do Europy. Do pytań z wprowadzenia do książki dodają jeszcze jedno: czy ten exodus trudno było przewidzieć, decydując się na interwencję w Libii?

W Cyrenajce włoska armia po raz pierwszy w historii użyła gazów bojowych i lotnictwa wojskowego przeciwko ludności cywilnej. Dokonano ludobójstwa, w skali porównywalnej z nazistowskim i sowieckim. To libijskie pozostaje nadal nierozliczone, podobnie jak wiele zbrodni mocarstw kolonialnych w takich krajach, jak Angola, Namibia, Kenia, Kongo czy Algieria, niezależnie od losu zgotowanego Ormianom przez osmańskich Turków. A to tylko przykłady.

W libijskim świętowaniu rocznic priorytet należał jednak do rocznicy rewolucji/przewrotu 1 września. Scenariusz był stały: rytualne przemówienie, defilada wojskowa, pokazy sztucznych ogni i festyny. Korpus dyplomatyczny był „paprotką”, podobnie jak dziesiątki delegacji zagranicznych najwyższego szczebla, z zachodnimi włącznie. Do kolorytu należały psujące się pojazdy i czołgi zahaczające lufami widzów. Organizatorzy mieli obsesję pokazywania wciąż nowych rodzajów uzbrojenia. Pewnego roku „na pokaz” Trypolis chciał kupić w Moskwie kilka rakiet dalekiego zasięgu. Rosjanie odpowiedzieli, że w tym celu wystarczy im tańsze makiety. Okresowo zamroziło to relacje. Niektórzy partnerzy z humorem reagowali na libijskie ekstrawagancje. Jordańczycy – na przykład – przysłali kiedyś wojskową orkiestrę kobziarzy, zamiast zamówionego plutonu bojowego. Libia pełna była groteski, teatru i kabaretu, choć w rzeczywistości takie instytucje nie istniały, ukrywających prawdziwe oblicze reżimu. Czego jednak nie robi się dla chleba, zwłaszcza gdy ten chleb pachnie naftą.

W Trypolisie rotacja, czyli okresowa wymiana pracowników placówki, odbywała się co trzy lata, z uwagi na trudny klimat. Przedłużenie o rok było możliwe na wniosek zainteresowanego. Nie zamierzałem tego robić. Praca na najwyższych obrotach dawała mi wprawdzie nadal satysfakcję, ale czułem potrzebę wyrwania się z tego kierunku. Sprawdziłem się językowo, merytorycznie i organizacyjnie. Zauważyli to również na miejscu dyrektorzy z Departamentu V MSZ, Stanisław Turbański i Stanisław Matosek, wizytujący Libię w składzie różnych delegacji. Dostałem od nich ofertę pracy, którą traktowałem jako

wyróżnienie. Poza tym wkrótce miał się nam urodzić syn i wolałem, by to się stało w Polsce.

Wracałem zgodnie z odwołaniem 31 maja 1975 roku, kilka dni po wyjeździe wielobranżowej delegacji rządowej z wicepremierem Kazimierzem Olszewskim i akredytacji rezydującego ambasadora. Pałeczkę przekazałem zmiennikowi – Wincentemu Sienkiewiczowi, kolejnemu arabiście. W ten sposób nanizane zostało drugie ogniwo łańcuszka zawodowych dyplomatów z MSZ służących w Libii, znających język arabski i posiadających specjalistyczne przygotowanie. Skala stosunków w kolejnych latach sprawiła, że w surowej libijskiej szkole test przydatności do pracy w służbie zagranicznej zdawało wielu polskich dyplomatów. Na tej liście znaleźli się między innymi Wojciech Bożek, Krzysztof Baliński, Piotr Ciećwierz, Józef Osas, Jan Natkański, M. Jacek Stępiński i Janusz Skolimowski, ambasadorzy III RP, a także konsulowie generalni Krzysztof Czapla i Jarosław Wojtara. Każdy z nas wmurował cegielkę do fundamentu polskich interesów w Libii i na Bliskim Wschodzie. Niekiedy spektakularnie, jak Krzysztof Czapla, który służąc w Benghazi nie dopuścił do uwięzienia polskich zakonnic pod sfabrykowanymi zarzutami, jak stało się to w przypadku bułgarskich pielęgniarek przetrzymywanych latami w libijskim więzieniu.



Rozdział trzeci

NA ETACIE W MINISTERSTWIE

WARSZAWA, 1975–1980

PRZEDE WSZYSTKIM LIBIA

Byłem w błędzie, myśląc, że tempo życia i pracy w Warszawie będzie mniejsze. Nie mieliśmy mieszkania. Ulokowaliśmy się kątem przy teściach, którym udało się wynająć jeden pokój od Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych, z którym dzielili lokal komunalny przy ul. Brackiej. W lipcu urodził się Jarek, dzisiaj radca prawny i prawnik korporacyjny. Oszczędności z placówki wystarczyły na wpłatę dewizową na małego fiata 126p. Po kilku tygodniach musiałem jednak wycofać pieniądze, gdy okazało się, że jako rodzina z dzieckiem mamy mglistą, ale realną perspektywę przydziału za pośrednictwem MSZ mieszkania spółdzielczego. Podanie w tej sprawie złożyłem jeszcze przed wyjazdem na placówkę, zajmując miejsce w kolejce. Resort miał wówczas umowy z kilkoma spółdzielniami mieszkaniowymi, pozwalające uzyskać dla pracowników po kilka małych lokali rocznie, które musiały wrócić do dyspozycji resortu w przypadku nabycia przez użytkownika innego mieszkania we własnym zakresie lub otrzymania kolejnego z puli MSZ. Dotychczasowy posiadacz naszych 38 m² w bloku przy ul. Czerniakowskiej po powrocie z placówki kupił mieszkanie własnościowe, a jego dotychczasowe lokum wróciło do dzielonej puli. „Maluch” został przekształcony w spółdzielczą lokatorską nieruchomości. Rezygnując z kupna samochodu, zaniedbałem wymianę libijskiego prawa jazdy, co kilka lat później kosztowało mnie powtórzenie egzaminu z jazdy, oblanego w pierwszym podejściu. Pocieszam się, że zdawałem wraz z grupą ukaranych za wykroczenia drogowe.

Pracę w Departamencie V MSZ rozpocząłem, nie wykorzystując do końca urlopu. Wcześniej rozliczyłem się z MHZ. Dostałem etat i stanowisko radcy, z wynagrodzeniem łącznym w wysokości 3,7 tysiąca złotych. Do mojego stanowiska pracy przypisane były między innymi Libia, Egipt i Sudan, Liga Państw Arabskich oraz sprawy udziału Polski w misjach pokojowych ONZ na Bliskim Wschodzie. Był to zawsze jeden z najbardziej obciążonych odcinków w Departamencie. Zakres obowiązków referenta zawierał kilkadziesiąt punktów. Pomijając szczególności, odpowiadał on za monitorowanie bieżących spraw, gromadzenie dokumentacji i prowadzenie korespondencji podpisywanej przez dyrektora, przygotowywanie opracowań i materiałów do wizyt i rozmów,

w których tylko wyjątkowo uczestniczył, koordynację z innymi komórkami ministerstwa i zainteresowanych resortów oraz placówkami w Kairze i Trypolisie (Chartum zachował podległość MHZ i profil handlowy do czasu zamknięcia placówki w 1992 roku).

W zależności od posiadanej pozycji i zaangażowania referent mógł wpływać na przebieg i jakość współpracy na swoim odcinku. Należy przy tym powiedzieć, że w MSZ zawsze byli pracownicy, do których lepiła się praca oraz tacy, którzy potrafili przetrwać wygodnie do kolejnego wyjazdu na placówkę. Przy stosunkowo stabilnej sytuacji na innych obszarach odpowiedzialności referatu, rozpędzające się stosunki z Libią zmuszały do poświęcania im większości czasu. Miałem status jedyne w kraju eksperta w tym zakresie, a był to okres, kiedy każdy resort i centrala handlu zagranicznego chciały znaleźć dla siebie jakąś libijską niszę współpracy. W obie strony kursowały delegacje, do czego przyczynił się ustanowiony w 1975 roku mechanizm międzyrządowej Komisji Mieszanej. Niezależnie od względów merytorycznych Trypolis był również atrakcyjnym uzupełnieniem mapy wyjazdów polskich dostojników, co zresztą i nadal odgrywa pewną rolę przy planowaniu podróży. Polityk też człowiek i nie gardzi okazją zobaczenia egzotycznych miejsc, zakupu lokalnych pamiątek czy otrzymania od gospodarzy prezentu, czasem drobnego, w postaci wyrobów rękodzieła, a niekiedy poważniejszego, jak dywan, elektronika czy... zegarek z podobizną wodza. Szybko zorientowano się, że mój wyjazd z delegacją ułatwia rozmowy, gdyż znałem ludzi, realia i szczegóły współpracy, a ponadto sprawdzałem się jako tłumacz. Przez pięć lat prowadzenia desku libijskiego byłem w tym kraju bodaj trzydzieści razy i tylko raz w Egipcie, ale bez wizytowania naszego Kontyngentu Wojskowego. Pożytek miała też ambasada w Trypolisie, gdyż przy programie prywatnym delegacji jej pracownicy nie musieli występować w roli przewodników. Przekonanie o wszechwiedzy może być jednak zawodne. Pewnego razu przed lądowaniem w Trypolisie szef delegacji zapytał mnie o oczekiwaną pogodę. Z pewnością siebie wykluczyłem deszcz. Tymczasem lało jak z cebra! Pierwszy raz w tym okresie od dziesięcioleci (tak jak okazjonalne opady śniegu na Saharze), ale musiałem spuścić z tonu i wyciągnąć wnioski. Funkcja tłumacza nie cieszyła się w MSZ estymą, a w oczach niektórych była nie do pogodzenia ze statusem dyplomaty. Ja się jej nie wstydziłem i wielokrotnie dokumentowałem jej znaczenie. Czasami oznaczało

to podtrzymanie dobrej atmosfery, gdy jakiś dygnitarz PRL chwalił się dobrymi relacjami władzy z Panem Bogiem wobec pobożnego muzułmanina, który, zamiast się krzywić, z uśmiechem kiwał głową, słysząc, że przywiózł do Polski dobrą pogodę. Nieraz zresztą dyskretnie zwracałem zainteresowanym uwagę na niestosowności kulturowe i nigdy nie dostałem reprimendy. A przez czterdzieści lat tych tłumaczeń, czasami jedynie okazjonalnych, zebrało się wiele – na szczeblu ministrów, premierów, królów i prezydentów, w tym Wojciecha Jaruzelskiego, Aleksandra Kwaśniewskiego i Lecha Kaczyńskiego. Wielu polityków doceniało kompetentny przekład. Zdarzały się przypadki, że przewodniczący delegacji czytał po polsku jedynie początek przygotowanego do rozmów fragmentu też i prosił, by zakończyć wyłącznie po arabsku. Ogromnie oszczędzało to czas. O tłumaczeniu mówi się, że jest jak kobieta – albo wierne, albo piękne. Ale znam kobiety łączące obie cechy. Nie miałem wpadek, choć pamiętam przyływy adrenaliny, gdy dla zrozumienia testu musiałem prosić arabskiego rozmówcę, uciekającego się do dialektu, o powtórzenie zdania. Zdarzali się też politycy ze specyficznym poczuciem humoru. Kiedyś tłumaczyłem premiera Piotra Jaroszewicza w jego gabinecie. Na zakończenie wyraził zadowolenie z przebiegu i konkluzji rozmowy oraz... rozczarowanie tłumaczem, robiąc pauzę. Następnie kontynuował, że chodziło mu o niewypicie kawy. Odreagowałem uwagę, że byłaby to już moja piąta filiżanka tego dnia.

W stosunkach z Libią był poważny problem. W wyniku kryzysu energetycznego 1973 roku polskie firmy budowlane poniosły tam duże straty. Ówczesne długoletnie kontrakty nie zawierały klauzuli zmienności cen, tymczasem koszty kupowanych w dużej części na Zachodzie materiałów wzrosły nawet kilkakrotnie. Groziło wypadnięcie z rynku i konsekwencje w kraju. W końcu zdecydowano się na *mission impossible* – zwrócenie się do Libijczyków o zrekompensowanie strat. W 1976 roku zapadła decyzja o wysłaniu do Trypolisu przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka Jabłońskiego, którego do tego zadania trzeba było usilnie przekonywać. Nie istniała przecież żadna formalno-prawna podstawa dochodzenia roszczeń. Nawet tak nikła, jak w przypadku reparacji od Niemiec w siedem dekad po wojnie. Podczas pracy nad koncepcją rozmów nieżyjący już Zbyszek Żelazowski, najwyższej klasy arabista wykształcony w Warszawie i Bagdadzie, wygrzebał gdzieś fragment średniowiecznego wiersza Abu Tadjiba al-Mutanabbiego, wiążący

pracę z godziwym wynagrodzeniem. Na tym oparliśmy konstrukcję prezentacji. Profesor zacytował tekst podczas rozmów plenarnych, robiąc piorunujące wrażenie. Premier Abdessalam Dżallud przerwał rozmowy, mówiąc, że musi się skonsultować z pułkownikiem Kaddafim. Po półgodzinie wrócił z pieniędzmi. Było to blisko dziesięć milionów dolarów. Nie posiadaliśmy się z radości. Zmącił ją jedynie nieco komentarz. Usłyszeliśmy, że decyzja „kierownictwa libijskiego” wynika z woli budowania modelowych stosunków z Polską. Nie oznacza jednak, że nie wie ono o innych przyczynach ciężących na sytuacji finansowej polskich firm. I usłyszeliśmy wyliczankę ich grzechów głównych – przyjmowanie importowanych towarów do magazynu w porcie w Benghazi, skąd tylko część docierała na miejsce budowy, praca całymi brygadami „na lewo” przy budowie prywatnych willi i dróg dojazdowych, przerosty zatrudnienia, zła organizacja i mała efektywność pracy, alkohol, rozpijanie miejscowych pracowników i handel bimbrem, słabe kwalifikacje części pracowników... I tak dalej... Profesor omal nie dostał apopleksji, ale zadanie wykonał. Byliśmy wówczas jedynym krajem, który w identycznej sytuacji dostał żądane pieniądze. Władze PRL wykazały determinację w obronie interesów gospodarczych, godną powielania w każdych warunkach. Wraz ze Zbyszkim otrzymaliśmy „prowizję” – przeszeregowanie o jeden szczebelek w tabeli wynagrodzeń. Trzeba przyznać, że Libijczycy nieźle się orientowali w praktykach naszych budowlańców. Być może wiedzieli nawet o zatrudnieniu w jednej z firm grabarza do gotowania posiłków.

Ustalenia te w jakimś stopniu uratowały stosunki z Libią i ułatwiły ich rozwój. Otworzyły też drogę do wizyty oficjalnej pułkownika Kaddafiego w Polsce latem 1978 roku. Gość pokazał sporo ekstrawagancji. Przyjazd pociągiem z Berlina był zmorą dla polskiego Biura Ochrony Rządu. Postój w Poznaniu obfitował w niespodzianki – konieczność spełnienia prośby ad hoc o wizytę gościa u „przeciętnej polskiej rodziny”, zgubienie broni przez libijskiego ochroniarza, stwierdzone dopiero w Warszawie czy przerywanie obrad na modlitwy. Niezależnie od kolorytu, wizyta przyniosła potężny impuls w całokształcie relacji dwustronnych, łącznie z dziedziczą obronności. Wyrazem tego był wysoki szczebel polskiej delegacji na obchody libijskiego święta narodowego w tym samym roku. Do Trypolisu pojechał generał Wojciech Jaruzelski, jako minister obrony. Towarzyszyłem

kilkuosobowej delegacji jako jedyny cywil. Zakwaterowano nas pojedynczo w eleganckich domkach w nadmorskim wojskowym ośrodku rekreacyjnym, na Gargareszu pod Trypolisem. Wraz z około pięćdziesięcioma delegacjami ministerialnego i wyższego szczebla z całego świata zaliczyliśmy rytualny program uroczystości. Poza kurtuazyjną rozmową ze swoim odpowiednikiem, brygadierem Abu Bakrem Y. Dżaberem, Wojciech Jaruzelski miał zostać przyjęty przez Kaddafiego, co było sprawą prestiżową. Oczekiwaliśmy nerwowo na termin do ostatnich godzin poprzedzających odlot samolotu specjalnego do Warszawy. Wreszcie jakiś major zakomunikował mi: „Lecicie”. Należało to rozumieć dosłownie. Mieliśmy kilkanaście minut na przygotowanie się. Na lotnisko międzynarodowe dotarliśmy po wariackim przejeździe przez miasto, w eskorcie motocyklistów rozpędzających kopniakami tarasujące drogę samochody, co było praktyką przejętą chyba od francuskiej policji. Na lotnisku czekał kilkuosobowy prywatny odrzutowiec. Nasz skład musieliśmy zredukować z sześciu do czterech osób: minister, ambasador, adiutant i ja. Gospodarzowi towarzyszyło dwóch adiutantów. Dopiero na pokładzie poznaliśmy kierunek lotu – rejon Syrty. Lądowaliśmy na autostradzie, w miejscu znanym mi z obchodów bitwy pod Gardabiją. Była już noc, gdy po bezdrożach dotarliśmy autobusikiem do zespołu willi w głębi pustyni. Chwila oczekiwania i w dalszą drogę ruszyliśmy już pieszo po wertepach, które ktoś oświetlał małą latarką. W tym momencie najważniejszym zmartwieniem polskiej grupy, poza uniknięciem połamania nóg, było doniesienie w całości prezentu – kryształowego wazonu znajdującego w ramionach adiutanta. Rozmowa odbyła się w małej willi. Trwała pół godziny, licząc z szybkim przekładem. Sprowadziła się do wymiany grzeczności i deklaracji o rozwoju współpracy. Sądzę jednak, że ten osobisty kontakt wpłynął w kolejnych latach na podejście Libii do stosunków z Polską, również w okresie kryzysowego załamania się naszej gospodarki. To wtedy Libijczycy otworzyli linię kredytową na zakup ropy naftowej i ulokowali w polskim banku depozyt o wartości pół miliarda USD.

Niewiele brakowało, bym nie wrócił cały z tej podróży. Ośrodek wojskowy, w którym mieszkaliśmy, przylegał od strony morza do niewielkiego sztucznego atolu z szorstkich skał. Korzystając ze sjeisty, poszedłem tam popływać, nie widząc konieczności informowania

odpoczywających członków delegacji. Był początek września. Temperatura powietrza przekraczała czterdzieści stopni, a woda w zatoce była niewiele chłodniejsza. Zdecydowałem się wypłynąć na pełne morze. Fale były łagodne, więc przedostałem się ostrożnie przez skalną barierę, tworzącą jednocześnie morskie odgródenie skrajnych punktów ośrodka. Byłem kilkaset metrów od brzegu, gdy niespodziewanie zmienił się kierunek wiatru, z czym niestety w rejonie Trypolisu należało zawsze się liczyć. Morze się wzburzyło, tworząc na skałach kipieli. Miałem dwa złe wyjścia. Wypłynąć na bezpieczną plażę poza terenem ośrodka, ryzykując, że bez dokumentów czeka mnie dłuższa dyskusja ze strażnikami przy bramie, lub próbować wrócić tą samą drogą. Wybrana największa fala okazała się jednak odrobinę za krótka i frontem otarłem się o ostatni głaz. Skaleczenia były powierzchowne, ale malowniczo krwawiły. W drodze do bungalowu natknąłem się na szefa delegacji z osobami towarzyszącymi, wszyscy w galowych mundurach. Musiałem wyglądać jak kombatant jakiejś szczególnej wojny. Padła dyspozycja opatrzenia mnie przez lekarza, który po obmyciu po prostu spryskał mnie plastrem w spreju. Było to skuteczne, ale piekło jak cholera. Moje wyjaśnienia Minister przyjął bez komentarza, choć niewątpliwie zasługiwałem na jakąś karę. Zapamiętałem go jako rzeczowego i małowównego, żywo interesującego się libijskimi realiami i charakterystyką rozmówców oraz stanem dwustronnej współpracy. Wypowiadał się precyzyjnie, krótkimi zdaniami, co bardzo ułatwiało tłumaczenie. Był jedynym politykiem PRL, od którego wraz z kolegą z MSZ, po kolejnych ciężkich rozmowach z bodaj egipską delegacją w Warszawie otrzymaliśmy prezent - po sześć kryształowych kieliszków do wina. Inna rzecz, że przez dwa dni tłumaczyliśmy od rana do wieczora teksty specjalistyczne. Kilka lat później, po pożegnaniu na lotnisku wojskowym jednej z delegacji, Generał brał po uwagę awansowanie mnie „na wyższy stopień oficerski”. Sprawa umarła śmiercią naturalną, gdy poinformowałem, że karierę wojskową zakończyłem na pierwszym roku Studium Wojskowego w Łodzi w stopniu starszego szeregowego. Inaczej niż w przypadku rosyjskiego tłumacza Józefa Stalina. Sowiecki dyktator, pytany przez Mao Tse Tunga, czy ich rozmowę tłumaczy generał, potwierdził i niezwłocznie nadał tłumaczowi ten stopień.



WSPÓŁPRACA Z EGIPTEM I SUDANEM

Mój świat referenta nie ograniczał się do Libii. Egipt również przypominał o sobie. Kraj ten zdecydowanie dominował wśród naszych partnerów w wymiarze politycznym, choć jedynie w niewielkim stopniu przekładało się to na dynamikę kontaktów, zwłaszcza na najwyższym szczeblu. Po części dlatego, że zainteresowanie naszych polityków piramidami nie było kompatybilne z chęcią podróżowania Egipcjan nad Wisłę. A w relacjach między państwami wymagana jest wzajemność. Klimat stosunków politycznych ochładzał się, między innymi z powodu decyzji Kairu o zamknięciu w 1976 roku naszych placówek konsularnych w Aleksandrii i Port Saidzie. Kulała też współpraca gospodarcza, zwłaszcza w porównaniu z Irakiem i Libią, mimo okresowo odbywających się sesji Komisji Mieszanej. Regularny charakter miały konsultacje między MSZ na szczeblu wiceministrów, w których raz, w 1976 roku, uczestniczyłem w Kairze. Egipcjan znów dziwił mój akcent libijski, co przyspieszyło proces odchodzenia od tego dialektu i powrót do języka literackiego, tyle że w bardziej kolokwialnym wydaniu. Przy okresowej rotacji w ramach świata arabskiego nadążanie za dialektami jest w zasadzie niemożliwe, zresztą w moim przekonaniu większość z nich w nieodległej przyszłości stanie się oddzielnymi językami. Występujące różnice są porównywalne z istniejącymi pomiędzy językami słowiańskimi, ale zróżnicowanie ma również charakter lokalny. Dialektalny stan rzeczy dobrze oddaje imię sułtana Omanu. *Qabus* oryginalnie może znaczyć „Gładkolicy”, ale jeśli wymówimy pierwszą literę jako „k” to już otrzymujemy „koszmar”. W dialekcie egipskim „q” brzmi natomiast „’a”, co daje „całuję”. *Mabsut* (*zadowolony*) jest powszechną formą odpowiedzi na pytanie „jak się czujesz”. Ale w Iraku to znaczy coś dokładnie odwrotnego. Stąd żartobliwe powiedzenie: „Zadowolony irackim zadowoleniem” (*mabsut basta ‘iraqija*). Cudzoziemcowi niełatwo się w tym pozbierać, ale i samym Arabom z różnych krajów często trudno uniknąć nieporozumień, gdy w rozmowie wtrącają naleciałości dialektalne. Pułapki czyhają zresztą też w języku literackim. Jest on językiem sylabowym, zapisywanym z reguły z pominięciem samogłosek, a o tym, z jaką spółgłoską mamy do czynienia, decydować może kropka lub jej brak. Pewnego razu jeden z osmańskich sułtanów zarządził „powszechny spis ludności imperium”

(*ihśaā*). Na kopii edyktu wysłanego do zarządcy Mezopotamii swój ślad nad literą „h” (ح) pozostawiła mucha sugerując „kastrację” (*ħisa’a*). Na szczęście gubernator przed literalnym wykonaniem polecenia wolał się upewnić w Wysokiej Porcie. O konsekwencjach nieprawidłowej wymowy nie wspominam. Udział Polski w Siłach ONZ na egipskim Synaju nie przekładał się w istotnym stopniu na dwustronną współpracę resortów obrony, miał natomiast poważne znaczenie międzynarodowe i prestiżowe. Nasi wojskowi znaleźli się tam po wojnie 1973 roku, na skutek wyraźnego nalegania ZSRR i mimo pierwotnych zastrzeżeń USA, które preferowały Rumunię. Henry Kissinger sformułował swoje obiekcje w rozmowie z ambasadorem USA przy ONZ Johnem A. Scalim w następujący sposób: „(...) Polska? (...) z jej długą i znakomitą historią miłości do narodu żydowskiego. Nie mieli żadnego pogromu od czasu, gdy wyjechał ostatni Żyd”. Z polskiego kontyngentu w UNEF w 1974 roku wyłoniła się grupa wydzielona do Sił ONZ na syryjskich Wzgórzach Golan. W MSZ oba kontyngenty były obsługiwane wspólnie, w bieżącej współpracy z MON. W Polskim Kontyngencie Wojskowym działali doradcy z MSZ w stopniach oficerskich. Do moich zadań należało załatwianie bieżących spraw organizacyjnych, koordynowanych wewnątrz resortu z Departamentem Międzynarodowych Organizacji, który dbał również o terminowe wywiązywanie się przez Sekretariat ONZ z obowiązków płatnika. Jednocześnie inicjowaliśmy pierwsze polskie dostawy sprzętu, wyposażenia i żywności dla całych sił, finansowane również przez ONZ. W MSZ trochę się z nas podśmiewano, gdy doprowadziliśmy do sprzedaży psów po szkoleniu specjalistycznym. Przestano żartować, gdy ujawnione zostały kwoty transakcji. Dla większości polskich wojskowych Bliski Wschód był z reguły pierwszą i jedyną wówczas okazją zetknięcia się z innym niż znany im na co dzień żołnierskim światem. Działali tam w jednej misji z należącymi do NATO Kanadyjczykami i przedstawicielami innych nacji spoza obozu, stykali się z Izraelczykami oraz egipskimi i syryjskimi wojskowymi. To wymagało znajomości angielskiego, przyczyniało się także do obalania stereotypów i budowania bardziej otwartych postaw. Stare oczywiście nie poddawało się łatwo. W 1985 roku, gdy świeżo wróciłem z Jordanii, miałem wykład na temat konfliktu bliskowschodniego dla kadry Sztabu Generalnego. Kiedy mówiłem o realiach i nieuchronnym krachu polityki ZSRR w regionie, spotkałem się z totalną krytyką grupki oficerów za defetyzm, co wyglądało naprawdę groźnie.

Bardzo ciekawe i konkretne były natomiast przedwyjazdowe szkolenia dla oficerów kolejnych zmian PKW, obejmujące problematykę regionalną, prawno-międzynarodową i kulturową, na które jeździłem do jednostek w kraju co pół roku.

Na szerokim marginesie pozostawała problematyka sudańska, choć sporadyczne kontakty zmuszały do bieżącej aktualizacji materiałów informacyjnych. Ambasador z Kairu przyjeżdżał do Chartumu dość regularnie, podobnie jak sudański z Moskwy do Warszawy. Nie było jednak wymiany delegacji. Podpisana w 1975 roku umowa handlowa ustabilizowała polski eksport, który przez kilka dekad utrzymywał się na poziomie kilku-kilkunastu milionów USD. Jednocześnie trwała wieloletnia współpraca w dziedzinie usług agrolotniczych PEZETEL. W Polsce studiowała grupa Sudańczyków, z którymi nigdy nie było większych problemów. Sudanem praktycznie od początku istnienia Polskiej Stacji Badawczej w Kairze, założonej w 1959 roku przez profesora Kazimierza Michałowskiego, interesowali się polscy archeolodzy. Spektakularnym tego efektem było między innymi wydobycie spod ton piasku skarbów kultury z Faras. Dzieło wielkiego Polaka na Bliskim Wschodzie kontynuowali jego następcy, spośród których najbliższe relacje łączyły mnie z profesorami Michałem Gawlikowskim i Piotrem Bielińskim. Wspomnę, że zachodni badacze długo nie mogli uwierzyć w rdzenny afrykański, „czarny” charakter starożytnej cywilizacji Nubii, co znacznie opóźniło również odczytanie jej języka. Okazji do pobytu w Sudanie nie miałem i Chartum jest jedyną stolicą arabską, której nigdy nie odwiedziłem. W 1989 roku byłem jednak w Port Sudanie, a właściwie na tamtejszym pasie betonu nazywanym szumnie lotniskiem, w składzie grupy operacyjnej, powołanej dla przejęcia i przewiezienia do Polski na pokładzie IŁ-18 członków załogi MS „Krzywousty”, uprowadzonych przez erytrejskich partyzantów. Była to jedna z kilku podobnych operacji ratunkowych z moim udziałem, w tym w irackim Kurdystanie, każdorazowo szczęśliwie zakończonych. W późniejszym okresie w Polsce zostało zorganizowane spotkanie przedstawicieli rządu sudańskiego i południowosudańskiego ruchu partyzanckiego. Była to jedna z nielicznych tego rodzaju polskich inicjatyw dyplomatycznych, których skuteczne kontynuowanie wymagałoby spełnienia twardych warunków, w tym bezstronności i kompetencji gospodarza oraz zdolności do zachowania tajemnicy.

W 1978 roku w Biurze Kadr zaproponowano mi wyjazd do ambasady w Kairze na stanowisko II sekretarza. Spowodowałem konsternację uwagami, że w Departamencie na propozycję wyjazdową prawie dwa razy dłużej niż ja oczekuje kolega o podobnych kwalifikacjach. Właśnie ożeniony, choć programowo bezpartyjny. Przyjęto to jako próbę ingerencji w politykę kadrową. W rezultacie to jednak Jan Natkański dostał nominację i wyjechał do Egiptu. W trakcie pobytu był naocznym świadkiem zabójstwa prezydenta Anwara Sadata w czasie uroczystej defilady wojskowej z udziałem dyplomatów. Tego jednak nie mogłem przewidzieć. Podczas pożegnania dyrektor Departamentu, Antoni Pierzchała, kompetentny dyplomata i człowiek z zasadami, powiedział o okolicznościach tego wyjazdu, za co mam do niego ogromne uznanie. Na kolejną propozycję rotacyjną czekałem jeszcze dwa lata, urozmaicone skierowaniem na roczne Studium Podyplomowe Służby Zagranicznej przy Wyższej Szkole Nauk Społecznych. Podczas wykładów i spotkań wykładowcy i prelegenci, a byli wśród nich wybitni przedstawiciele nurtu reformatorskiego, bez ogródek mówili o skali kryzysu dotyczącego Polskę. Formowali głęboko krytyczne opinie o stanie rzeczy w państwie i konieczności głębokich reform systemowych. Głosy te brzmiały jak opinie dysydentów, mimo że padały z ust czołowych naukowców i członków aparatu władzy. *Signum temporis*, nie zawsze w bieżącej gorączce pracy uświadamiane, jeśli chodzi o kipiący pod powierzchnią dramatyzm wydarzeń zmierzających do stanu wojennego. Żywe dyskusje podczas zajęć prowadziły do wniosków o konieczności gruntownego zreformowania systemu, choć raczej nikt wówczas nie przewidywał, że jedynym rozwiązaniem będzie jego obalenie. Dla mnie masowy ruch „Solidarności” od początku stanowił potwierdzenie zbiorowej mądrości narodu, który nie chce niekompetentnej władzy i jest odporny na propagandę. Widziałem w nim także szansę wymuszenia reform usuwających patologie i zapewniających lepszą przyszłość kraju, dzięki wykorzystaniu potencjału całego narodu. Uważałem przy tym, że rzeczywista linia podziałów w Polsce przebiega w poprzek układów politycznych, gdyż w każdym środowisku byli ludzie kompetentni i gotowi dobrze służyć państwu oraz tacy, którzy kierowali się egoistycznym interesem, nienawiścią i instynktem burzenia bez oglądania się na konsekwencje i na to, z jakich zagranicznych źródeł są sponsorowani. Wierzyłem w sojusz tych pierwszych, co jednak niestety w naszej rzeczywistości nigdy do końca nie zaistniało. Jednocześnie znajomość

stosunków międzynarodowych skłaniała do konstatacji, że polska rewolucja nie dokonuje się w próżni, a jej przebieg, sukces i konsekwencje zależą również od rozwoju stosunków globalnych, powiązanych z oddziaływaniem światowych graczy realizujących własne partykularne interesy.

Kwestia mojego wyjazdu na placówkę wróciła jesienią 1980 roku. Mimo coraz silniejszego zaciskania pasa i cięć budżetowych MSZ zdecydował się utworzyć etat dyplomatyczny na placówce handlowej w Ammanie. *Déjà-vu!* Miałem w pojedynkę zająć się całą problematyką z zakresu kompetencji MSZ, od spraw politycznych po kulturalne i konsularne. Ofertę przyjąłem z radością, widząc w niej wyzwanie porównywalne z podjętym w Libii. Nie uwzględniłem tego, jak różne mogą być placówki i czasy. Zamiast wymaganego braku zastrzeżeń służby odpowiedziały MSZ, że sprawę mojego wyjazdu do Jordanii „pozostawiają do decyzji resortu”. Przypuszczam, że jednym z powodów takiego postawienia sprawy mógł być przebieg spotkania, na które kilka tygodni wcześniej zostałem telefonicznie zaproszony do warszawskiej Kawiarni na Rozdrożu. Dwaj panowie o trudnych do zapamiętania nazwiskach, zapewne o proweniencji wojskowej, poinformowali mnie przy kawie, że „służby” mogą potrzebować materiałów dotyczących Jordanii i zapytali, czy gotów byłbym okazać w tym zakresie pomoc. Odpowiedziałem, że jako pracownik MSZ na placówce zobowiązany jestem realizować dyspozycje otrzymywane z własnego resortu lub za jego pośrednictwem. Zapłacili za kawę, prosili o dyskrecję i na tym kontakt się zakończył. O rozmowie poinformowałem jednak dyrektora swego Departamentu. MSZ propozycji wyjazdu do Jordanii nie cofnął, co w zasadniczym stopniu zawdzięczam ówczesnemu dyrektorowi Biura Kadr, Stanisławowi Matoskowi, przez kilka lat mojemu bezpośredniemu przełożonemu w Departamencie V. Procedurę doprowadzono do końca, choć – wbrew pierwotnym zapowiedziom – do stanowiska dodano mi jedną kreseczkę i dostałem nominację na II sekretarza Ambasady. Stało się to głównie za sprawą starszego kolegi po MGIMO, też z bliskowschodnią specjalizacją. Zaprotestował, że to zbyt duży awans dla kogoś, kto dotąd „był tłumaczem”, a z poprzedniej placówki wrócił jako attaché. Opinię sekretarza podstawowej organizacji partyjnej trudno było zignorować, zwłaszcza wobec wcześniejszego stanowiska „służb”. Interwencja była dyskretna, ale w MSZ

niewiele jest spraw personalnych, które wcześniej czy później stają się tajemnicą poliszynela. Nie protestowałem, a dzięki koledze drabinka moich szczebli dyplomatycznych jest bardziej pełna. Tym razem nie musiałem brać urlopu bezpłatnego i zmieniać resortu, co było również znakiem czasu. Nominację z Ministerstwa Handlu Zagranicznego jednak również otrzymałem. Pracę w Departamencie zakończyłem w stopniu starszego eksperta, z wynagrodzeniem blisko 5,5 tysiąca złotych, co z kolei było *signum* pogłębiającej się inflacji.

Zamyśl wmontowania pracownika MSZ w strukturę ambasady w Ammanie, mającej profil handlowy, miał szerszy kontekst. W resorcie narastało przekonanie o potrzebie przygotowywania gruntu pod odbudowę stosunków z Izraelem oraz o konieczności uwzględnienia w planach politycznych rysujących się realnych zmian na Bliskim Wschodzie. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że wpływy ZSRR w tym regionie ulegają erozji, a perspektywy wyłaniającego się procesu pokojowego oraz rozwiązania problemu palestyńskiego w ewentualnym powiązaniu z Jordanią będą zależeć głównie od USA i Izraela, podobnie jak rozwój sytuacji w Libanie. Nadzieje na pozytywne zmiany były przesadzone, niemniej koncepcja monitorowania spraw izraelskich, a także palestyńskich, z Ammanu miała solidne uzasadnienie. Prozachodnia Jordania od lat miała nieformalne kanały komunikacji z Izraelem, w tym na najwyższym szczeblu, i pozostawała istotnym graczem w sprawach Zachodniego Brzegu i wschodniej Jerozolimy. Znaczenie Królestwa wzrosło dodatkowo po zwycięstwie rewolucji islamskiej w Iranie w 1979 roku, co zmieniało regionalny układ sił i zapowiadało konflikt z Irakiem, ważnym partnerem gospodarczym Polski, dla którego Jordania była strategicznym zapleczem i właściwie jedynym bezpiecznym wyjściem na świat w warunkach wojny. Znalazło to potwierdzenie również po inwazji irackiej na Kuwejt. Ministerstwo oczekiwało głównie, że placówka w Ammanie podejmie działalność informacyjną, stanowiącą uzupełnienie funkcji realizowanych przez ambasady w Kairze, Damaszku i Bejrucie. W Tel Awiwie istniał wówczas jedynie oddział Banku Handlowego, ograniczający się raczej do zadań statutowych (Sekcja Interesów PRL, kierowana przez Stefana Kwiatkowskiego, została utworzona dopiero w 1986 roku). W niewielkim stopniu mój wyjazd łączono z rozszerzeniem pozagospodarczej współpracy dwustronnej, choć ten aspekt był podnoszony przez jordańskiego następcę

tronu, księcia Hassana, który odwiedził Warszawę w maju 1978 roku, jako pierwszy w historii stosunków polityk Królestwa.

Wyjeżdżając, miałem pełny obraz związanych z moją pracą oczekiwań, które pozostały aktualne przez cztery lata. W tym czasie Centrala w zasadzie zachowywała się głównie reaktywnie. Zadania dla całej placówki były przekazywane przez MSZ raz w roku w formie planu pracy, równoległe do podobnego dokumentu resortu handlu zagranicznego. Był to ramowy wykaz zadań, stanowiący załącznik do planu departamentu terytorialnego. W moim usytuowaniu była od początku pewna niekonsekwencja, ponieważ nie zaplanowano wyposażenia placówki w środki łączności niejawnej i jakichkolwiek dodatkowe fundusze na działalność. Nie uzyskałem też zgody na wyjazdy na Zachodni Brzeg, do okupowanej części Jerozolimy i do Izraela, co w przypadku placówek zachodnich w Ammanie było normalną praktyką, akceptowaną przez Jordańczyków i Izraelczyków.



Rozdział czwarty

W JORDAŃSKIM KRÓLESTWIE

AMMAN, 1981–1985

TRUDNE POCZĄTKI

Ambasada w Ammanie, będąca w rzeczywistości Biurem Rady Handlowego, działała od 1964 roku, w składzie dwóch pracowników etatowych. Organizacyjnie, budżetowo i merytorycznie była podległa MHZ. Resort handlu wypłacał też moją pensję, refundowaną przez MSZ. Radca handlowy pełnił funkcję chargé d'affaires. Rezydujący w odległym o dwieście kilometrów Damaszku ambasador zaglądał do Ammanu jedynie sporadycznie, traktowany przez placówkę jako zło konieczne. Drugi etat obsadzał attaché handlowy. Obie żony pracowały na ryczałtach. Lokalnych pracowników było trzech – sekretarz-tłumacz i kierowca, dość często zmieniani, oraz „osoba do wszystkiego i od zawsze” – Selim „Marian” Matar. Znał język polski, którego nauczył się jako dziecko w Palestynie, przygarnięty przez szkołę prowadzoną przez armię Andersa. Placówka miała opinię rekreacyjnej. Mimo okresowych wstrząsów wewnętrznych, Jordania na tle arabskiego otoczenia była krajem ustabilizowanym, bezpiecznym i uporządkowanym. Zawdzięczała to w równym stopniu w miarę dobremu zarządzaniu, co buforowemu usytuowaniu między Izraelem a dużymi krajami arabskimi, mającemu istotne znaczenie dla mocarstw zachodnich. W przekroju roku klimat był znośny, a w Ammanie porównywalny z jerozolimskim. Rany po wojnie domowej 1971 roku uległy zablźnieniu, a skomplikowane relacje między żywiołem jordańskim a palestyńskim były napięte, ale w miarę poprawne. Kraj oferował sporo atrakcji turystycznych i łatwość podróżowania do krajów ościennych. Waler stanowiło także rzadkie goszczenie delegacji z Warszawy. Niewielki ustabilizowany eksport, realizowany za pośrednictwem lokalnych agentów, nie wymagał wysiłku. O imporcie fosfatów jeszcze u nas nie myślano.

Przylecieliśmy do Ammanu w trójkę, z postojem w Atenach, gdzie odebraliśmy wizy. Był styczeń 1981 roku. Nad miastem wisiały chmury śniegowe, temperatura zbliżała się do zera i wiał porywisty wiatr. W położonej na skalistych wzgórzach, na wysokości Zakopanego, jordańskiej stolicy panowało przenikliwe zimno. Na dodatek u Jarka, pierwszego dziecka na placówce, zidentyfikowano świnkę. Tylko trochę cieplejsze było wynajęte dla nas dwupokojowe mieszkanie na samym szczycie Dżebel Amman. Ogrzewanie miały zapewniać dwie *sobby*,

dość smrodliwe piecyki naftowe, które dawały ciepło głównie w bezpośrednim sąsiedztwie. Średnio temperatura wewnątrz nieco przekraczała dziesięć stopni. Wymusiłem zakup kaloryfera olejowego i był to pierwszy konflikt z otoczeniem. Umeblowanie składało się z kilku podstawowych mebli. Wady miała rekompensować bliskość ambasady, w budynku której na obszernych górnych kondygnacjach mieszkali radca i attaché, i ich żony. Po kilku miesiącach znalazłem podobnej wielkości dobrze umeblowane mieszkanie w małym domu na zielonym reprezentacyjnym III Rondzie tego samego wzgórza z centralnym ogrzewaniem. Zgodę otrzymałem, gdyż lokum było dużo tańsze od poprzedniego. Za sąsiadów mieliśmy właścicielkę, egipskiego dyplomatę - Husajna Wahbiego i małżeństwo polskich specjalistów - Alicję i Janusza Adamczyków. Otwierali oni drogę innym naszym ekspertom, napływającym w większej liczbie po przyjeździe do Damaszku dynamicznego i kompetentnego regionalnego przedstawiciela Polservice, Zbigniewa Curyły. Jego poprzednikom zdarzało się podejmować próby akwizycji w oparciu o szyldy firm w dzielnicy handlowej.

Zespół placówki przyjął mnie chłodno. Zakłócałem utrwaloną stabilizację. W Jordanii bez języka arabskiego dawano sobie radę, a w rozszerzaniu działalności mój szef nie widział żadnego pożytku. Na dzień dobry dowiedziałem się, że MHZ kategorycznie odrzucił wniosek MSZ o pół ryczałtu dla mojej żony. Kilka tygodni później to samo powiedziano w sprawie angielskiej szkoły dla Jarka, uzasadniając istnieniem bezpłatnej szkoły przy Ambasadzie ZSRR. Uważałem, że w rodzinie wystarczy jedna osoba wykształcona w rosyjskim systemie, ale odwołania poparte przez MSZ nic nie dały. Problem po części został rozwiązany przez samego Jarka. Po paru dniach ucześnień wyleciał on z rosyjskiego przedszkola. Postawił się rządzącej tam córce ambasadora Rafiqa Niszonowa i podczas szarpaniny podarł dziewczynce rzekomo cenną bluzkę z Uzbekistanu. Jej ojciec był wcześniej sekretarzem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii tej republiki. Skończyło się zapisaniem do szkoły w Warszawie i oddaniem pod opiekę dziadków. Dla mnie szef też widział podobne rozwiązanie. Po niespełna roku wniosował o przeniesienie na ważniejszą placówkę, uzasadniając nadmiarem kompetencji. MSZ inaczej oceniał moją pracę i zareagował awansem na I sekretarza Ambasady. Nie ułatwiło mi to życia na placówce, obfitującego w codzienne utrudnienia. W pierwszych miesiącach

nie stać mnie było na kupno samochodu, a system pożyczek na ten cel jeszcze nie istniał. Tymczasem odpłatne okazjonalne korzystanie z samochodu służbowego do celów prywatnych było zakazane. Po wieczornych przyjęciach wóz musiał być odstawiany pod ambasadę, choć i tam parkował przy ulicy. Przed zakończeniem pracy w Ammanie zadbałem, by podstawowe sprawy dotyczące mojego stanowiska zostały doprecyzowane pomiędzy obu resortami w Warszawie. Jeśli już wybiegłem w przyszłość, powiem jeszcze o charakterystycznym przypadku, jaki zdarzył się jesienią 1984 roku, wkrótce po zmianie kierownika placówki. Nowy radca handlowy, Jacek Szydłowski, energiczny handlowiec spoza resortowego kręgu wtajemniczenia, wprowadził z marszu szereg innowacji. Zrezygnował z zatrudniania własnej żony, odchodząc od praktyki powierzania małżonkom szefów placówki ryczałtu administracyjnego. Zadania te zlecił attaché handlowemu Zygmunutowi Podemskiemu, też od niedawna na placówce, po kolejnych rotacjach poprzedników – Eugeniusza Wędzichy i Wiesława Zapiska. Obejmowały one między innymi nadzór nad zakupami oleju opałowego do pieca centralnego ogrzewania. Jego ceny były bardzo wysokie. Jordania otrzymywała ropę z Arabii Saudyjskiej i Iraku na preferencyjnych warunkach lub w formie darowizn, przerabiała w rafinerii w Zarce i dodawała do produktów horrendalną marżę zasilającą niezmiennie dziurawy budżet. Na placówce od zawsze panowała psychoza wokół oszczędzania paliwa i przekrętów lokalnych dystrybutorów. Z tego względu przez lata trzymano się jednego dostawcy, starego Jordańczyka, znający jedynie język arabski. Przywoził olej w beczce zainstalowanej na wózku ciągnionym przez osła. Pierwsze napełnienie pod nowym nadzorem wykazało, że przy zatankowanym maksymalnie zbiorniku rachunek opiewa na sumę dwukrotnie mniejszą niż każdorazowo wcześniej. Zaniepokojony attaché zmierzył pojemność prostokątnego zbiornika w przyziemiu. Wynik zgadzał się z rachunkiem. „Nadpłata” w skali rocznej wynosiła kilka tysięcy USD. Komisja z MHZ potwierdziła oczywisty fakt, odnotowując, że jedynie z olejem resortowa komórka kontroli nie miała wcześniej do czynienia. Sprawę w 1985 roku rozpatrywał Sąd Wojewódzki w Warszawie, który jednak nie ustalił odpowiedzialnego za nadużycia. Wyjaśnień złożonych w Ambasadzie przez właściciela osiołka i beczki nie uwzględniono. Wszyscy polscy pracownicy zeznawali w charakterze świadków. Obrona sugerowała „spisek personelu”, który miałem inspirować.

Przed moim przyjazdem jedynym obszarem działalności placówki z zakresu kompetencji MSZ były sprawy konsularne, głównie wydawanie wiz i legalizacja dokumentów. Obowiązki te przejąłem od attaché handlowego Eugeniusza Wędzichy. W kraju odbyłem przeszkolenie (wyrafinowanych egzaminów jeszcze wtedy nie było) i posiadałem upoważnienie ministrów spraw zagranicznych i sprawiedliwości. Kontynuowałem tę działalność, rozszerzając jedynie ofertę tłumaczeń, wysoko wycenianych w taryfie, a wcześniej sporządzanych przez prywatne agencje. Bazę i koncepcję funkcjonowania w pozostałych dziedzinach – informacyjnej, analitycznej, prasowej, kulturalno-naukowej czy polonijnej i innych musiałem zbudować praktycznie od zera we własnym zakresie.

W ramach placówki mój status zastępcy szefa miał znaczenie wyłącznie formalne, za to liczył się w korpusie i miejscowych środowiskach, co ułatwiło szybkie nawiązanie wartościowych kontaktów. Dyplomaci stanowili główne źródło informacji, gdyż miejscowy MSZ i inne agendy rządowe pełniły rolę wybitnie wykonawczą w stosunku do kształtującej politykę i hermetycznej Kancelarii Dworu. Placówek było dwa razy mniej niż Trypolisie, ale najważniejsze – amerykańska, brytyjska, radziecka, chińska oraz wszystkich arabskich sąsiadów – były rozbudowane i kompetentne. Jordania prowadziła jednoznacznie prozachodnią politykę, ale pieniędzy i wsparcia rozwojowego szukała wszędzie, w tym w Moskwie i Pekinie. Kontakty przyniosły pomysł utworzenia Klubu Młodych Dyplomatów, o profilu dyskusyjnym i towarzyskim. Przez trzy lata byłem jego współprzewodniczącym, w pierwszym okresie wspólnie z I sekretarzem Ambasady USA, Matthew Gannonem, posiadaczem kota wytresowanego jak pies. Jednym z tematów spotkań dyskusyjnych były kwestie związane z masowym szkoleniem na terenie Jordanii mudżahedinów do walki z agresją sowiecką w Afganistanie. Pilotowany przez USA i finansowany głównie ze środków saudyjskich program nie stanowił w Ammanie specjalnej tajemnicy. Zawsze miałem tendencję do wybiegania w przyszłość i prowokowałem żywe dyskusje o konsekwencjach instrumentalnego wykorzystania radykalnego islamu jako narzędzia w zimnowojennej konfrontacji mocarstw i stawiałem pytania o zagospodarowanie go po wykonaniu zadania. Nie przewidywałem oczywiście, że ZSRR jest słabszy, niż sądzono, i do bije go Afganistan wraz z saudyjską grą cenami ropy naftowej. Zachodni

koledzy bagatelizowali zagrożenie ze strony islamistów, ale to nie oni mieli rację. Straciwszy radzieckiego wroga, bojownicy świętej wojny poszukali drugiego, zmieniając cele, rozszerzając krąg sponsorów i modyfikując formy terroru. Kilku członków Klubu spotkałem po niespełna dziesięciu latach w Bagdadzie, a także w Ammanie. Z zażenowaniem przyznawali mi rację. W tym czasie afgański projekt Zachodu żył już własnym życiem, pod marką Al-Kaidy. O Lockerby już wspominałem.

Dyskusje w Klubie owocowały kolejnymi notatkami przekazywanymi do MSZ, wraz z ocenami własnymi, pocztą dyplomatyczną, a okazjonalnie szyfrogramami z Damaszku. Większość tematów dotyczyła problematyki izraelsko-arabskiej, najwyżej cenionej w Warszawie. Miałem dobry kontakt z szefem Biura OWP w Ammanie, w którym wielu działaczy było nastawionych bardzo pragmatycznie do porozumienia z Izraelem, opartego o racjonalny kompromis. Pokazywano mi mapy Izraela i planowanego państwa palestyńskiego z zaznaczonymi fragmentami terytoriów do wzajemnej wymiany, podkreślając, że uwzględniają one izraelskie postulaty bezpieczeństwa. Uważano też, że Jordania w jakiejś formie stanie się stroną rozwiązania. Cóż, dyplomaci analizują i piszą, a życie kreśli własny scenariusz. Obserwacja procesów zachodzących w stosunkach Jordanii i Egiptu z Izraelem skłoniła mnie do postawienia w jednym z opracowań wniosku o potrzebie przyspieszenia naszej normalizacji stosunków z Izraelem. Było jawne i rozesłane na szerszy rozdzielnik, co w Warszawie narobiło nieco zamieszania. Regularnie wysyłałem materiały z prasy arabskiej, z której zawsze można było wyłowić istotne informacje, weryfikowane dzięki roboczym relacjom z redaktorami naczelnymi kilku gazet. Prywatne media były w Jordanii formalnie niezależne, ale błędy autocenzury skutkowały konfiskatą numeru, zamknięciem tytułu lub aresztami. W rozeznaniu realiów regionalnych pomagał dostęp do kanałów telewizyjnych sąsiadów – Izraela, Syrii, a okresowo także Egiptu i Libanu. W erze poprzedzającej powszechną telewizję satelitarną stacje te można było odbierać w Ammanie dzięki bardzo drogim antenom kierunkowym. Usytuowanie mojego drugiego lokum i zwykłego masztu antenowego pozwalało jednak na ręczne nastawianie. Wędrując po kanałach, słuchałem niejednokrotnie wzajemnie wykluczających się relacji.

STAN WOJENNY Z PERSPEKTYWY AMMANU

W okresie stanu wojennego w Polsce praca informacyjna i konsularna stały się w zasadzie jedyną formą mojej działalności, choć w Jordani, z własnym permanentnym stanem wyjątkowym, wydarzenie to nie zrobiło większego wrażenia. Oryginalnym wyjątkiem była promocja tomiku wierszy Karola Wojtyły, *Papież – Poeta*. Było to pierwsze wydanie poezji polskiego papieża w języku arabskim, tłumaczonych z języka francuskiego przez jordańskich chrześcijańskich intelektualistów – Noela Abdulhada i George’a Musleha, którym przez kilka miesięcy pomagałem konfrontować prace z polskim tekstem. Z profesorem Noelem w kolejnych latach współpracowałem nad nowymi tłumaczeniami wierszy, publikowanymi w arabskiej prasie. Należał on do społeczności asyryjskiej, jednej ze wspólnot Kościoła Wschodu, który w Jordani oraz w całym regionie i na jego dalekich peryferiach rozwijał się od czasów chrystusowych, skutecznie konkurując z judaizmem, wypierając pogaństwo i pomagając rzeszom wiernych przetrwać pod panowaniem islamu. W momencie inwazji muzułmańskiej w VII wieku chrześcijanie dominowali w całym regionie. W Jordani zachowały się obecnie niewielkie podzielone wspólnoty oraz liczne ślady wczesnego chrześcijaństwa, łącznie z miejscem chrztu Chrystusa na wschodnim brzegu Jordanu, pozostałościami świątyń, klasztorów i innych miejsc kultu, a także wiele miejsc wymienionych w Biblii.

Jordańska opinia publiczna była nieźle poinformowana o konsekwencjach stanu wojennego w Polsce. Lokalne media korzystały z materiałów światowych agencji, ale zamieszczały również wiele komentarzy własnych. Do najbardziej dyskutowanych należał artykuł redakcyjny w dzienniku „Dustur”, autorstwa Leitha Szpilata, prezesa Związku Zawodowego Inżynierów i późniejszego znanego opozycjonisty i działacza na rzecz praw obywatelskich. Odnotowując dramatyczne realia „wojny” w naszym kraju, zazdrościł narodowi polskiemu i „Solidarności” ogromnego międzynarodowego wsparcia. I porównywał je z reakcją Zachodu na zbrodnie bliskowschodnich reżimów oraz los Palestyńczyków. Tytuł warto przywołać, słowa „Ja nijalak, ja Bolandi!” („Ależ macie szczęście, Polacy!”) do dzisiaj pamiętane są w związanych z Polską środowiskach jordańskich, zostały bowiem

rozciągnięte również na okres transformacji. Odnotowaliśmy też protest. Do Ambasady wpłynęło pismo sekretariatu generalnego sponzorowanej przez Saudyjczyków Ligi Świata Muzułmańskiego, doręczone przez lokalne biuro w Ammanie. Żądano „natychmiastowego zaprzestania represji polskich władz wobec mniejszości muzułmańskiej”, grożąc demonstracjami przed placówką, co jak na zwyczaje jordańskie byłoby ewenementem. Uznałem, że przed poinformowaniem Warszawy należy podjąć próbę wyjaśnienia sprawy na miejscu. Władze PRL w tym okresie miały wiele grzechów na sumieniu, ale o tym, by robiły krzywdę muzułmanom, nikt nie słyszał. Poszedłem pieszo na uzgodnione telefonicznie spotkanie z sygnatariuszami pisma, do ich siedziby mieszczącej się w bezpośrednim sąsiedztwie Ambasady. W wielkiej sali, przy stole przykrytym zielonym sukniem, czekało na mnie trzech brodaczy. Odpowiedzieli na pozdrowienie i nie podnosząc się, wskazywali mi pojedyncze krzesło naprzeciwko stołu. I zapadła cisza. Miałem wrażenie, że jestem na egzaminie, tyle, że przez dłuższą chwilę nikt mnie o nic nie pytał. W końcu sam przerwałem milczenie wyuczonym na tę okazję cytatem z Koranu: „In dża’akum fasikun binaba’in fa tabajjanu an tusibu kauman bidżahala” („Jeśli przyjdzie do was jakiś zły człowiek z wieścią, to starajcie się rozeznaczyć, żebyście nie urazili ludzi nieświadomie... i abyście potem nie żałowali tego, co uczyniliście” – interpretacja kanonicznego tekstu arabskiego za prof. J. Bielawskim, podobnie jak inne tego rodzaju cytaty zawarte w książce). Panowie spojrzeli po sobie i po chwili siedzący w środku z pełną powagą odezwał się słowami: „Bracie, przyjmujemy twoje świadectwo i uznajemy sprawę za niebyłą. Musieliśmy zostać wprowadzeni w błąd”. Był to chyba mój największy sukces kulturowy w karierze. Z ich biurem do końca pobytu w Ammanie podtrzymywałem kontakt roboczy, odwzajemniany kierowaniem do Ambasady saudyjskich biznesmenów, z pominięciem jordańskich pośredników. Delegacja Ligi odwiedziła Polskę w 1986 roku, a jeden z jej członków, Mohammad al-Aboudi, wydał w Arabii Saudyjskiej książkę z wrażeniami z tej podróży, pierwszą tego rodzaju. Relacje odnowiłem w Rijadzie, gdzie okazały się niezwykle pomocne. Co ciekawe, wykorzystany przed laty werset koraniczny pochodzi z krótkiej koranicznej sury (*Al-Hudżurat*), której inny fragment widnieje przy wejściu do pięknego kompleksu ambasady saudyjskiej w Warszawie, zbudowanego w 2015 roku. Został umieszczony również na medalu, według projektu Hanny Jelonek, wybitym na zamówienie

Saudyjczyków przez Mennicę Polską z tej okazji oraz dla upamiętnienia 20. rocznicy ustanowienia stosunków dyplomatycznych z Polską. Warto zapamiętać te słowa: „O ludzie! Stworzyliśmy was z mężczyzny i kobiety i uczyniliśmy was ludami i plemionami, abyście się wzajemnie znali”. W Koranie, będącym przypomnieniem słowa głoszonego przez wcześniejszych proroków, tak jak w innych świętych księgach, można znaleźć zarówno treści nienawistne, jak i budujące zgodę oraz nawołujące do pokoju i współpracy.



POLSKIE LOBBY I POLACY W JORDANII

Polska miała w Jordanii kapitał i lobby w postaci absolwentów polskich uczelni. Było ich kilkudziesięciu, głównie lekarzy i inżynierów, ale także intelektualistów, jak dr Saleh Hamarneh. Pierwsi rdzenni Jordańczycy kończyli studia jeszcze w latach 60. Byli finansowani ze swego rodzaju stypendiów plemiennych, co motywowało ich do solidnej nauki i niezwłocznego powrotu z dyplomem do kraju, gdzie żenili się z Jordankami i szybko osiągali liczącą się pozycję zawodową. Dr Jahja Chres założył pierwszy w regionie bank krwi. Dr Ezzeddin Tall stał się znanym inżynierem i działaczem związkowym. O dr Hamarneh już wspominałem. Dr Trad al-Kadi został ministrem zdrowia, niestety na krótko. Premier, by się go pozbyć, zarzucił mu na posiedzeniu rządu brak nadzoru nad publicznym szpitalem w Ammanie. Zmarł tam chłopiec, który połknął drobną monetę. Trad, znany z uczciwości, odpowiedział, że rzeczywiście może to szokować w kraju, w którym wielu dygnitarzy, obecnych przy stole nie wykluczając, połyka miliony dolarów i ma się świetnie. Król Husajn walczył z korupcją, ale rezultaty można porównać do wojny Zachodu z islamskim terroryzmem. Głośna była akcja rozliczania dostojników realizowana pod hasłem „min ejna laka haza?” („skąd to masz?”). Skończyła się po cichu, chyba w trosce o to, by nie zdziesiątkować dygnitarzy wywodzących się z kilku klanów, mających silne korzenie w strukturach rodowo-plemiennych i siłowych, stanowiących ostoję monarchii.

Dr Trad był jednym z najbardziej szanowanych ludzi w Jordanii. Zawsze publicznie podkreślał związki z Polską. W swym domu w Irbidzie kultywował jednak stare beduińskie tradycje. Zawsze sam obsługiwał gości. Był nieocenionym źródłem wiedzy o prawie zwyczajowym, w Jordanii powszechnie stosowanym. Dzięki niemu zainteresowałem się tym systemem. Kilkakrotnie obserwowałem rytuał wykonywania polubownych ustaleń starszyny rodowej. W jednym konkretnym przypadku rodzina poszkodowanego w wypadku drogowym – po przeliczeniu ustalonego odszkodowania w postaci produktów żywnościowych – poleciła ponowne załadowanie ich na ciężarówkę i zwrócenie rodzinie sprawcy. Chodziło o honorowe zakończenie sporu, a nie o majątek. O zasięgu tej procedury świadczyło istnienie

firm wypożyczających towary, odwożone do magazynu po formalnym przekazaniu i przeliczeniu. Znałem też przypadek decyzji sędziego sądu publicznego, na mocy której aresztowano obu uczestników sporu, gdy przyznali, że nie skorzystali wcześniej z procedury przewidzianej w „Kanun al-‘Aszair” (prawie rodów, zwyczajowym). Oj, przydałby się podobny system w Polsce. Plemienne zwyczaje nie zawsze miały jednak jedynie pozytywne strony. W jordańskiej wyboistej drodze do demokracji oznaczały na przykład głosowanie w wyborach na swojego kandydata, w rzeczywistości utrwalające tradycyjne podziały. Należy odnotować jeszcze jedną osobę z tego pokolenia – farmaceutę Abderraufa Rawabdeh, który na przełomie wieków był merem Ammanu, premierem, a następnie przewodniczącym pierwszego rozszerzonego Senatu. Nie dbał on chyba jednak o akcentowanie swych studenckich więzi z Polską.

Spośród absolwentów kolejnych dekad większość stanowili Palestyńczycy. Tylko niektórzy po studiach wracali na terytoria palestyńskie i do Jordanii, gdzie wielu z nich z trudem znajdowało pracę, korzystając w pierwszym okresie z pomocy rodziny. W tej grupie ożenieni z Polkami nie należeli do wyjątków. Część tych związków była udana i trwała, tak jak w przypadku naszych przyjaciół z tamtego okresu – Eli i Azmiego Attounów, Ewy i Sziblego Dżaberów czy Małgosi i Adnana Zaghlulów. Kontakty z nimi przetrwały próbę czasu, zachowując trwałość również w kolejnym pokoleniu. Współpracując z absolwentami i pomagając im w miarę możliwości, zajmowałem się jednocześnie naborem nowych studentów. Dokonywałem wstępnej selekcji napływających zgłoszeń na podstawie szkolnych świadectw, które stanowiły podstawę zakwalifikowania na test kompetencyjny, sprawdzany w Warszawie. Każdego roku aplikowało około stu kandydatów, z których akceptację i skierowanie na kurs języka polskiego uzyskiwało 20–25%. Ponad połowa była przyjmowana na studia odpłatne. Swoich studentów spotykałem później w różnych miejscach świata. Często próbowali się angażować w promocję współpracy gospodarczej i handlu z Polską, choć rzadko z powodzeniem, również po transformacji. Niestety nie dopracowaliśmy się rozwiązań systemowych, mimo istnienia modeli wypracowanych w innych państwach. Sam po kilku kursach w Wilton Park i innych ośrodkach brytyjskich, jeszcze w latach osiemdziesiątych, do dziś jako absolwent

otrzymuję materiały informacyjne, zaproszenia i oferty. Również moja moskiewska Alma Mater od ponad dwudziestu lat też prowadzi różnicowany program podtrzymywania kontaktów z wychowankami na całym świecie, choć w tym przypadku po stronie polskiej odzew jest minimalny.

Studenci i absolwenci napędzali czynności konsularne, od poświadczeń dokumentów po ich tłumaczenia oraz wizy, również dla członków rodzin i znajomych. Wydawałem je jednoosobowo, przez część pobytu prowadząc również kasę konsularną, wbrew przepisom i mimo interwencji w kraju. Korzystałem jednak z pomocy lokalnego sekretarza, który wypełniał aplikacje wizowe. Sami zainteresowani z używaniem łacińskich liter mieli zawsze problem. W okresie letnim wydawałem średnio do trzydziestu wiz turystycznych dziennie oraz po kilka biznesowych i studenckich. Wizy były wówczas stemplowane w paszportach i wypisywane ręcznie. W zależności od okresu i kategorii wizy należało uzyskać zgodę kraju lub można było podjąć decyzję we własnym zakresie, informując kraj (również o odmowach). Mieliśmy wykaz osób niepożądanych, przez który czasem ktoś próbował się prześlizgnąć, na przykład proponując przyjęcie z wymienionym paszportem, z też prawdziwym, ale zmodyfikowanym nazwiskiem, co było możliwe poprzez zmianę transkrypcji lub dopisanie kolejnego członu. W takich przypadkach dojście do ładu, bez znajomości języka arabskiego oraz systemu komponowania nazwisk i wariantów transkrypcji, było bardzo trudne. Dla ułatwienia tłumaczeń polskich dokumentów powtarzalnych, jak prawa jazdy i dokumenty stanu cywilnego, stosowałem matrycę wypełnianą przez sekretarza lub dyktowałem mu tekst arabski. W drugą stronę nie miałem już kim się wyręczyć. Stosowanie zwolnień lub obniżania opłat wymagało sporządzania uzasadnienia. W krajach arabskich sytuację materialną poszczególnych osób nie trudno ustalić. Bezrobotnych dyplomantów nagminnie zwalniałem z opłat. Po otrzymaniu pracy z reguły wracali uregulować dług. Od 1983 roku roczne wpływy konsularne były porównywalne z kosztami utrzymania mojego etatu.

W obszarze konsularnym zawsze zdarzały się sytuacje nietypowe. Pewnego razu do „Pana Konsulata” zgłosiła się krzepka białostoczaneczka i Jordańczyk z górskiego Irbidu, którzy się przedstawili jako małżeństwo i prosili o podjęcie czynności niezbędnych do uzyskania przez

kobietę polskiego paszportu konsularnego, dającego wówczas prawo do stałego pobytu za granicą. Polce był on potrzebny do osiedlenia się w Jordanii bez zmiany obywatelstwa. Nie mieli jednak koniecznego w tym przypadku aktu ślubu, a jedynie jordańskie poświadczenie istnienia małżeństwa. Ślub wzięli w Berlinie Zachodnim, u Turka, który – jak uważano – miał prawo udzielania związków szariackich. Nie wystawiał natomiast jakichkolwiek dokumentów. Urząd Stanu Cywilnego w Irbidzie potwierdził na piśmie istnienie małżeństwa na podstawie ustnych oświadczeń zainteresowanych i dwóch świadków z rodziny. By rozwiązać dylemat doradziłem... rozwód i ponowne zawarcie małżeństwa zgodnie z prawem jordańskim. Dzięki wpływom rodziny udało im się obejść szariacki przepis wymagający, by rozwiedziona kobieta przed ponownym poślubieniem tego samego mężczyzny była zamężna z innym. Po dwóch dniach wrócili z formalnym aktem ślubu. A potem zaczęły się rodzić dzieci, które zobaczyłem po kilku latach, przyjeżdżając do Jordanii z Bagdadu. Ambasadę odwiedzały również polskie siostry zakonne z Zachodniego Brzegu i Jerozolimy, prosząc o pomoc w przebicciu się przez gąszcz jordańskiej biurokracji, w gestii której pozostawało wiele spraw z obszaru ziem okupowanych. Rewanżowały się butelką wina z adnotacją na etykiecie, że pochodzi z Ziemi Świętej, z reguły wspólnie wypijaną. Latroun i inne niedrogie gatunki lokalnego wina nie były może z najwyższej półki, ale miały posmak kultowy. Stanowiły też najlepszy prezent do wręczenia w Polsce. Czasami można było je kupić również w Jordanii, gdzie alkohol nie był dyskryminowany. Może z wyjątkiem okresu ramadanu, kiedy stoiska z alkoholem zasłaniano gazetami. Dekadę później odwiedziłem siostry w Starej Jerozolimie, gdzie wracając z Bagdadu po zakończeniu misji, zatrzymaliśmy się w domu zakonnym elżbietanek, przywożąc irackie daktyle.

W Ambasadzie obowiązywała zasada, że wszystkich interesantów częstuje się wodą, kawą lub herbatą, które – gdy brakowało środków – kupowałem na własny rachunek. Nie korzystaliśmy z żadnej ochrony, a furtkę od ulicy do głównego wejścia otwierało się każdemu, kto się zidentyfikował. Nikt nie czekał na wpuszczenie do pierwszej poczekalni. Otwartość jest też formą zapewnienia bezpieczeństwa. Nie oznacza to, że lekceważyliśmy jego wymogi. W Jordanii zdarzały się zamachy i akty terrorystyczne, choć miejscowe służby działały profesjonalnie. Sam nie odnotowałem żadnych zagrożeń, zresztą przez całe

dwadzieścia lat służby w poszczególnych krajach, co oczywiście nie znaczy, że nie mogło ich być. Pewnego razu przyszedł do mnie dziennikarz, Jordańczyk, rezydujący w Londynie i posiadający paszport brytyjski. Zaoferował opublikowanie artykułów o Polsce w wielkonakładowych mediach arabskich, o ile zostanie zaproszony do Warszawy. Sprawdzenie wiarygodności u redaktorów naczelnych miejscowych gazet przyniosło mieszane opinie. Poza tym uważałem taką inwestycję za marnowanie pieniędzy i nie nadałem sprawie biegu, jedynie rutynowo informując Warszawę. Wiele lat później nazwisko oferenta – „Nazzar”, imię wyleciało mi z pamięci, znalazłem w mediach. Na londyńskim lotnisku Heathrow zatrzymano jego narzeczoną w zaawansowanej ciąży, zamierzającą się udać samolotem El Al do Tel Awiwu z bombą w bagażu.



KULTURA I ZABYTKI

Po 1983 roku zaczął się ruch na odcinku kultury. Nawiązane kontakty i pomoc środowiska polonijnego pozwalały na ich podjęcie. Korzystałem ze wsparcia księżnej Widżdan, wieloletniej dyrektorki jordańskiej Galerii Narodowej. Księżna ceniła polską szkołę malarstwa i wpływ artystów ze środowiska „armii Andersa” na kształtowanie malarstwa w Iraku i innych krajach regionu. Znała dorobek Stefana Norblina, którego wojenne losy rzuciły do Iraku, gdzie namalował cykl portretów haszymidzkiej rodziny królewskiej. Ta utalentowana malarka, o tureckich korzeniach, stała się promotorką kilku naszych przedsięwzięć, niskobudżetowych, ale realizowanych z godną oprawą i nagłośnieniem. Jedno z nich mogło skończyć się skandalem. Przeglądowa wystawa polskich miniatur graficznych była pierwszą imprezą zagraniczną organizowaną w nowo otwartym Królewskim Centrum Kultury w Ammanie. Wernisaż zgromadził elitę kulturalną stolicy. Z Damaszku przyjechał ambasador Bogusław Kaczyński. Oprowadzając księżną w świetle telewizyjnych kamer, w pewnym momencie z przerażeniem zauważyłem, że jedna z kilku grafik na planzzy prezentuje zółwia z głową w kształcie penisa. Miniaturowy czy nie, ale mógł spowodować straszne zamieszanie. Szybko przeszedłem do następnego zestawu. Patronka mrugnęła okiem, ale nikt inny się nie zorientował. Reprodukcję usunęliśmy zaraz po wyjściu gości. Od tego czasu prezentowane publicznie obiekty brałem pod lupę. Przydawało się to również w Arabii Saudyjskiej, gdzie wśród otrzymywanych materiałów promocyjnych zdarzały się zdjęcia butelek z alkoholem, świń, osób w negliżu oraz luksusowo wydane albumy o treściach religijnych, w tym kraju nijak nienadające się do dystrybucji. Sposób promowania Polski za granicą niejednokrotnie zresztą wołał o pomstę do nieba, ale to już temat na oddzielną książkę. W latach 1981–1985 zapoczątkowane zostały również kontakty w dziedzinie archeologii i badania skoncentrowane w Dżarasz, jednym z najlepiej zachowanych miast rzymskich w całym regionie. Swój ślad odcisnęli tu Michał Gawlikowski z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego i Antoni Ostrasz, który w okresie mojego pobytu działał w ekipie międzynarodowej.

Wielkim atutem pracy w Królestwie była możliwość pobytu wśród otwartych, przyjaznych i gościnnych ludzi. Dotyczyło to całego przekroju społeczeństwa i w moim przypadku przyczyniło się do przejęcia kolejny raz pewnych naleciałości dialektalnych, które jednak w regionie nie kłują tak bardzo, jak libijskie. W relacjach dyplomatów z władzami obowiązywały standardy europejskie i uproszczony protokół. Korpusu nie ciągnano na podrzędne imprezy, a przykład normalności dawał król Husajn bin Talal, występujący latem w safari, mówiący krótko i rzeczowo. Korpus mógł naśladować gospodarzy. Nie pamiętam już, kto zasugerował mi przed wyjazdem wyposażenie się w czarny smoking na królewskie salony. Uszyłem go u krawca w Warszawie i była to droga inwestycja. W Ammanie w najlepszym razie przydawał się na składanie kondolencji, bo nawet przyjęcia u najbardziej egzaltowanych ekspatów nie były przesadnie celebrowane. Dostęp do króla, również dla większości ambasadorów, był czymś wyjątkowym. Natomiast królowa Nour, pełna wdzięku kobieta pochodzenia amerykańsko-libańskiego, patronowała wielu miejscowym imprezom, podczas których chętnie rozmawiała z dyplomatami – po angielsku, gdyż arabski znała słabo. W społeczeństwie popularnością nie dorównywała uwielbianej poprzedniczce – królowej Alii, Palestynce z Nablus, która zginęła w katastrofie helikoptera. Aktualny król – Abdullah II, również jest ożeniony z Palestynką, Ranią. W jakimś stopniu odzwierciedla to dwunarodowy charakter monarchii. Żywioł palestyński budował tu swe pozycje jeszcze w czasach osmańskich, gdy od miejscowych plemion można było kupić parę wzgórz za blok chałwy. Sabeih Masri, najbogatszy Palestyńczyk i właściciel Arab Banku, do dziś jest gwarantem stabilności systemu finansowego Królestwa. Jordańskie elity związane z aparatem władzy, wywodzące się z arystokracji hidżaskiej i osmańskiej, starszyny lokalnych plemion oraz nowobogackich środowisk biznesu były w całym przekroju społecznym najbardziej hermetyczne. Z kolei wyjątkowo otwarci na kontakty byli przedstawiciele klasy średniej, inteligencji, a także prości ludzie. Podobnie było w przypadku środowisk wywodzących się z Kaukazu o pochodzeniu czerkieskim lub czeczeńskim, jeśli zyskało się ich zaufanie. Byli to w większości potomkowie uczestników nieudanych powstań przeciwko caratowi i członków ruchu oporu na Kaukazie po rewolucji bolszewickiej, którzy tworzyli w Ammanie bardzo wpływowe środowisko, zachowując sentyment i powiązania z dawną ojczyzną. Jordańskie służby działały

wprawdzie sprawnie, niemniej, pozostawiono całkiem spory margines swobody kontaktów dyplomatów, o ile w grę nie wchodziło zagrożenie bezpieczeństwa. Nawet przypadkowe spotkania z Jordańczykami przy okazji wyjazdów turystycznych, na pikniki i grzybobranie w górach, do gorących źródeł, parków narodowych, górskich pasiek i winnic czy na pustynię okazywały się trwałe i bezinteresowne. Ożywały, gdy kilka lat później byłem znów w Jordanii częstym gościem, przyjeżdżając z Bagdadu. Traktowano mnie jako starego przyjaciela, nazywając - Abu Jarek (*Ojciec Jarka*). Jordania była też krajem dramatycznych kontrastów, biegunów bogactwa i biedy, obozów, w których uchodźcy palestyńscy wegetowali dekadami na skromnym międzynarodowym garnuszku.

Unikalną szansą była również możliwość poznania zabytków kraju, znajdującego się wówczas poza szlakami turystycznymi. Peryferyjne od późnej starożytności i słabo zaludnione tereny na wschodnim brzegu Jordanu pozostawały poza zasięgiem Europejczyków od czasów wojen krzyżowych aż po koniec XVIII wieku. W 1812 roku Johann L. Burchardt odkrył Petrę (Raqmu), jedną z największych pereł antycznego świata, a kilkanaście lat później unikatowe pozostałości dumnej stolicy nabatejskich Arabów, zostały uwiecznione w rysunkach Davida Robertsa. Odkrycie zapomnianej prawdy o tym miejscu było zaskoczeniem, gdyż nawet lokalni Beduini, pytani wówczas o budowniczych skalnego cudu sądzili, że ukryta w górach metropolia była dziełem żydowskich rąk. Fenomen architektury, technicznych rozwiązań i geniusz biznesowy Petry, do czego wróć jeszcze w saudyjskiej części książki, znalazł dzisiaj godne miejsce w światowym dziedzictwie. Warto budować w solidnym kamieniu. Inne antyczne miejsca w Jordanii nie miały tyle szczęścia. O prężnym biblijnym królestwie Moab przypominała jedynie tablica z tą nazwą, ustawiona przy kilku zaniedbanych domostwach przy drodze. Kiedyś rywalizowało ono o supremację na terenie Palestyny z Amonitami, Edomitami, Izraelitami, Judejczykami i Filistynami. W ramach Klubu Młodych Dyplomatów organizowaliśmy wycieczki domniemanym szlakiem wędrówek proroka Mojżesza (*ar. Musa*). Trasa od Wadi Musa i Akaby, skąd pochodziła mediańska żona tego Proroka, kończyła się przy kościele na Górze Nebo (od *ar. nabi* – prorok), nazywanej też Górą Przymierza (*Sjagha*). Stamtąd Mojżesz miał zobaczyć Jerozolimę i umrzeć. Ważnym

punktem było też odwiedzenie pobliskiej cerkwi pod wezwaniem św. Jerzego w Madabie, gdzie znajduje się mozaikowa podłoga z VI wieku przedstawiająca mapę Bliskiego Wschodu. W Jordanii historia relacji Żydów z innymi semickimi społecznościami spleta się w trudny do rozwikłania węzeł. Udział w rozwoju Petry miał arabsko-żydowski interes kadzidlany. Arabski Edom dał Jerozolimie królewską dynastię herodiańską, konwertytów na judaizm i władców o wątpliwej reputacji, zamieszanych w prześladowanie Chrystusa. Jeszcze wcześniej, równoległe z miastami Sumeru, rozwijało się osadnictwo i ośrodki miejskie trudnych do zidentyfikowania społeczności, w tym miasto Pella, niezwykle ważne również z punktu widzenia historii wczesnego chrześcijaństwa. W rzece Jordan chrzczony był Chrystus, choć gdy wówczas odwiedzaliśmy to miejsce, trwały jeszcze spory, czy rzeczywiście wydarzyło się to na jordańskim brzegu. Solidarnymi ofiarami wojen krzyżowych, po których przetrwało sześć monumentalnych zamków od Keraku po Adzlun, padali muzułmanie, Żydzi i wschodni chrześcijanie. Powstanie emiratu Transjordanii po upadku Imperium Osmańskiego i jego kształt terytorialny ściśle łączy się z procesem tworzenia państwa Izraela. Tutaj też pod Karameh leży miejsce ostatniej bitwy stoczonej przez armię izraelską z połączonymi siłami jordańsko-palestyńskimi w 1968 roku, wydarzenia, które powinno skłaniać wszystkie strony bliskowschodniej konfrontacji do refleksji o wyższości dyplomacji nad militarnym starciem.

Relacja byłaby niepełna bez powiedzenia kilku zdań o naturze. Morze Martwe stanowi najniższą położoną depresję na ziemi, 413 m p.p.m. W latach 80. duża część jordańskiego brzegu akwenu była zamkniętą strefą wojskową, pozbawioną jakiegokolwiek infrastruktury. Rejestracja dyplomatyczna umożliwiała wjazd samochodem od strony ujścia Jordanu jedynie kilkanaście kilometrów na południe. Było tam kilka miejsc, gdzie można było się zatrzymać przy strumykach spływających z gorących źródeł po skałach, idealnych, by splukać z ciała warstwę soli pozostającą po kąpieli i osad po przejściu przez brzeg usiany kamieniami i pokryty dziś drogocennym szlamem. Warunki do pikniku były idealne, nie licząc rojów much potrafiących zawsze zwęszyć okazję. W morzu po treningu dawało się pływać, niekiedy daleko od brzegu w pobliżu strefy izraelskiej, której jednak lepiej było nie przekraczać. Również Dolina Jordanu, stanowiąca część uskoku

tektonicznego i nieźle zagospodarowana rolniczo, była dostępna jedynie fragmentami. Krajobrazowo najbardziej niesamowite były formy skalne w największej dolinie kraju, Wadi Rum. Przemieszane warstwy granitu i porowatego piaskowca zatrzymują wodę z zimowych opadów, o czym, nie gorzej od Beduinów, wiedział Mojżesz używając laski, by ją uwolnić. Odniesieniem do tego właśnie regionu jest *Siedem filarów mądrości*, T.E. Lawrence’a, brytyjskiego historyka i agenta wywiadu, organizatora arabskiego powstania przeciwko Turkom. Brytyjczyk ciężko przeżył zdradzenie Arabów przez swój rząd, ale także osobiste upokorzenie ze strony tureckich żołdaków. Z Wadi Rum już niedaleko do jordańskiego skrawka Morza Czerwonego, który władcy Hidżazu zdołali wydzielić ze swego władztwa, zanim uciekli przed Saudami z Mekki. Dzięki temu Arabia Saudyjska nie ma wspólnej granicy lądowej z Izraelem, a Jordania posiada dostęp do morza, strategiczny port w Akabie oraz kilkanaście kilometrów przepięknej rafy koralowej. Jeśli mowa o granicach, należy dodać, że Brytyjczycy przypisali też do Jordanii spory pas pustyni wzdłuż granicy z Syrią, „żeby nie powtarzały się wypadki saudyjskich wahabitów na Damaszek”. Nie przewidzieli, że Beduini kiedyś przesiądą się z wielbłądów do bojowych samolotów. Jest to prawie w całości brzydka powulkaniczne pustynia, usiana czarnymi kamieniami. Mam do niej osobisty stosunek. To tam w 1984 roku w drodze do Bagdadu na prywatnego Sylwestra w naszej Ambasadzie, mieliśmy wypadek. Samochód wypadł z szutrowego fragmentu drogi i parę razy się obrócił. Nieoceniony staruszek, citroen DS, model pamiętający czasy de Gaulle’a i filmowego Fantomasa, kupiony po roku pobytu od naszego wyjeżdżającego attaché handlowego, ocalał pasażerów, ale sam był nie do odratowania. Refleksję ekologiczną budziły zachowane na północy kraju skromne pozostałości dawnych kompleksów leśnych, głównie dębowych, które istniały tam od starożytności po średniowiecze. Natomiast uzasadnioną nadzieję – rządowy program zalesiania, skoncentrowany na poszarpanych skalistych wzgórzach w sąsiedztwie Morza Martwego, gdzie w sosnowych zagajnikach rosły dorodne maślaki.

W Ammanie okres rotacji wynosił cztery lata. Nie starłem się o przedłużenie i w połowie lutego 1985 roku wróciłem do kraju. Pałeczkę przekazałem Andrzejowi Bierze, który w 2003 roku znalazł się tam ponownie jako pierwszy rezydujący ambasador.

Rozdział piąty

**OD REFERENTA
DO AMBASADORA**

WARSZAWA, 1985–1990

POWRÓT DO DEPARTAMENTU AFRYKI I BLISKIEGO WSCHODU

Otrzymałem poprzednie stanowisko pracy w MSZ, z identycznym zakresem obowiązków i awansem o kolejny szczebel, na radcę ministra. Dzięki inflacji zmierzającej do uczynienia Polaków milionerami, moja pensja z dodatkami wyniosła już 17 tysięcy złotych. Jordania tylko raz upomniała się o mnie. W 1985 r. poleciałem do Nowego Jorku, by tłumaczyć spotkanie gen. Wojciecha Jaruzelskiego z królem Husajnem podczas sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Jedynie czasy się zmieniły. Stosunki z Libią zaczęły wyhamowywać, mimo że do Trypolisu niezmiennie sunął potok delegacji różnego szczebla, szukających lekarstwa na kumulujące się w kraju problemy. Libijczycy nadal w miarę solidnie płacili i sami aktywnie szukali możliwości współpracy. Próba pełniejszego wykorzystania wciąż istniejącego potencjału była oficjalna wizyta w Trypolisie gen. Wojciecha Jaruzelskiego, jako przewodniczącego Rady Państwa, w końcu 1985 roku. Przyczyniła się do przejściowego postępu w sferze gospodarczej, ale w sprawach politycznych wykazała rozchodzenie się stanowisk. Byłem przydzielony do negocjowania wspólnego komunikatu, pod kierownictwem wiceministra spraw zagranicznych, Jana Majewskiego. Pracowaliśmy prawie non stop przez dwie doby, starając się złagodzić forsowaną przez Libijczyków retorykę bliskowschodnią, a gospodarze ciągle renegecjovali uzgodnione zapisy. W końcu udało się osiągnąć jakiś kompromis. Wracając w samolocie specjalnym, musiałem jeszcze zebrać robocze wkłady do notatki z rozmów branżowych i przygotować projekt depeszy informacyjnej o rezultatach wizyty, która po wylądowaniu w Warszawie została rozesłana do placówek dyplomatycznych. Obok w samolocie kolega pisał fragment notatki informacyjnej z rozmów plenarnych. Jeden z wiceministrów spojrział mu przez ramię i dał cenną radę: „Człowieku zamiast stosować dyplomatyczny żargon, pisz tak, „żeby nawet członek Biura Politycznego zrozumiał”. Była to trafna i niezmiennie aktualna wskazówka, którą staram się brać do serca. Gdy dotarłem do domu samochodem MSZ, spałem kilkanaście godzin bez przerwy. Obudził mnie telefon, z informacją, że jest afera, bo Libijczycy, zamiast uzgodnionej, opublikowali własną

wersję komunikatu, zawierającą bodaj siedem „potępień imperializmu i syjonizmu”, w sytuacji gdy rozstaliśmy się z dwoma. Ten przypadek do końca obrzydził mi prace nad komunikatami, oświadczeniami i pozbawionymi większego sensu formułami, ukochanymi w dyplomacji wielostronnej. Wizyta zapowiadała zmierzch rozwiniętych stosunków polsko-libijskich, choć rozłożony w czasie.

Od połowy lat osiemdziesiątych personel naszej Ambasady w Trypolisie i Konsulatu Generalnego w Benghazi, który w ciągu dekad od mojego wyjazdu z Libii zwiększył się kilkakrotnie, był stopniowo redukowany. Polityczna otoczka towarzysząca całokształtowi stosunków sprawiła, że w latach 1979-1990 do Trypolisu kierowano kolejnych ambasadorów spoza MSZ. Warto odnotować przypadek Stanisława Kukuryki, wcześniej ministra budownictwa i prezesa spółdzielczości mieszkaniowej. Wykazał rzadkie poczucie odpowiedzialności misji. Sumiennie odbył u mnie kilkutygodniową praktykę i prosił o zasugerowanie mu profesjonalnego zastępcy, co w podobnych sytuacjach w zachodnich służbach dyplomatycznych jest standardem. Wybór padł na Jana Natkańskiego i obaj panowie stworzyli skuteczny i sprawnie działający zespół. Symbolicznym sygnałem zmiany koniunktury w stosunkach z Libią było zniknięcie z polskiego rynku w 1985 roku „Al-Sadaki”, pisma społeczno-kulturalnego, wydawanego za libijskie pieniądze pod szyldem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Libijskiej. Tytuł pojawił się ponownie w 1990 roku i zgasł równie szybko, jak nadzieje na rewitalizację stosunków.

W 1985 roku Warszawę odwiedził minister spraw zagranicznych Egiptu, Esmat Abdelmegid, jeden z najwyższej klasy polityków i dyplomatów arabskich, jakich poznałem. Wizyta ożywiła kontakty dwustronne. Rok później z rewizytą w Kairze przebywał minister Marian Orzechowski. Leciliśmy samolotem rejsowym, kilka dni po katastrofie w Czarnobylu. We Frankfurcie służby niemieckie skrupulatnie sprawdziły nas licznikami Geigera, nie stwierdzając śladów napromieniowania. Istotnym celem podróży było kontynuowanie zabiegów o przyjazd do Warszawy prezydenta Hosniego Mubaraka, traktowany prestiżowo i blokujący zaplanowanie polskiej rewizyty w Egipcie. Egipski prezydent złożył taką deklarację, ale i tym razem nie przełożyła się ona na konkrety. Przyjechał dopiero w 2008 roku, na krótko przed swym

upadkiem i była to pierwsza w historii stosunków wizyta głowy państwa egipskiego w Polsce. Przekazane zaproszenie szybko skonsumował natomiast przewodniczący Rady Konsultacyjnej. Kontakty polskiego Sejmu z instytucjami raczkującego parlamentaryzmu w krajach arabskich stanowiły zawsze ważny element relacji dwustronnych, wspierający również współpracę gospodarczą. W okresie transformacji rolę tę przejął głównie Senat, w którego Kancelarii nad dobrym przygotowaniem kontaktów, walcząc z przeciwnościami, przez lata kompetentnie czuwała dyrektor Anna Szklennik. Ministrowi Orzechowskiemu udało się uzgodnić istotne sprawy związane z dalszym funkcjonowaniem Stacji Archeologii Śródziemnomorskiej w Kairze, będącej wizytówką polskiej obecności w Egipcie. Delegacja odwiedziła też wskrzeszaną przez Polaków świątynię królowej Hatszepsut w Deir el-Bahari. Niezależnie od trudności wewnętrznych i wyciągania ręki po kredyty, Egipt pozostawał liczącym się odbiorcą polskiego eksportu, w tym żywności oraz partnerem całego szeregu wspólnych projektów, również w sferze współpracy naukowo-technicznej. Kolejną próbą aktywizacji stosunków z Kairem była oficjalna wizyta premiera Zbigniewa Messnera w kwietniu 1987 roku, pierwsza na tym szczeblu od dwudziestu lat i jedna z pierwszych złożonych za granicą po objęciu urzędu. Miała ona dla mnie ważne konsekwencje.

Materiały do wysokiego szczebla wizyt były od lat przygotowywane w MSZ według tradycyjnego schematu. Odpowiadał za nie referent pod nadzorem przełożonych, od wicedyrektora do wiceministra. Składały się z kilkunastu dokumentów na kilkuset stronach, a ich zasadniczym elementem były sugestie do rozmów plenarnych i z poszczególnymi partnerami, obejmujące prezentację spraw wewnętrznych, międzynarodowych, regionalnych i bilateralnych. W zatwierdzonej w MSZ postaci były posyłane do urzędu szefa delegacji, który najczęściej przyjmował je bez poważniejszych uwag. Tym razem stało się jednak inaczej. Dwa dni przed terminem podróży Premier odesłał materiały, żądając gruntownej przeróbki sugestii do rozmów pod kątem konkretności, złożoności i hierarchii ważności. W tym czasie wiceminister Jan Majewski i dyrektor Stanisław Stawiarski byli już w Kairze, przygotowując wizytę. Wicedyrektor był nieobecny. Zadanie spadło na mnie. W ciągu kilku godzin podyktowałem dwóm maszynistkom nową wersję, zgodnie z zaleceniami i po mojemu – możliwie krótko i z wyeksponowaniem

w punktach spraw bilateralnych. To tym dziewczynom zawdzięczam, że materiały były na czas i w eleganckiej formie, a przecież nie było wówczas komputerów i możliwości przeklejania fragmentów tekstu. Każdy poważniejszy błąd powodował konieczność ponownego przepisywania. Takie sytuacje pozwalają docenić znaczenie tak zwanego personelu technicznego, pracownic sekretariatów, kancelarii i komórek pomocniczych dla realizacji całokształtu zadań urzędów, nie zawsze zauważane na co dzień. W historię Departamentu Afryki i Bliskiego oraz dobrą pamięć całego jego zespołu przez dekady trwale wpisywały się kwalifikacje, osobowość i wdzięk wielu pań, w tym Janiny „Janeczki” Ogrodnik, Ewy Bator, Janiny Ciepłowskiej, Małgorzaty Kostro, Hanny Lewandowskiej, Anny Domskiej, Edyty Oporskiej, Beaty Kucharskiej, Iwonki Wiśniewskiej, Anny Stępniewskiej i wielu innych.

Ocenę nowej wersji materiałów poznałem dopiero w Kairze, dokąd przyleciałem wraz delegacją na pokładzie rządowego tupolewa w charakterze tłumacza. Podczas tradycyjnej odprawy dla delegacji, Premier powiedział, że jest ona zgodna z jego oczekiwaniami i zalecił korzystanie z niej jako wzoru. Oczywiście nie znał autora. Większość tekstów była wówczas sygnowana jedynie inicjałami, do czasu kiedy jeden z wice ministrów na przełomie transformacji napisał na otrzymanej od referenta, z pominięciem drogi służbowej, notatce – „kto jest autorem tych bzdur”. Moi bezpośredni przełożeni nie dyskutowali z Premierem. Rozmowy przebiegły zgodnie z planem, ściśle według zawartego w tezach scenariusza, a sama wizyta była bardzo udana.



NOWE OBOWIĄZKI

Po powrocie dyrektor Stanisław Stawiarski poinformował, że z Kancelarii Premiera otrzymał sugestię awansowania mnie, ale ma problem, gdyż przyznany Departamentowi limit stanowisk szczebla starszego radcy ministra został wyczerpany. Sprawa jednak nie umarła. Zastosowano „ucieczkę do przodu. Na placówkę szykował się wicedyrektor i zaplanowano mnie na jego miejsce. Wiadomość o nominacji zastała mnie w Ammanie, gdzie wspólnie z Januszem Niesyto, wówczas pracownikiem Gabinetu Ministra, przeprowadzaliśmy ustawową kontrolę pracy merytorycznej placówki, w ramach podróży obejmującej również Bagdad i Damaszek. Kierowanie referentów na tego rodzaju kontrolę stanowiło nową praktykę i znak czasu. Podobnie jak dołączanie pracowników merytorycznych do zawodowych kurierów dyplomatycznych w podróżach do regionu. Z uwagi na wyższe diety i atencję okazywaną kurierom na placówkach, były to atrakcyjne wyjazdy (w powszechnym mniemaniu nie przyjeżdżali oni jedynie jako listonosze). Tak się zdarzyło, że nigdy nie wyjeżdżałem w takim charakterze. Nie miałem zresztą zamiłowania do podróżowania, w MSZ z reguły kochanego do przesady. Byli i nadal są w MSZ dyplomaci, którzy służbowo za granicą potrafili spędzić nawet trzy miesiące w roku, rozbite na kilkadziesiąt wyjazdów, kompletując przy okazji punkty naliczane przez przewoźnika i uprawniające do bezpłatnych prywatnych podróży. Michał Szlęzak, kiedyś jeden z ekspertów od resortowych finansów, zwykł mówić, że MSZ przypomina poczekalnię portu lotniczego, gdzie każdy tylko czeka na odlot swego samolotu. Specjalnie nie przesadzał. Zasadności ogromnej części podróży służbowych nikt nie rozliczył i już nie rozliczy, ale ktoś mógłby spróbować wykraść dane o punktach zebranych przez rekordzistów. No i wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Stanowisko wicedyrektora oznaczało zasadnicze zwiększenie spektrum obowiązków, do realizacji bez oglądania się na limity określające czas pracy i godziny urzędowania. Do tego byłem zresztą przyzwyczajony jako referent i nie byłem pod tym względem wyjątkiem. W moim urzędniczym pokoleniu pojęcie „służba dla państwa” było rozumiane bardziej dosłownie, niż w kolejnych dekadach, po korporacyjnym rozmięczeniu i oderwaniu wielu działań od konkretnych interesów.

Wymiar materialny awansu był niewielki. Podwyżka uposażenia zawierała się głównie w dodatku funkcyjnym, wynoszącym 7 tysięcy złotych. W przeddzień końca PRL znalazłem się dość przypadkowo w „nomenklaturze”, a także jako wicedyrektor w potencjalnie ambasadorskim kręgu. Wcześniej referent miał niewielką szansę wyjazdu na to stanowisko. Zasadnicza zmiana w tym zakresie nastąpiła dopiero w pierwszych latach transformacji, przynajmniej jeśli chodzi o obszar bliskowschodni i afrykański. W miarę kontynuowania tej praktyki nastąpiła jednak nadreprezentacja byłych ambasadorów na podstawowych stanowiskach pracy. Okoliczności mojego awansu były na tyle nietypowe, że powodów niektórzy badacze realiów służby zagranicznej PRL doszukiwali się w „wielokrotnych interwencjach Ambasady ZSRR w Warszawie”, z którą nie miałem najmniejszego kontaktu od czasu licealnego zaproszenia na koktajl. Dzisiaj upowszechnione jest przekonanie, że dyplom moskiewskiej uczelni dawał w MSZ PRL szczególne preferencje. Tymczasem nie odpowiada to faktom, choć należy przyznać, że mówimy o pracownikach napływających do MSZ w zasadzie dopiero od 1970 roku i podlegającym dość rygorystycznym zasadom awansu „szczebel po szczeblu”. Uważano, że kwalifikacje do bycia dobrym dyplomatą można wiarygodnie ocenić dopiero po dwóch płacówkach. Było to również minimum do uwzględniania na stanowiska kierownicze. Niemniej sprawa była ewenementem. Miałem zaledwie czterdzieści lat, a na dodatek byłem pierwszym w MSZ absolwentem MGIMO na tym stanowisku. Rozumiem, że nie wszystkim wówczas i później musiało się to podobać. Szczerze mówiąc mój wicedyrektorski awans byłby zapewne niemożliwy bez uelastycznienia w tym okresie reguł polityki kadrowej. Dobrze oddaje to opinia Jana Granata, po transformacji dyrektora generalnego służby zagranicznej, który na etapie procedowania mojej sprawy w MSZ przypomniał chińskie przysłowie – „nieważne, czy kot jest czarny czy biały, ważne, by łapał myszy”. Dziś ta prastara mądrość poszła w Polskę w zapomnienie!

Służba zagraniczna PRL dała nowej Polsce grupę wyróżniających się i stosunkowo młodych profesjonalnych dyplomatów, którzy wykazali swój potencjał w okresie transformacji, w istotnym stopniu przyczyniając się do płynnej reorientacji sojuszków państwa, opartej o wiarygodność, wprowadzenia Polski do NATO i Unii Europejskiej oraz realizacji całego szeregu ważnych projektów, w tym na Bliskim Wschodzie.

Wraz z kadrami napływającymi do MSZ, budowali oni nowe miejsce Polski w geopolityce, ale też skutecznie zabiegali o jej praktyczne interesy w sferze bezpieczeństwa i gospodarki. Służyli odnowionemu krajowi niezależnie od tego, gdzie ukończyli studia i jak układała się ich droga zawodowa. Wspólnym mianownikiem był także brak powodów, by wstydzić się swego postępowania w okresie PRL. Wśród tych dyplomatów chciałbym przypomnieć nazwiska przynajmniej kilku, koncentrując się na tych, z którymi miałem przyjemność bliżej współpracować. Należą do nich Ryszard Fijałkowski, Marek Greła, Marek Jędryś, Witold Jurasz, Adam Kobieracki, Ryszard Krystosik, Paweł Kulka-Kulpiowski, Zbigniew Matuszewski, Janusz Niesyto, Jerzy M. Nowak, Stanisław Pawlak, Jan Wojciech Piekarski, Marek Prawda, Zdzisław Rapacki, Witold Rybczyński, Bogumił Rychłowski, Janusz Skolimowski, Jerzy Henryk Sokolak, Krzysztof Szumski, Piotr Świtalski, Jan Truszczyński, Jakub T. Wolski, a także grupa moich kolegów wyspecjalizowanych w problematyce bliskowschodniej i afrykańskiej. Z reguły bez trudu znajdowali oni wspólny język z nowymi kolegami, podobnie rozumiejącymi interes narodowy, otwartymi na współpracę oraz chcącymi uczyć się kompetencji i zdobywać doświadczenie. Zrozumienie dla takiej płaszczyzny współdziałania widziałem u ministra Krzysztofa Skubiszewskiego, który starał się stosować te same kryteria oceny wobec wszystkich współpracowników, niezależnie od proveniencji. W tym miejscu chciałbym również oddać hołd wybitnym, a coraz częściej zapomnianym, postaciom dyplomacji PRL, takim jak Rafał Lemkin, Bogdan Lewandowski, Adam Rapacki, Eugeniusz Wyzner czy Manfred Lachs. Profesorowi Lachsowi zawdzięczam możliwość studiowania w 1986 roku w Akademii Prawa Międzynarodowego w Hadze, korzystałem bowiem z puli stypendiów ufundowanych przez niego dla wyróżniających się pracowników MSZ młodszego pokolenia.

U kresu PRL staraliśmy się w Departamencie zachować możliwie wiele z kurczącej się substancji współpracy z regionem, dbając o ciągłość interesów państwa wchodzącego w okres transformacji. W tym czasie znaczna część etatów w Warszawie i na nadzorowanych placówkach bliskowschodnich i afrykańskich była obsadzona przez specjalistów i grupa ta powiększała się z każdym rokiem. Dotyczyło to zwłaszcza arabistów, po uczelniach polskich, bliskowschodnich i MGIMO, co było również konsekwencją wcześniejszego boomu we współpracy

z krajami arabskimi. Na tym odcinku zgromadzony został największy w historii polskiej dyplomacji potencjał ludzki, jedynie częściowo wykorzystany w III RP w procesie budowy stosunków z państwami Półwyspu Arabskiego oraz w sytuacjach kryzysowych. Specjaliści ci nie byli jednak w stanie powstrzymać po części obiektywnego procesu degradacji stosunków Polski z tradycyjnymi partnerami arabskimi, a jedynie go spowolnić i racjonalizować.

W zakresie mojej odpowiedzialności jako wicedyrektora był również Izrael, choć problematyką tą na samodzielnym stanowisku pracy zajmował się Jan Wojciech Piekarski. Od połowy lat osiemdziesiątych relacje z tym krajem ulegały ociepleniu, ale proces normalizacji był powolny, wrażliwy i obciążony zaszłością, od 1967 roku poczynając, by nie sięgać głębiej w jednocześnie świetną, skomplikowaną i dramatyczną historię tysiącletnich stosunków polsko-żydowskich. Realizując bieżące kontakty, koncentrowaliśmy się na działaniach praktycznych, z myślą o przyszłości. 4 maja 1987 roku powstała Izraelska Sekcja Interesów. Kierował nią Mordechaj D. Palzur, który po wznowieniu stosunków 27.02.1990 roku został ambasadorem. Był to kompetentny i świadomy swych zadań dyplomata, co było regułą również w przypadku jego następców, znających wcześniej język polski lub intensywnie uczących się go przed przyjazdem. W Izraelu ambasador RP Jan Dowgiałło, akredytował się 11.12.1990 roku, cztery lata po ustanowieniu w Tel Awiwie naszej Sekcji Interesów, kierowanej kolejno przez Stefana Kwiatkowskiego i Czesława Jackowskiego (od 27.02.1990 roku jako chargé d'affaires a. i.). Silnym sygnałem polskich intencji wobec Izraela i diaspory żydowskiej była operacja „Most”, tranzyt przez Warszawę dziesiątek tysięcy Żydów emigrujących z ZSRR (realizowany także via inne stolice europejskie). Jej apogeum przypadło na 1990 rok. Placówki dyplomatyczne państw muzułmańskich doskonale wiedziały o przerzucie i ich szefowie regularnie odwiedzali Departament. Nasze wyjaśnienia były przyjmowane sceptycznie, ale obawy niektórych środowisk przed narażeniem polskich interesów ze strony ekstremistycznych organizacji arabskich, od początku przesadne, nie sprawdziły się. Akcja była także krokiem w kierunku budowania sojuszu polsko-amerykańskiego.

W tym czasie szczególną uwagę zwracaliśmy też na Republikę Południowej Afryki. Zachodziły tam przemiany zapowiadające

transformację, przypominającą sytuację w Polsce. Przesilenie i koniec apartheidu były tylko kwestią czasu, ale względy polityczne wykluczały podejmowanie bezpośrednich inicjatyw. Biorąc pod uwagę znaczenie gospodarcze RPA i pozycję Polonii w tym kraju, po części o żydowskich korzeniach, której przedstawiciele pod koniec lat osiemdziesiątych często gościli w MSZ, zdecydowaliśmy się na rozwiązanie tymczasowe. W 1988 roku powstała jednoosobowa placówka dyplomatyczna w Botswanie, pomyślana jako punkt obserwacyjny i kontaktowy. Funkcjonowała do czasu uruchomienia w Pretorii Biura Interesów RP w 1991 roku. Rok wcześniej byłem w RPA w drodze do Namibii na uroczystości proklamowania niepodległości tego państwa. Akt ten poprzedzony był wyborami powszechnymi w 1989 roku pod nadzorem ONZ, z udziałem polskich obserwatorów.

Próbowaliśmy uruchomić proces ustanawiania stosunków dyplomatycznych z konserwatywnymi państwami Półwyspu Arabskiego. Krokiem w tym kierunku była oficjalna wizyta premiera Mieczysława F. Rakowskiego w Kuwejcie w marcu 1989 roku, pierwsza tego szczebla w historii. Była to jedyna monarchia tego obszaru, z którą od 1963 roku posiadaliśmy oficjalne relacje i placówkę z ambasadorem akredytowanym z Bagdadu, od 1989 roku przejętą przez MSZ od resortu gospodarki. Kilka miesięcy po rozmowach, już za rządów Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego, Polska nawiązała stosunki z ZEA (4.09.1989) i Katarzem (16.10.1989) oraz Omanem (24.01.1990) i Bahrajnem (22.04.1991). Proces ten zamknęła Arabia Saudyjska - 03.05.1995 roku.

Wspomniana podróż premiera Rakowskiego obejmowała również Bagdad, gdzie po zakończeniu wojny z Iranem konieczne było dokonanie przeglądu całokształtu stosunków, uzgodnienie trybu spłaty irackiego zadłużenia w gotówce lub dostawami ropy naftowej oraz wypracowanie formuły dostosowania obecności gospodarczej polskich podmiotów do pogarszającej się sytuacji płatniczej Iraku. Kraj ten, mimo szybko zmniejszającego się zakresu współpracy, wciąż pozostawał najważniejszym partnerem Polski w regionie arabskim. Liczyliśmy, że Irak w pewnej perspektywie przezwycięży kryzys finansowy spowodowany konsekwencjami wojny i trwałym załamaniem cen ropy. Najważniejsze ustalenie dotyczyło podjęcia rozmów w sprawie

uregulowania irackiego długu dostawami ropy naftowej, zakończonych zawarciem stosownego porozumienia w maju 1990 roku. Jego realizację przerwał kryzys kuwejcki.

Byłem w grupie przygotowującej obie wizyty, ale okazji do kontaktu z Premierem jako wicedyrektor miałem mniej, niż gdybym był tłumaczem. Pobyt w obu stolicach traktowałem również jako możliwość bliższego zapoznania się z placówkami. W planach rotacyjnych resortu na 1989 rok byłem kandydatem na ambasadora w Iraku. Perspektywa ta uległa przesunięciu w związku z uwzględnieniem prośby ambasadora Witolda Jurasza o przedłużenie misji w Bagdadzie na kolejny rok. W ten sposób unikałem bycia tam ostatnim ambasadorem PRL, przy godnym odnotowania zachowaniu ciągłości planów kadrowych niezależnie od zmian ustrojowych i zgodnie z interesem państwa.

W tym czasie nadal posiadałem legitymację partyjną. Wstąpiłem do PZPR kilka lat po powrocie z Libii, w okresie, gdy liczyła ona ponad trzy miliony członków i dysponowała potencjałem zmian. Warto dzisiaj o tym przypomnieć. Oznaczało to bowiem, iż w kręgu systemu funkcjonowała wówczas blisko połowa dorosłej polskiej populacji. W 1989 roku zagłosowali oni zgodnie z duchem czasu i nakazem serca. Również ja z nadzieją powitałem zmiany, których wcześniej nie byli w stanie przewidzieć dyplomaci, analitycy, a także rzesze wysoko opłacanych sowietologów. Mając dobrze zapisaną kartę pracy i rzadkie kwalifikacje, zweryfikowane podczas służby za granicą, wierzyłem, że również w zmieniających się warunkach ustrojowych będzie popyt na koty potrafiące łapać myszy. Nie widziałem przy tym dla siebie miejsca poza służbą publiczną, choć okres polskiego przełomu obfitował w oferty pracy od międzynarodowych korporacji i prywatnego biznesu. Dobrym przykładem skorzystania z nich przez sprawnego dyplomata jest Piotr Freyberg. Zbudował on we Wrocławiu od zera potencjał grupy zakładów amerykańskiego koncernu MMM, dających dzisiaj zatrudnienie tysiącom polskich pracowników i produkujących supernowoczesne wyroby eksportowane na cały świat. Może z obecnej perspektywy nieco mu zazdrościć, ale przecież kochałem swoją służbę i nie musiałem się przemalowywać, zaprzeczać życiorysowi przejściem na skrajnie prawicowe pozycje, ani przestawiać drogowskazu z Moskwy na Waszyngton czy Tel Awiw. Wystarczał mi polski punkt odniesienia.

Gdzie jest twój kraj, pytał podczas pożegnalnych audiencji wyjeżdżających na placówki ambasadorów amerykański sekretarz stanu George Shulz, wskazując na globus. I udzielał reprimendy, gdy pokazywali miejsce inne niż USA.



CZAS PRZEŁOMU – SKUBISZEWSKI NA CZELE MSZ

Polski MSZ czasu przełomu miał wiele szczęścia, że na jego czele stanął Krzysztof Skubiszewski, państwowiec i człowiek szerokich horyzontów. Minister budował osobistą opinię o odziedziczonej kadrze kierowniczej nie tylko na podstawie teczek personalnych, ale również obserwując kompetencje, urzędniczą sprawność, jakość przedkładanych mu materiałów oraz zaangażowanie w pracę. Resort został odświeżony kadrowo, ale Minister wiedział, że linie kompetencji, lojalności i uczciwości przebiegają nie między jakimiś grupami, a w poprzek nich. Co więcej, potrafił stworzyć klimat, sprzyjający płynnemu współdziałaniu „nowych” i „starych”.

Sprawy bliskowschodnie i afrykańskie oraz pozycja w urzędniczej hierarchii nie dawały zbyt wielu możliwości kontaktu bezpośrednio z szefem resortu, a „przeżyłem” ich siedemnastu, w tym jedenastu w III RP. Zawsze ważniejsze były inne regiony, nie mówiąc już o hierarchicznej drabinie dzielącej niższej rangi pracowników od ministra. Na tym tle okres kierowania resortem przez ministra Skubiszewskiego wyróżniał się pozytywnie. Koncentracja na euroatlantyckim i sąsiedzkim wymiarze polityki nie przeszkadzała mu żywo interesować się bardziej peryferyjnymi regionami świata. Podczas blisko roku współpracy miałem z nim kontakt chyba częstszy niż z jakimkolwiek innym ministrem. Był dociekliwy, uważnie słuchał, pytał i oczekiwał odpowiedzi, nawet gdy chodziło o nazwę rzadkiego ptaka zauważonego w Australii, którą towarzyszący mu dyrektor Andrzej Majkowski wymyślił na poczekaniu. Interesował się też postawami pracowników. Pewnego razu, po zakończeniu rozmowy z zagranicznym rozmówcą, co było najczęstszą okazją do kontaktu, poprosił, bym wrócił po odprowadzeniu gościa. Panie dyrektorze – powiedział z charakterystyczną manierą. Dlaczego, pana zdaniem, wielu pracowników MSZ zachowuje się tak pasywnie na forach zewnętrznych, nie prezentuje swoich opinii i nie broni stanowiska resortu? Tylko takiego pytania mi brakowało. Przed spotkaniem był u mnie Eugeniusz Sawicki, naczelnik wydziału Afryki Subsaharyjskiej, specjalista od tego regionu ze znajomością suahili (co nie przeszkodziło resortowi skierować go później

do Azji Południowo-Wschodniej). Właśnie odebrał w kadrach pismo, w którym przed stanowiskiem dopisano mu: „pełniący obowiązki”. Stało się to bez wiedzy kierownictwa departamentu, w ramach realizowanej restrukturyzacji resortu, która służyła głównie przemieszaniu kadrowemu, powodując okresowe odrętwienie resortu. Podąłem przykład i zapytałem Ministra, czy pracownik może być pewny siebie na zewnątrz, jeśli ani on, ani jego bezpośredni przełożeni nie wiedzą, na czym w resorcie stoją. Profesor przy mnie zadzwonił do wiceministra Jana Majewskiego, odpowiedzialnego za nasz pion. Wyraźnie zaskoczony rozmówca coś niejasno tłumaczył, po czym dostał dyspozycję „skorygowania błędu”, termin na wykonanie i sugestią większej przejrzystości. Intensywne poszukiwania źródła wiedzy Ministra nie przyniosły rezultatu, a my w departamencie mieliśmy chwilę radości, gdy Andrzej Majkowski relacjonował rozmowę z drugiej strony linii, gdzie akurat był. Jako wicedyrektorzy mieliśmy wspólnego szefa Stanisława Stawiarskiego, który przez nas zyskał przydomek Gargamela. Ale naprawdę, gdy siedzieliśmy u niego na naradzie w ścisłym gronie, nagły promień słońca rzucił na ścianę jego profil, identyczny jak czarownika z serialu *Smerfy*.

Oczywiście nie wszyscy mile wspominali Profesora. W trybie natychmiastowym odwołał etatowych sekretarzy partyjnych funkcjonujących na kilku placówkach w państwach, gdzie znajdowały się największe skupiska polskich pracowników. Jadąc z wizytą za granicę, potrafił wobec urzędującego ambasadora wyrazić publicznie zdziwienie, że jeszcze nie zakończył jego misji i odsunąć go od udziału w programie. Niestety, nie wszyscy umieli w takiej sytuacji replikować, że jest to postępowanie niedopuszczalne i nie wolno kończyć tak misji ambasadora lub niezwłocznie złożyć dymisję. Walczył z Bizancjum, kierując cierpkie uwagi do usłużnego pracownika chcącego za nim nosić teczkę, grzecznie tłumacząc, że to przecież nie jego teczka. Protestował, gdy mówiono i pisano do niego urzędniczym żargonem, domagając się rozszyfrowania. Ale potrafił być kurtuazyjny i towarzyski. Po oficjalnych kameralnych przyjęciach w pałacyku MSZ na Foksal, gdzie też mieszkał, miał zwyczaj zostawać po zakończeniu na chwilę rozmowy z polskimi uczestnikami. Gdzieś w lutym 1990 roku podczas takiego spotkania odnotował mój pięcioletni pobyt w Centrali po ostatniej placówce i zapytał, dokąd chciałbym wyjechać. Dodał, że dobry dyplomata

sprawdzi się wszędzie. Co do wszechprzydatności gotów byłem polemizować, ale ugryzłem się w język i wymieniłem Bagdad, pod który podpięty był również Kuwejt. Do tego azymutu byłem w jakimś stopniu przywiązany i pozostałem konsekwentny. Kilka dni później uruchomiono procedury, obejmujące uzyskanie akceptacji premiera Tadeusza Mazowieckiego i prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego, sprawdzenie przez służby, przesłuchanie w Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu, uzyskanie agrément władz Iraku, a na końcu wystawienie nominacji i listów uwierzytelniających. Profesor interesował się sprawami mojego wyjazdu, również po okresowym zawieszeniu przygotowań do niego w związku z iracką agresją na Kuwejt. Był też jedynym szefem resortu, od którego otrzymywałem osobiste podziękowania za nadsyłane z placówki szyfrogramy. Inna rzecz, że stanowiły one również konsekwencję wyrazów uznania za dzielenie się wiedzą o Iraku napływających do Ministra z różnych stolic. A była to sfera nadzwyczaj delikatna, wymagająca kompetencji i rozwagi w formułowaniu ocen i wniosków, w warunkach ograniczonego dostępu do wiarygodnych źródeł, oddziaływania propagandy i fabrykowania przez różne służby specjalne trudnych do zweryfikowania sensacyjnych informacji, na czym boleśnie sparzyło się wielu wytrawnych dyplomatów.

Nie wiem, czy przewidując iracką agresję na Kuwejt, nie zasugerowałbym Ministrowi jakiegoś bardziej przytulnego miejsca. Irak był jednak największym wyzwaniem i szansą dla polskich interesów na całym bliskowschodnim i afrykańskim obszarze, poza który nie chciałem wychodzić. Traktowałem specjalizację jako atut, który powinienem najlepiej wykorzystać, zgodnie z mądrością szewca ze znanej anegdoty, który na kolejne reklamy sąsiednich konkurentów z branży – najlepszy w mieście, Polsce, Europie, świecie, zareagował skromnym dopiskiem na szyldzie – najlepszy na tej ulicy! Przygotowania do wyjazdu toczyły się planowo aż do sierpnia 1990 roku. Miałem otwierać listę pierwszych polskich ambasadorów w państwach arabskich ze znajomością ich języka, na którą kolejno wpisywali się dyplomaci RP: Janusz Dworak (1991, Kuwejt), M. Jacek Stępiński (1991, Jemen dot. amb. M. J. Stępińskiego), Krzysztof Baliński (1991, Syria), Joanna Wronecka (1999, Egipt; również pierwsza kobieta ambasador w regionie), Andrzej Biera (2003, Jordania), Józef Osas (2003, Libia), Roman Chałaczkiwicz (2005, Zjednoczone Emiraty Arabskie), Robert Rostek

(2008, Katar), Wojciech Bożek (2009, Liban), a także już jako następnicy – Jan Bury, Piotr Ciećwierz, Adam Kułach, Jan Natkański, Michał Murkociński, Kazimierz Romański, Krzysztof Surprowicz, Janusz Szwedo. By dociekliwym oszczędzić czasu na wertowanie życiorysów, podam, że na tej liście MGIMO reprezentowane jest w 50%. Spora grupa spośród wymienionych służyła również w państwach dodatkowej akredytacji, co mnie ostatecznie nie było dane. W 1990 roku Kuwejt wypadł przez agresję Saddama Husajna, a w 2002 roku Oman nie został dopisany do Rijadu dzięki kolegom z MSZ, którzy preferowali pozostawienie akredytacji przy Kuwejcie. Gdy w końcu sami Omańczycy powielili moje sugestie notą dyplomatyczną do MSZ w Warszawie, byłem już w ostatnim roku mojej misji w Arabii Saudyjskiej i nie było sensu aranżować akredytacji pro forma. Stała się ona naturalnym udziałem i atrakcyjnym urozmaiceniem dla moich następców – Adama Kułacha, Witolda Śmidowskiego i Jana Burego. Będąc przy nazwiskach koleżanek i kolegów z bliskowschodniej branży, chciałbym wspomnieć również tych, którym przedwczesna śmierć stanęła na drodze ambasadorskiej nominacji: Zbyszka Żelazowskiego, pierwszego arabisty w Tel Awiwie, oraz Jarka Wojtarę, dyplomatę pierwszej rotacji w Sekcji Interesów USA w Bagdadzie, który w niejasnych okolicznościach zginął w Libii. Pod względem specjalistycznej obsady polskich placówek na Bliskim Wschodzie i w Afryce, po części również subsaharyjskiej, pierwsze ćwierćwiecze III RP było okresem bezprecedensowym, który zapewne przez wiele dekad się nie powtórzy. Bardziej prawdopodobne jest, że z MSZ arabiści znikną, a „ostatni Mohikanie” pozostaną poza służbą publiczną. Przykład lepszego wykorzystania swoich dyplomatów pokazują między innymi Słowacy. Ich dyplomata, Jan Kubiš, z dyplomem MGIMO, był pełnomocnikiem Sekretarza Generalnego ONZ do spraw Iraku. Ale w Polsce kadry nie decydują o wszystkim.

Reorientacja Polski wymagała zwrócenia większej uwagi na bezpieczeństwo placówek w regionie. Wcześniej polegaliśmy głównie na służbach gospodarzy, a często placówki nie miały żadnej ochrony. Procedury wpuszczania interesantów nie odbiegały specjalnie od stosowanych w prywatnych willach. Nie pamiętam jednak żadnych incydentów, a jeśli już, to miały one charakter kryminalny. Liczyły się też względy oszczędnościowe. Punktem zwrotnym w myśleniu o bezpieczeństwie była operacja „Most”, realizowana w warunkach obecności w regionie

co najmniej dwudziestu tysięcy polskich obywateli. Dyskusjom i obawom, w rzeczywistości niejednokrotnie wyolbrzymianym, nie towarzyszyły jednak poważniejsze praktyczne działania. Dobrym przykładem był Bagdad, gdzie na własny „system ochrony” w 1990 r. składał się woźny z MSZ w wieku przedemerytalnym, niewyposażony w żadne środki techniczne.



Rozdział szósty

IRACKA EPOPEJA

BAGDAD, 1990–1996

MISJA WOJENNA

Zakończona w 1998 roku, ośmioletnia krwawa wojna z Iranem głęboko zdestabilizowała Irak. Saddam Husajn rozpętał ją w reakcji na rewolucję islamską, traktowaną przez mniejszościowy sunnicki reżim w Bagdadzie jako zagrożenie egzystencjalne, ale również jako okazję do trwałego osłabienia perskiego rywala. Podobnie myślano w stolicach prozachodnich państw naftowych, z Rijadem na czele, zainteresowanych tym, by dokonać tego rękami irackimi, a przy okazji wyhamować również ambicje Iraku stania się mocarstwem regionalnym. Atakując Iran, Saddam Husajn miał finansowe poparcie Arabii Saudyjskiej i pozostałych państw Zatoki, przychylność USA, błogosławieństwo ZSRR oraz ciche przyzwolenie Izraela. Bagdad oczekiwał szybkiej i zwycięskiej wojny, co było warunkiem powodzenia w starciu z przeciwnikiem o zdecydowanie większym potencjale. Kalkulacje te okazały się błędne. Irak stracił kilkaset tysięcy żołnierzy, zadłużył się na kilkaset miliardów dolarów i stracił dynamikę rozwojową, budowaną od początku lat siedemdziesiątych na dochodach ze znacjonalizowanej ropy naftowej. Nie udało się doprowadzić do zmiany granicy wodnej, skłonić arabskiej ludności naftowego Chuzestanu do wykazania etnicznej solidarności, a przede wszystkim podważyć podstaw teokratycznego reżimu w Teheranie. Nie była to zwycięska wojna, nawet jeśli w 1998 roku iraccy ambasadorowie na całym świecie hojnie rozdawali z tej okazji butelki luksusowych alkoholi. Na dodatek przyjaciele Iraku wypowiedzieli przyjaźń, żądając spłaty długów i zbijając ceny ropy naftowej, będącej jedynym narzędziem wyjścia z kryzysu. I co równie ważne, kraj zakończył wojnę, mając pod bronią prawie milionową armię i gromadę generałów rozpieszczonych serwowanymi przez władze przywilejami, które w nowych warunkach były nie do utrzymania. Tak czy inaczej Saddam Husajn został wyprowadzony w pole.

Szacunek dla historii, która akurat na Bliskim Wschodzie ma zwyczaj się powtarzać, wymaga przypomnienia, że wybuch wojny iracko-irańskiej został poprzedzony kryzysem w stosunkach pomiędzy Arabią Saudyjską i Iranem, atakami demonstrantów na ambasadę i konsulat Królestwa, zerwaniem stosunków dyplomatycznych, kampanią wzajemnych oskarżeń i działaniami destabilizacyjnymi, rywalizacją

o rynki zbytu ropy, niezależnie od konsolidacji interesów w trójkącie Waszyngton – Tel Awiw – Rijad. Obecnie widzimy to samo, tyle że w regionie nie ma już chętnych do zaangażowania się w wojnę na zlecenie, przynajmniej bez gwarancji bezpośredniego udziału w niej Stanów Zjednoczonych.

W okresie moich przygotowań do wyjazdu Irak wprowadził już nie walczył, ale stał w obliczu ogromnych wyzwań, choć gospodarka kręciła się jeszcze siłą rozpędu. Niemniej rządzący tracili swobodę manewru. Groziły destabilizacja, bunty, odnowienie wojny w Kurdystanie i prawdopodobna próba przewrotu. Partnerzy Iraku o tym ogólnie wiedzieli, choć czekali na rozwój sytuacji na globalnym rynku ropy, nie zawsze mając świadomość, że jej ceny przestały zależeć jedynie od uwarunkowań rynkowych. Powrót do wysokich cen pozwalałby dalej robić korzystne interesy w kraju, gdzie korzyści gospodarcze kontrahentów zagranicznych były ściśle powiązane z politycznymi relacjami na szczeblu państwowym. Dla wyższości cen czarnego złota nie było jednak zielonego światła ze strony saudyjskiego producenta decydującego na tym rynku. Wyjściem z matni dla kierownictwa irackiego mogła się wydawać ucieczka do przodu – kolejna zewnętrzna awantura, odsuwająca problemy wewnętrzne. Naturalnym celem mógł być jedynie Kuwejt. Od obalenia monarchii w 1958 roku władze w Bagdadzie kwestionowały prawo tego państwa do niepodległości. Gdy ją uzyskał od Wielkiej Brytanii w 1961 roku, Irak podtrzymywał roszczenia, uzasadniane historycznie, geograficznie i w kategoriach interesu narodowego. Kuwejt korzystał jednak z zachodniej protekcji, a w razie potrzeby uruchamiał pieniądze. To one zadecydowały o jego przyjęciu do Ligi Państw Arabskich, w chwili, gdy zdegrustowany debatą ambasador Iraku gdzieś się zapodział i nie mógł uczestniczyć w wymagającym jedności głosowaniu. Skądinąd gromadzenie środków na Funduszu Przyszłych Pokoleń, ułatwiło Kuwejtowi w 1991 roku wyzwolenie z irackiej okupacji i powojenną stabilizację. W społeczeństwie irackim południowy sąsiad budził zawiść i niechęć, podsycaną przez propagandę. Był uznawany za niewdzięcznika, który zamiast odwdzińczyć się za obronę przed zakusami Iranu, którego zresztą, jak twierdzono, obłudnie wspierał finansowo podczas wojny, aktywnie dokłada się do problemów Bagdadu. Co ciekawe, oczekiwanie materialnej wdzięczności od Kuwejtczyków w ślad za Saddamem Husajnem wyraził również Donald Trump podczas

kampanii prezydenckiej, wskazując, że w czasie, gdy Amerykanie ich wyzwalali, bezpośrednio zainteresowani zamiast walczyć bawili się w Paryżu. Naszym roszczeniowcom przypominam, że my też w tej operacji uczestniczyliśmy.

Mimo wiedzy o realiach, inwazji zbrojnej na Kuwejt analitycy nie przewidywali, podobnie jak wcześniej i później innych przełomowych momentów w historii – polskiej transformacji, zburzenia muru berlińskiego, rozpadu ZSRR, Arabskiej Wiosny czy aneksji Krymu. Można dywagować, czy wynikało to z braku kwalifikacji, złych narzędzi czy obcowania z materią niepoddającą się konwencjonalnemu badaniu. Wojna zaskoczyła nawet oficerów tajnych służb USA operujących w Kuwejcie na granicy z Irakiem. Dyplomatom też zabrakło wyobraźni, by przewidzieć, iż wraz z końcem zimnej wojny na Bliskim Wschodzie skończy się czas dyplomacji i zacznie era zarządzania kolejnymi konfliktami. Znow należałoby wspomnieć Thomasa Hobbesa i jego koncepcję celowego mąciicielstwa, choć może jest ona osadzona znacznie głębiej w bliskowschodnich realiach. Do pogroźek i okresowej koncentracji sił irackich na granicy wszyscy się przyzwyczaili. Warszawa nie była wyjątkiem. Kres dwubiegunowego świata otwierał etap niepewności w stosunkach międzynarodowych, ale nowy porządek kształtowany przez USA, mocarstwo u nas zawsze idealizowane, miał być lepszy, bardziej harmonijny i pokojowy. Ponadto istniał swoisty kult ropy i błędne domniemanie, że bez irackiej ropy globalna gospodarka sobie nie poradzi w długofalowej perspektywie. Pewną rolę w podejściu partnerów do Iraku odgrywał także fakt, że kraj ten pod rządami Saddama Husajna dokonał kolosalnego postępu w sferze rozwoju i był za to powszechnie chwalony. Wydany w 1989 roku przez Bibliotekę Kongresu USA *Country Profile* jest pełen wyrazów uznania dla irackich reform i modernizacji. Należy też pamiętać, że w warunkach ponurej rzeczywistości gospodarczej Polski w ostatnich latach osiemdziesiątych i początku transformacji Irak pozostawał jaśniejszym przypadkiem na mapie możliwości działania polskich firm w bardzo poważnym spektrum dziedzin.

Cechą wyróżniającą nasze stosunki z Irakiem, w porównaniu z większością państw regionu, była ich kompleksowość. Relacje gospodarcze, polityczne, wojskowe i finansowe uzupełniała niezła baza

prawno-traktatowa, rozwinięta oferta edukacyjna dla irackich doktorantów (wykształciliśmy ich ponad dwa tysiące), współpraca naukowo-techniczna, kulturalna, a przez dłuższy czas także turystyka przyjazdowa, rozwijająca się do czasu, gdy milicja przeszukała w Warszawie żonę prezydenta Iraku i jej koleżanki. Odwoływaliśmy się również do więzi historycznych. W Iraku zachowała się dobra pamięć o obecności żołnierzy gen. Andersa i towarzyszących im cywilów oraz wkładzie Polaków w stworzenie irackiej szkoły nowoczesnego malarstwa. Przetrwał też wzorzec kobiecej piękności wyrażany porównaniem *hylla mitlu bolandija* (piękna jak Polka). A w starszym pokoleniu zdarzały się osoby wspominające, jak polscy oficerowie prosili miejscowych panów, by miejsce na grzbiecie osiołka oddali idącym za ogonem kobietom. Pamiętano też szacunek polskich uchodźców dla miejscowej kultury, wyrażany choćby unikaniem publicznego spożywania alkoholu.

W przeddzień agresji na Kuwejt i nałożenia sankcji wykluczających normalną obecność gospodarczą w Iraku działało kilkadziesiąt firm, między innymi Mostostal, Budimex, Naftobudowa, Bumar, Polservice, Polimex, Agencja Atomistyki oraz Dromex. Firma ta na początku 1990 roku zakończyła i rozliczyła budowę dwóch odcinków autostrad o łącznej długości 500 kilometrów. Massachusetts Institute of Technology (MIT) uznał jeden z nich za najlepszy *highway* na świecie, zrealizowany w 1988 roku. Nie zaszkodziły jej nawet bombardowania. Zatrudnienie naszych obywateli, łącznie z indywidualnymi specjalistami, przekraczało pięć tysięcy osób, a kilka lat wcześniej było prawie czterokrotnie większe. Poprzednio podawałem szacunkowe dane o polskiej obecności w Libii. W Iraku była ona znacznie większa i bardziej zróżnicowana. Niewiele ryzykując, można powiedzieć, że w ciągu dwóch dekad przewinęło się przez ten kraj do trzystu tysięcy naszych obywateli.

Prezentując swój program działania ambasadora przed Komisją Spraw Zagranicznych Sejmu, powiedziałem, że moim celem jest nie wielka polityka, lecz optymalna ochrona polskich interesów, przede wszystkim gospodarczych. Wypunktowałem katalog spraw dwustronnych do uporządkowania i załatwienia. Otrzymałem jednogłośnie poparcie i deklaracje pomocy. Podobne treści zawarłem w ostatecznej

wersji tego dokumentu, która wraz z inwazją na Kuwejt straciła rację bytu. Nominację otrzymałem 11 lipca. Merytorycznie nie musiałem się specjalnie przygotowywać, ale rutynowo odwiedziłem zaangażowane we współpracę resorty, instytucje i duże firmy. Sprawy irackie, placówkę i problemy współpracy dobrze znałem. Irak był też całkiem niezłe opisany, również w szeregu książek polskich autorów. Przy okazji żywych kontaktów dwustronnych na szczeblu ministerialnym oraz podczas wizyty premiera Mieczysława F. Rakowskiego w Bagdadzie poznałem przynajmniej połowę irackich ministrów. Wielokrotnie rozmawiałem z ambasadorem Iraku Mohammedem al-Habubim, ustalając zasady komunikacji i współdziałania. Wyjazd LOT-em wraz z rodziną zaplanowałem na początek września 1990 roku, zaraz po letnim sezonie urlopowym w Iraku i parę tygodni po powrocie poprzednika, Witolda Jurasza, z którym rozmawiałem w Warszawie przez wiele godzin. Jarek miał pójść do pierwszej klasy w polskiej szkole średniej w Bagdadzie. Dopięte były sprawy związane z przesiedleniem, na tle wcześniejszych doświadczeń wyjątkowo proste, z uwagi na wyposażoną zgodnie z przepisami rezydencję. Po raz pierwszy – i ostatni – poznałem zalety wyjazdu na wcześniej zagospodarowane miejsce. A potem wszystko stanęło na głowie.

Pod koniec lipca wykorzystywałem krótki urlop. 2 sierpnia, kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy, wysłuchałem w swoim fiacie 126p informacji o wybuchu kryzysu kuwejckiego. Niezwłocznie wróciłem do MSZ, gdzie włączono mnie do natychmiast powołanych zespołów kryzysowych – ministerialnego i międzyresortowego. Plany wyjazdu zostały zawieszono. Żona anulowała urlop bezpłatny w Miejskim Przedsiębiorstwie Robót Drogowych. Syn na wszelki wypadek pozostawał zapisany do Liceum im. J. Dąbrowskiego w Warszawie i nie było problemu szukania dla niego miejsca.

Mimo zaskoczenia działania kryzysowe były realizowane sprawnie. Głównym zadaniem stało się zorganizowanie ewakuacji polskich obywateli, a także zabezpieczenie bieżących interesów polskich firm. Wraz z uchwalonymi przez Radę Bezpieczeństwa sankcjami było jasne, że z Iraku trzeba się wycofać. Chodziło jednak o to, by uczynić to spokojnie, płynnie i bez zatrząskiwania za sobą drzwi. Zadania ewakuacyjne w głównym stopniu obciążały Ambasadę RP w Bagdadzie,

wspomagana przez kierownictwa firm i pracowników placówki w Kuwejcie. Ta wielka operacja została wykonana niezwykle sprawnie i bez wsparcia osobowego z kraju (dwóm wysłanym w tym celu pracownikom nie pozwolono wjechać do Iraku z Jordanii), choć z ogromnym zaangażowaniem MSZ, przede wszystkim Departamentu Konsularnego, kierowanego przez Krzysztofa Szumskiego i Witolda Rybczyńskiego. Ewakuację realizowano samolotami czarterowymi LOT, z wykorzystaniem lotnisk w krajach ościennych, dokąd ewakuowanych dowożono autobusami, a po kilku tygodniach również samolotami czarterowymi z Bagdadu. Była finansowana przez rząd i rozliczana z przedsiębiorstwami. W kolejnych latach całość tych wydatków została zrefundowana przez ONZ ze środków irackich. W pierwszej kolejności do Polski wróciło 700 obywateli polskich z Kuwejtu, którzy wcześniej byli grupowani w Bagdadzie. Równolegle rozpoczęto ewakuację z Iraku, gdzie kryzys zastał ponad 3500 Polaków. Poza sezonem urlopowym ilość ta byłaby większa o jakieś 30%.

Placówką w Bagdadzie kierował radca-konsul Andrzej Maronde, jako chargé d'affaires RP. W pierwszym okresie kilkunastoosobowy zespół etatowy Ambasady i BRH wspomagali dyplomaci z Kuwejtu, Janusz Dworak i Janusz Mantykiewicz oraz Krzysztof Dąbrowski, którzy wraz z całym korpusem kuwejckim byli przez władze okupacyjne poddani presji, by jak najszybciej opuścić Emirat. Mimo ekstremalnych warunków nikt z Polaków w całym okresie ewakuacji nie został poszkodowany. W dniu wyzwolenia Kuwejtu w 1991 roku zmarł tam natomiast na serce jedyny Polak, który zdecydował się przeczekać okupację, chcąc chronić wyposażenie domu. Ewakuowani mogli zabrać ze sobą jedynie ograniczony bagaż, nie wiedząc w tym momencie, że w przyszłości skorzystają z systemu odszkodowań, stosownie do realnego uszczerbku. Zryczałtowane kwoty w wysokości pięciu tysięcy USD otrzymali również ewakuowani przed wybuchem wojny pracownicy placówek dyplomatycznych, którzy złożyli stosowne aplikacje. Zespoły kryzysowe monitorowały także procedury ewakuacyjne innych państw posiadających w rejonie objętym konfliktem większe grupy obywateli. Łącznie Irak i Kuwejt dawały zatrudnienie kilku milionom cudzoziemców, z których przynajmniej kilkaset tysięcy z różnych względów nie zdołało się ewakuować przed wybuchem wojny.

Niezależnie od sukcesywnej redukcji personelu Ambasady RP i Biura Radcy Handlowego w Bagdadzie w Warszawie stopniowo dojrzewało przekonanie o celowości mojego wyjazdu. Były precedensy, gdyż we wrześniu i październiku 1990 roku akredytowało się już kilkunastu ambasadorów, w tym Kanadyjczyk i Szwajcar. Ponadto narastały trudności z uzyskaniem wiz wyjazdowych dla niektórych kategorii polskich pracowników. Brakowało głębszej informacji źródłowej na temat perspektyw rozwoju sytuacji, trudnej do uzyskania poniżej szczebla ambasadora. Decyzje zapadły pod koniec września. Agrément, listy uwierzytelniające, nominację i wizę miałem w rękę wcześniej, a 28 września 1990 roku minister Skubiszewski zatwierdził mój zmodyfikowany program działania „na okres obowiązywania sankcji”. Przyjął mnie też na dłuższą rozmowę, poświęconą możliwym wariantom rozwoju sytuacji w Iraku oraz sprawom ewakuacji. Innych kwestii nie poruszał. Parę dni później dyrektor Departamentu Konsularnego powiedział mi, że będę miał „towarzystwo”, wyjaśniając, iż uznano za wskazane wzmocnić placówkę nowym pracownikiem konsularnym. W trakcie załatwiania była jego wiza. Nazwisko nic mi nie mówiło, co wraz z trybem procedowania wyjazdu sugerowało, że chodzi o przedstawiciela służb. Byłem zaskoczony, ale gorączka ostatnich dni przed wyjazdem nie pozostawiała wiele czasu na dociekanie. Nie dociekał również ambasador Iraku, który w ostatniej chwili pożegnał mnie obiadem w swej rezydencji na Saskiej Kępie.

Późnym wieczorem 12 października 1990 roku wsiadłem na pokład samolotu PLL „LOT”, wykonującego z Okęcia planowy ewakuacyjny rejs czarterowy do Bagdadu. W saloniku VIP poznałem mojego nowego pracownika i współpasażera, II sekretarza Ambasady Jana W., w przeszłości znanego jako Gromosław Czempiński, generał i szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w latach 1993–1996. Jako jedyni pasażerowie mogliśmy się cieszyć względami personelu pokładowego. Mieliśmy międzylądowanie w Ankarze, gdzie służby tureckie w miarę szybko sprawdziły samolot pod kątem przestrzegania sankcji. Wcześniej rano wylądowaliśmy w Bagdadzie. Po kurtuazyjnym powitaniu w saloniku przez dyrektora irackiego Protokołu Dyplomatycznego i kilku kolegów z placówki przeszedłem na odloty pożegnać ewakuującą się tym samym samolotem grupę Polaków. I z marszu rozpocząłem urzędowanie. Trwała odprawa celna i nie była to dla zainteresowanych miła

operacja. Prawie każdy z ponad stu rodaków miał w bagażu coś, co mogło się nie podobać celnikom. Najczęściej była to elektronika, zabawki i odzież, kupowane na własny użytek lub na prezenty. Rynek oferował wiele atrakcyjnych i niedrogich towarów zagarniętych w Kuwejcie. Celnicy arbitralnie oceniali legalność ich wywozu. Moja obecność w hali ucywilizowała poczynania funkcjonariuszy, tworząc precedens, aktualny do ostatniego rejsu ewakuacyjnego.



DWANAŚCIE TYGODNI PRZEDWOJNIA. OPERACJA WYWIADU

Do Ambasady dotarłem już w godzinach pracy. Wszyscy byli na miejscu, organizując zaimprovizowane powitanie chlebem i solą. Program dnia był przygotowany wcześniej, w kilkunastu punktach. Niewielki zespół placówki działał jak dobrze naoliwiony mechanizm, zarówno trzon merytoryczny – Andrzej Maronde, Kazimierz Szapowal i Jakub T. Wolski, jak i pozostali pracownicy etatowi czy ryczałtowi oraz lokalna sekretarka Lahib Rawi. Widać było kompetencje oraz dobrą organizację wprowadzoną przez mojego poprzednika i perfekcyjnie utrzymaną po jego wyjeździe. Gabinet od mieszkania ambasadora dzieliło jedno piętro. W ponad stumetrowym lokalu czekało na mnie proste śniadanie przygotowane grzecznościowo, gdyż stanowisko gosposi nie było wtedy przewidziane. Rozpakowałem zawartość trzech walizek, wziąłem prysznic, przebrałem się i byłem znów w gabinecie. Podczas pierwszej odprawy przedstawiłem główne punkty posiadanej instrukcji, kładącej nacisk na „zapewnienie bezpieczeństwa i swobodnej ewakuacji obywateli oraz ochronę polskich interesów w warunkach sankcji i pod kątem przyszłej odbudowy współpracy”. Ten ostatni element zaakcentowałem, słusznie podejrzewając, że jesteśmy monitorowani przez służby irackie. Pracownicy usłyszeli też, że o sprawach osobowych dotyczących innych rozmawiamy wyłącznie w towarzystwie wszystkich zainteresowanych.

Przed kolejnym punktem rozpisanej agendy Andrzej Maronde zaproponował mi zapoznanie się z budynkiem. Dyskretnie dołączył Jan W. i wspólnie dotarliśmy na płaski dach trzypiętrowego budynku Ambasady. Był on otoczony z trzech stron ogrodem z dorodnymi palmami daktylowymi i schowanymi pod nimi przed słońcem dwoma poziomami niższej roślinności, zgodnie z pradawną sumeryjską tradycją rolną. Dach był jednym z nielicznych miejsc na terenie placówki, gdzie między zbiornikami na wodę i warczącymi silnikami klimatyzatorów można było rozmawiać bez obawy podsłuchania. Widoczny nieopodal Tygrys i rafineria naftowa Dora po drugiej stronie rzeki dopełniały scenerii.

Mój towarzysz podróży ujawnił swą proveniencję wysokiego funkcjonariusza wywiadu i rzeczywisty cel przyjazdu. Miał zorganizować akcję wywiezienia grupy oficerów Centralnej Agencji Wywiadowczej USA (CIA), a właściwie kilku tajnych służb amerykańskich, którzy w momencie błyskawicznej agresji irackiej operowali w Kuwejcie. W powstałym zamieszaniu przedostali się na własną rękę do Bagdadu, wraz potokami tysięcy uciekających spontanicznie i ewakuujących się cudzoziemców. Tu utknęli, ukrywając się bez perspektywy opuszczenia Iraku. Ścisłe inwigilowana Ambasada USA była bezradna, tym bardziej że Irakijczycy zakazali dyplomatom podróżowania po kraju bez wcześniejszej zgody. Prośby władz amerykańskich o pomoc, kierowane do zachodnich sojuszników, były kolejno odrzucane, jako niemożliwe do spełnienia lub zbyt ryzykowne. W końcu zapytanie trafiło do Warszawy. Tu potraktowano je w kategoriach interesu narodowego. Niezależnie od ogromnego ryzyka była realna szansa na powodzenie operacji. Do samego końca nie obyło się bez wahań, ale uznano wiarygodność ocen dokonanych przez służby w Warszawie i ich ludzi w Iraku, przy pozostawieniu kierującemu akcją znacznej swobody podejmowania decyzji na miejscu. Jednym z bezwzględnych warunków powodzenia było zachowanie najściślejszej tajemnicy. W Warszawie sprawę znała zaledwie garstka ludzi, podobnie jak w Bagdadzie. Konsekwencje wpadki, możliwej nawet przy perfekcyjnym zaplanowaniu i przeprowadzeniu akcji, byłyby śmiertelnym zagrożeniem dla bezpośrednio zaangażowanych oraz miałyby najdalej idące konsekwencje dla Polski i dalszego kształtowania się kryzysu kuwejckiego. Na szali leżał też los ponad tysiąca oczekujących jeszcze na ewakuację Polaków, niezależnie od personelu naszej Ambasady.

Otrzymana wiadomość była jedyną prawdziwie tajną informacją, z jaką miałem do czynienia w mojej karierze! Miałem świadomość, że stoimy w obliczu historycznego wydarzenia lub spektakularnej katastrofy, mogącej być punktem zwrotnym mojej misji. Nie było oczywiście mowy o bezpośrednim zaangażowaniu, naruszającym status ambasadora, niemniej musiałem stosownie zmodyfikować priorytety. Nie ulegało wątpliwości, że sytuacja amerykańskich oficerów wynikała z brutalnego naruszenia przez Irak prawa międzynarodowego, potwierdzonego rezolucjami Rady Bezpieczeństwa ONZ. Tym samym likwidacja skutków agresji we wszystkich aspektach miała podstawy prawne,

co oczywiście dla strony łamiącej prawo wyglądało całkowicie odmiennie. Mój przyjazd, w naturalny sposób wymagający zwiększonej aktywności polskich placówek i środowisk w Iraku, był dla polskiego wywiadu i planowanej operacji wartością dodaną i tworzył pewien parasol bezpieczeństwa. Nikogo nie mogły dziwić jeżdżące w różnych kierunkach samochody i wzmożony ruch osób odwiedzających Ambasadę. Reszty dopełniały ekstremalne warunki zaistniałe w Iraku, trwająca migracja setek tysięcy ludzi oraz ruchliwość zespołów pracowniczych realizujących plany ewakuacyjne, bezpośrednio angażujące placówki dyplomatyczne. Naturalne były też moje nierutynowe kontakty w MSZ, podejmowane niezwłocznie po przyjeździe i odnawianie – poza protokołem – znajomości ze znanymi mi ministrami, odwiedzanie – nieraz kilkakrotne – polskich skupisk pracowniczych w Bagdadzie i w innych regionach Iraku, ekspresowe wizyty u kolegów ambasadorów, niektóre jeszcze przed złożeniem kopii listów uwierzytelniających, na co uzyskałem błogosławieństwo w irackim Protokole Dyplomatycznym. Miałem tam już wcześniej opinię dynamicznego dyplomaty, ugruntowaną przez Ambasadę Iracką w Warszawie. Przyczyniając się w ten sposób do powodzenia akcji, musiałem mieć jednak plan „B”, o którym w Warszawie, jak sądzę, nikt nie pomyślał. Tymczasem o losie nawet najbardziej profesjonalnie przygotowanych planów mógł przecież przesądzić przypadek lub niemożliwy do przewidzenia splot okoliczności. Jedynym racjonalnym pomysłem było niezwłoczne doprowadzenie do biurokratyzowanego i scentralizowanego kierownictwa irackiego jednoznacznego przekazu, że Polska wraz z transformacją zmieniła politykę, ale nie zapomina dotychczasowych partnerów, a w zaistniałych okolicznościach może być dla Iraku wysoce przydatna jako państwo ustanawiające szczególne stosunki sojusznicze z USA, mimo dekad pozostawania w przeciwnym obozie. Akredytowanie ambasadora w okresie kryzysu przydawało wiarygodności takiej prezentacji, którą zresztą traktowałem poważnie, licząc, że w sprzyjających okolicznościach perspektywa zaangażowania się Polski w normalizację stosunków iracko-amerykańskich byłaby w Warszawie traktowana jako warta podjęcia. Miałem sygnały, że w Bagdadzie moja filozofia była skuteczna. Niemniej cieszę się, że w praktyce nie musiałem tego sprawdzać w przypadku niepowodzenia operacji wywiadu, zanim ostatni polski obywatel opuścił Irak. Książka ta mogłaby mieć wówczas bardziej dramatyczną fabułę, cieszącą wydawnictwo i czytelnika. Oczywiście przy założeniu,

że potencjalny autor pozostałby przy życiu. Solidna nić porozumienia z władzami Iraku nie zmieniała faktu, że od momentu wywiezienia oficerów CIA cały zespół placówki w Bagdadzie wraz z rodzinami balansował na wąskiej linii bezpieczeństwa. Ujawnienie akcji było bowiem wyłącznie kwestią czasu.

Odwet irackich służb specjalnych mogło powstrzymać jedynie czerwone światło od ścisłego kierownictwa politycznego kraju. Prawdziwość tej opinii potwierdzają doświadczenia innych członków koalicji antyirackiej, mających na sumieniu nieporównywalnie mniejsze od naszych grzechy. Podczas sześciu lat mojego pobytu w Bagdadzie nikomu nic się nie stało, ale zanotowane w późniejszych latach przypadki śmierci w niejasnych okolicznościach na terenie Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej polskich dyplomatów i obywateli związanych ze sprawami irackimi są niestety faktem. Akcja została faktycznie ujawniona po roku, w Waszyngtonie przy okazji wizyty prezydenta Lecha Wałęsy, a równoległe w Warszawie, na szczeblu ministerialnym. Oczywiście nikt nie zadbał o uprzedzenie i poinformowanie Ambasady w Bagdadzie. Dowiedziałem się o tym z mediów. Było to działanie jakby zmierzające do sprowokowania retorsji. Ale Irakijczycy nie zareagowali, ani bezpośrednio, ani do końca mojej misji. Sądzę, że woleli nie palić ewentualnego kanału komunikacji z USA, tym bardziej iż w momencie upublicznienia wiarygodność prezentowanej przeze mnie narracji potwierdzał fakt reprezentowania przez Polskę interesów amerykańskich w Iraku.

Amerykańscy podopieczni trafili bezpiecznie do Turcji dwa tygodnie po moim przyjeździe, 25 października. Jan W. też szybko nas opuścił. Gromosław Czempiński spisał się profesjonalnie, wspomagany przez garstkę współpracowników, w części będących także moimi kolegami z ambasady. W pierwszym okresie transformacji wykazali oni lojalność wobec nowego państwa polskiego, wpisując się w realizację jego strategicznych interesów i uwiarygodniając się. Akcją przeprowadzili, posługując się zwyczajnymi paszportami, nie będąc chronionymi nawet iluzorycznym w takich okolicznościach statusem dyplomatycznym. Podkreśla to dramatyzm sytuacji i skalę osobistego ryzyka. Polska uzyskała wobec USA i Zachodu kolejny po operacji „Most” atut i potwierdzenie wiarygodności sojuszniczej, a nie był to dowód

z Bliskiego Wschodu jedyny. Mam na myśli współpracę dyplomatyczną, niezwiązaną ze służbami specjalnymi. Te rządzą się swoimi prawami i nie zawsze ocena ich działalności przez cywila, nawet gdy jest ambasadorem, jest możliwa lub wskazana. Odnosi się to również do innych, wspomnianych w mediach lub wypowiedziach, przedsięwzięć polskiego wywiadu na rzecz USA i związanych z nimi ofiar. W 1999 roku powstał polsko-turecki film Władysława Pasikowskiego *Operacja Samum* (to nazwa jednego z pustynnych wiatrów), zainspirowany misją generała Czemińskiego. W tym kontekście mogą tylko powiedzieć, że udana tajna akcja z reguły nie jest gotowym scenariuszem filmu sensacyjnego.

Należy jednoznacznie podkreślić, że poza względami sojuszniczymi i wizerunkowymi współpraca polsko-amerykańska w Iraku przyniosła Polsce ogromne i wyliczalne korzyści materialne. Była bowiem głównym argumentem administracji USA wobec Kongresu na rzecz redukcji zadłużenia PRL o 50%. Nośność argumentacji była tak duża, że uciszyła licznych wówczas przeciwników preferencyjnego potraktowania naszego kraju. Inni zachodni wierzyciele państwowi i prywatni musieli zrobić to samo. Z NASZEGO rachunku spisano ponad dwadzieścia miliardów ówczesnych dolarów. To było około tysiąca USD darowanych każdemu Polakowi i potężne wsparcie dla polskich reform na pierwszym ich etapie, a także jasny sygnał dla zagranicznych inwestorów. Irak był również niebagatelnym argumentem w staraniach o integrację Polski w ramach struktur atlantyckich i europejskich. Tę cegłę do budowy nowej polskiej suwerenności wnieśli oficerowie wywiadu z wieloletnim stażem w służbach PRL, przy zaangażowaniu takich, jak ja, członków służby zagranicznej. Z dwudziestoletnim stażem w MSZ PRL i moskiewskim dyplomem. Proszę odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wówczas z taką proweniencją można było we wspólnym interesie dokonywać wielkich rzeczy, a po upływie ćwierćwiecza w wolnej Polsce trzeba rozrywać zabliznione rany i budować barykady. Ludzie generała Czemińskiego solidarnie i lojalnie służyli państwu, tak jak tysiące innych, a dzisiaj tnie się im emerytury i zwymyśla od oprawców! I to nie oni powinni zabiegać o wyjątkowe potraktowanie przez państwo, któremu godnie służyli. Pożeranie przez rewolucję własnych dzieci musi się skończyć niestrawnością. Dokonania irackie jakby odchodzą w Polsce w niepaamięć, ale w Waszyngtonie są częścią legendy odnowionych stosunków

z naszym krajem. Potwierdzeniem tego jest upamiętnienie 25. rocznicy wydarzenia. Wspomnę o tym oddzielnie.

4 listopada 1990 roku złożyłem listy odwołujące poprzednika oraz własne listy uwierzytelniające na ręce wiceprezydenta Tahy Jasina Ramadana. Saddam Husajn nie zwracał sobie głowy bez potrzeby ambasadorami i nigdy się z nim nie spotkałem, podobnie jak z jego synami. Do kompleksu pałacowego, stanowiącego część nowoczesnej dzielnicy rządowej, po 2003 roku znanej jako Zielona lub Międzynarodowa Strefa, zabrała mnie limuzyna prezydenckiego Protokołu Dyplomatycznego, z polską flagą, mająca tylne okna szczelnie przysłonięte firankami. Rządowa kolumna przewiozła również pięciu towarzyszących mi dyplomatów, w tym radcę handlowego, Krzysztofa Trepczyńskiego. Ceremonia była prosta – grzecznościowa formuła, wręczenie listów od głowy państwa utrzymanych w protokolarnym „duchu przyjaźni i współpracy”, co w danym momencie brzmiało wysoce abstrakcyjnie. Po przedstawieniu towarzyszących dyplomatów nastąpiła audiencja prywatna – blisko półgodzinna rozmowa prowadzona po arabsku, poświęcona sprawom bilateralnym, kontekstowi kuwejckiemu i naszej transformacji. Jakiś wyważony żart ożywił jej przebieg. Rozmówca odnotował moje bliskowschodnie doświadczenie, aktywność w pierwszym okresie pobytu i stwierdził, że widzą we mnie przyjaciela Iraku. Następnego dnia wszystkie media podały na czołowych miejscach informacje o akredytacji ze zdjęciami. Doszło przy tym do anegdotycznej sytuacji. Wierna transkrypcja mojego nazwiska na język arabski nie jest możliwa, a ponadto z miejscową niefrasobliwością zapisano go w dwóch członach – „blum-inski”, co skłoniło paru miejscowych dyplomatów do dyskretnego wyjaśniania mojego pochodzenia.

Szybko odwiedziłem załogi wszystkich polskich przedsiębiorstw w Iraku. Uspokoilo to sporadycznie występujące napięcia, w szczególności na kontraktach w newralgicznych sektorach gospodarki (nafta, energetyka), gdzie występowały problemy z otrzymaniem wizy wyjazdowej, niezbędnej do opuszczenia Iraku. Podobny skutek odniosły wzajemne przesunięcia zapasów artykułów konsumpcyjnych pomiędzy firmami. Podczas wyjazdu do Mosulu i na obszar Autonomii Kurdyjskiej sprawdziłem drogę do granicy tureckiej. Na przestrzeni dziesiątków

kilometrów była wypełniona tysiącami tureckich ciężarówek przywożących głównie świeżą żywność oraz wywożących ropę i produkty naftowe w przemyślnie skonstruowanych zbiornikach. Biznes działał bez oglądania się na sankcje ONZ i poza zainteresowaniem międzynarodowej opinii publicznej. Nie zmieniła tego również moja relacja do Warszawy. Proceder kwitł dalej, podobnie jak ćwierć wieku później lukratywny przemyt realizowany przez tak zwane Państwo Islamskie z Iraku i Syrii. Przyzwolenie władz tureckich na tamten przygraniczny handel kontrastowało z zaostrzonymi w tym czasie inspekcjami w Ankarze naszych samolotów ewakuacyjnych w drodze do Bagdadu. Generowało to dodatkowe koszty i burzyło rozkład lotów, doprowadzając do białej gorączki Polaków dowożonych planowo na lotnisko w Bagdadzie z często odległych regionów Iraku. Przy pierwszej okazji w gronie korpusu powiedziałem chargé d'affaires Turcji o hipokryzji zasługującej na upublicznienie. Zareagował nerwowo, grożąc protestem i skarżąc się do nuncjusza. Ale samoloty zaczęły przylatywać zgodnie z planem!

Z możliwości ewakuacji miała prawo skorzystać również kilkusetosobowa grupa Polek zamężnych z Irakijczykami wraz z dziećmi. Wyjechali wszyscy zainteresowani, ale była to niewielka grupa. O pozostaniu decydowały względy rodzinne, brak zaplecza w Polsce, wiara w pokojowe rozwiązanie konfliktu, zahartowanie doświadczeniami wojny z Iranem. Jeszcze przed moim przyjazdem placówka dokonała wyczynu niebywałego w warunkach irackich, umożliwiając wyjazd pewnej ilości Polek z dziećmi nieposiadającymi prawa do opuszczenia Iraku jako obywatele tego kraju. Kontakty ze środowiskiem polonijnym przyczyniły się do jego integracji i samoorganizacji. Pomogło to po wojnie uruchomić efektywny program pomocy, przede wszystkim żywnościowej oraz edukacyjnej dla dzieci. Niezależnie od skromnych funduszy konsularnych przeznaczaliśmy na niego przyznawane również pracownikom placówek dyplomatycznych kartkowe przydziały mąki, ryżu, cukru, oleju, herbaty i innych produktów, sprzedawane po bardzo niskich urzędowych cenach.

Protokolarny obowiązek złożenia wizyt kurtuazyjnych innym szefom placówek traktowałem elastycznie. Przed Kuwejtem w Bagdadzie było ponad sto misji dyplomatycznych na szczeblu ambasadora,

o różnym stopniu aktywności. Dziekan korpusu nie wrócił z urlopu i nikt go nie zastępował. Naturalnym pierwszym adresem była Nuncjatura Apostolska. Nuncjusz, arcybiskup Marian Oleś, zawodowy dyplomata watykański, był Polakiem z syberyjskim życiorysem, człowiekiem o niezwyklej osobowości i wielkim polskim patriotą. Jako osierocone dziecko znalazł się w grupie 120 tysięcy polskich uchodźców, którzy czasie II wojny światowej trafili do Iranu, a stamtąd wyjeżdżali do Iraku, Palestyny, Syrii, Libanu i dalej w różne strony świata, o czym też w Polsce zapomniano w dyskusji o bliskowschodnich uchodźcach po Arabskiej Wiośnie. Marian Oleś dotarł do Indii, gdzie ukończył szkołę podstawową. Maturę zdał w Anglii. Święcenia kapłańskie otrzymał w Rzymie w 1961 roku. Placówkę bagdadzką z akredytacją na Kuwejt objął jeszcze w okresie wojny z Iranem. Był powszechnie traktowany jako faktyczny dziekan korpusu, również przez ambasadorów państw muzułmańskich. Cieszył się wielkim szacunkiem władz irackich, wśród których wpływowe stanowiska zajmowało wielu muzułmańskich absolwentów szkół i uczelni jezuickich, a członkiem ściślego kierownictwa był chaldejski katolik Tarek Aziz. Utrzymując ścisłe relacje z podzieloną na wiele wyznań wspólnotą chrześcijańską, liczącą wówczas ponad milion wiernych i stanowiącą ponad 5% ludności kraju, był jednym z najlepiej poinformowanych dyplomatów. Jako pierwszy nuncjusz podjął bliską współpracę ze społecznościami o korzeniach judeo-chrześcijańskich, w tym mandejczykami, fascynacja którymi i mnie szybko się udzieliła. Arcybiskup przekonał ich szejka do zerwania z sięgającą Jana Chrzciciela tradycją picia wyłącznie wody z rzeki. W przypadku Tygrysu oznaczało to zagrożenie ciężkim zatruciem. Mandejczycy, których symbolem był przykryty całunem krzyż, odrzucali boskość Chrystusa i być może to z tego kręgu takie przekonanie przejęli templariusze, co mogło stać się jednym z istotnych powodów czy pretekstów do rozprawy z tym zakonem.

Nuncjusz realistycznie oceniał politykę Bagdadu, ale krytycznie podchodził do wielu aspektów zachodniej strategii na Bliskim Wschodzie. Widział w niej zagrożenie dla bezpieczeństwa w regionie, a w szczególności dla wyznawców wschodnich kościołów w miejscu narodzin i rozkwitu chrześcijaństwa. Islam pozbawił je wprawdzie dominującej pozycji, ale pozostały liczącymi się wyznaniem, zdolnymi oddziaływać przez kilka wieków nawet na odległe obszary niemuzułmańskie

Azji, łącznie z Chinami. Arcybiskup uważał, że narastanie antagonizmu pomiędzy Zachodem, w tym Izraelem, a islamem wciąga chrześcijan w tę konfrontację, skutkiem czego może być przyspieszenie procesu ich zaniku, głównie poprzez coraz silniejszą migrację do państw zachodnich, niezależnie od prześladowań. Ocena sytuacji na Bliskim Wschodzie wyłącznie w kategoriach islam–judaizm i takie jej postrzeganie na Zachodzie może jedynie utrwalić nierozwiązywalność istniejących konfliktów. Watykan, być może lepiej niż jakikolwiek inny podmiot międzynarodowy, rozumiał dalekosiężne konsekwencje kryzysu irackiego. Na różnych jego etapach Stolica Apostolska próbowała ratować pokój. Przykładem były misje dyplomatyczne kardynała Rogera Etchegaraya na przełomie 1990/1991 roku. Nie miały one szans powodzenia, ale były ważnym sygnałem dla regionu, że Kościół nie identyfikuje się z siłowymi metodami rozwiązania konfliktu. Podczas pierwszego spotkania z Marianem Olesiem przeżyłem moment zaskoczenia. Miał on na piersiach arcybiskupi łańcuch zwieńczony złożonym słowem „Allah”, pisany po arabsku charakterystyczną dla tego pojęcia kaligrafią. Trudno o lepsze zaznaczenie przynależności do wspólnej rodziny religii objawionych, czczących tego samego jedyne Boga, nazywanego różnie w zależności od języka.

Dość szybko odwiedziłem wszystkich obecnych ambasadorów państw stałych członków Rady Bezpieczeństwa oraz naszych i irackich sąsiadów. Z Josephem Wilsonem, kierującym placówką USA, spotkaliśmy się na przyjęciu w wąskim gronie w rezydencji ambasadora amerykańskiego nad Tygrysem. Było to już po akcji wywiadu i winem z dobrze zaopatrzonej piwniczki wznosiliśmy toasty za współpracę. „Zrobiliście coś wielkiego, dla nas i dla samych siebie” – powiedział. „Teraz możemy się szykować do ewakuacji.” Zanim to jednak nastąpiło, Joe spotkał się jeszcze z Saddamem Husajnem jako ostatni dyplomata amerykański, ostrzegając przed konsekwencjami dalszej okupacji Kuwejtu. Zlekceważył też publicznie iracką notę werbalną do ambasad, grożącą egzekucją wszystkim ukrywającym cudzoziemców. Pozostał w służbie do 1998 roku, stając się przykładem dyplomaty zmagającego się z dylematami moralnymi. W 2002 roku został bowiem na krótko przywrócony do służby i wysłany do Nigru. Administracja USA oczekiwała, że przywiezie stamtąd raport wskazujący na zainteresowanie Iraku zakupami uranu w tym kraju, co dostarczyłoby pretekstu

do usprawiedliwienia interwencji. Napisał prawdę, że nic takiego nie miało miejsca, za co zapłaciła jego żona, zdekonspirowana jako agentka CIA. Później pracował dla wielkiego biznesu i z tego tytułu realizował operacje finansowe na rzecz Fundacji Clintonów, według amerykańskich mediów nie zawsze przejrzyste.

Rola dyplomacji amerykańskiej w kryzysie kuwejckim raczej nie budzi wątpliwości, nawet jeśli poszczególne jej elementy nie zostały do końca udokumentowane. Ambasador April Glaspie opuściła Irak bezpośrednio po obrosłym legendą spotkaniu z Saddamem Husajnem 25 lipca 1990 roku. W tym dniu najpierw przekazała Tarekowi Azizowi w MSZ niejednoznaczne oświadczenie rzeczniczki Departamentu Stanu na temat wojowniczej postawy Iraku wobec Kuwejtu, stwierdzające, że „jakkolwiek USA nie mają umowy o wzajemnej obronie z Kuwejtem (...) Irak i inni powinni wiedzieć, że w cywilizowanym świecie nie ma miejsca dla wymuszania i zastraszania”. Ledwo wróciła do biura, poproszono ją ponownie i z MSZ przewieziono do pałacu Prezydenta, z którym rozmawiała po raz pierwszy w ciągu dwuletniej misji. Można założyć, że relacje w mediach o treści tej rozmowy są wiarygodne. Ambasador powiedziała, że prezydent Bush pragnie lepszych i głębszych stosunków z Irakiem i nie zamierza wypowiadać mu wojny gospodarczej. Wyraziła zrozumienie dla zabiegów o wzrost cen ropy naftowej, koniecznych dla powojennej odbudowy kraju. Prosiła, „w duchu przyjaźni, a nie konfrontacji”, o wyjaśnienie powodów koncentracji wojska na granicy z Kuwejtem. Zastrzegła, że USA traktowałyby tę kwestię jako wewnętrzną, gdyby ruchom wojsk nie towarzyszyły pogroźki wobec Kuwejtu. Saddam Husajn twierdził, że Irak chce wyrzucić presję na Kuwejt, by poprzez negocjacje osiągnąć swe cele. Chodziło w szczególności o kontrolę nad Szat al Arab, co stanowiło jeden z powodów wojny z Iranem. Zaznaczył, że alternatywą pozostaje „przywrócenie zwierzchności irackiej nad Kuwejtem”. Rozmówczyni sugerowała, że Waszyngton nie wypowiada się na temat sporów międzyarabskich, takich jak konflikt iracko-kuwejcki. Sprawa Kuwejtu nie jest związana z Ameryką, o czym Bagdad po raz pierwszy został poinformowany jeszcze w latach sześćdziesiątych.

W czasie pobytu w Bagdadzie miałem bliski kontakt z Nabilem Zubaidim, dyrektorem departamentu w MSZ i osobistym tłumaczem

Saddama Husajna z języka angielskiego. Nie zdołałem jednak ustalić, czy April Glaspie rzeczywiście powoływała się w rozmowie na prezydenta George'a H.W. Busha oraz instrukcję sekretarza stanu Jamesa A. Bakera. Sądzę, że nie miała ku temu podstaw. Spotkanie było niespodziewane i nastąpiło wkrótce po rozmowie z Tarekiem Azizem, podczas której żadne tego rodzaju deklaracje nie padły. W takiej sytuacji trudno jednak zrozumieć, czemu Irakijczycy w trybie nagłym zaaranżowali jej spotkanie z Prezydentem, o czym Pani Ambasador nie mogła wcześniej wiedzieć. Być może obie strony czuły potrzebę pozostawienia wokół Kuwejtu szarej strefy niedomówień, do własnej interpretacji. Uważam, że Saddam Husajn był zdeterminowany najeżdżać na Kuwejt, ale poszukiwał jakiejś formy zabezpieczenia, być może dla własnych generałów. Atakowi mogło zapobiec jedynie wyraźne oświadczenie, że USA użyją siły, aby usunąć skutki ewentualnej irackiej agresji. A takie nie padło. Być może Saddam Husajn nie odrobił lekcji z podstaw historii stosunków międzynarodowych i nie wiedział, że do wypowiedzi ambasadorów, polityków i generałów należy stosować zasadę ograniczonego zaufania. Pewnie nie brał też pod uwagę amerykańskiej procedury podejmowania decyzji w sprawach wojny i pokoju. Może byłby bardziej ostrożny wiedząc, że do wojny koreańskiej przyczyniła się deklaracja generała Douglasa MacArthura, że rubieże obronne USA nie obejmują południowej części Płw. Koreańskiego. Poparta innymi wskazówkami, dała Kim Ir Senowi okazję do przekonania Moskwy i Pekinu, że powstała przestrzeń do łatwego rozciągnięcia komunistycznej władzy na cały półwysep. Trzyletnia wojna koreańska postawiła świat na krawędzi konfliktu globalnego. Przyniosła blisko 1,5 miliona ofiar śmiertelnych, w tym 36 tysięcy Amerykanów. Spowodowała ogromne zniszczenia i nieodwracalne konsekwencje polityczne, wojskowe, społeczno-kulturowe i militarne, groźne również dzisiaj. Cóż, gdy obie strony prą do rozwiązań siłowych, wystarczy umiejętne zastawienie pułapki. Ze wspomnianym wyżej Nabilem Zubaidim łączy się ciekawy epizod. Bodaj w 1993 roku, żaląc się na postępowanie Komitetu Sankcji ONZ, zapytał mnie, co powinni zrobić dla zmiany traktowania. Pół żartem powiedziałem, żeby zaproponowali odbudowę ropociągu do Hajfy. Po kilku dniach usłyszałem od niego: „Teraz nie jest jeszcze na to czas”.

Perspektywa wojny oznaczała konieczność zaplanowania ewakuacji całej placówki, choć Warszawa w tej sprawie milczała. Skład osobowy sukcesywnie redukowaliśmy. Decyzje wyjazdowe były przyjmowane różnie, nie zawsze ze zrozumieniem. Dla jednej z pań przestałem być „naszym ambasadorem”. Proces ten objął również woźnego, jedyne ogniwo w naszym systemie ochrony. Poważnie mówiąc, w Bagdadzie polegaliśmy na zdrowym rozsądku i żołnierzach irackich, którzy po dwóch rotacyjnie dyżurowali całą dobę przy bramie wjazdowej. W warunkach kryzysu MSZ zgodził się na wypłacanie im regularnie niewielkich świadczeń pieniężnych, co bardzo podniosło morale. Dostawali też żywność. Redukcje sprawiły, że na przełomie grudnia/stycznia w Ambasadzie i BRH zostało siedem osób, w tym trzech pracowników technicznych (radiooperator, szyfrant, kierowca). Wszyscy pracownicy zachowywali się odpowiedzialnie, wykazując spokój i dyscyplinę. Poza indywidualnymi wyjątkami podobnie wyglądała również sytuacja w środowisku pracowników firm i ich rodzin. Raz jednak musiałem się posunąć do groźby, wobec odmowy ewakuacji małżeństwa z kilkuletnią córką. Jej matka na Okęciu poskarżyła się na mnie do kamer. Przygarnęliśmy też dziennikarza, Andrzeja Daszkiewicza z „Tygodnika Solidarność”. Jedyne, który przyjechał z kraju po agresji (podczas mojej misji gościliśmy ponadto redaktora Krzysztofa Rogalę). Plany ewakuacyjne placówki były przygotowane jeszcze w okresie wojny z Iranem. Aktualizowaliśmy je w biegu. Między innymi trzeba było stworzyć procedury przyjmowania depozytów finansowych polskich firm, które dysponowały pokaźnymi sumami w niepodlegających transferowi dinarach. Deponowano też wartościowy drobny sprzęt i samochody, do wyczerpania powierzchni parkowania. Zrobiliśmy spis z natury inwentarza placówki i mieszkań pracowniczych, który bardzo przydał się rok później, gdy przeprowadziliśmy odkładaną od lat pełną inwentaryzację, zamykając w tym celu placówkę na kilka dni. Zmobilizowaliśmy się do brakowania akt, co w większości placówek jest zmorą. Zabezpieczone zostały dzieła sztuki i najbardziej wrażliwe składniki majątku. Odnowiliśmy strategiczne zapasy. W ramach remanentów szyfrant ujawnił, że jesteśmy uzbrojeni! W sejfie od placówkowych pokoleń leżał pistolet, który ostatecznie wylądował w Tygrysie. Te prace zajmowały i cementowały zespół. Wszyscy przeszliśmy na ty i taką praktykę zachowałem w innych jednostkach, którymi kierowałem. W końcu 1990 roku upływał termin najmu budynku Ambasady.

Duży i dobrze położony obiekt był dzierżawiony od dziesięcioleci. Właściciel, Mohammad Makija, wyspecjalizował się w wymuszaniu podwyżek czynszu i unikaniu remontów. Sytuacja pozwalała powiedzieć tej praktyce „stop”. Teraz my wymusiliśmy obniżkę o 30% czynszu, mimo zgody Warszawy na umiarkowaną podwyżkę. Przedłużając dzierżawę tylko na rok, przy kolejnych negocjacjach przeszliśmy na płatność dinarową, co było równoznaczne z wielokrotnym obniżeniem kwoty. Wcześniej musieliśmy pokonać poważne obiekcje polskiego MSZ.

29 listopada 1990 roku rezolucja nr 678 Rady Bezpieczeństwa ONZ zezwoliła na użycie siły w celu usunięcia wojsk irackich z Kuwejtu, o ile nie zabiorą się one stamtąd do 15 stycznia 1991 roku. Bagdad powiedział „nie”. Wyznaczony został wojenny i ewakuacyjny horyzont. Jako członek międzynarodowej koalicji Polska stawiała się w Iraku państwem wrogiem. Część dyplomatów, w tym europejskich, miała jeszcze złudne nadzieje na polityczny kompromis *last minute*. Konsekwencje jednobiegunowego świata nie zostały jeszcze przetestowane. Sam chciałem wierzyć w taką perspektywę, ale musiałem się trzymać faktów. A to oznaczało, że przed datą ultimatum w Iraku nie powinno być żadnego Polaka.

Plan zakładał, że ostatnia duża grupa pracowników polskich firm opuści Bagdad na początku stycznia 1991 roku. Do tego czasu należało rozwiązać problem odmów wizowych, stosowanych przez władze irackie nie tyle ze względów wojskowych, co w trosce o funkcjonowanie strategicznych obiektów, głównie sektora energetycznego. Sukcesywnie liczba odmów zmniejszała się dzięki połączeniu zaangażowania firm, placówki i zaprzyjaźnionych irackich ministrów, ale i tak w ostatniej dekadzie grudnia w takiej sytuacji pozostawało jeszcze dwadzieścia dziewięć osób. Włączyła się również Warszawa. Temat podjęto w rozmowach z wiceministrem spraw zagranicznych Saadem Fajsalem, 22-23 grudnia 1990 roku. Był to jedyny kontakt dwustronny w okresie kryzysu. Żadne obietnice nie padły, ale ostatnich kilkanaście wiz odblokowano tydzień później. Niezależnie otrzymała je również grupa pracowników Polimeksu z rafinerii w Basrze, którzy – zdesperowani oczekiwaniem – zdecydowali się porzucić stanowiska pracy i czekać na wize w Bagdadzie. Irackie prawo przewidywało za to więzienie. Byliśmy jedyną dużą zachodnią grupą narodową, która ewakuowała

się bez wsparcia ze strony jakiegokolwiek oficjalnej delegacji z kraju, co w przypadku innych państw było powszechną praktyką.

Święta Bożego Narodzenia 1990 roku obchodziło w Bagdadzie już tylko kilkudziesięciu Polaków, spośród łącznie 245 przebywających jeszcze w Iraku. W Ambasadzie i BRH byliśmy wyłącznie w męskim gronie. Wspólna wigilia stanowiła zdany sprawdzian naszych umiejętności kulinarnych. Karpia zamówiliśmy jednak w restauracji na nadrzecznym bulwarze Abu Nawas, gdzie świeżą rybę przyrządza się jako *masguf*, to jest przeciętą po grzbiecie i pieczoną pionowo przy ognisku. Stół urozmaicił tort przekazany przez miejscowy protokół dyplomatyczny z wizytówką prezydenta Iraku.

Szczególnym przeżyciem była polska pasterka, celebrowana przez arcybiskupa Olesia w chaldejskim kościele katolickim pod wezwaniem św. Józefa na Karradzie. Z Ambasady przywieźliśmy na tę okazję przepiękną szopkę krakowską, dzieło polskich pracowników z kontraktu w Al-Kaim, przy granicy z Syrią. Ich kilkudziesięcioosobowa grupa wyjeżdżała ostatnim rejssem ewakuacyjnym przed świętami, chyba ze świadomością, że już nigdy do Iraku nie wrócą. Zjawili się w komplecie w Ambasadzie, by powierzyć szopkę opiece ambasadora. Do końca mojej misji konserwowaliśmy ją co roku, eksponowaliśmy w grudniu w holu starej i później nowej siedziby, woziliśmy na coraz smutniejsze pasterki. Będąc w Bagdadzie w 2006 roku, nie mogłem się o nią dopytać. Chyba przepadła podczas którejś z kolejnych, chyba nadmiernie częstych, okresowych ewakuacji placówki do Jordanii, dokonywanych w rytmie zaognień sytuacji wokół Iraku. Podczas pasterki 1990 roku fragment Ewangelii czytał nieżyjący już, podobnie jak jego żona Asia, Kazimierz Szapowal. Wcześniej upewnił się u Nuncjusza, że jego raczej skromna partyjna przeszłość nie spowoduje naruszenia sacrum. Niektórym wiernym się to nie podobało. Dwa lata później z rekomendacji Arcybiskupa oboje zostali przyjęci w Watykanie na prywatnej audiencji przez papieża Jana Pawła II.



EWAKUACJA

W tygodniu poprzedzającym wojnę polski Irak składał się już tylko z ekipy placówki, kilku „refusników” na własną odpowiedzialność i prawie trzydziestoosobowej grupy Dromeksu. Zabezpieczała ona wielomilionowej wartości sprzęt do budowy autostrad w bazie firmy w Ramadi. Ustaliliśmy, że będą pilnować go do ostatniej bezpiecznej chwili, ewakuując się wraz z personelem ambasady drogą lądową do Turcji. Drogowcy byli dumni z tego, co ich firma osiągnęła w Iraku, lojalni i odpowiedzialni. Chcieli chronić majątek, wierząc, że jeszcze tu wrócą, a by było to realne, musieli mieć sprzęt i zaplecze. Trasę do Turcji, przez Mosul i Zachu, wybraliśmy jako optymalną. Czarterowe rejsy w dniach poprzedzających termin ultimatum pozostawały loterią. Na autostradzie do Jordanii zdarzały się incydenty. Na początku stycznia ostrzelano tam konwój ewakuacyjny ambasadora Niemiec, który musiał wracać do Bagdadu i prosić nas o pomoc. Minister H.D. Genscher podziękował za to telefonem i listem do ministra Skubiszewskiego. Granica saudyjska była zamknięta, a syryjska nie do końca przejezdna. Od strony Kuwejtu szła wojna. Iran traktowaliśmy jako opcję zapasową, uzgodnioną pisemnie z jego Ambasadą w Bagdadzie. Mieliśmy też zgodę przejazdową irackiego MSZ z otwartym terminem. Konieczność podróży lądem wynikała z jeszcze innego powodu. Kilka dni przed sylwestrem pod bramę placówki podjechała wieczorem taksówka z rejestracją z południa Iraku. Pasażer wypchnął z niej młodzieńca Polkę z niemowlęciem i torbą podróżną. Auto szybko odjechało. Dziewczyna powiedziała, że mąż wypowiedział wobec niej formułę muzułmańskiego rozwodu (trzykrotne „odejdz, jesteś rozwiedziona”). Dziecka też nie chciał, raz, że dziewczynka, a dwa, że urodziła się bez rączki. Mieliśmy problem. Wizę wyjazdową dla matki byliśmy w stanie załatwić, ale jej córka, zgodnie z miejscowym prawem, była obywatelką Iraku i wpisanie jej do polskiego paszportu matki lub wydanie oddzielnego nie mogło być podstawą do opuszczenia kraju. W irackim MSZ na szczeblu ministra obiecano pomoc, z zastrzeżeniem, że formalności mogą potrwać kilka tygodni. A wojna nie chciała czekać. Pozostawało przemyścić dziecko. Było to realne jedynie na granicy lądowej i z udziałem dyplomatów. Dromex udzielił gościny obu paniom i swoimi sposobami załatwił dla matki wizę wyjazdową. Dla niemowlaka kupiono podróżną torbę.

Odliczaliśmy czas do 15 stycznia. Niezależnie od bieżących spraw organizacyjno-technicznych i operatywnych szła do Warszawy codzienna porcja informacji dzielonej z sojusznikami, których w Iraku już nie było. Informacja była pożądana, ale miała ograniczoną wartość. Decyzje podejmowano w Waszyngtonie i w Nowym Jorku. Irakijczycy nie mieli pola manewru. Wyrok już wydano, a poza tym odwrót z Kuwejtu był niemożliwy z przyczyn wewnętrznych. Wskazówką kierunku nieuchronnego rozwoju wydarzeń było monitorowanie prowadzonej przez obie strony propagandy wojennej, wzajemne demonizowanie się i obciążanie odpowiedzialnością. Wspominałem, że pierwszą ofiarą wojny jest prawda. Niemniej również kampania pozycjonowania przeciwnika i kłamstw z tym związanych ma własną dynamikę. Po przekroczeniu pewnego progu jest w zasadzie nie do powstrzymania. Irakijczycy w obliczu nieuniknionej klęski dodawali sobie animuszu, potrząsali szabelką, trąbili o „matce bitew” i krzyżowcach, rzucali nadmuchane groźby wobec Arabii Saudyjskiej i Izraela. Amerykanie nie pozostawiali dłużni, prąc do konfrontacji zbrojnej. Symbolem postprawdy stała się młodzietka kuwejcka pielęgniarka. Doprowadzona przez administrację USA na forum Kongresu, opowiadała o barbarzyństwie irackich żołnierzy wyrzucających wcześniaków z inkubatorów na oddziale położniczym szpitala w Kuwejcie. Dla kongresmenów jako rzekomy naoczny świadek musiała brzmieć przekonująco. Zatajono bowiem, że występuje przed nimi córka kuwejckiego dyplomaty, która od dawna nie była w swym kraju, a sprawy inkubatorów do dziś nie udokumentowano. Rozwój sytuacji uświadomił mi jeszcze jeden ważny aspekt sprawy. O ile iracki dyktator teoretycznie był w stanie w każdej chwili dokonać w wyniku zakulisowych uzgodnień zwrotu o 180 stopni, to dla USA droga odwrotu była trwale zamknięta. Wykreowanie antychrysta wyklucza paktowanie z nim, co potwierdza również (choć bez generalizowania!) wojna z islamskim terroryzmem, który zastąpił iracki reżim w roli wroga Zachodu numer jeden.

Perspektywa wojennego spektaklu zgromadziła w Bagdadzie na początku stycznia 1991 roku 2,2 tysiąca zagranicznych dziennikarzy. To miała być pierwsza wojna telewizyjna. Na kuwejckim froncie Irakijczycy zebrali 4,5 tysiąca czołgów, 2 tysiące samolotów i kilkaset tysięcy żołnierzy. Siły pozornie imponujące, ale w porównaniu z potencjałem po drugiej stronie frontu, żałośnie śmieszne. Kierownictwo

irackie dobrze o tym wiedziało, dyslokując większość elitarnych jednostek Gwardii Republikańskiej w głębi kraju, co Amerykanie docenili, unikając ich atakowania. Nieco ponad dekadę później gwardziści tworzyli trzon opozycji zbrojnej przeciwko amerykańskiej okupacji i szyickiemu rządowi w Bagdadzie, a parę lat później również kadre tak zwanego Państwa Islamskiego, będącego po części ruchem sunnickiej samoobrony. Cywilny Irak żył jednak w przeddzień wojny jakby w innym wymiarze i nie sprawiał wrażenia, przynajmniej w Bagdadzie, że oczekuje nieuchronnego uderzenia. Sklepy pełne kuwejckiego łupu i restauracje były otwarte do późna, odbywały się przyjęcia i wesela, działały nocne kluby, kina, teatry i filharmonia. Titanic był na kursie kolizyjnym, ale orkiestra grała. 13 stycznia 1991 roku do kraju odleciała ostatnia duża grupa rodaków – 90 osób. Z zainteresowanych wyjazdem zostaliśmy sami z ekipą Dromeksu. W tym samym dniu Kongres USA upoważnił prezydenta do użycia przeciwko Irakowi siły.

Nie było na co dłużej czekać. Konsekwencje działań zbrojnych były niemożliwe do przewidzenia. 14 stycznia podjąłem decyzję o wyjeździe następnego dnia. Poinformowałem niezwłocznie Warszawę i uruchomiłem ostatni etap planu ewakuacyjnego. Notyfikowaliśmy iracki MSZ, że ambasador RP i personel dyplomatyczny tymczasowo opuszczają Irak, prosząc o ochronę obiektów placówki i pozostawianego mienia. Poinformowaliśmy, iż opieczętowany gmach Ambasady i posesja do czasu powrotu zostają pod całodobową opieką miejscowego kierowcy, upoważnionego do kontaktu z władzami i ewentualnej pomocy polskim obywatelom. Notyfikacje rozesłaliśmy również do pozostających w Bagdadzie placówek. Nuncjatura zapewniła, że będzie w kontakcie z kierowcą. W oddzielnej nocie ponowiliśmy prośbę do władz irackich o ochronę majątku polskich firm, według lokalizacji. W wydzielonej części gmachu z dostępem do telefonów i numerowanego papieru firmowego miała pracować sekretarka, co jednak okazało się nierealne wobec sparaliżowania komunikacji i łączności już w pierwszych dniach wojny. Lokalni pracownicy, w tym dwóch ogrodników (jeden z nich wyróżniał się posiadaniem drugiej żony, „odziedziczonej” po bracie zabitym podczas wojny z Iranem), otrzymali instrukcje oraz uposażenie z góry na trzy miesiące i obietnicę podwojenia kwoty po reaktywacji placówki.

Ostatnie czynności obejmowały zamknięcie punktu szyfrowego, demontaż radiostacji, pakowanie dokumentów i rzeczy oraz koordynację z Dromeksem, którego ekipa miała się przemieszczać inną drogą. Porozumienie przez telefon okazało się niemożliwe ze względów technicznych. Wszyscy koledzy mieli jeszcze co robić, więc do Ramadi pojechałem sam, w towarzystwie redaktora Daszkiewicza, na wszelki wypadek pod flagą. Obróciliśmy autostradą w trzy godziny, nie spotykając na studwudziestokilometrowej trasie ani jednego punktu kontrolnego. Ustalenia przekazałem natychmiast do MSZ otwartą depeszą. O przewożeniu niemowlaka informowaliśmy w trybie niejawnym. Późnym wieczorem podsumowanie gotowości do wyjazdu, kieliszek koniaku i do łóżek. Wcześniej rano jeszcze jedno potwierdzenie do Warszawy i kolejne podające godzinę wyłączenia radiostacji, oznaczające pozabawienie jakiegokolwiek łączności. Mówił dziad do obrazu, a... Tylko Łączność MSZ potwierdziła doręczenie tekstów adresatom. Ostatnie sprawdzenie bagażu ze specyfikacją, pieczęci na workach z pocztą dyplomatyczną, paszportów, pieniędzy, apteczki, zapasu wody i żywności. W opieczętowanych szafach żelaznych pozostały depozyty firm w niewymienialnych dinarach, o księgowej wartości rzędu kilkudziesięciu milionów dolarów. Kierowca sprawdził zapasy w jego gestii, w tym paliwa do samochodów i agregatu prądotwórczego. Na maszt wciągnęliśmy świeżą flagę.

Ruszyliśmy wczesnym popołudniem, żegnani przez pozostawianych pracowników i żołnierzy ochrony. Jechaliśmy trzema średniej klasy kilkuletnimi mercedesami 220, z których jeden należał do BRH. Punktem docelowym była Warszawa, o ile w Ankarze nie otrzymamy innych dyspozycji. Na pokładach siedem osób: ambasador, I sekretarz Kazimierz Szapował, kierownik BRH Krzysztof Trepczyński, kierowca Andrzej Łoś, radiooperator, szyfrant oraz dziennikarz, a także... kotek. Parę tygodni wcześniej kocie niemowlę znalazł w przydomowym ogródku Kazimierz Szapował, wykarmił smoczkiem i nie chciał słyszeć o zostawieniu, choć ostrzegaliśmy, że koty nie lubią podróżować. I stało się: kot zniknął bezpośrednio po powrocie z ewakuacji.

Nad miastem wisiały ciężkie chmury deszczowe. Razem z zacinającym wiatrem tworzyły przygnębiającą atmosferę. Do granicy mieliśmy sześćset kilometrów starą i zaniedbaną dwupasmówkę do Mosulu,

odchodzącą od autostradowej obwodnicy Bagdadu, a dalej węższą szosą przez Kurdystan. Okresowo ulewnie padało lub wjeżdżaliśmy w gęstą mgłę, co zmuszało do ostrożnej jazdy. Redaktorowi wydawało się jednak, że cały czas jedziemy grubo powyżej setki i tak opisał tę eskapadę. Prowadziłem „Jedynkę”, z flagą z orłem, którą zachowaliśmy przez całą trasę ewakuacji, a po powrocie do Bagdadu umieściliśmy z podpisami w gablocie. Później podzieliła los szopki. Praktycznie cały ruch na drodze kierował się na północ, a w stronę Bagdadu jechały jedynie pojedyncze samochody. W Mosulu zatrzymaliśmy się na posiłek i by zatankować wozy. Do Zachu dojechaliśmy kwadrans po północy, natykając się po drodze na olbrzymie śmieciarki, prawdopodobnie zamaskowane wyrzutnie rakiet balistycznych SCUD. Ekipa Dromeksu dotarła na granicę kilka minut wcześniej i już wiedziała, że przejazd samochodami na stronę turecką jest niemożliwy. Irakijczycy zablokowali górą piachu i zaminowali most. Nie było możliwości manewru. Drogowcy pieszą procedurę zaplanowali. Ich autokar nie miał prawa do opuszczenia granicy celnej Iraku i wracał do Ramadi z miejscowym kierowcą. Po drugiej stronie granicy czekał na nich inny. W naszym przypadku pozostawienie samochodów na pewne zatracenie czy nawet przepakowanie rzeczy wypełniających szczelnie bagażniki, nie wchodziło w grę. Postanowiliśmy zawrócić. Redaktor Daszkiewicz wolał dzielić nasze losy. Dyrektor Dromeksu obiecał powiadomić telefonicznie polskie placówki w Turcji o zmianie planów. Komendant posterunku zapewnił, że poinformuje MSZ w Bagdadzie, jak tylko będzie miał łączność. Nasze dywagacje trwały krótko, a w ogólnym zamieszaniu i serdecznej atmosferze towarzyszącej częstowaniu pograniczników słodyczami, torba z niemowlakiem zeszła z pola widzenia. Drogowcy opuścili Irak z łezką w oku, maszerując gęsiego w kompletnych ciemnościach ścieżką wzdłuż mostu, śpiewając na całe gardło. Jeden z nich niósł pod pachą trefną torbę. Dzieciak, owinięty dodatkowo w koc i nakarmiony uspokajającym syropem, niezauważalnie znalazł się Turcji. Tak wyglądał epilog obecności polskich drogowców w Iraku i na całym Bliskim Wschodzie.

Podjęliśmy powrotną podróż. Policja w Mosulu odradziła podróżowanie nocą w kierunku granicy irańskiej, nie mogąc zapewnić eskorty. Należało wracać do Bagdadu, tam rozeznaczyć sytuację i w ciągu dnia jechać do Iranu, via Bakuba i Chanakin. Dysponowaliśmy

wystarczającym czasem, by granicę przekroczyć kilka godzin przed upływem terminu ultimatum. W połowie drogi do Bagdadu zarządziłem wymuszony postój. Prowadząc ostatni samochód ze śpiącym Redaktorem, zauważyłem, że auto przede mną zaczyna zjeżdżać na gruntowy pas rozdzielający jezdnie. Dramatyczny klakson i wyboje obudziły przysypiającego kierowcę i pasażerów. Był to wyraźny sygnał ostrzegawczy. Zaparkowaliśmy w bezpiecznym miejscu na poboczu, blokując drzwi. Obudziliśmy się niechętnie po godzinie. Otwierając oczy, w pierwszych promieniach wschodzącego słońca ujrzałem w wewnętrznym lusterku odbicie swej twarzy w żółto-niebieskim kolorze. Dopiero po dobrej chwili uświadomiłem sobie, że jest to efekt refleksu światła z przeciwsłonecznego pasa na szybie, a nie skutek na przykład ataku chemicznego, co było pierwszą myślą. Chemiczna psychoza działała nie tylko na amerykańskich prezydentów! Kawa w termosach była nadal gorąca, a kanapki smakowały jak nigdy. Po torze obok drogi mijali nas jadący na południe pociąg z ciężkim sprzętem wojskowym, eskortowany przez przyjaźnie machających rękami żołnierzy.

Po ponad dwudziestu godzinach od opuszczenia Ambasady byliśmy z powrotem na jej terenie. Żołnierze i pracownicy powitali nas radośnie, przypuszczając, że wojna została odwołana. Szczęśliwie telefony miejskie nadal działały. Po kilku rozmowach, w tym z Nuncjuszem, dyrektorem Protokołu Dyplomatycznego i ambasadorem ZSRR uzyskałem wiadomość, czyniącą wyjazd do Iranu, skądinąd całkiem atrakcyjny, bezprzedmiotowy. W powietrzu był nieplanowany wcześniej czarter Aeroflotu do Bagdadu, który po wylądowaniu miał odlecieć do Moskwy niezwłocznie po zabraniu obecnych na lotnisku pasażerów. Ambasador Wiktor Posuwałjuk gwarantował miejsca, pod warunkiem, że nie opóźnimy odlotu. Mieliśmy zaledwie parę godzin, by dokupić walizki, przepakować się bez naruszania pozostawionych w gmachu zabezpieczeń i dotrzeć na terminal. Podzieliłem zadania i sam siadłem za kierownicę pierwszego rozładowanego auta, na wypadek, gdyby trzeba było opóźnić start. Koledzy dojechali jednak na czas, chwilę po wylądowaniu samolotu. Błyskawiczna odprawa i byliśmy na pokładzie. Samochody z lotniska kolejno odprowadził do Ambasady nasz kierowca, dojeżdżając na parking VIP taksówkami. Siedząc wygodnie w fotelach kołującej na start dużej maszyny, zostawialiśmy Bagdad i Irak swemu losowi, bardzo złemu losowi. Koledzy zauważyli,

jak bardzo przez jedną dobę zmienił się też wygląd ulic stolicy, mniej ruchu i otwartych sklepów, więcej pojazdów wojskowych, mniej palących się latarni sączących światło przez mgłę przemieszana z pustynnym pyłem, choć to akurat mogło być wrażeniem pozornym, bo według mediów Bagdad był rzęsiście oświetlony, gdy spadały pierwsze bomby i rakiety. Nastąpiło to 17 stycznia 1991 roku o godzinie 2.38 lokalnego czasu, parę godzin po opuszczeniu przez nas przestrzeni powietrznej Iraku.

Samolot był wypełniony w połowie, co przypomniało problem, jaki Ambasada ZSRR miała z policzeniem swych obywateli w Iraku od początku kryzysu. Szczegółowych danych domagał się MSZ w Moskwie, choć dokładne spisanie kilkudziesięciotysięcznej ruchliwej rzeszy ludzi, na dodatek w okresie urlopowym, było nie tylko niemożliwe, ale również na tym etapie niespecjalnie konieczne. Problem został rozwiązany przez nowego konsula. Popytał on parę osób, dodał różne wartości i podzielił przez ilość respondentów. Wynik podał do centrali i niezwłocznie dostał odznaczenie. Obsługa pasażerów na pokładzie była na przyzwoitym poziomie, a w odniesieniu do nas - ponadnormatywna. Baliśmy się o potraktowanie kota, który - w przeciwieństwie do transferowanego do Turcji niemowlaka - nie chciał spać w zamkniętej torbie i na oczach stewardessy wysunął łapkę przez niedomknięty suwak. Przedstawiony jako domniemany okaz rzadkiego pustynnego gatunku, został podjęty mlekiem i cieszył się życzliwym zainteresowaniem.

Na lotnisku w Moskwie czekali nasi dyplomaci, powiadomieni przez rosyjski MSZ. Zakomunikowali nam decyzję otrzymaną z Warszawy, nakazującą pozostać na lotnisku i „wracać pierwszym samolotem” do Bagdadu. Ponadto miałem zostać ukarany za „samowolne ewakuowanie placówki”. Dowiedzieliśmy się też, że chciano nas zawrócić już z granicy tureckiej. Na szczęście nie tylko my tam nie dotarliśmy, ale także wysłani na granicę polscy dyplomaci z Ankary. Nie pozwolono im wjechać do zamkniętej przez Turków strefy przygranicznej. Koledzy z Moskwy realistycznie podzielili moje przypuszczenie, że lotów cywilnych do Bagdadu prędko nie należy się spodziewać i nie naruszamy specjalnie instrukcji, udając się do hotelu Ambasady. Późną nocą zasiedliśmy tam do wspólnej kolacji, do której wkładem z naszej strony

była spora porcja polskich kabanosów, z chłodni jednej z polskich firm w Bagdadzie, zakrapianych lokalnymi wyrobami. Biesiadę przerwał telefon z Warszawy. Andrzej Majkowski, wówczas kierujący pionem Afryki i Bliskiego Wschodu, poinformował mnie, że właśnie rozpoczęła się „Pustynna Burza” i Bagdad jest bombardowany. Chwilę później zadzwonił również wicedyrektor, Jan Wojciech Piekarski. Zapewniali, że mogę spać spokojnie. „Wcześniejsze decyzje utraciły aktualność”. Nie przypuszczałem, że wybuch wojny przyjmę z ulgą.

Odlecieliśmy 17 stycznia 1991 roku „pierwszym samolotem” do Warszawy. Pogoda wymusiła lądowanie w Gdańsku, skąd do stolicy dojechalіśmy pociągiem. W MSZ o mojej „samowoli” nikt już nie wspominał i właściwie nie wiem, co mi szykowano. Ja z kolei nie dociekałem, dlaczego nie reagowano na moje depesze i clarisy. Do dziś nie wiem, czy ktoś w MSZ nie wierzył w wojnę, czy też odwrotnie – myślał, że będziemy monitorować skuteczność bombardowań. Przeżyliśmy pięć minut zainteresowania mediów, chyba dlatego nie dłużej, że nie było jeszcze wtedy kanałów informacyjnych rzucających się na bieżące tematy i zapraszające chmary ekspertów, nie dbających o weryfikację i rozliczenie tego, co głoszą. Ponadto nie wpisywaliśmy się w główny nurt zapotrzebowania, koncentrującego się na podaniu terminu obalenia irackiego dyktatora i nastania w Iraku ery demokracji.

W MSZ nie było wówczas procedur postępowania z pracownikami formalnie nadal istniejącej placówki ewakuowanymi do kraju. Dla administracji wygodniejsze byłoby ewakuowanie się do sąsiedniego kraju. Moja, tym razem rzeczywiście samowolna, choć zgłoszona, decyzja wypłacenia awansem wszystkim ewakuowanym pracownikom dwumiesięcznych poborów tymczasowo rozwiązywała problem wynagrodzeń. Nie było tu ryzyka wobec przysługującego każdemu z początkiem stycznia urlopu i czasu na badania lekarskie. Do momentu wyjaśnienia sytuacji pobyt w Polsce był traktowany jako służbowe wezwanie z placówki. Część grupy oraz wcześniej ewakuowanych pracowników otrzymała zadania w macierzystych komórkach. Reszta weszła w skład zespołu kryzysowego, który w nowej sytuacji został ukierunkowany na monitoring rozwoju kryzysu. Po raz pierwszy po II wojnie światowej Polska zaangażowała się zbrojnie za granicą (o Czechosłowacji chciałoby się zapomnieć), w sojuszu, który jeszcze niedawno byłby

egzotyczny. W Zatoce Perskiej operowały okręty szpitalne „Wodnik” i „Piasz”, a w Arabii Saudyjskiej został rozlokowany kontyngent medyczny dowodzony przez gen. Bernarda Woźnieckiego (łącznie 310 osób). Polska koalicyjna grupa wsparcia korzystała z logistycznego zaplecza saudyjskiego na podstawie dwustronnego porozumienia o warunkach pobytu i działalności Kontyngentu, podpisanego 16 grudnia 1990 roku w Rijadzie. Polsko-saudyjskie braterstwo broni rodziło się na pięć lat przed nawiązaniem przez oba państwa stosunków dyplomatycznych. Kierowana przez USA i posiadająca mandat ONZ koalicja trzydziestu jeden państw, prowadząc działania z powietrza i trzydniową ofensywę lądową, bez specjalnego pośpiechu wyzwoliła Kuwejt już 28 lutego 1991 roku. Agenda nie obejmowała obalenia reżimu w Bagdadzie, choć wówczas można było tego dokonać stosunkowo niewielkim kosztem, zarówno dla USA, jak i dla Iraku. Na irackiej armii przewaga technologiczna Amerykanów wywarła porażające wrażenie. Symbolem zostało poddanie się całego irackiego oddziału nadlatującemu dronowi, zresztą izraelskiej produkcji. Społeczeństwo oczekiwało upadku reżimu i liczyło na pozytywne zmiany w kraju, a władze nie rozpoczęły jeszcze kampanii propagandowej przekuwania klęski w sukces. Niemniej koalicja zdecydowała się podyktować warunki rozejmu, które Saddam Husajn skwapliwie przyjął 3 marca. Dla nas było to sygnałem do planowania powrotu. Wiedzieliśmy, że mamy dokąd wracać. Nuncjatura ustaliła, że budynek Ambasady nie ucierpiał i potwierdziła drożność autostrady od granicy jordańskiej do Bagdadu. Sytuację w mieście ocenialiśmy głównie na podstawie komunikatów wojskowych i relacji medialnych, zwłaszcza cieszącej się renomą CNN, dla której w Bagdadzie pracował znany mi korespondent, Peter Arnett, ulokowany w hotelu Rashid. Z tych relacji wyłaniał się obraz miasta zniszczonego, pozbawionego infrastruktury i usług, z ogołoconym rynkiem.

Decyzja o reaktywowaniu placówki zapadła na początku marca 1991 roku. Tym razem przygotowania do podróży były łatwiejsze. Większość bagażu wymagała jedynie zmiany etykiet adresowych. Ministerstwo przyznało spore środki na zakup podstawowych artykułów i wyposażenia w Ammanie, będącym wówczas jedynym punktem tranzytowym do Iraku, drogą życia. W Rzymie kupiono dla nas nowoczesny filtr do wody, niestety mało wydajny przy słabym ciśnieniu. Nasza ekipa została uzupełniona o wcześniej ewakuowanych Andrzeja

Marondeg, Piotra Suskiego i Jakuba T. Wolskiego, który kontynuował praktykę wymyślania mądrego, dowcipnego lub refleksyjnego, a najczęściej łączącego wszystkie te cechy, hasła dnia, budującego od rana pozytywne podejście do pracy i życia. Ja również próbowałem sił w tej twórczości, najczęściej w duchu mobilizacji do pracy. Talent literacki Kuby zaowocował wydaniem po latach wierszy dla dzieci pt. *Bajki dla Zuzi i Gajki*, a także zbioru pastiszów – *Księga kotów polskich*. Zabrzmiały w nim echa irackiego etosu polskiego wywiadu. Jeden z utworów (według Juliana Tuwima) nosi tytuł *Gromek: kot ze służb specjalnych*. Oto jego fragment: „(...) w ludzkim tłumie kot w Burberry płaszczu sunie. Kołnierz lekko postawiony, widać, że jest szkolony”.

W Ammanie zatrzymaliśmy się trzy dni, rozpoczynając wieloletni okres korzystania z życzliwej pomocy naszej Ambasady, kierowanej przez Edmunda Pawłaka, a od 1995 roku przez Bogusława Rękasa. Staraliśmy się zorientować w realiach irackich. Niewiele to pomogło, bowiem okazał się w Bagdadzie w dużej części chybiony. Dostępne było prawie wszystko i dużo taniej, choć galopująca inflacja szybko sprawiła, że nawet za codzienne zakupy w supermarkecie płaciliśmy paczkami dinarów, rzucanymi przez ekspedienta dla sprawdzenia na wagę. Podróżowaliśmy trzema wynajętymi i wypakowanymi pick-upami, prowadzonymi przez jordańskich kierowców. Wyruszyliśmy 26 marca nad ranem, by wolnymi i przeładowanymi samochodami przejechać za dnia blisko tysiąckilometrową trasę, w tym około sześćset kilometrów po stronie irackiej. Przed nami żadna ambasada do Bagdadu jeszcze nie wracała po wojnie. Mieliśmy list gwarancyjny od ambasadora Iraku w Ammanie, a przejazd został zgłoszony stronie amerykańskiej. Trasę przejechaliśmy bez najmniejszych przeszkód i przygód. Pustynna autostrada, na odcinku podróży w 1/3 zbudowana przez Dromex, wyszła z wojny w idealnym stanie, nie licząc drobnych szczerb po wybuchach rakiet kierowanych na wybrane samochody. Punkty kontrolne były rozmieszczone co kilkadziesiąt kilometrów, ale obsadzony tylko jeden. Droga była wymarła, za to w głębi pustyni co jakiś czas widać było karawany wielbłądów. Pojedyncze samochody pojawiły się dopiero w rejonie Ramadi, przed uszkodzonym, ale przejezdnym mostem na Eufracie. Odwiedziliśmy bazę Dromeksu, nietkniętą wojną, z dużymi zapasami deficytowego paliwa, pozostającą pod troskliwą opieką

lokalnych pracowników.

BAGDAD ZNÓW PRACUJE. USA POD POLSKĄ FLAGĄ

Nad Ambasadą RP nadal powiewała dobrze sfatygowana biało-czerwona flaga, rano wymieniona na świeżą. Zabezpieczenia nie nosiły śladów naruszenia. Strat nie stwierdziliśmy, poza drobnymi pęknięciami elewacji. Wybity był też fragment szyby w oknie rezydencji, co skwapliwie wykorzystały ptaki, osiedlając się w sypialni. Pomieszczenia wymagały jedynie odkurzenia. Samochody i całe wyposażenie pozostało nietknięte. W gorszym stanie byli ludzie – rodzina kierowcy i żołnierze ochrony, przygnębieni i nadłamani psychicznie. Nawet wypłacone wszystkim zgodnie z obietnicą premie niespecjalnie poprawiły nastroje. Niestety, wojna nie zaszkodziła termitom, które poczyniły dalsze postępy w dewastacji ścian i elementów drewnianych, aż w 1992 roku padły ofiarą swego rodzaju wojny chemicznej, chyba pierwszej w historii budynku. Zagnieździło się też, a może jedynie rozmnożyło, inne robactwo – rozliczne pluskwy, wymiecione dopiero przez specjalistyczną ekipę z kraju. Stres przeżyliśmy, nie mogąc otworzyć wypełnionego paczkami dinarów sejfu w rezydencji. Najbliższemu kurierowi towarzyszył specjalista, który odblokował zapyłony zamek i odetchnęliśmy z ulgą. Podobny problem mieli Węgrzy. W zdemolowanej ambasadzie znaleźli potężny sejf należący do attaché wojskowego, bez kluczy i możliwości ustalenia szyfru. Ekipa z Budapesztu pruła go przez dwa dni, by znaleźć w środku niedopitą butelkę po whisky. Z majątku skarbu państwa straciliśmy tylko agregat w BRH, ustawiony poza ogrodzeniem posesji. I tak byliśmy w lepszej sytuacji niż prawie wszystkie inne placówki, łącznie z pozostałymi na czas wojny. Prawdziwym problemem był natomiast stan zamrażarek wypełnionych mięsem i wędlinami, pozostawionych w niedostępnej kierowcy strefie. Nie wytrzymały one problemów z elektrycznością i zapasy pogniły. A pomyśleć, że Beduini przetrzymują mięso w upale tygodniami w drewnianych kłatkach w kształcie piramidy, wieszanych na otwartej przestrzeni, o czym niestety dowiedziałem się dopiero w Arabii Saudyjskiej. Zdecydowałem o skoszarowaniu całego zespołu w Ambasadzie, udostępniając również trzy z czterech sypialni rezydencji. Posiłki przygotowywaliśmy rotacyjnie

w obszernej kuchni Ambasady, służącej także za jadalnię, po pewnym czasie wspomagani przez zatrudnioną prywatnie kucharkę. Taki stan został utrzymany przez kilka tygodni, po czym wszyscy wrócili do własnych mieszkań. W pierwszym okresie korzystaliśmy wyłącznie z agregatu, używanego ponownie w trybie ciągłym po niezwłocznym sprowadzeniu w ambasadzkim konwoju ropy z Dromeksu.

Priorytetową czynnością było uruchomienie radiostacji oraz punktu szyfrowego, co nastąpiło jeszcze w noc przyjazdu. Przydał się przywieziony zapas paliwa. Pierwsza informacja poszła do Warszawy natychmiast, a następnego dnia mogliśmy zgłosić naszemu MSZ oficjalne reaktywowanie placówki, notyfikowane również gospodarzom i budzącemu się powoli z wojennego odrętwienia korpusowi dyplomatycznemu. Nasza sekretarka jeszcze przez kilka tygodni nie była w stanie dojeżdżać do pracy. Noty w języku arabskim, obowiązującym w korespondencji z gospodarzami, w pierwszych dniach pisaliśmy na zmianę z Kazimierzem Szapowalem. Następnie awaryjnie przyjęliśmy na okresowe zastępstwo sekretarkę mieszkającą w sąsiedztwie.

Kierowca pojechał z notami do MSZ, a ja z koszem polskich delicatesów i butelką wódki do arcybiskupa Olesia. Nuncjusz był przygnębiony, ale w dobrej kondycji psychicznej, biorąc pod uwagę to, co przeszedł i stan wielu innych kolegów, którzy przeżyli wojnę w Bagdadzie. Newralgiczne punkty położone w bezpośrednim sąsiedztwie Nuncjatury były bombardowane prawie każdej nocy, wielokrotnie, mimo, że z użytku wyłączyły je już pierwsze rakiety. Arcybiskup odbierał to bardzo osobiście, jako zachętę do ewakuowania się. Miał kontakty z dyplomatami ważniejszych placówek, co pozwoliło mi zaplanować odwiedzenie ich w kolejnych dniach. Obok bieżących ocen, najważniejsza była jednak informacja, że po zerwaniu przez Bagdad 6 lutego 1991 roku stosunków dyplomatycznych z USA Departament Stanu sondował stanowisko Watykanu w sprawie ewentualnego reprezentowania w Iraku interesów amerykańskich. Stolica Apostolska tematu nie podjęła. Zdaniem Nuncjusza, sprawa pozostawała nadal aktualna. Natychmiast wysłałem depeszę, która modelowo spełniała obowiązujące kryteria – „ważności” (interesy państwa), „pilności” (ktoś mógł nas w Waszyngtonie ubiec) i „tajności” (konsekwencje przedwczesnego ujawnienia). Ponadto była zwięzła, precyzyjnie

sformułowana i kończyła się wnioskiem. Zapoczątkowała łańcuszek działań w Warszawie, Waszyngtonie i Bagdadzie, które doprowadziły do nowej roli polskiej dyplomacji w Iraku, ale miały także znacznie szerszy wymiar. Zwrotnych informacji z MSZ nie miałem, ale byłem przekonany, że sprawa będzie miała dalszy ciąg. Pod tym kątem kształtowałem relacje z gospodarzami, dobór tematów przekazywanej do kraju informacji i kontakty z zachodnimi dziennikarzami.

Całym zespołem placówki wypracowaliśmy priorytetowe zadania – przywrócenie pełnego potencjału organizacyjnego placówki, zapewnienie wiarygodnej informacji do kraju, rozeznanie powojennej sytuacji Iraku, zachowanie drożnych kanałów komunikacji z miejscowymi władzami, pomoc polskim firmom w ochronie ich interesów przy ścisłym przestrzeganiu sankcji, wspieranie środowiska polonijnego, zapewnienie silnej pozycji placówki w korpusie dyplomatycznym, otwartość na kontakty z dziennikarzami zagranicznymi, racjonalne gospodarowanie środkami budżetowymi, i oczywiście bezpieczeństwo. Priorytety te zasadniczo nie zmieniły się przez cały okres mojego pobytu, modyfikowane na bieżąco i realizowane równolegle, z zaangażowaniem wszystkich pracowników.

Rozbudowana i wiarygodna informacja dla kraju, udostępniana sojusznikom oraz otwartość na dzielenie się ocenami z zachodnimi, głównie amerykańskimi, dziennikarzami (podczas misji przyjąłem ich ponad pięćuset) masowo odwiedzającymi Bagdad, bardzo szybko zapewniła nam opinię najlepiej poinformowanej placówki w Bagdadzie. Była ona oparta na profesjonalnej analizie mediów oraz weryfikowanych kontaktach. Powojenna odbudowa i normalizacja w Bagdadzie zaczęła się niezwłocznie po zawieszeniu broni i sukcesywnie obejmowała kolejne sektory. Była realizowana sprawnie. Irakijczycy korzystali z doświadczeń konfliktu z Iranem. Zgromadzili poważne zapasy uzupełnione grabieżą w Kuwejcie, a jeśli chodzi o żywność, posiłkowali się niezłą własną produkcją rolną i produktami hodowli. Byli dobrze zorganizowani i kompetentni technicznie, co widać było w szczególności w sprawnej naprawie infrastruktury miejskiej, która poważnie ucierpiała podczas wojny. W samym Bagdadzie zniszczenia budynków były w zasadzie wyłącznie punktowe i dotyczyły głównie niektórych obiektów rządowych, wbrew wrażeniu tworzonemu podczas wojny

przez media. W stolicy szybko przywrócono stałe dostawy bieżącej wody z sieci i chimerycznej elektryczności. Ustabilizowano również rynek żywności, choć ceny dla przeciętnego Irakijczyka, poza przydziałami kartkowymi, były zaporowe. Wróciły telefony lokalne, gdy zamiast zniszczonej wykorzystano starą centralę. Intensywnie reperowano lub przystępowano do odbudowy mostów na Tygrysie. Benzyna oraz ropa stały się w miarę dostępne na stacjach dopiero latem, ale już w maju uruchomiono stację paliw dla dyplomatów. Oczywiście nie potrafiłszy ocenić sytuacji w całym Iraku inaczej niż fragmentarycznie. Na południu trwało powstanie ludności szyickiej, spacyfikowane brutalnie po tym, jak zawiodły nadzieje na zachodnie wsparcie. Z kolei trzy prowincje Autonomii Kurdyjskiej, gdzie również irackie lotnictwo wojskowe miało zakaz lotów, budowały zręby samodzielności, korzystając z amerykańskiego parasola bezpieczeństwa. Było jednak jasne, że w skali całego kraju wojna spowodowała problemy nieporównywalnie większe niż w Bagdadzie. Unieruchomiona była znaczna część gospodarki. Od początku nie ulegało jednak wątpliwości, że sankcje nie złamią reżimu, który i w Iraku mógł się wyżywić, ale wycieńczą społeczeństwo i cofną kraj o dekady w rozwoju, generując pogłębienie konfliktów etnicznych, religijnych i na tle materialnym, usprawiedliwią brak reform „w oblężonej twierdzy”. Władzy bardziej mogło zagrozić zniesienie sankcji, sprzyjające rozliczeniom lub załamanie się bardzo sprawnie funkcjonującego systemu racjonowania żywności, podtrzymanego już w 1991 roku programem ONZ „Ropa za żywność”. Irakijczycy mogli wegetować, ale nie mogli się odbić od dna.

Władze irackie doceniły nie tylko ekspresową reaktywację polskiej placówki, ale także natychmiastowe odnowienie moich kontaktów ze znanymi mi osobistościami, mające również charakter ludzkiego odruchu w warunkach przeżytej wojny. Rozregulowała ona wiele struktur. Ceniono to również na szczeblu ministrów i zapamiętano także w okresie, gdy stopniowo przywracano sztywne procedury kontaktów ambasadorów z przedstawicielami władz. Gdy pierwszy raz przyjechałem do MSZ, wjazdu nikt nie pilnował, recepcja nie funkcjonowała, a po korytarzach można było swobodnie chodzić, zaglądając do gabinetów w poszukiwaniu znajomych. Nowoczesny gmach Ministerstwa był jednym z nielicznych obiektów rządowych całkowicie oszczędzonych podczas bombardowań. W czasie działań wojennych resort

bardziej pozorował normalną pracę, niż ją wykonywał. Próbą zachowywania normalności było organizowanie briefingów dla pozostałych w Bagdadzie szefów placówek. Zawiadomienia przekazywali posłańcy przybywający pieszo lub na rowerze, podając termin, najczęściej o świącie. Chargé d'affaires Jugosławii, Vlad Kohut, opowiadał, jak wracając z takiego spotkania, sam za kierownicą samochodu, na prostym odcinku drogi prowadzącej na most 17 lipca wraz z pierwszymi promieniami słońca zobaczył lecącą w jego kierunku raketę manewrującą. Posiwiął, ale tradycyjnego serbskiego poczucia humoru nie stracił. Jedną z pierwszych osobistości irackich, spotkanych też na dziko, był wice-minister spraw zagranicznych Saad Fajsal, serdeczny przyjaciel Polski. O naszym szybkim powrocie powiedział publicznie, że tworzy legendę, co z pewnością było przesadą, ale pomagającą w działalności. Podobnie jak wielu innych dostojników uważał, że Irak został dostatecznie ukarany i czas na poprawę stosunków z USA. Paradoksalnie najwięcej gorzkich słów o amerykańskim postępowaniu wobec Iraku, już nowego, usłyszałem od ministrów jego rządu w 2006 roku, gdy podczas wizyty śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego pozostałem z kilkoma z nich sam podczas przerwy w rozmowach. Ludzie Saddama Husajna byli bardziej pragmatyczni.

Szefów placówek odwiedzałem z poczucia solidarności, obowiązku i ciekawości. Mogłem przecież dzielić ich los. W okresie braku telefonów i ograniczonej dostępności benzyny najprostszym sposobem spotkania się z kolegą było podjechać samochodem pod biuro czy rezydencję. Dzwonki najczęściej nie działały i nie wszędzie była jakaś ochrona lub personel. Gospodarza wywoływało się klaksonem i waleniem pięścią w furtkę. Czasami rozwiązaniem było przeskoczenie przez mur. Dostając się w ten sposób wieczorem wraz z ambasadorem Filipin na teren Nuncjatury, nieźle przestraszyliśmy zakonnicę. Była to metoda „na Wałęsę”, jak utarło się w korpusie. Dobrze, że rzadko trzymano psy. Po wojnie w bogatych dzielnicach Bagdadu pozostało ich niewiele. Poginęły z głodu pozostawione na dachach willi przez właścicieli uciekających na prowincję „na kilka dni wojny”. Zdarzały się też placówki, gdzie w ciągu dnia wjazd pozostawiano otwarty, by nie przesuwac ręcznie ciężkich bram. W ten sposób podczas wojny do kompleksu Ambasady ZSRR przyszedł minister spraw zagranicznych Tarek Aziz, pieszo z pobliskiego gmachu Ministerstwa. Szukając ambasadora,

zastukał do lokalu attaché wojskowego, który otworzył przepasany jedynie rękami. Okrycie podobno nie wytrzymało dynamicznego salutu na widok jednego z irackich dostojników. Kilku szefów misji, w tym Rosjanin i Chińczyk, którzy tak jak Nuncjusz czuli jakiś sens misji, czy Filipińczyk, kontynuujący ewakuację swych obywateli, zachowało roboczą kondycję. Ambasador Zheng Dayong dorobił się jednak bezsenności, po tym, jak jego biuro znalazło się na liście chińskich placówek przyciągających amerykańskie rakiety. Inni, choć nie chciałbym generalizować, byli sfrustrowani, niekiedy w depresji, i trudno było im wrócić do normalnego trybu życia. Wojenny stres każdy odreagowywał po swojemu. Był więc i alkohol, atrakcyjne Irakijski, okazjonalne zakupy i pilnowanie cennego mienia, ale również odnajdywanie Boga i medytacje.

Z dumnej polskiej obecności gospodarczej w Iraku pozostały po wojnie strzępy. Majątek firm przetrwał wprawdzie nienaruszony, ale szans na powrót nie było. Zagranicznym partnerom pozostawało jedynie uporządkować sprawy z kontrahentami i się zabierać. Działając wspólnie z trzysobowym, przed dalszą redukcją, BRH, jako pierwsza placówka uzyskali zgodę irackiego MSZ na wydanie wiz przedstawicielom zainteresowanych firm, by mogli dokonać stosownych rozliczeń i oszacowania strat wynikających z przerwania kontraktów. Okazało się to bardzo pomocne dla dokumentowania roszczeń odszkodowawczych w systemie ONZ. W większości przypadków bezpośrednio straty były relatywnie niewielkie. Prawdziwy problem stanowił jedynie majątek Dromeksu, wystarczający do niezwłocznego wejścia na budowę kolejnej autostrady, bez dodatkowych kosztów. Firma przed nałożeniem sankcji zakończyła i całkowicie rozliczyła oba realizowane w Iraku kontrakty. W zaistniałej sytuacji jakimś rozwiązaniem pozostawało wywiezienie maszyn do Jordanii i tam sprzedanie ich. Od początku natrafiało to jednak na przeszkody organizacyjne i biurokratyczne. Bardzo szybko zablokowano zezwolenia wywozowe, a w maju 1992 roku podjęto decyzję o konfiskacie „za odszkodowaniem w przyszłości” całego „nieużytkowanego” sprzętu budowlanego firm zagranicznych. Do bazy w Ramadi wkroczyło wojsko. Protesty placówki kilkakrotnie wstrzymały zabór, ale ostatecznie ponieśliśmy bolesną klęskę. Odtąd Dromex stał się jedynie cieniem potentata drogowego. Z perspektywy czasu można postawić tezę, że szansą na uratowanie firmy

mogło być wprowadzenie jej na rynek jednego z naftowych państw Zatoki, być może Zjednoczonych Emiratów Arabskich lub Kuwejtu, mającego wobec Polski dług wdzięczności za udział w wyzwoleniu. Tam wystarczało doświadczenie organizacyjne i specjalistyczne, gdyż oferowane warunki finansowania projektów (wysoka zaliczka) były zbliżone do stosowanych w Iraku i wykonawca nie musiał angażować środków własnych na rozruch. Wymagałoby to jednak zaistnienia czynników, o których i dziś trudno marzyć – połączenia wysiłków firmy oraz państwa i jego dyplomacji, wyobraźni, determinacji i konsekwencji oraz docelowo zastąpienia większości polskich pracowników azjatyckimi.

Istotne przesunięcie w priorytetach placówki, choć cały czas brane pod uwagę, nastąpiło późną wiosną 1991 roku. 2 maja rząd Stanów Zjednoczonych zwrócił się do rządu RP o podjęcie się na jego rzecz usług w Iraku. Przekazana nota dyplomatyczna zawierała uzasadnienie prośby względami politycznymi i precyzowała zakres spraw pozostających w sferze zainteresowania USA. Chodziło głównie o stworzenie kanału komunikacji, zabezpieczenie opieki konsularnej, zaopiekowanie się majątkiem należącym do państwa i obywateli amerykańskich oraz zorganizowanie placówki w byłej Ambasadzie USA, z wykorzystaniem jej miejscowego personelu. Amerykanie nie wspomnieli o kontakowaniu Watykanu, podając natomiast, że wcześniej rozpatrywali powierzenie swych interesów Kanadzie lub Japonii. Było to o tyle dziwne, że w tym czasie oba te państwa nie przystąpiły jeszcze nawet do reaktywowania swych placówek dyplomatycznych w Bagdadzie. Amerykański wniosek został przyjęty. Cztery dni później w Warszawie i Bagdadzie przekazane zostały noty do rządu irackiego, informujące o sprawie i intencji Polski wyjścia naprzeciw prośbie USA. 12 maja zostałem przyjęty przez p. o. ministra spraw zagranicznych Ahmeda Husajna (Tarek Aziz odszedł z tego stanowiska w końcu marca). Rozmówca stwierdził, że rząd iracki w tym dniu wyraził zgodę na reprezentowanie przez Polskę interesów USA w Iraku i ma nadzieję, iż przyczyni się to do normalizacji ich stosunków z Waszyngtonem. Stanowisko potwierdzili notą. Sprawa stała się publiczna 14 maja, kiedy o ustaleniach poinformował media rzecznik Departamentu Stanu. Oświadczył, że „wybierając Polskę, mieli na uwadze doskonały stan stosunków dwustronnych oraz fakt, że RP ma w Bagdadzie skutecznego ambasadora i w pełni funkcjonującą placówkę z dobrym systemem łączności”. Dodał,

że zwrócenie się do rządu polskiego w tej sprawie nastąpiło po „staranym rozważeniu sprawy”.

Szczegóły funkcjonowania i finansowania Sekcji Interesów pod polską flagą ustaliła w Waszyngtonie delegacja MSZ z udziałem wiceministra J. Majewskiego oraz dyrektorów Zbigniewa Lewickiego i Jana Wojciecha Piekarskiego. Misja miała być obsadzona wyłącznie przez polskich dyplomatów i w całości finansowana przez stronę amerykańską. Wzorem dla koniecznego porozumienia polsko-irackiego, zawartego oddzielnie w Bagdadzie drogą wymiany not, stał się podobny dokument między USA i Algierią, reprezentującą interesy irackie w Waszyngtonie. Z kolei szczegóły wzajemnych polsko-amerykańskich zobowiązań zostały zawarte w Protokole Przekazania oraz Protokole Uzgodnień, podpisanych 29 maja. Strona polska przewidziała czteroosobową obsadę dyplomatyczną Sekcji Interesów: szef w randze ministra pełnomocnego oraz pracownicy – ds. konsularnych i administracyjnych, finansowych i łączności oraz specjalista ze znajomością języka arabskiego. Amerykanie zaakceptowali ten skład, ale chyba nie wzięli pod uwagę, że w Waszyngtonie Irakijczycy mieli zgodę tylko na trzech dyplomatów, choć byli to obywatele iraccy. O tym szczególnie nie wiedziałem. Spięcie powstało, gdy cała polska czwórka była już w Ammanie w drodze do Bagdadu. Zostałem wezwany do MSZ na szczeblu wiceministra, gdzie postawiono alternatywę: albo doprowadzimy do zmiany *numerus clausus* w Waszyngtonie, albo oni odmówią wjazdu do Iraku jednemu z naszych dyplomatów. Na początku misji groził skandal! Nie miałem złudzeń, że Amerykanie będą skłonni wykazać elastyczność. Niezwłocznie uświadomiłem rozmówcy realia i konsekwencje uruchomienia sporu, również dla nich. Z własnej inicjatywy zaproponowałem kompromis – nadliczbowego dyplomata Ambasada RP notyfikuje jako formalnie członka swego personelu. Po uzyskaniu wstępnej akceptacji rozmówcy stosowna propozycja została przekazana do Warszawy i po ekspresowych konsultacjach przyjęta. Mogliśmy notą potwierdzić ustalenie, wskazując najmłodszego w składzie Jarosława Wojtarę, absolwenta MGIMO, jako przypisanego do Ambasady. Uniknęliśmy awantury w świetle reflektorów, której skalę i konsekwencje można ocenić jedynie, pamiętając o tym, jakie zainteresowanie i emocje międzynarodowe budził wówczas amerykański wybór. Rozwiązanie nigdy nie trafiło do mediów.

Już wcześniej dokonaliśmy zewnętrznej lustracji budynku byłej Ambasady USA. Placówka amerykańska znajdowała się w odległości kilkuset metrów od naszej, przy tej samej obsadzonej eukaliptusami ulicy wijącej się wzdłuż płynącego meandrami Tygrysu. Zajmowała budynek, w którym poprzednio zlokalizowana była Ambasada Rumunii. Stwierdziliśmy brak zauważalnych zniszczeń i uszkodzeń oraz śladów penetracji. W Bagdadzie wiadomość o tworzeniu Sekcji rozeszła się lotem błyskawicy i gromadnie zaczęli zgłaszać się do nas lokalni pracownicy. Informowaliśmy, że o terminie zgłoszenia się do Sekcji zostaną powiadomieni ogłoszeniem zamieszczonym przez Ambasadę w prasie. Przed ewakuacją Amerykanie zatrudniali około stu Irakijczyków, którzy od tego czasu nie otrzymywali wynagrodzeń, pozostając w stosunku pracy. Oczekiwali możliwości wznowienia pracy i wypłacenia zaległych wynagrodzeń.

Witając w Bagdadzie polsko-amerykańskie wzmocnienie, z Janem Wojciechem Piekarskim, ministrem pełnomocnym i byłym ambasadorem w Pakistanie, zespół Ambasady miał świadomość, że uczestniczy w wydarzeniu dla polskiej dyplomacji historycznym. Nadawało ono również nowy wymiar polskiej obecności w Iraku, której naturalnym elementem był dla nas arcybiskup Marian Oleś. Niezależnie od wielkiej polityki zapewniliśmy kilka nobiletujących i dobrze płatnych miejsc pracy. Warszawa doceniła rolę i dalszą odpowiedzialność placówki, czego wyrazem było podniesienie również uposażeń płatnych z polskiego budżetu, znacznie jednak skromniejszych niż finansowane przez amerykańskiego podatnika. Ponadto uwzględniono zaległe wnioski placówki o modernizację wyposażenia.

Inauguracja Sekcji Interesów, z udziałem ekipy CNN, obejmowała wciągnięcie na maszt flagi RP i odsłonięcie przywiezionej tablicy informacyjnej. Czwórkę czekało mnóstwo roboty. Od zorganizowania prac porządkowych i uregulowania spraw pracowniczych po wyprzedanie bogatych zapasów ambasadzkiego sklepiku, zanim upłyną terminy ważności. Na początku Sekcja dysponowała jedynie dolarami i pilnie potrzebowała dinarów na wypłatę zaległych i bieżących pensji pracownikom miejscowym. Ambasada pomogła większą pożyczką, opróżniając z banknotów część szaf. To była obopólnie bardzo korzystna transakcja, choć znowu trzeba było przełamywać opory polskiego MSZ. Zgodnie

z porozumieniem strona amerykańska nie tylko w całości finansowała Sekcję, ale pokrywała również koszty korzystania z usług oferowanych przez jednostki MSZ i partycypowała w wydatkach wspólnych, w tym poczty kurierskiej i łączności radiowej, sięgających w skali rocznej stu tysięcy USD.

Operacja pozwalała zebrać szereg spostrzeżeń. Bodaj najważniejszym dla mnie było poznanie formalnych zadań gospodarczych ambasadora USA i systemu zachęt stosowanych w tym zakresie przez Departament Stanu. Ambasador miał obowiązek aktywnego angażowania się we wszystkie duże dwustronne przedsięwzięcia, powyżej dziesięciu milionów dolarów. Było to elementem jego oceny. Żałuję, że polska służba zagraniczna jest tak odporna na korzystanie z dobrych wzorów, do których należy zaliczyć także praktykę indywidualnego dziękowania zagranicznym partnerom za pomoc i współpracę, niejednokrotnie w sprawach drobnych i za podpisem polityków najwyższego szczebla. Amerykańskim kolegom po fachu polska dyplomacja może pozazdrościć również funkcjonowania prężnego Związku Byłych Pracowników Służby Zagranicznej. Zaskoczenie stanowił zakres kompetencji i odpowiedzialności pracowników lokalnych, którym powierzano merytoryczne sprawy finansowe, administracyjne i konsularne. Imponować mógł system zabezpieczeń, choć Amerykanie w paru przypadkach na Bliskim Wschodzie przekonali się, że absolutnej ochrony przed zamachami nie ma. Niestety i polska służba dyplomatyczna po 2003 roku zderzyła się w Iraku z takim doświadczeniem, choć wówczas nasze obiekty w Bagdadzie przypominały już fortece. Zmiany w systemie ochrony Ambasady zapoczątkowane zostały przyjazdem w 1992 roku dwóch nieuzbrojonych oficerów Jednostek Nadwiślańskich, rotowanych co pół roku. Po obaleniu reżimu irackiego skończyły się obecnością drużyny uzbrojonych po zęby komandosów i kolumny opancerzonych samochodów. Astronomiczne koszty tej aranżacji przyczyniły się do okresowego zamknięcia Ambasady.

Zainteresowanie międzynarodowych mediów „znalezieniem się interesów amerykańskich w rękach Polaków” przekładało się na bardziej trwałe kontakty z poszczególnymi dziennikarzami, zwłaszcza przyjeżdżającymi do Iraku regularnie. Odwiedzający otrzymywali nie tylko obiektywne oceny, ale w wielu przypadkach ofertę zobaczenia rzadko

odwiedzanych kultowych zakamarków starego Bagdadu, z którego historycznego dziedzictwa niewiele zostało po mongolskim potopie 1258 roku, kiedy to dumna stolica kalifatu została starta z powierzchni ziemi wraz z milionem mieszkańców i największym księgozbiorem ówczesnego świata. Największe wrażenie i dreszcz emocji wywoływał pobyt późnym wieczorem w mauzoleum Zumurrud Khatun, żony jednego z abbasydzkich władców, przypisywanego też Zubajdzie, żonie kalifa Haruna Raszida, nawiązujący do opowiadań *Tysiąca i jednej nocy*. Klucz miał jedynie mieszkający w pobliżu staruszek. W dzielnicy długo nie było elektryczności i przewodnik oświetlał spiralną drogę jedynie świecą, dopóki nie podarowałem mu latarenki. Ze szczytu naruszonej zębem czasu wieży roztaczała się panorama dobrze oświetlonego centrum miasta. Czasami do nocnego programu dołączałem zachowany fragment murów miejskich, oryginalnie kuliście otaczających Bagdad, ze znajdującym się w pobliżu mauzoleum średniowiecznego teologa Omara Sahrawardiego lub szyickie sanktuarium na Kadimiji, które jednak zamykano po ostatniej modlitwie. Znałem tam wszystkich kuratorów meczetu, zdecydowanie bardziej otwartych niż ich koledzy w Nedżefie i Karbali, pilnujący sanktuariów prawowiernych imamów, Alego i Husajna, dokąd w towarzystwie Amerykanów lepiej było nie jechać. Nasi goście byli przekonani, że znamy ich publikowane teksty, tym bardziej iż identyfikowali w nich Ambasadę i Sekcję. Stąd niejednokrotnie czuli się w obowiązku przeproszać za „nieprecyzyjne fragmenty dopisane przez redakcję”, w rzeczywistości deformujące opisywany stan rzeczy. Kilkanaście lat później identycznego zabiegu redakcyjnego dokonał sekretarz stanu Colin Powell, prezentując na forum ONZ rzekome dowody powiązań reżimu Saddama Husajna z najbardziej nagłośnionym terrorystą czasów poprzedzających interwencję 2003 roku w Iraku, Abu Musabem al-Zarqawi, kreatywnie zmieniając dostarczoną mu analizę CIA kwestionującą takie związki. Tyle że za to nikt dotąd nie przeproszał. Podobnie jak za prezentowanie rzekomych dowodów mających potwierdzać posiadanie przez Bagdad broni chemicznej, którymi szermowali między innymi politycy amerykańscy i brytyjscy. Co więcej, z tych doświadczeń nie wyciągnięto wniosków na przyszłość. Terroryzm islamski i użycie broni chemicznej w różnych regionach świata w skrajnych przypadkach stały się wygodnym narzędziem bieżącej polityki poszczególnych graczy, niekoniernie wymagającym zachowania międzynarodowych procedur oraz

staranności zebrania i przedstawienia opinii publicznej niepodważalnych dowodów. Tymczasem manipulacja dokonana w przypadku Iraku może powtórzyć się w każdym innym miejscu i nieść równie zgubne konsekwencje.

Czasami dziennikarze dokumentowali również ciekawsze wydarzenia związane z bieżącą działalnością placówki. 11 listopada 1991 roku złożyłem kwiaty na polskim cmentarzu wojennym w Chanakin na granicy irańskiej, wraz z przedstawicielami lokalnych władz. Nastąpiło to po raz pierwszy od kilkunastu lat, gdyż wcześniej była tam zamknięta strefa wojskowa. Dziennikarka Associated Press dała o tym wzmiankę w depeszy, zamieszczonej w światowym serwisie i przedrukowanej przez polskie dzienniki. Z własnego MSZ dostałem reprimendę „za informowanie polskiej opinii publicznej o aktywności ambasadora za pośrednictwem zagranicznych agencji”. W tym czasie moja relacja z uroczystości od tygodnia spoczywała na Szucha 23. Problem stwarzały natomiast kontakty z irackimi środkami przekazu. Wypowiedzi dyplomatów nagminnie przeinaczano i wrywano z kontekstu fragmenty pasujące propagandzie. Po kilku takich doświadczeniach zaprosiłem do gabinetu znanego dziennikarza, by nagrać wywiad. Po publikacji, oczywiście mającej niewiele wspólnego z tym, co powiedziałem, zaprotestowałem notą osobistą do ministra spraw zagranicznych. Załączyłem oba zapisy. Zapowiedziałem, że w przypadku powtórzenia się takiego przypadku zorganizuję konferencję prasową. Od tego czasu nie byłem częstym gościem w lokalnych mediach, za to nie musiałem niczego prosić i wyjaśniać.

Podtrzymanie pragmatycznych relacji z władzami irackimi było warunkiem realizacji zadań. Wymagało to jakichś gestów, nieprzekładających się na polityczne konsekwencje. Takim wydarzeniem było na przykład odnowienie w 1993 roku międzyrządowego Programu współpracy kulturalno-naukowej. Zrobiliśmy to jako pierwszy kraj europejski i eksploatowaliśmy efekt przez wiele miesięcy. W wymiarze praktycznym dokument umożliwił kontynuowanie programu stypendialnego, imprez kulturalnych, współpracy ze środowiskiem malarskim, wznawienie prac archeologicznych (do czego jednak nie doszło) oraz udział w Międzynarodowym Festiwalu Babilońskim. W 1994 roku gościem tej imprezy był Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca „Pruszkowiaczy”, odnoszący

spektakularne sukcesy, prowadzony przez przebojową dyrektorę, Danutę Jaśkiewicz. Znaczną część z reguły kameralnych przedsięwzięć kulturalnych finansowało Towarzystwo Przyjaźni Iracko-Polskiej, któremu przez lata przewodniczył dr Sabah Jassin, dyrektor generalny TV, a później ambasador w Jordanii. W Bagdadzie rolę najbardziej reprezentacyjnego miejsca imprez kulturalnych i przyjęć dyplomatycznych pełnił tradycyjnie hotel Rashid, jedyny starający się utrzymać w okresie sankcji międzynarodowy poziom. Przy oficjalnych imprezach problem stwarzało jednak głównie wejście, przed którym zaraz po wojnie 1991 roku ułożono wątpliwej urody mozaikę wyobrażającą wykrzywioną twarz prezydenta Busha ojca, z podpisem „morderca”, autorstwa znanej malarki, Lajli Attar. Goście, rejestrowani przez telewizyjne kamery, starali się nie deptać podobizny amerykańskiego prezydenta, uprawiając akrobatykę. Na co dzień mozaika była z reguły zasłaniana wycieraczką, a po trafieniu hotelowej recepcji rakieta w 1993 roku prawie jej nie odkrywano. Autorka zginęła w domu siostry w trakcie kolejnego bombardowania Bagdadu w tym samym roku. Zamieszkała w nim po tym, jak została zniszczona rakieta jej willa w dzielnicy Mansur. Przy naszych przyjęciach i imprezach w hotelu każdorazowo negocjowaliśmy otwieranie bocznego wejścia do sal recepcyjnych. Na co dzień hotel pełnił również funkcje rekreacyjne i sportowe dla dyplomatów i miejscowej elity, oferując swój dobrze wyposażony klub, z całorocznym basenem, kortami, barem oraz siłownią i sauną. Pewnego razu, korzystając z niej usłyszałem z dolnej półki pytanie po rosyjsku: „a wy otkuda?” („skąd pan jest?”). Po uzyskaniu odpowiedzi w tym samym języku pytający w mroku sauny zidentyfikował się jako Władimir Żyrinowski, radykalny polityk rosyjski, świeżo po rozmowach z kierownictwem irackim. Miałem materiał na depeszę.

Przyjęcia dla przedstawicieli władz w kameralnym gronie organizowaliśmy głównie w Ambasadzie, gdzie znajdowała się część recepcyjna przylegająca do gabinetu ambasadora i rezydencji, ale także w innych dużych hotelach, starających się konkurować z Raszidem. Do 1993 roku podawano tam alkohol w sporym wyborze. Później został zabroniony, ale po cichu wino można było nadal otrzymać w czajniczkach jako czerwoną i białą herbatę. Najlepszą lokalną kuchnię serwowały jednak tradycyjne restauracje w dawnym karawanseraju na starówce, a przede wszystkim lokale rozsiane nad rzeką na bulwarze Abu

Nuwas, od prostych knajpek po luksusowe, w tym w pięknej żydowskiej kiedyś kamieniczce. Wśród recepcji wydawanych przez korpus dyplomatyczny najlepszą ofertę kulinarną miał ambasador Chin. Nie tylko co jakiś czas miał nowego regionalnego kucharza, ale dysponował przepiękną porcelaną, oryginalnym wyposażeniem stołu i sprowadzanymi jakimś cudem z Pekinu świeżymi półproduktami. Pewnym mankamentem była jednak monotonia scenariusza, odczuwalna zwłaszcza przy częstych spotkaniach w podobnym gronie. My konkurowaliśmy oryginalnością, niwelując różnice w funduszu dyspozycyjnym i możliwościach obsługi. W 1992 roku przyjechał bowiem nowy administracyjny, II sekretarz Edward Stankiewicz. Kochał gotowanie, którym nie musiał się zajmować, bardziej niż własne regulaminowe obowiązki. Potrafił wyczarować cuda polskiej kuchni, które – w połączeniu z moją fantazją organizacyjną – tworzyły bardzo oryginalny klimat przyjęć wydawanych w rezydencji i Ambasadzie. Staraliśmy się również wykorzystywać lokalne produkty, z reguły niezauważane przez inne placówki. Przebojem był na przykład dodatek białych i czarnych trufli, zbieranych w sezonie na pustyni i dostępnych na ludowych bazarach w cenie ziemniaków. Mroziliśmy zapas na cały rok. Trochę pomagała gosposia, Asyryjka, znająca kilka słów po arabsku i w podobnym zakresie dysponująca wiedzą kulinarną. Za to jej uposażenie mieściło się w limicie budżetowym. Wisienką był również mazagran. Dowiedziałem się o nim od Ireny Wróblewskiej, sybiraczki, której droga do kraju przez Iran zakończyła się w 1943 roku w Iraku, gdzie wyszła za mąż za prominentnego urzędnika administracji królewskiej i na stałe osiadła w Bagdadzie. Ubolewała, że od ambasadorskich pokoleń bez skutku namawiała do przywrócenia tego tradycyjnego napoju polskiego wojennego Bagdadu – słodkiej kawy z rumem. Napój, pod nazwą zrodzoną w Algierii, był kiedyś popularny w warszawskich kawiarniach i polscy uchodźcy kultywowali tradycję na trasach tułaczek. W Bagdadzie miał dodatkową zaletę, gdyż pity w publicznych miejscach nie drażnił miejscowych muzułmanów wyczulonych na alkohol. Z sugestii zrobiłem użytek, wprowadzając polską kawę do stałej oferty. Jedyne cukier zastąpiłem lokalnym miodem. Na gości działał zarówno smak, jak legenda napoju. Sława *gahła bolandija* szybko rozniosła się po całym międzynarodowym Bagdadzie. Niemniej efektowną karierę zrobiła później w Arabii Saudyjskiej.

Byłem przeczulony na punkcie racjonalnego gospodarowania środkami, tym bardziej będąc w kraju, w którym nie robiliśmy interesów biznesowych, choć po cichu muszę się przyznać, że w praktyce naszych wcześniejszych działań w Iraku były przykłady tak oryginalne, jak otrzymywanie płatności w sztabach złota. W rzeczywistości polskiej dyplomacji zdarzało się zarówno skrajne oszczędzanie, jak i szafowanie pieniędzmi. Z trudem wyjednałem zgodę Warszawy na finansowanie miejscowych wydatków z wymiany dolarów w kantorach i odkupywanych od przedsiębiorstw zbędnych dinarów po wzajemnie korzystnym kursie. W ten sposób staliśmy się jedną z najtańszych placówek RP w świecie. Koszty zmniejszały również wpływ z Sekcji i dzielenie z nią niektórych wydatków. Pochwał specjalnych nie było, ale w nagrodę dostaliśmy dodatkowe środki na modernizację oraz zgodę na dalsze użytkowanie starego flagowego samochodu, mimo otrzymania nowego mercedesa 220, który z Warszawy przyprowadził wracający z urlopu kierowca. Przykładem szukania alternatywnych możliwości zakupu było sprowadzenie z Japonii odebranego w Teheranie busa marki Toyota Hiace. Wyszło prawie dwa razy taniej niż w Ammanie. W Iraku benzyna była marnej jakości, ale tania jak barszcz. W pewnym momencie w czarnorynkowej cenie jednego dolara można było kupić tonę paliwa. Za używanie auta do celów prywatnych płaciłem ryczałt, wyliczony według stawek europejskich. Racjonalniej było kupić własny wóz. Okazją stała się sprzedaż przez Nuncjaturę ponad dziesięcioletniego mercedesa 280 z niewielkim przebiegiem, którym jazdy uczył się również mój syn. Był to piękny samochód i żal było go sprzedawać przed wyjazdem. Był jednak za stary dla polskiego cła, a za młody na to, by uznać go za zabytkowy. Z samochodami w Bagdadzie było mnóstwo problemów, od braku możliwości zakupu na miejscu oraz trudności z ubezpieczeniem i serwisem po plagę kradzieży. Taki przypadek i nam się zdarzył. Lokalny kierowca, zasłużony podczas ewakuacji, pozostawił naszego kilkuletniego mercedesa na chodzie przy kiosku z gazetami i tyle go widział. Potem okazało się, że dokonał ustawki z gangiem kurdyjskim i musiałem go dyscyplinarnie zwolnić. Poza OC nie mieliśmy miejscowego ubezpieczenia, za które trzeba było płacić horrendalną stawkę w dolarach, a zwrot dinarowy w przypadku utraty w najlepszym razie wystarczyłby na jedno koło. Nasz MSZ zgodził się, żeby – zamiast płacić pełne ubezpieczenie na miejscu – zatrzymać wymaganą kwotę na subkoncie i wykorzystywać w miarę potrzeby na pokrycie

strat. Ale utracony wóz wart był więcej niż odłożone środki, a poza tym w grę wchodziła jeszcze ambicja. Wcześniej skradziono kilkadziesiąt aut dyplomatycznych i żadne nie wróciło do właściciela. Nam się udało! Dzięki współpracy z Ambasadą Iranu zablokowaliśmy trzy próby przerzucenia auta do tego kraju, gdzie gangi uzyskiwały wielokrotne przebicie cenowe. Zakrojona na szeroką skalę akcja poszukiwań w Kurdystanie, z udziałem lokalnych agend ONZ oraz ugrupowań kurdyjskich, zniechęciła złodziei do tego stopnia, że porzucili samochód na parkingu w Irbilu. Inspektorzy ONZ odprowadzili go na stronę iracką. Tam odebrałem wóz z polskim kierowcą, Włodzimierzem Komendarczykiem. Pojechalśmy autem pożyczonym z Sekcji, opancerzonym, co okazało się ostrożnością bez uzasadnienia. Samochód dobrze służył placówce jeszcze przez wiele lat, podobnie jak prowadzona z Iranu toyota. A złodzieje zostawili nas w spokoju.

W warunkach sankcji zakres czynności konsularnych wyraźnie się zmniejszył, ograniczając się do spraw polonijnych i wizowych. Od 1992 roku obserwowaliśmy systematyczny wzrost zainteresowania wyjazdami do Polski, niejednokrotnie wykorzystywanymi jako odskocznia do nielegalnego wjazdu do Niemiec lub państw skandynawskich. Irakijczycy uciekali, dokąd mogli, a najchętniej do bogatej Europy – przed postępującą pauperyzacją, brakiem perspektyw i represjami. W tym czasie większość placówek państw europejskich w Bagdadzie wznowiła urzędowanie, ale wydawały one wizy bardzo oszczędnie. Powstała przestrzeń dla szarej strefy, w której indywidualna wiza warta była kilku tysięcy dolarów łapówki. W naszym przypadku o zgodzie na wizę decydowała Warszawa, na podstawie danych przekazywanych przez jednoetatowy Wydział Konsularny, którego kierownik miał też inne zadania. W 1993 roku zaczęły do mnie dochodzić sygnały, że wokół Wydziału kręcą się pośrednicy z agencji turystycznych, mogący wpływać na procedury. Kilkakrotnie sygnalizowałem to pisemnie nowemu konsulowi, do wiadomości MSZ, otrzymując zapewnienie, że wszystko jest pod kontrolą. Niemniej niezbite dowody płatnego pośrednictwa dotarły do mnie dzięki emocjonalnie związanym z Polską byłym pracownikom naszych firm (takiej lojalności ze strony życzliwego placówce miejscowego otoczenia zabrakło chyba kilka lat później niektórym polskim konsulatom na Wschodzie, nie mówiąc już o wyciąganiu wniosków). Zarządziłem kontrolę, która wykazała oczywiste

nieprawidłowości. Kilkanaście paszportów, bez uruchomionej procedury, miała przy sobie mieszkająca w Bagdadzie Polka, zatrudniona na ryczałcie konsularnym. Były do nich załączone pokwitowania agencji, z adnotacją o zwrocie części opłat w przypadku niezałatwienia wizy. Pracownicę zwolniłem dyscyplinarnie. Kontrola z MSZ na czele z dyrektorem Departamentu Konsularnego z nawiązką potwierdziła ustalenia. Na pytanie, czy gotów jestem dalej współpracować z konsulem, odpowiedziałem, że tak, o ile będzie przestrzegał reguł. Na placówce nigdy nie wiadomo, jaki będzie zmiennik odwołanego, a niedobrze być wielokrotnie złym ambasadorem. W konflikcie ze służbami jest on raczej na straconej pozycji i jest na to sporo przykładów. Kontrolerzy odjechali, nie pokazując mi raportu. W Warszawie równoległe z prezentacją faktów wpisano do niego wnioski o... ukaranie ambasadora za brak nadzoru nad Wydziałem Konsularnym! Na tyle gryzło się to z opisanym stanem, że kierownictwo resortu wyśmiało pomysł. Nie wpłynęło to jednak na karierę wnioskujących. Tekstu raportu i wytycznych dla konsula nigdy nie zobaczyłem. Jeszcze w trakcie pobytu kontrolerów uzgodniłem depešowo z MSZ, że w przyszłości będę miał wgląd w dokumentację każdego aplikanta przed wydaniem wizy, czyli już po uzyskaniu dla niego zgody Warszawy. Taki przypadek zdarzył się zaraz po wznowieniu wydawania wiz. Sprawa formalnie nie budziła wątpliwości. Wizę turystyczną miał dostać biznesmen, właściciel kilku firm i składów towarów, członek Izby Gospodarczej. Niemniej poprosiłem konsula, by zaprosił do mnie zainteresowanego. Rozmawialiśmy w trójkę po angielsku. Wyczułem przekręt i chciałem zobaczyć położone niedaleko zaplecze biznesowe aplikanta. Zainteresowany bez ogródek odpowiedział, że to nie ma sensu, gdyż on przecież wszystkie swoje interesy w Iraku zlikwidował, a nieruchomości sprzedał! Nie zamierzał wracać. Nie chciałem dociekać, dlaczego zdobył się na taką szczerłość! Miałem jednak świadomość, że tego rodzaju sytuacje mogą być nie do upilnowania i rzucają cień na całą placówkę i kraj. Poinformowałem kierownictwo MSZ i doprowadziłem do praktycznie całkowitego wstrzymania wydawania wiz turystycznych.

W Iraku jest kilkaset polskich miejsc pamięci rozsianych po całym kraju, głównie cmentarzy, pomników i tablic, kwater i pojedynczych grobów, z okresu II wojny światowej oraz upamiętniających

pracowników, którzy zginęli w wypadkach podczas pracy. Placówka roztaczała nad nimi opiekę, choć dotarcie do wielu odległych punktów nie było łatwe, a w przypadku Kurdystanu niemożliwe po 1991 roku. Groby wojskowe pozostawały w gestii Brytyjskiej Rady Cmentarzy Wojennych w Londynie, która od wojny iracko-irańskiej również miała ograniczone możliwości działania. Staraliśmy się sukcesywnie docierać do poszczególnych miejsc, wciągając do opieki miejscowe władze, w tym wojskowe, a także szkoły. Corocznie centralnym Dniem Pamięci był 11 listopada. Cała niewielka Polonia spotykała się przy polskiej kwaterze na cmentarzu alianckim w Bagdadzie, z udziałem naszych oficerów w agendach ONZ i dyplomatów państw sojusznicznych. Następnie udawaliśmy się do chaldejskiego kościoła w dzielnicy Kadimija, gdzie składaliśmy kwiaty pod pomnikiem polskich ofiar wypadków. Elementem programu był też kościół w dzielnicy Szardża, administrowany przez Koptów, który podczas wojny pełnił rolę polskiego kościoła garnizonowego. Nad głównym wejściem zachowana była piękna tablica z brązu z wizerunkiem Matki Boskiej i stylizowanego orła, autorstwa profesora Młodziejewskiego. Polską obecność w Iraku przypominały także polonica sporadycznie trafiające na rynek, przede wszystkim obrazy, militaria, znaczki pocztowe i drobne przedmioty wyprzedawane przez ubożających bagdadczyków. Na aukcji kupiłem portret dziewczyny sygnowany „Matuszczak 43”, nie znajdując do dzisiaj bliższych informacji o losach autora. Kupiłem też bagnet osmański wykonany w gdańskiej fabryce i album ze znaczkami pocztowymi II RP.

Po roku od reaktywacji działalność placówki przestała mieć charakter nadzwyczajny i stopniowo zamieniała się w rutynę. Decydował o tym brak nadzwyczajnych wydarzeń, kontaktów i projektów dwustronnych, poza sporadycznymi. Był to okres względnej stabilizacji, „urozmaicany” amerykańskimi atakami rakietowymi, które do tego stopnia spowszechniały, że czasami były mylone z fajerwerkami. Ani razu nie reagowaliśmy na nie ewakuacją. Sens trwania placówki uzasadniało znaczenie Iraku, ale przede wszystkim konieczność zapewnienia parasola dla Sekcji. Z zawodowego punktu widzenia korpus dyplomatyczny w Bagdadzie wegetował, z pewnym wyjątkiem placówek stałych członków Rady Bezpieczeństwa – Rosji, Chin i (reprezentowanej poniżej szczebla ambasadora) Francji. Obecność w Radzie państw uznawanych za wrogie miała konsekwencje w Bagdadzie. Rozliczne

prowokacje odnotowali Węgrzy i Czesi, będący jej niestałymi członkami przed Polską, której kadencja przypadała w latach 1996–1997. Dzięki podjętym działaniom prewencyjnym pozostawiono nas w spokoju, poza sferą werbalną.

Warunki otoczenia sprzyjały zacieśnianiu więzi w gronie korpusu dyplomatycznego, życiu do wewnątrz, tym bardziej że bliższe kontakty z Irakijczykami, poza stricte oficjalnymi, znajdowały się pod ścisłym nadzorem służb specjalnych. Brakowało wydarzeń kulturalnych, a na indywidualną turystykę po kraju nie każdy się decydował. Oferta MSZ adresowana do korpusu ograniczała się do imprez propagandowych. Ilość placówek po wojnie 1991 roku zmniejszyła się o 1/3, a ambasadorów – o połowę, przy coraz bardziej zróżnicowanym poziomie zawodowym i niekiedy luźnym podejściu do obowiązków. Przez Bagdad w latach mojego pobytu przewinęła się jednak grupa wyróżniających się dyplomatów. Należy wspomnieć kilku z nich, łączących dyplomatyczny kunszt z osobistym urokiem. Turek, Sadi Calislar, instynktownie wyczuwający interesy swego kraju. Rosjanin, Wiktor Posuwaliuk, nieco starszy kolega z MGIMO, utalentowany poeta, kompozytor, pianista i wykonawca własnych tekstów, z żoną artystką (hafciarką i tkaczką) o polskich korzeniach. W moskiewskim MSZ został pierwszym wiceministrem znającym język arabski. Niestety na krótko, gdyż przegrał walkę z rakiem. Pozostawił między innymi nagranie wzruszających ballad o życiu, żonie i córce, „której dorosłości Opatrzność pozwoliła mu dożyć”. W Bagdadzie ustawił poprzeczkę na poziomie trudnym do osiągnięcia dla następców, również absolwentów tej samej uczelni. Jeden z nich, po wysłuchaniu anegdoty o upadłej kobiecie, stojącej dawno temu na niewłaściwej drodze pod Jerozolimą, opowiedzianej przeze mnie na nieformalnym spotkaniu dyplomatycznym w polskiej rezydencji z udziałem przedstawiciela ONZ Rolfa Ekeusa, wysłał do Moskwy szyfrogram, informując, że ambasador RP negatywnie ocenił politykę USA na Bliskim Wschodzie, używając w tym celu odniesień biblijnych. Ile śmiechu tym wywołał, dowiedziałem się po latach od innego kolegi. Japończyk Kunyo Takamura był wspaniałym arabistą, nie potrafiącym jednak się oderwać od nabytych w monarchiach naftowych Zatoki regionalnych ozdobników językowych. *Tawwal 'omrak* (‘oby [Bóg] dał ci długie życie’) stosował zamiast przecinka. Gryzło to irackie uszy i stanowiło przedmiot życzliwych żartów Kaisa Karchiego, bardzo

kompetentnego szefa Protokołu Dyplomatycznego, jednego z nielicznych starych urzędników, którzy zachowali stanowisko, a nawet awansowali w nowym Iraku. Bronilem Kunyo, pamiętając własne doświadczenia z libijskim dialektem. Ambasadorowie Chin Zheng Dayong i Sun Bigan, obaj solidni rzemieślnicy i serdeczni koledzy. Oni z kolei mówili arabskim tak klasycznym, że zawstydzali miejscowych. Pakistańczyk Mustafa Kazi, godzący generalskie szlify z lekkością ducha, zjednującą mu przyjaciół nawet w sztabie generalnym wrogiego w końcu państwa. Węgry, Géza Mihály i Jene Feldeszy, zawsze bratnie dusze. Czeszka Eva Filipi, pierwsza po 1991 roku ambasadorka w Bagdadzie, starająca się budować pozycję osobistą na miarę swego ostatniego czechosłowackiego poprzednika – Ladislava Lengyela. Malezyjczyk Sayed Sultan, niepoprawny optymista z dystansem do bieżącej polityki. Maltańczyk Joseph Spiteri, zastępca nuncjusza Olesia, a po jego wyjeździe w 1994 roku kierujący Ambasadą Stolicy Apostolskiej, dziś nuncjusz w Wybrzeżu Kości Słoniowej. Filipińczyk Rafael Seguisse, mój serdeczny przyjaciel, później wraz ze mną ambasador w Rijadzie oraz wieloletni doradca swego prezydenta w sprawach kryzysowych. Ostatni Jugosłowianin w Bagdadzie, wspomniany wcześniej Vlad Kohut, który został ambasadorem Serbii w Algierze i Kuwejcie, choć wcześniej w nomenklaturze swego MSZ figurował jako Chorwat. I wreszcie Katarczycy z ambasady formalnie zamkniętej w 1990 roku, ale funkcjonującej. Jej sens istnienia wyznaczały coroczne polowania z sokołami, organizowane w Iraku dla katarskiego następcy tronu i okazałej świty (praktyka ta trwała również po obaleniu Saddama Husajna i w 2017 roku spowodowała regionalny kryzys w związku z uprowadzeniem członków katarskiej rodziny panującej i wypłaceniem ogromnego okupu za jej uwolnienie). Moje kontakty z nimi przyczyniły się do zainteresowania władz w Dausze Polską oraz wizyty w Warszawie w 1998 roku ministra spraw zagranicznych Kataru, pierwszej tego rodzaju z obszaru Rady Współpracy Państw Zatoki. To wtedy przedstawiono nam pakiet proponowanych inwestycji, w tym sfinansowanie budowy gazowego terminalu, na który strona polska nigdy nie zareagowała. I nasza polska trójka, przez niektórych nazywana mafią. Wspólnie stanowiliśmy rdzeń tego merytorycznego i towarzyskiego kręgu, poszerzającego się i zawężającego w miarę rotacji. W tym gronie, z rodzinami lub bez, spotykaliśmy się regularnie co kilka weekendów, w ogrodach poszczególnych rezydencji lub na piknikach z grillem w okolicach Bagdadu – na pustyni,

nad jeziorami, w zakolach rzeki Djala płynącej z gór Zagros i obfitującej w ryby czy w sąsiedztwie Babilonu i innych starożytnych obiektów, dostępnych w ramach jednodniowego wypadu. Uzyskaniem formalnie wymaganej zgody na wyjazd specjalnie się nie przejmowaliśmy i iracki MSZ przymykał na to oczy.

Wycieczki i pikniki organizowaliśmy również dla pracowników naszych placówek – Ambasady, BRH i Sekcji. Były one czynnikiem mobilizującym i integrującym, pozwalającym przełamać rutynę. Kierunki były podobne jak wyżej wspomniane, choć zdarzało się nam jechać dalej od Bagdadu. Na trasie tych podróży były najróżniejsze miejsca rzadko oglądane przez cudzoziemców. Wymienię tylko kilka sumeryjskich, akadyjskich, babilońskich, perskich, żydowskich, greckich, rzymskich, chrześcijańskich i islamskich, łącznie z szyickimi i sunnickimi sanktuariami. Kurna, mająca status irackiego fragmentu raju, Kisz, Uruk oraz Ur, w Biblii chaldejskie, choć w czasach Abrahama społeczność ta jeszcze nie istniała, i – co ciekawe – imię Proroka przed 4100 laty było w tym mieście równie popularne, jak dzisiaj Mohammad. Babilon i Ktezyfon, który po perskim podboju Babilonii stał się intelektualnym centrum żydowskiego świata, choć chyba był takim i wcześniej. Seleucja, Hatra, Uchaidir, Nedżef, Karbala i Samara. Groby proroków, którymi cały Irak jest usiany, niestety nie wszystkie dostępne. Miejsc godnych zobaczenia były tysiące, podobnie jak na całym Bliskim Wschodzie, przy czym na niektóre popyt i tak przekraczał podaż. Pewnego razu w meczecie Omajjadów w Damaszku stałem w zadumie przed głową Jana Chrzciciela. Mój syryjski przewodnik przywołał mnie do rzeczywistości, zauważając z uśmiechem, że zgodnie z tradycją ludową takie głowy znajdują się w kilkunastu miejscach i „co najmniej trzy są autentyczne”. Historia Międzyrzecza może oszołomić, zwłaszcza gdy uświadomimy sobie, że kształtuje ona najstarsze pokłady naszej tożsamości, do których odnosi się Biblia, choć często zakorzenione są one w czasach poprzedzających ją o tysiąclecia. To przecież tutaj, w sąsiedztwie Kut, wylądował na pokładzie pierwowzoru arki uciekający przed potopem Utnapisztim, a w pałacach Niniwy przyznawano się do umiejętności odczytania kamiennych tablic z przedpotopowymi tekstami. Rezydujący nieopodal Bagdadu akadyjski król Sargon ma prawa autorskie do budowy pierwszego w świecie imperium, najbardziej efektywnej, choć każdorazowo ograniczonej w czasie, formy organizacji

państwowej. Historia tego władcy zawiera wiele elementów życiorysu Mojżesza, żyjącego całe wieki później. Będąc w Mosulu, oglądałem w muzeum dziesiątki glinianych tabliczek ze skomplikowanymi zadaniami matematycznymi, które w Asyrii spełniały rolę dzisiejszych krzyżówek. Nikt nie wie, ile jeszcze niekształtnych kopców i głębokich warstw kulturowych kryje w Iraku ślady starożytnej przeszłości, która nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

W wolne od zajęć świąteczne piątki siadałem często sam za kierownicę, zabierając parę osób w kolejne miejsca. Bez zgody przejazdowej, ale też nie odnotowując problemów. Sądzę, że gospodarze wiedzieli, iż nie szpieguję i nie zamierzam wygrzebywać starożytności. Na to byli wyczuleni. Dyrektor Protokołu Dyplomatycznego opowiadał o ambasadorze Francji sprzed lat, który na kilka dni utknął w błocie głęboko na pustyni obok przekopywanego łopatą pagórka, za co groziła w Iraku kara śmierci. Skłoniono go do zakończenia misji. Po pewnym czasie szukałem głównie miejsc rzadko odwiedzanych, ale dostępnych samochodem osobowym (o terenowym w Ambasadzie jeszcze nie marzyliśmy). Tak dotarłem do wymienionego w Koranie Birs Nimrud (Borsippa), miasta babilońskiego boga Nabu, syna Marduka, ale także sanktuarium proroka Ibrahima al-Chalila (Abrahama z Ur!). Na dostępnych mapach, w Iraku zawsze zawodnych ze względów bezpieczeństwa, położony w rejonie Hilli obiekt nie był dokładnie zaznaczony. Wiedziałem jedynie, że od głównej drogi prowadzi do niego nieoznaczony gruntowy trakt. Poprosiłem o wskazówki grupę ludzi przy drodze. Natychmiast na przewodnika zgłosił się nastolatek na skuterze. Dotarliśmy na miejsce po kilku kilometrach jazdy. Chłopak odmówił przyjęcia pieniędzy, oświadczając z powagą, że zależy mu jedynie na tym, bym wiedział, że „w Iraku wszyscy kochają Saddama Husajna”. Na chwilę osłupiałem, myśląc, że mam do czynienia z młodocianym agentem bezpieczeństwa. Zaraz uświadomiłem sobie jednak, że powtarza codziennie trenowany w mediach i szkołach rymowany slogan: „Bush, Bush, esma’a zajn, kullu nuhibbu Saddam Husajn” („Usłysz dobrze, że wszyscy kochają”). Być może było to specyficzne wyrażenie patriotyzmu. A przysługa zasługiwała na nagrodę. Wspinanie się po ruinach wysokiego na prawie pięćdziesiąt metrów *zigguratu* i roztaczający się z jego szczytu widok na pustynię były szczególnym przeżyciem. Część cegieł budowli była stopiona w bloki o konsystencji ciemnozielonego

szkła, co mogło nastąpić w wyniku uderzenia komety lub samozapalenia się bitumów, użytych do związania glinianej konstrukcji. Sanktuarium było zamknięte, ale dzięki kilku miejscowym, którzy arabskim zwyczajem niespodzianie wyłonili się z pustyni, sporo się dowiedziałem o okolicy, także o tym, że właśnie odtworzono pobliską przeprawę promową na Eufracie. Umożliwiła dotarcie do Seleucji, stolicy tamtejszych następców Aleksandra Macedońskiego. W starożytności komunikacja pomiędzy oboma brzegami rzeki musiała być łatwiejsza, bo miasto zbudowano z cegieł rozebranego do fundamentów Babilonu. Ruiny, z dobrze zachowanymi ceglanyimi grobami władców, były prawie nieznanne w środowisku cudzoziemców. Będąc tam, oglądałem miraż, drugi w życiu, po zaobserwowanym na pustyni libijskiej. W historii Iraku zjawisko to odegrało pewną rolę. W 1917 roku żołnierze korpusu brytyjskiego atakującego Bagdad ujrzeni je w tak sugestywnej formie, że rozpętali bitwę z wyimaginowanym przeciwnikiem. Znacznie opóźniło to ofensywę.

Podróże i okazjonalne rozmowy z ludźmi z każdym rokiem były coraz bardziej przygnębiające. Pogłębiała się bieda i degradacja wszystkich dziedzin życia. Szczególnie traumatycznym przeżyciem był pobyt na legendarnych bagnach w widłach Tygrysu i Eufratu, gdzie wytworzyła się specyficzna kultura. Od wieków ludzie Mezopotamii chronili się tam przed despotyzmem i prześladowaniami. Również niewolnicy, w tym afrykańscy, co widać po ciemniejszej karnacji mieszkańców, zresztą całego południa kraju. Środowisko w zasadzie uniemożliwiało pacyfikację uciekinierów. Nie inaczej było po krwawo stłumionym powstaniu szyitów w 1991 roku. I wtedy Saddam Husajn kazał wykopać kanał, nazwany trzecią rzeką, osuszając bagna i niszcząc również unikatowe środowisko. Nawet błotne bawoły miały tam rozpacz w oczach. W ostatnich latach władze irackie podjęły próbę rekultywacji tych obszarów.

Po śladach chrześcijaństwa, które przed islamem dominowało w Iraku, poruszałem się według wskazówek Nuncjusza. Do Asyrii religię Chrystusową przynieśli apostołowie Tomasz i Tadeusz (jako patron od rzeczy beznadziejnych słabo się tu spisujący) oraz ich uczniowie. Niestety, najciekawsze miejsca były poza zasięgiem, w górach Kurdystanu, okolicach Mosulu i w Sindzarze, będącym też

ośrodkiem jazydów. Byłem jednak w Karakosz i zwiedziłem klasztor św. Eliasza. W 2014 roku został on zniszczony przez terrorystów z tzw. Państwa Islamskiego. Podobnie los spotkał mauzoleum proroka Jonasza w Mosulu, które odwiedzałem przy okazji każdej wizyty w tym mieście, nie wiedząc, że krył się pod nim pałac królewski. Kościoły, klasztory i kaplice lub ich pozostałości były prawie wszędzie, również w mateczniku Saddama Husajna – Tikricie. Zachował się tam zwyczaj wykonywania przez muzułmanki (sic!) znaku krzyża nad podawanym do spożycia chlebem. Mam nadzieję, że przetrwał krótkie rządy islamistów w tym mieście. Bliskie relacje utrzymywałem ze wspomnianymi wcześniej mandejczykami, wielokrotnie byłem zapraszany do ich domu modlitwy w Bagdadzie z okazji ceremonii odnawianego chrztu odbywającego się w rytualnym basenie i gościłem starszyznę w rezydencji, każdorazowo przychodzącą z własnym „koszernym” jedzeniem. Niewielka ich grupa osiedliła się w Polsce.

Reżim iracki w Bagdadzie dbał o zabytki w zakresie, jaki potrzebny był mu do budowy tożsamości społeczeństwa i ambicji mocarstwowych, a przez pewien czas również do przyciągania turystów. Przykładem była odbudowa Babilonu, na przekór protestom archeologów. Wzorowane na starożytnych inskrypcje na świeżo wypalonych ceglach miały przypominać społeczeństwu, kto tego dokonał. Wojna z Iranem wstrzymała zakrojone na szeroką skalę międzynarodowe badania archeologiczne, które nigdy potem nie wróciły już do poprzedniego stanu. Muzeum Narodowe w Bagdadzie, powstałe nie bez udziału Polaków, było nieczynne od 1990 roku, poza doraźnymi wystawami. Najcenniejsze eksponaty wywieziono do Ammanu. W następnych dekadach degradacja całej sfery starożytności dramatycznie się pogłębiła, czego bolesnym symbolem był rabunek Muzeum, do którego wcześniej wróciła większość ewakuowanych zbiorów, podczas zajęcia miasta przez siły koalicji w 2003 roku. Ogromny cios zgromadzonemu w Iraku dziedzictwu cywilizacji zadało tzw. Państwo Islamskie. Rzeczywistych strat nikt nigdy nie policzy. Tym bardziej że dzikie wykopaliska i nielegalny międzynarodowy obrót artefaktami wciąż trwają.

Iracki MSZ niechętnie aranżował wizyty ambasadorów u gubernatorów prowincji. Dwóch jednak kilkakrotnie odwiedziłem – w Basrze i Mosulu, gdzie było wiele polskich miejsc pamięci. Skorzystałem też

z osobistego zaproszenia prezesa National Oil Company do Kirkuku, miasta do którego pretensje roszczą Kurdowie, Arabowie i Turkomani, i na zazdrośnie strzeżone pola naftowe, gromadzące 60% irackiej ropy. Oglądałem historyczny szyb Baba Ghargul, który zapoczątkował iracki naftowy raj i piekło zarazem. Nieopodal znajduje się duży płytki krater z wiecznie płonącym gazem wydobywającym się z ziemi, widoczny z kosmosu. W starożytności było to miejsce religijnych obrzędów i straceń.

Jesienią 1994 roku minęły cztery lata mojego pobytu. Powiniennem był wracać, ale MSZ nie chciał o tym słyszeć. W pewnym momencie przestałem zresztą nalegać. Zmieniła się moja sytuacja osobista. Jarek zdał maturę w szkole międzynarodowej w Bagdadzie i został przyjęty na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Moje małżeństwo dobiegło końca. Po siedmiu latach misji wyjechał arcybiskup Oleś. Odwołanie otrzymał również szef Sekcji minister Piekarski. Nasze relacje były dobre i oparte na konstruktywnej współpracy, podobnie jak z jego następcą, Ryszardem Krystosikiem. Szanowałem autonomię Sekcji, służąc radą i komentując przekazywane do kraju informacje jedynie wtedy, gdy uważałem to za konieczne lub zostałem zapytany. Unikaliśmy sporów kompetencyjnych i ambicjonalnych pretensji, a drobne nieporozumienia wyjaśnialiśmy na bieżąco. Dbałem też, by sprawy Sekcji nie powodowały konfliktów z gospodarzami oraz nie rzutowały na polskie interesy i na warunki realizacji wykonywanych na rzecz USA funkcji.

Tak jak w przeddzień przyjazdu ekipy Sekcji do Bagdadu w 1991 roku, również bezpośrednio przed wyjazdem pierwszego jej szefa powstało zagrożenie, mogące skutkować aferą o wymiarze międzynarodowym. Kilka tygodni wcześniej nasi dyplomaci z Sekcji zaczęli kolportować, głównie w korpusie, publikowane w Waszyngtonie wybrane materiały informacyjne. Miałem zastrzeżenia formalne, ale nie zablokowałem kolportażu po wyjaśnieniach, że został on uzgodniony ze stroną amerykańską i zaakceptowany w Warszawie. Oczywiście działalność ta nie uszła uwadze władz w Bagdadzie. W ślady naszych kolegów poszedł szef irackiej Sekcji Interesów w Waszyngtonie, Adnan Malik. I z tego powodu Amerykanie niezwłocznie wydali go z USA, motywując to jaskrawym naruszeniem statusu Sekcji.

Nastąpiło to dokładnie w dniu pożegnalnego wyjazdu ministra Piekarskiego do Waszyngtonu, gdzie został odznaczony Złotym Medalem Departamentu Stanu, przyznawanym amerykańskim dyplomatom za szczególne zasługi. Stało się oczywiste, że Irakijczycy zastosują zasadę wzajemności. W grę wchodziło uniemożliwienie zaplanowanego powrotu szefa Sekcji na kilka dni do Bagdadu w celu ustalonego wcześniej pożegnania się lub – co bardziej prawdopodobne – zezwolenie mu na wjazd i niezwłoczne uznanie za persona non grata, ewentualnie zablokowanie przyjazdu następcy. Każda z tych opcji oznaczała poważny incydent dyplomatyczny, nagłośnienie medialne i zakwestionowanie zdolności polskiej dyplomacji do zapewnienia płynnej realizacji interesów USA w Iraku, nawet jeśli zleceniodawcy na tym specjalnie nie zależało. Podjąłem niezwłoczną interwencję na szczeblu ministra spraw zagranicznych, wykorzystując wszelkie możliwe w danej sytuacji argumenty. Uzyskałem ustne gwarancje, że szykowanej retorsji nie będzie. Sam gwarantowałem w Warszawie, że zostaną dotrzymane. Minister Piekarski wrócił spokojnie do Bagdadu, pożegnał się i wyjechał bez incydentów. Ryszard Krystosik przyjechał bez zwłoki i z charakterystycznym dla niego zapałem przejął obowiązki. Związał się trwale z Irakiem, dokąd wrócił ponownie w 2007 roku jako ambasador RP. Mimo wieku emerytalnego wydawał się niezmordowany. Udar wyłączył go jednak ze służby i z aktywnego życia, aż do śmierci w 2014 roku.



DYPLMATYCZNA RUTYNA W KRAJU OBJĘTYM SANKCJAMI

Ambasador i zespół placówki są podatni na wypalenie zawodowe, zwłaszcza gdy brak nowych zadań i wyzwań. W MSZ się mówi, że wiele problemów rozwiązuje „matka rotacja”, planowo co cztery lata, ale to tylko część prawdy. Miałem tego świadomość i szukałem rozwiązań. W 1994 roku kończył się również kolejny okres wynajmu nieruchomości, w której mieściła się siedziba naszej Ambasady i rezydencja ambasadora. Od lat było wiele argumentów, by zmienić lokalizację, ale jakoś nikt nie miał odwagi. To zawsze wielka operacja, a w przypadku Iraku obarczona dodatkowymi ryzykami. Nieruchomość była zbyt duża dla okrojonej ekipy placówki. Mnożyły się problemy techniczne. Pracownik administracyjny nie wszystko widział, więc co tydzień robiłem z nim obchód, ustalając konieczne naprawy. Anachronizmem było ulokowanie rezydencji. Mimo gruntownej obniżki czynszu nadal była to suma przewyższająca koszt wynajęcia, adaptacji i przeprowadzki do budynków bardziej odpowiadających potrzebom. Argumentem była także skala wydatków na eksploatację i remonty. Dochodziła kwestia bezpieczeństwa. Obszerna posesja z trzech stron wychodziła na ulice, w tym jedną przelotową. Częściowo była odsłonięta, również od strony wału przeciwpowodziowego wzdłuż Tygrysu, z rafinerią naftową po drugiej stronie rzeki. Niski mur tylko teoretycznie utrudniał dostanie się do wewnątrz. Pomysł z przeprowadzką może nie wzbudził entuzjazmu, ale argumenty zyskały zrozumienie pracowników. Zastrzeżeń nie miał również nasz MSZ. Operacja wymagała działań rozłożonych w czasie na blisko rok, od decyzji co do zasady, po wybór nowych budynków, uzyskanie zgody w Warszawie i na miejscu, wynegocjowanie umów, adaptację i zagospodarowanie, wybrakowanie, przeniesienie i uzupełnienie zinwentaryzowanego wyposażenia, w tym gruntowną wymianę sprzętu łączności, ustawienie agregatów i domku dla lokalnej ochrony, opróżnienie i oddanie starego budynku w stanie z momentu pierwotnego najmu. Wymieniam tylko niektóre spośród dziesiątków czynności. Realizacja projektu bez dezorganizacji normalnej pracy Ambasady była możliwa dzięki oddelegowaniu do Bagdadu specjalisty z MSZ.

Na biura wybraliśmy nowo wybudowaną bliźniaczą willę w spokojnej sąsiedniej dzielnicy Wahda o zwartej zabudowie i bezpiecznej kompozycji religijno-etnicznej. Lokalizacja została zaakceptowana przez komisję z kraju, złożoną z wysokich urzędników MSZ, Janusza Skolimowskiego i Bolesława Domańskiego, jako najlepsza z kilku przygotowanych ofert. W budynku na przylegającej posesji usytuowany został Wydział Konsularny i część zaplecza. Minusem była znacznie mniejsza część zielona. W odległości około kilometra od Ambasady wynajęliśmy rezydencję w nowo wybudowanej średniej wielkości parterowej willi z niewielkim ogródkiem oraz mieszkaniem dla polskiego kierowcy z rodziną. Czynsz roczny za wszystkie wynajęte obiekty wynosił około pięćdziesięciu tysięcy USD rocznie, znacznie poniżej dotychczasowego. Koszt przeprowadzki zamortyzował się w ciągu nieco ponad roku. Razem z nami, również do rezydencji, przenieśli się żołnierze lokalnej ochrony, dla których ufundowaliśmy wygodne baraki, co było wymogiem ze strony lokalnych władz. Do powodzenia przedsięwzięcia rękę przyłożył nasz generalny wykonawca, Dżamal Falla, Libańczyk od lat pracujący dla polskich firm, a w nowych warunkach odnoszący sukcesy biznesmen. Duża fotografia całego przeprowadzkowego zespołu wisiała w gabinecie ambasadora. Na jej marginesie dolepialiśmy zdjęcia nowych pracowników z podstawowymi danymi, dokumentując też daty wyjazdów. Wizytując Ambasadę w 2006 roku, w ramach przygotowań do wizyty śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, nie mogłem poznać obiektu. Ulicę wygradzał labirynt betonowych bloków, dla ochrony przed zdarzającym się ostrzałem ustawiono stopy worków z piaskiem, pokoje pracownicze zostały zamienione na sypialnie komandosów i wszystkich pracowników. Jedynie kierujący placówką Stanisław Smoleń mieszkał oddzielnie. Zajmował apartament na terenie dawnego amerykańskiego zespołu mieszkaniowego. Rok później wyjeżdżający stamtąd konwój z ambasadorem Edwardem Pietrzykiem został zaatakowany przez irackich terrorystów. Jeden z komandosów zginął, a ambasador odniósł ciężkie obrażenia.

Zmiana rezydencji ambasadora zbiegła się w czasie z objęciem przeze mnie nowej funkcji – dziekana korpusu dyplomatycznego. Byłem najstarszy stażem. Poprzedni dziekan niespecjalnie identyfikował się z rolą i wiele spraw było zaniedbanych. Wprowadziłem międzynarodowe standardy i trochę świeżości. Z Protokołem Dyplomatycznym

uzgodniłem jednolite zasady powitania i pożegnania szefów placówek, niestety kilku na wiečność. Rzadziej byliśmy traktowani przez gospodarzy jako tło imprez propagandowych. Raz w miesiącu w godzinach przedpołudniowych organizowałem w rezydencji „lampkę powitania i pożegnania szefów placówek”. Wyjeżdżający otrzymywali uzgodnione z nimi prezenty w ramach przewidzianej kwoty, najczęściej wyroby rękodzieła. W zapomnienie poszły pożegnalne platerowane talerze, śniedziejące w miejscach grawerunku (niestety w Rijadzie taki właśnie dostałem). Nagle przestał istnieć problem zalegania ambasadorów z symbolicznymi składkami, zbieranymi na te cele przez dziekana. Robiliśmy też zbiorowe zdjęcia, dołączane do listu podpisywanego przez wszystkich szefów placówek. „Lampka” była hybrydowa – różowe wino musujące i w dokładnie takim samym kolorze gazowany napój bezalkoholowy na bazie sudańskiego karkade, chińskiej róży. W smaku przypominało to campari. W Rijadzie okazało się, że coś podobnego powszechnie tam serwują jako saudyjski szampan, choć receptura była bardziej skomplikowana i napój zawierał okazały wkład owocowy. Symboliczny koszt poczęstunku pokrywałem z funduszu dyspozycyjnego. W Iraku wynosił on wówczas cztery tysiące dolarów amerykańskich rocznie, równowartość (przed opodatkowaniem) mojej miesięcznej pensji, z przeznaczeniem głównie na przyjęcia, poza jednym narodowym finansowanym oddzielnie.

Latem 1996 roku otrzymałem wreszcie odwołanie, wraz z informacją, że moim następcą ma być Roman Chałaczkiwicz (w rzeczywistości dotarł do Bagdadu pół roku później).

Miałem za sobą udaną zawodowo misję i poczucie rozczarowania, jeśli chodzi o stosunki dwustronne, zwłaszcza gospodarcze. Wprawdzie za zgodą Komitetu Sankcji ONZ udało się nam doprowadzić do realizacji kilku poważniejszych kontraktów, w tym na usługi agrolotnicze wykonywane przez kilka kolejnych lat, ale był to strzęp tego, o czym myślałem, decydując się na przyjazd do Iraku. Wielkim plusem było natomiast ponowne uregulowanie spraw osobistych – związek z Renatą, moją żoną od dwudziestu lat, w Bagdadzie przebywającą z synem Maćkiem, obecnie po studiach, pracującym w warszawskich mediach elektronicznych.

Na pożegnanie Irakijczykom udało się po raz pierwszy mi dopiec. W weekendowy ranek, przy temperaturze grubo ponad 40 stopni, co latem w Bagdadzie było regułą, na dodatek przy relatywnie wysokiej wilgotności, co kilka minut z dokładnością zegarka w rezydencji wyłączano i włączano prąd. Akumulator automatycznie uruchamiającego się agregatu tego nie wytrzymał i przez większość dnia zostałem bez prądu i klimatyzacji. Na dodatek miałem gości. Nie dopatrywałem się celowego działania, ale tydzień później powtórzył się identyczny w szczegółach scenariusz. Tego było już za dużo. Zadzwoiłem na domowy numer dyrektora Protokołu i zagroziłem, że następnego dnia bez elektryczności będzie ambasador Iraku w Warszawie. Dokładnie w momencie odkładania słuchawki prąd włączono i przez kilka tygodni pozostających do dnia wyjazdu żadnej przerwy już nie było. Na szczęście gospodarze nie zdecydowali się sprawdzać mojej wiarygodności.

W sprawozdaniu z realizacji misji zawarłem między innymi następujący fragment: „dalszy rozwój sytuacji w i wokół Iraku jest trudny do przewidzenia z punktu widzenia obserwatora w Bagdadzie, gdyż decydują o nim głównie uwarunkowania zewnętrzne, niezależne od tujejszych władz i lokalnego układu sił. Wydarzenia mogą wymknąć się spod kontroli”. Ocena ta i teraz pozostaje w dużym stopniu aktualna. Wracaliśmy w trójkę, a właściwie w czwórkę, licząc Ramziego, kudłatego psa rasy shih tzu, wyposażonego na podróż w certyfikat ze zdjęciem, opatrzoney irackimi, jordańskimi, polskimi i amerykańskimi stemplami. Samochodem do Ammanu, trasą, którą pokonywałem kilkadziesiąt razy, czasami sam prowadząc i w ciągu jednego dnia w obie strony. Po drodze pojechaliśmy na kilka dni do Jerozolimy, gdzie byłem po raz pierwszy. Potem lot do Kopenhagi. Tam oferowano najlepsze warunki zakupu samochodu (padło na forda escorta) i rejestrację dyplomatyczną na powrót do Polski.



Rozdział siódmy

ZMIENNE LOSY W MSZ

WARSZAWA, 1996–1999

NOWE ZADANIA

W MSZ bilans mojej misji robił wrażenie: akcja wywiadu, ewakuacja i reaktywacja placówki, informacja, polskie interesy powiązane z amerykańskimi, drożne kanały kontaktu z gospodarzami, medialność, oszczędności i udana przeprowadzka, no i brak jakichkolwiek incydentów w sferze bezpieczeństwa i konfliktów na placówce. Na drugiej szali wagi były mój staż w PRL i moskiewski dyplom, ale trwał jeszcze okres konsensusu w polskiej polityce zagranicznej, trzymania uprzedzeń na wodzy i świadomości, że elementem interesu narodowego jest zachowanie ciągłości służb państwa. W październiku 1996 roku wróciłem na stanowisko sprzed wyjazdu, wicedyrektora Departamentu do spraw Bliskowschodnich i Afrykańskich. Wynagrodzenie wynosiło tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt pięć złotych, z czego połowę stanowiły dodatki. Wkrótce otrzymałem Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Departamentem „połowy świata” – Afryki, Azji, Australii i Oceanii – kierował Jerzy Pomianowski. Prezentując mnie, powiedział, że uczył się na moich depeszach. Mieliśmy kompatybilne podejście do codziennych obowiązków. Dyrektor miał na głowie sprawę kadrowe i lubił podróżować, a mnie dobrze było w kraju przy konkretnych sprawach. Obydwie kadry – nowa i stara potrafiły konstruktywnie współpracować, choć nie zawsze było to regułą. Część dawnych pracowników wykruszyła się, ale też wśród nowych byli tacy, którzy odchodzili z Ministerstwa do bardziej atrakcyjnych i lepiej płatnych zajęć. W naszym „egzotycznym” obszarze łatwiej było też wzajemnie doceniać kwalifikacje i znajdować wspólne punkty odniesienia przy załatwianiu konkretnych, oraz jak zawsze licznych i urozmaiconych, spraw. W Ministerstwie nie było chyba nikogo, kto byłby przeciwny trwałemu zakotwiczeniu Polski w strukturach NATO i Unii Europejskiej, umocnieniu bezpieczeństwa, również w bezpośrednim sąsiedztwie, unowocześnieniu służby zagranicznej, utrwaleniu dobrego wizerunku kraju za granicą. Były to precyzyjne cele. Bilans naszych działań na Bliskim Wschodzie, w tym w Iraku, wpisywał się w ten program.

Zasięg geograficzny Departamentu, przy dwóch wicedyrektorach, zmuszał do poznania całej problematyki, wzajemnego zastępowania

się i niekiedy wyjazdów na nie „swój” obszar. Byłem między innymi w New Delhi, gdzie poznałem Krzysztofa Mrozewicza, rzadki przykład dobrze dobranej na dany kraj i skutecznego ambasadora spoza MSZ, podobnie jak kilku innych szefów placówek z tego obszaru, w tym Ksawery Burski. W obszarze mojej kompetencji równie wybitne role w promocji polskich interesów odegrali prof. Andrzej Kapiszewski, pierwszy ambasador RP w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i Grzegorz Dziemidowicz, orientalista i ambasador w Egipcie. W Emiratach po raz pierwszy byłem 1997 roku z okazji inauguracyjnego rejsu LOT do Szardży, będącego potwierdzeniem bezprecedensowego rozwoju relacji biznesowych, handlowych i w sferze zatrudnienia z tym państwem. Zapamiętałem charakterystyczny obrazek z tego pobytu: strumyk whisky płynący na niby nieistniejącej granicy pomiędzy Dubajem i Szardżą, gdzie obowiązywała prohibicja. Celnicy tego emiratu namierzyli ciężarówkę z alkoholem, legalnym w Dubaju, i kierowca musiał wylać setki przemycanych butelek na oczach przejeżdżającej polskiej delegacji.

Emiraty pokazywały potencjał współpracy z całym obszarem. Wykorzystanie go było jednak niemożliwe bez aktywizacji naszych relacji z Arabią Saudyjską, dominującą w regionie. Tymczasem w tym zakresie działo się niewiele. Po spóźnionym nawiązaniu stosunków dyplomatycznych w maju 1995 roku doszło wprawdzie do kilku wizyt, w tym ministra Władysława Bartoszewskiego w lipcu tego samego roku, ale nie przełożyło się to na konkrety. Warunkiem było ustanowienie placówki w Rijadzie i zadbanie o wzajemność. Uważałem to za jeden z priorytetów. Proces decyzyjny został stosunkowo szybko uruchomiony, ale buksował. Kolejne notatki i wnioski wracały od dyrektora generalnego bez adnotacji, czasem jedynie z odręcznymi rysunkami na trafarecie (druku stosowanym w obiegu dokumentów w ministerstwie). Przy okazji zostałem zapytany, jaki osobisty interes mam w zabiegach o tę placówkę. Nie doszło do decyzji i zaplanowania koniecznych środków w budżecie na 1997 rok. Sukces przyszedł w końcu po prawie dwóch latach starań i projekt zmaterializował się jesienią 1998 roku. W tym samym roku miało miejsce wydarzenie, które mogło zrewolucjonizować nasze stosunki z całym regionem Zatoki i wpłynąć na bezpieczeństwo energetyczne Polski.

Do Warszawy przyjechał szejik Hamad bin Dżassem bin Dżaber Al Thani, minister spraw zagranicznych, a później premier Kataru. Pewną rolę w doprowadzeniu do tej wizyty odegrali moi wspomniani wcześniej katarscy koledzy z Bagdadu. Minister Al Thani („al” w tym przypadku to nie rodzajnik, jak powszechnie uważają nasze media, a oddzielne słowo oznaczające „ród” i nie należy go łączyć z następnym członem) był pierwszym politykiem i członkiem rodziny panującej z obszaru Zatoki, odwiedzającym oficjalnie Polskę. Przywiózł pakiet rządowych propozycji, obejmujący sfinansowanie budowy terminalu naftowego w Świnoujściu kosztem 1,5-2 miliardów USD, zawarcie długoletniej umowy na dostawy gazu, z klauzulą konkurencyjności cenowej z gazem rosyjskim oraz realizację docelowo wielomiliardowych projektów okołogazowych (elektrownia, zakład nawozów sztucznych, sieć dystrybucji z łącznikiem do Niemiec, zamówienie gazowców, wspólne towarzystwo shipingowe i cystern kolejowych; łącznie kilkunastopunktowa lista). Strona polska propozycji wysłuchała, ale nie ustosunkowała się do nich. Notatka na temat przebiegu rozmów została przez MSZ rozesłana na najwyższy szczebel, z propozycją wypracowania stanowiska i podjęcia rozmów. Próbowałem wywołać reakcję również na szczeblu ministerialnym, ale moje starania w końcu zaczęły budzić irytację. Paradoksalnie to ja, z dyplomem MGIMO, zabiegałem o racjonalne ograniczenie zależności Polski od rosyjskiego gazu, nie znajdując zrozumienia nie tylko w środowiskach, które na takich hasłach budowały swe programy polityczne. I gdzie tu dopatrywać się agentów! Katarczycy powtórzyli ofertę w 2002 roku podczas wizyty Emira, z identycznym efektem. W 2006 roku, przy okazji jakiejś narady, przypomniałem tę historię. Odpowiedzialny za sektor energetyczny wiceminister Piotr Naimski miał jedno pytanie: „A za jakiego rządu to było”? No cóż, raz takiego, a raz siakiego.

W stosunkach z Izraelem szybko zasypywana była wyrwa spowodowana brakiem relacji dyplomatycznych. Już w połowie lat 90. kraj ten stał się głównym partnerem Polski w całym obszarze mojej kompetencji. Mimo nadal w dużym stopniu żywiołowego rozwoju, relacje konsekwentnie nabierały charakteru instytucjonalnego, potwierdzanego odbudowaną bazą prawno-traktatową. Oba kraje starały się pilnie odrabiać zaległości, odreagowując okres PRL. Władze izraelskie dbały o kierowanie do Warszawy profesjonalnych ambasadorów,

rozumiejących polskie realia i cieszących się życzliwym wsparciem polskich partnerów, kontrastującym często z rezerwą okazywaną wobec partnerów arabskich czy afrykańskich. Ambasadorzy Gershon Zohar i Yigal Antebi byli rzeczowymi rozmówcami, co pomagało rozwiązywać niejednokrotnie trudne bieżące problemy. Sprawy diaspory żydowskiej nie wchodziły wówczas w kompetencje departamentu terytorialnego, ale konsultowano z nami wiele kwestii z tego obszaru. Na ogół bezkolidywnie, chociaż zdarzały się spięcia. Oprotestowałem na przykład projekt przeznaczonego do publikacji tekstu w języku angielskim ze wzmianką o „polskich obozach koncentracyjnych”. Autorzy – dwaj ambasadorowie RP – byli zdziwieni, ale obiekcje uwzględnili. W tych sprawach istniała wówczas inna wrażliwość, a czasem bezrefleksyjne kopiowanie zachodnich schematów. Do dziś zresztą mało kto rozumie, że stosowanie tego zwrotu po części wynika z zapisów stylu w poszczególnych mediach, skorygowanie których jest jednym z warunków zmiany sytuacji. W tym czasie Izrael był najczęstszym kierunkiem moich wyjazdów, choć nie przyjmowałem zaproszeń na sponsorowane wyjazdy studyjne. W kolejnych latach konstatowałem, że kraj ten stawał się z naturalnych względów coraz mniej „polski”, w przeciwieństwie do procesu rewitalizacji izraelskich i żydowskich interesów w naszym kraju. W 1997 roku towarzyszyłem premierowi Włodzimierzowi Cimoszewiczowi podczas wizyty w Jerozolimie. Trudnej ze względu na tematykę (restytucja mienia) i przewidywane twarde negocjacje z premierem Benjaminem Netanyahu. Merytorycznie była to jedna z najdłużej przygotowywanych wizyt. Rzetelne przygotowanie rozmów jest zresztą podstawowym warunkiem ich powodzenia, zwłaszcza w relacjach z partnerami izraelskimi, podobnie jak egzekwowanie ustaleń. Wbrew obawom wizyta była bardzo udana, mimo kilku trudnych momentów. Zaskoczeniem było kontrowersyjne wystąpienie jednego z deputowanych w Knesecie, choć jak się okazało, tekst dotarł z wyprzedzeniem do naszej Ambasady. Nie udało się dar dla środowisk żydowskich w postaci Hagady, wykradzionej z Polski i odkupionej przez agendy rządowe w Austrii. Nadpalona księga została uznana za zdesakralizowaną i pochowana w specjalnym grobie. Dobrym duchem delegacji był Marek Edelman, wspaniały człowiek i polski patriota, z arsenalem celnej argumentacji. Równoległe do oficjalnych rozmów miały miejsce kontakty biznesowe mogące doprowadzić do precedensowej w skali europejskiej inwestycji izraelsko-katarskiej w sektorze paliwowym, z których ostatecznie strona

polska się wycofała. Byliśmy również w Gazie, gdzie wówczas rezydował palestyński przywódca Jaser Arafat. Po drodze Premier złożył wieniec na polskich kwaterach na cmentarzu wojennym w Ramli. Strefa Gazy była przerażająco zaniedbana, ale w porównaniu ze stanem dzisiejszym mogła sprawiać wrażenie kwitnącej. Premier ponowił deklarację otwarcia przedstawicielstwa RP przy Autonomii Palestyńskiej. Na Wzgórzach Golan Włodzimierz Cimoszewicz spotkał się z polskimi żołnierzami w UNDOF. Premier Netanyahu rewizytował Polskę w 1998 roku, jako gość premiera Jerzego Buzka. Po raz pierwszy uczestniczyłem wtedy w „Marszu Żywych”. Z tytułu funkcji otrzymywałem wiele zaproszeń na imprezy w Warszawie związane ze stosunkami polsko-żydowskimi. W 1997 roku obchodzone było stulecie ruchu syjonistycznego. Z tej okazji odbyła się konferencja naukowa na UW. Rektor zacytował refleksję brytyjskiego uczonego zapisaną na jerozolimskim wzgórzu, że jak przed dwoma tysiącami lat, tak i teraz w Świętym Mieście są znowu Żydzi. Szewach Weiss, reprezentujący Kneset, dodał różnicę – że obecnie należą oni do kilku ras.

Wypracowanie realistycznej i adekwatnej do realiów po obu stronach formuły współpracy z tradycyjnymi partnerami arabskimi, afrykańskimi i z Iranem wymagało czasu. Trwałym oparciem dla niej mógł być jedynie komponent gospodarczy. Tymczasem polski biznes traktował ten obszar jako peryferyjny, nie wart zachodu i podejmowania ryzyka, zwłaszcza mając nieprzebrane możliwości w kraju i bliższym sąsiedztwie. Niemniej zdarzały się też przypadki oczekiwania w tamtym obszarze nadzwyczajnych zysków, niemających uzasadnienia w ofercie. Odrębną sprawą jest działalność osób, które nazywam „entuzjastami-naganiaczami”, mających przedsiębiorców rzekomo posiadanych kontaktami i „dojściami” do lukratywnych transakcji na Bliskim Wschodzie i w Afryce, a tak naprawdę jedynie wyciągających od nich pieniądze i prowadzących na manowce. Doświadczenie współpracy okresu PRL traktowane było raczej wstydliwie i w rzeczywistości w nowych warunkach – mało przydatne. Liberalizm gospodarczy pozostawiał firmy prywatne samym sobie, w sytuacji, gdy bez państwowego wsparcia niewiele tam mogły zrobić. Nie było również klimatu dla inwestycji z tamtego obszaru. Mało kto rozumiał istotę pasywnych inwestycji arabskich, którym trzeba było pomóc i wskazać cel, w warunkach, gdy do Polski napływała fala inwestorów zachodnich

świadomych swoich interesów. Hasło ekonomizacji służby zagranicznej nie mogło się przełożyć na konkrety bez ustanowienia systemu promocji handlu, a tego nie ma do dzisiaj. Zabranie przez polityka tu czy tam z reguły przypadkowej grupy biznesmenów nie miało nic wspólnego z instytucjonalnymi rozwiązaniami, których elementem jest kształtowanie kontaktów politycznych pod kątem potrzeb biznesowych. Nie potrafiliśmy znaleźć sposobu wykorzystania w interesie współpracy polskich absolwentów, którzy w Afryce i na Bliskim Wschodzie niejednokrotnie zdobywali bardzo wpływową pozycję. Co z tego, że przyjęliśmy w Polsce prezydenta Mali, Alphy Oumara Konarégo, absolwenta polskiej uczelni, szczerze oddanego naszemu krajowi, jeśli nie mieliśmy oferty dla niego i jemu podobnych. Pozytywnym wyjątkiem była RPA, ale w dużym stopniu dzięki zaangażowaniu tamtejszych środowisk biznesowych, głównie żydowskich i polonijnych. Bez wsparcia materialnego niewiele mogli zrobić również nasi misjonarze, z którymi poprzez Komisję Episkopatu ds. Misji departamenty terytorialny i konsularny MSZ współpracowały jeszcze w czasach głębokiego PRL.

Sukces gospodarczy Polski w pierwszym okresie transformacji zachęcał wiele osób w MSZ do promowania idei pomocy rozwojowej. W resorcie zawsze więcej było chętnych do wydawania pieniędzy, niż do ich zarabiania. W miarę upływu czasu ta tendencja jedynie się nasilała. Byłem przeciwny śpieszeniu się i działaniu bez przygotowania, tym bardziej że wraz z deklaracją dawcy pomocy sami traciliśmy prawo do otrzymywania znacznych środków napływających z tego tytułu z zagranicy. Z trudem też przebił się argument, że pomoc rozwojowa stanowiła element zadośćuczynienia dla ofiar eksploatacji kolonialnej, w której uczestniczyła praktycznie cała zachodnia Europa. Celem rozeznania sytuacji pojechałem na konsultacje w MSZ Holandii, posiadającej bogate doświadczenie, oddzielną strukturę rządową i przede wszystkim przeznaczającą ogromne środki budżetowe na program pomocowy. Rozmówcy nie kryli, że w ich przypadku nie ma mowy o działalności charytatywnej. Funkcjonował system ściśle wiążący agendy rządowe, przedsiębiorców i placówki zagraniczne, powodujący, że każdy gulden wydany na pomoc musiał przynieść przynajmniej podwójny zwrot finansowy. Na dodatek potrafili to wyliczyć, z wpływem na tworzenie miejsc pracy włącznie. Zwrócili również uwagę, że każdego roku kontrole wykrywają szereg nieprawidłowości

i afer korupcyjnych. Moja notatka z podróży na pewien czas przyhamowała plany pomocowe. Program został podjęty w 2004 roku. W żaden sposób nie jest skorelowany z aktywnością polskiego biznesu.



KADROWE KONSEKWENCJE RESTRUKTURYZACJI MSZ

W 1998 roku nastąpiła kolejna zmiana struktury MSZ. Przywrócono Departament Afryki i Bliskiego Wschodu we wcześniejszym kształcie. Reformy były zawsze okazją do zmian kadrowych, a często ich głównym celem. W nowym rozdaniu zabrakło dla mnie kierowniczego stanowiska. Dyrektorską nominację zaproponowano Joannie Wroneckiej, która w tej sytuacji zachowała się bardzo fair, kontaktując się ze mną przed przyjęciem propozycji. W MSZ takie zachowanie w podobnych przypadkach jest rzadkością. Cieszyłem się, że nominację dostała osoba kompetentna i z wysoką kulturą osobistą. Swoje kwalifikacje potwierdziła dalszą karierą jako pierwsza polska ambasador RP w krajach arabskich i unijna w Jordanii, wiceminister spraw zagranicznych i stała się przedstawiciel RP przy ONZ. Wraz z Lidią Milką-Wieczorkiewicz, ambasador w Algierii i Tunezji, udowadniały, że sukces pracy dyplomatycznej w państwach muzułmańskich niekoniecznie musi zależeć od płci.

W moim przypadku decydenci zastosowali najprostsze rozwiązanie z arsenału dostępnego w resorcie. Przechowalnia. Polega ono na tym, że pracowników, z którymi nie wiadomo co zrobić, kieruje się do jakiejś komórki Ministerstwa, z zachowaniem stopnia dyplomatycznego i podstawy wynagrodzenia, ale bez przydzielania specjalnych obowiązków. Taki status mógł być utrzymywany kilka lat i kończyć się dobrowolnym odejściem, zwolnieniem lub nagłym awansem w Centrali, a często ofertą wyjazdu na placówkę. Mnie odesłano do pionu Dyrektora Generalnego. „Urzędowałem” w sympatycznym pokoiku na parterze niedaleko głównego wejścia/wyjścia, wtedy niezastrzeżonego jeszcze wyłącznie dla kadry kierowniczej i oficjalnych gości. Lokal dzieliłem z Rafałem Marszałkiem, uroczym intelektualistą, który pod tym adresem doczekał się stanowiska pełnomocnika ministra SZ ds. obchodów roku 2000. Zakresu przypisanych zadań nie miałem. Mogłem się rozwijać intelektualnie, korzystać do woli z czytelni i biblioteki, zając się pracą dydaktyczną na paru uczelniach, oczywiście za zgodą pracodawcy. Sporadycznie powierzano mi jednak jakieś sprawy, głównie związane z udziałem w naradach organizacyjnych i programowych oraz

spotkaniach. Zdarzały się też zlecenia specjalne. Przypomniano sobie, że sprawnie ewakuowałem placówkę i powołano na przewodniczącego zespołu mającego skontrolować prawidłowość ewakuacji Ambasady RP w Belgradzie, czytaj – przedstawić wnioski dyscyplinarne w związku z pewnymi niedociągnięciami. Z dokumentów i przebiegu postępowania wynikało jednak, że nie mniejsze zaniedbania i zaniechania leżały po stronie MSZ. Właściwe komórki, łącznie z „moim” pionem, nie wyciągnęły wniosków choćby z doświadczeń Bagdadu. Powstał obiektywny raport z wnioskami, który trafił do szuflady. Tymczasem w kolejnych latach ewakuacje placówek przestały być rzadkością.

Nadal interesowałem się sprawami regionu specjalizacji. W lipcu 1998 roku do Rijadu wyjechał Stanisław Smoleń, z zadaniem uruchomienia placówki. Szybko nastąpiło ożywienie współpracy. Królestwo przebiło się też do polskich mediów, dzięki awaryjnemu „lądowaniu na pustyni” marszałek Senatu Alicji Grześkowiak. Arabowie, kobieta, pustynia... nie brakowało barwnych komentarzy. Delegacja Senatu wracała z wizyty oficjalnej w Katarze na początku 1999 roku samolotem specjalnym, który ze względu na drobną awarię musiał lądować w saudyjskim Al-Dżauf. Lokalne lotnisko było nowoczesne, ale części do radzieckich samolotów tam nie było. Trzeba było poczekać na dowieszenie, korzystając z saudyjskiej gościnności. Prasowe echo było jednak zwielokrotnione, a pamięć o „incydencie” przetrwała lata. Niemniej rozgłos medialny miał pozytywny efekt w postaci przyspieszenia poszukiwania kandydata na ambasadora w Rijadzie. Podaż była ograniczona. Kraj uważano za trudny, tym bardziej w perspektywie procesu tworzenia nowej placówki i uruchamiania od podstaw stosunków dwustronnych. Pojawiła się moja kandydatura, choć akurat z tym krajem nie łączyłem wcześniej żadnych osobistych planów. Nigdy tam nie byłem i do saudyjskich porządków miałem spory dystans. Nie brałem go pod uwagę jako miejsca służby. Niedawno, jak na resortowe parametry, wróciłem do kraju po długiej i ciężkiej misji w Iraku. Musiałbym jechać sam. Żona pracowała w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i jeszcze bardziej niż saudyjskich porządków bała się utraty ciągłości pracy. Z drugiej strony doskwierała mi beczynność i brak perspektyw w centrali. Zawsze motywowały mnie wyzwania i perspektywa sukcesu. Sygnały napływające z Rijadu potwierdzały istnienie ogromnych możliwości. W wyścigu do saudyjskiego rynku wyprzedzili nas prawie

wszyscy sąsiedzi. Po trudnych rozmowach z Renatą doszliśmy do wniosku, że przetrwamy korespondencyjny etap małżeństwa i propozycję wyjazdu przyjąłem.

O Królestwie wiedzę miałem dość mglistą. Na uczelni problematyka saudyjska była traktowana raczej marginalnie. ZSRR wprawdzie jako pierwsze państwo uznał Królestwo i nie bez powodzenia rywalizował o wpływy z Wielką Brytanią (za przeciwnika Rosjanie mieli w Dżeddzie doradcę króla, Jacka Philby'ego, którego syna, Kima, później zwerbowali), ale już w 1938 roku Saudyjczycy zerwali stosunki dyplomatyczne z Moskwą. Bezpośrednią przyczyną było rozstrzelanie obu pierwszych sowieckich przedstawicieli dyplomatycznych, zasłużonych dla rozwoju relacji i zaprzyjaźnionych z królem Abdulazizem. Pamiętano też afront, jakim było nieprzyjęcie w Moskwie w 1932 roku przez Stalina następcy tronu, księcia Faisala, kontrastujące z najwyższą rangą nadaną jego wcześniejszej wizycie w Warszawie. Stosunki odmrożono dopiero w 1990 roku, na krótko przed rozpadem ZSRR, w doprowadzeniu do którego Królestwo odegrało niebagatelną rolę. Podjęta 15 września 1985 roku decyzja Rijadu o zniesieniu limitów wydobycia ropy czterokrotnie i trwale zmniejszyła radzieckie roczne wpływy z eksportu tego surowca (o dwadzieścia miliardów USD). Kolejnym gwoździem do trumny było saudyjskie poparcie dla mudżahedinów w Afganistanie. Również w późniejszym okresie z problematyką saudyjską bliżej stykałem się jedynie epizodycznie. Dostępna w Polsce literatura nt. Arabii Saudyjskiej była skąpa i nie zawsze aktualna i wiarygodna, kontrastując z istotną rolą monarchii w stosunkach międzynarodowych, wyznaczaną przez ropę naftową, zasoby finansowe, święte miejsca islamu i sojusz z USA. Kraj pozostawał hermetyczny, mimo rzeszy pielgrzymów i milionów zatrudnionych cudzoziemców. Nawet saudyjskie grzechy w zakresie praworządności i praw człowieka nie były przedmiotem nadmiernego zainteresowania publicystów i organizacji międzynarodowych.

Starałem się rozszerzyć wiedzę i szukać praktycznych pomysłów przydatnych w budowie podstaw współpracy. Takim kapitałem okazały się zachowane w archiwach fragmenty dokumentacji o polsko-saudyjskich kontaktach w okresie międzywojennym, potwierdzające zainteresowanie II RP tym obszarem. Obejmowały one wizytę w Dżeddzie w maju 1930 roku przedstawiciela MSZ hr. Edwarda Raczyńskiego, późniejszego ambasadora w Londynie i emigracyjnego prezydenta,

oraz muftiego Polski Jakuba Szynekiewicza. Delegacja przywiozła list prezydenta Ignacego Mościckiego uznający legalność władzy króla Abdulaziza, stosownie do decyzji polskich władz o ustanowienie oficjalnych stosunków podjętej 11 marca 1930 roku. W ten sposób Polska stała się dziewiątym państwem świata uznającym Królestwo, wpisując się trwale w jego legendę założycielską. Podczas pierwszego z dwóch spotkań z Królem hr. Edward Raczyński przekazał karabin wyprodukowany w Radomiu, będący obecnie elementem stałej ekspozycji w kompleksie memorialnym Darat Malik Abdulaziz w Rijadzie. Konsekwencją rozmów była podróż do Warszawy w 1932 roku królewskiego syna, księcia Fajsala, przyszłego króla, a wówczas ministra spraw zagranicznych i przewodniczącego Zgromadzenia Doradczego (Szura), podczas której spotkał się z czołówką polskich polityków, łącznie z marszałkiem Józefem Piłsudskim, prezydentem Ignacym Mościckim, premierem Aleksandrem Prystorem i ministrem spraw zagranicznych Augustem Zaleskim. Wkrótce zawarto duży kontrakt na dostawę karabinów. Broń weszła na uzbrojenie jednostek saudyjskiej armii i była przez nie używana jeszcze w 1956 roku. Stwierdzili to inżynierowie firmy CEKOP, którzy pod kierownictwem polskiego Tatara, Bekira Asanowicza, zbierali dokumentację do projektu odbudowy kolei hidżaskiej. Przetawione fakty być może były wystarczające, by wraz z polską transformacją uzgodnić odnowienie stosunków dyplomatycznych z Arabią Saudyjską, a nie zabiegać o ich nawiązanie. Historyczna wiedza zatarła się jednak w czasie wojny i dekadach po niej, a dwustronne kontakty związane z operacją wyzwolenia Kuwejtu nic w tym zakresie nie zmieniły.

W Bibliotece Narodowej w Warszawie zapoznałem się z rękopisem hr. Wacława Rzewuskiego z XIX-wiecznej podróży na tereny obecnej Arabii Saudyjskiej. Tekst traktuje o koniach arabskich czystej krwi, będących celem wyprawy. Zawiera też charakterystyczne kolorowe rysunki oraz cenne odniesienia etnograficzne. Rękopis cudem przetrwał historyczne zawieruchy i dekadami czekał na szersze zainteresowanie i wydanie. Opłaciłem wykonanie kilku kopii mikrofilmu. Stały się jednym z filarów budowy stosunków, niestety nie w pełni wykorzystanym.

Pierwsze sygnały prasowe o planach skierowania do Rijadu ambasadora RP doprowadziły do mnie syna Stanisława Korwin-Pawłowskiego, w okresie międzywojennym poszukującego w Arabii Saudyjskiej wody na zlecenie króla Abdulaziza. Na strychu rodzinnego domu w Mławie znalazł maszynopis nigdy niewydanej książki ojca,

z ciekawymi informacjami na temat jego pracy i rozmów z Królem. Jeszcze większym przeżyciem była lektura zdobytej za granicą książki *Road to Mecca*, autorstwa polskiego Żyda i islamskiego konwertyty, Mohammada Asada (Leopolda Weissa). Sylwetka tego wybitnego doradcy i przyjaciela króla Abdulaziza, a ponadto jednego z budowniczych pakistańskiej państwowości, cenionego intelektualisty i koranicznego autorytetu, nadal czeka na szersze docenienie, nie tylko w Polsce. Tematem tym zajmuje się znany polski orientalista, profesor Bogusław Zagórski. Postać Mohammada Asada może być ogniwem w procesie normalizacji saudyjsko-izraelskiej, choć wiele wskazuje na to, że dojdzie do niej i bez takiego wsparcia. Lektury wyznaczały istotny fragment moich przygotowań do wyjazdu. W krajach arabskich wszyscy kochają odniesienia historyczne, ciekawostki i anegdotyczne historie. Poza „lekturą obowiązkową” przeczytałem wydaną kilka lat wcześniej po arabsku w Bejrucie książkę Kamala Salibiego, libańskiego chrześcijańskiego naukowca, pod tytułem *Biblia przyszła z Arabii*. Autor, koncentrując się na kilku regionach Arabii, dokonał analizy językowej opublikowanego wcześniej w Rijadzie wykazu miejscowości i nazw geograficznych i wyodrębnił mające pochodzenie hebrajskie. Zauważył podobieństwa z nazewnictwem obszaru Palestyny oraz zasugerował „prawdziwą” lokalizację miejsc biblijnych, ale przede wszystkim wykazał historyczną obecność licznych społeczności żydowskich na terenie dzisiejszego Królestwa i Jemenu. Wszyscy zainteresowani popieszyli z wyrazami oburzenia i dyskredytacją też autora. Saudyjczycy na wszelki wypadek wysłali jednak buldożery w kilka wymienionych miejsc. Z lektur i Internetu stopniowo odświeżałem i budowałem obraz historii saudyjskiej części Półwyspu Arabskiego i jej najbliższego sąsiedztwa, najdawniejszej i bliższej, by już na miejscu konfrontować go z rzeczywistością, uzupełniać nowymi doświadczeniami i wzbogacać. W trosce o płynność narracji, relację na ten temat prezentuję oddzielnie, jako swego rodzaju załącznik do raportu. I wracam do spraw bardziej przyziemnych.



Rozdział ósmy

**PIERWSZY AMBASADOR
W ARABII**

RIJAD, 1999–2003

PRZYGOTOWANIA

Stara zasada mówi, że czego się w MSZ nie załatwi przed wyjazdem na placówkę, to potem może być już za późno. Jeszcze przed formalną nominacją do Rijadu, dyskretnie chodziłem po resorcie za sprawami placówki, a po jej otrzymaniu oficjalnie – z listą tematów i postulatów do załatwienia w rękę. Nowo tworzona placówka wymaga uwzględnienia setek kwestii administracyjnych, organizacyjnych, kadrowych, budżetowych, finansowych i technicznych, znajdujących mniejsze lub większe zrozumienie komórek centrali. Najlepszym sposobem było „wychodzenie ich”. Placówka miała być mała, co oznaczało zadbanie o kompetentną obsadę. Zaplanowane były cztery etaty: ambasadora, radcy-konsula, administracyjnego i handlowca, wszystkie dyplomatyczne. Do tego trzy ryczałty krajowe – sekretariat, księgowość i kancelaria, obsadzone przez przeszkolone żony pracowników. I pracownicy miejscowi – sekretarz-tłumacz, kierowca i sprzątac, plus pomoc w rezydencji, rekrutowani na wielonarodowym saudyjskim rynku pracy. Nie postulowałem szyfranta, wiedząc, że i bez tego będziemy mieli dosyć problemów. Choć nigdy nie sugerowałem kandydatur pracowników na placówkę, wobec trudności ze znalezieniem administracyjnego spoza MSZ, zaproponowałem Edwarda Stankiewicza, będącego już na emeryturze. Po doświadczeniach ze mną w Bagdadzie zapewnił konieczną przewidywalność i kompetencję, a żona, Iza, gwarantowała biegłość w sprawach organizacyjnych i księgowości. Handlowiec też był „z łapanki”, dokonanej już w późniejszym okresie, ale wyjątkowo udanej. Tomasz Maj miał zarówno doświadczenie biznesowe, jak i praktykę w regionie, a jego żona Asia (Stanisława) była wykwalifikowaną kancelistką. Wraz z Hanią Smoleń wkomponowały się w dobrze kooperujący ze sobą cały zespół placówki, który zachował stabilność prawie do końca mojej misji. Korektę przyniosły dopiero pierwsze rotacje po czterech latach pobytu – Stanisława Smolenia, zastąpionego przez Andrzeja Woźniaka i Edwarda Stankiewicza, na miejsce którego przyjechał Cezary Milczarek. W tym okresie doszedł też piąty etat – oficjalnego łącznika Agencji Wywiadu, mającego kompetencje regionalne. Wówczas też zainstalowane zostało urządzenie szyfrujące i musieliśmy przygotować kancelarię tajną, według reguł najbardziej wymagających i kosztochłonnych w całym NATO.

W ramach pierwszego etapu otwierania placówki w 1998 roku na jej siedzibę wynajęto niewielką willę w pobliżu centrum miasta, a meble i wyposażenie zakupiono na miejscu. Jej funkcjonalność potwierdziła wizyta w Rijadzie w kwietniu 1999 roku Radosława Sikorskiego, jako wiceministra spraw zagranicznych. Rezydencja została wynajęta przed moim przyjazdem (zasady wcześniejszego odwiedzania placówki przez przyszłego ambasadora jeszcze wtedy nie stosowano). Była to nowo zbudowana willa w dzielnicy dyplomatycznej, stanowiącej w Rijadzie wydzielone i ściśle chronione miasteczko, miejscami przypominające rozległy park. Budynek o powierzchni około 700 m² z niewielkim ogrodem i otwartym basenem przekraczał moje oczekiwania i potrzeby. Niemniej w warunkach saudyjskich był to standard, a sam obiekt i warunki dzierżawy były na tyle atrakcyjne, że korzystali z niego bez narzekania również moi bezpośredni następcy. Lepszym rozwiązaniem byłby zakup działki i wybudowanie własnego obiektu, funkcjonalnego i prostego na wzór skandynawski, ale do tego do dziś nie doszło.

Dostałem zgodę na sprowadzenie z Polski kontenerem praktycznie całego wyposażenia rezydencji, z meblami, dywanami, dziełami sztuki, zastawą oraz fortepianem Calisia. Stało się to ważnym elementem promocji. Nie zabrałem alkoholu, uważając sprowadzanie na początek produktu zakazanego za niestosowne. Okazało się, że saudyjski Protokół Dyplomatyczny myślał inaczej i – już po moim przyjeździe – domagał się rozpakowania przesyłki w urzędzie celnym. Odmówiłem, zapowiadając, że urządzę inauguracyjne przyjęcie w pustej rezydencji. Podziałało. Wówczas notą skierowaną do MSZ zaprosiłem celnika do monitorowania rozładunku na naszym terenie. Gospodarze nie skorzystali. Przez kilka lat z cłem i protokołem przynajmniej w sprawach przesyłek mieliśmy święty spokój. Raczej skromne potrzeby alkoholowe placówki bez najmniejszych zgrzytów zaspokajaliśmy w sąsiednim Bahrajnie. Co kilka miesięcy uzupełnialiśmy zapasy, korzystając z bagażnika samochodu flagowego, jednego z dwóch posiadanych służbowych aut. Każdorazowo dbaliśmy, by zaprzyjaźniony hurtownik w Manamie miał w ofercie „Wyborową”.

Elementem procedury wyjazdowej było przesłuchanie przez Komisję Spraw Zagranicznych Sejmu. Otrzymałem jednogłośnie poparcie. W ślad za tym odwiedziłem dziesiątki osób potencjalnie ważnych

z punktu widzenia stosunków z Królestwem. W tym okresie wykrystalizowały się już niektóre kierunki współpracy. Jej rdzeniem były kontakty biznesowe, zapoczątkowane wizytą w Warszawie w 1997 roku misji Federacji Izb Przemysłu i Handlu, na czele z prezesem, Abdullahem al-Dabbaghem. Wraz z następcami na tym stanowisku, w tym Osamą Kurdim, oraz grupą społeczników, spośród których najtrwalej zapisał się Jusuf Owaimer, wnieśli oni ogromny wkład w budowę fundamentu współpracy biznesowej. W Polsce taką rolę pełniła Krajowa Izba Gospodarcza, świetnie rozumiejąca potrzeby polskich przedsiębiorców oraz znaczenie biznesowe Królestwa i jego naftowych sąsiadów. Wielką w tym rolę przesyłał – Andrzeja Arendarskiego, wspomaganego przez wiceprezesa Marka Kłoczkę, ale także ówczesnego i aktualnego dyrektorów oraz pracowników Departamentu Zagranicznego – W. Jerzego Wężyka, Jerzego Drożdża oraz Agnieszki Salamończyk, Marii Nowakowskiej i wielu innych. Abdullah al-Dabbagh stał się jednym z kanałów mojego szybkiego dotarcia do saudyjskiej elity biznesowej. Miałem bliskie kontakty również z jego rodziną, w której oryginalne przedsięwzięcia biznesowe, w tym wytwarzanie biżuterii beduińskiej według oryginalnych wzorów, podejmowały także kobiety.

Drugim co do znaczenia kanałem kształtowania relacji bilateralnych stała się płaszczyzna parlamentarna, ze szczególnym zaangażowaniem Senatu RP. Przyjazd do Warszawy w maju 1999 roku przewodniczącego Zgromadzenia Doradczego (Al-Szura) Mohammada bin Dżubajra dał saudyjskim przedsiębiorcom i agendum rządowym wyraźny sygnał politycznego przyzwolenia władz na kontakty z Polską po przedłużonej blokadzie z okresu PRL. Towarzyszyłem również tej delegacji, nawiązując cenne znajomości.

Za mój kolejny kontakt saudyjski wielu chętnie zapłaciłoby duże pieniądze. We wrześniu 1999 roku do Warszawy przyjechał Ali al-Naimi, minister ropy naftowej i zasobów naturalnych (w latach 1995–2016). Gospodarzem był minister Jan Szyszko, jako przewodniczący Konferencji Klimatycznej. Przesunąłem ustalony już termin wyjazdu, by towarzyszyć ministrowi i jego najbliższemu współpracownikom. Uczestniczyłem w całym programie, wykręcając się jedynie z rannego i wieczornego joggingu. Był to rytuał, zainspirowany ponoć przez żony doradców Ministra, liczące, że wymęczeni mężowie grzecznie pójdą

spać o właściwej porze, sami. Bliskie relacje z tą ekipą ugruntowałem podczas rewizyty w Rijadzie prof. Szyszki w 2000 roku. Ewenementem było precedensowe włączenie do jej programu ARAMCO, największego koncernu świata, nie tylko naftowego, zarezerwowanego dla największych partnerów.

Podobnie jak przed wyjazdem do Iraku, miałem kapitał kontaktów, jaki większość ambasadorów musi zdobywać długimi miesiącami. Ze „znajomymi z Polski” mogłem spotykać się poza protokołem, na *short notice*, co torowało drogę również do innych polityków. Te pierwsze kontakty były także okazją do zaprezentowania konstruktywnego nastawienia do państwa akredytacji, warunku pomyślnej realizacji misji, niezależnie od stanu stosunków bilateralnych. Zasada mówi, że nie powinno się mianować dyrektorem zoo kogoś, kto nie lubi zwierząt. Ponoć uwzględnił ją nawet prezydent Lech Wałęsa, wykluczając jednego z kandydatów na stanowisko ambasadora RP w Moskwie.

Do Rijadu przyleciałem 4 października 1999 roku Lufthansą. Samolot lądował w środku nocy, co w lotach linii europejskich do Arabii Saudyjskiej było regułą. Żartowaliśmy, że to przez wszędobylski Swiss Air, drażniący logo z krzyżem na ogonie i przez to kierowany zazwyczaj do jednego ze skrajnych rękawów. W rzeczywistości chodziło o horrendalne opłaty lotniskowe w ciągu dnia. Port Lotniczy im. Króla Chaleda był jednym z najnowocześniejszych i największych lotnisk świata. Przy wyjściu z rękawa czekali dyżurny przedstawiciel saudyjskiego MSZ i miniaturowy zespół placówki. Zielona kawa w saloniku VIP nalewana z dzbanka do maleńkich filiżanek, oferowana wielokrotnie do czasu, gdy częstowany nie potrząśnie naczyniem, sygnalizując, że ma dość, lub dopóki nalewający nie zorientuje się, że gość nie zna tego zwyczaju. Alternatywą może być niewydolność serca. Ostemplowanie paszportu zawizowanego w Berlinie i odbiór bagażu zabrało kilkanaście minut, a nieco dłużej autostradą dojazd z lotniska do dzielnicy dyplomatycznej. Rezydencja stwarzała warunki do zamieszkania, gdyż jedna sypialnia oraz kuchnia były umeblowane i wyposażone, a w lodówce znajdowały się podstawowe zakupy, których koszt zrefundowałem. Komfort zapewniała centralna klimatyzacja, co po poprzednich placówkach potrafiłem docenić. Reszta pomieszczeń willi była pusta. To samo można było powiedzieć o otoczeniu.

Od frontu rosło kilka palm daktylowych oraz krzewy i kwiaty. Pozostała część mniej więcej tysiącmetrowej posesji znajdowała się dopiero na etapie zakładania ogrodu i wykańczania niewielkiego basenu. Wpadłem na pomysł, by go zadaszyć od słońca, co sprawiło, że pływając latem przy temperaturze przekraczającej 40 stopni, miało się wrażenie kąpeli w Bałtyku.

Rano przyjechał po mnie kierowca ze Sri Lanki, o imieniu Falil. Dojazd do Ambasady zajmował dwadzieścia minut, częściowo autostradą i drogą ekspresową. Z okien samochodu Rijad prezentował się jako miasto niskich klockowatych domów i rezydencji, obowiązkowo otoczonych murami, rozrzuconych na ogromnym obszarze pustynnego kamienistego płaskowyżu. W panoramie stolicy, która w ciągu półwiecza przekształciła się z kilkudziesięciotysięcznego miasteczka w wielomilionową metropolię, nie było jeszcze żadnej wieży. Budowę pierwszych dwóch dopiero realizowano, na przekór ludowym wierzeniom, że sięganie do nieba zapowiada koniec świata. Przy wejściu do godnie wyglądającego, ale niepozornego budynku Ambasady, w którym byliśmy pierwszymi lokatorami, zostałem powitany chlebem i solą. Ze Stanisławem Smoleniem i Edwardem Stankiewiczem, czyli w pełnym składzie etatowym, zrobiliśmy wizję lokalną, tym razem bez potrzeby zatrzymywania się na dachu. Uzgodniliśmy najbliższe zadania. Podpisałem protokół przejęcia placówki i dokumentującą to depeszę do Warszawy o przejęciu kierownictwa. Do saudyjskiego MSZ poszła notyfikacja. Po pracy wspólny obiad. Etapu adaptacji w zasadzie nie było. Niezwłocznie zostałem przyjęty przez urzędującego dyrektora Protokołu MSZ i poinformowany o terminie złożenia kopii listów uwierzytelniających. Od tego momentu można było normalnie funkcjonować. Audiencja u ciężko chorego Króla, wyznaczana rzadko i nieregularnie, nie miała na to wpływu.



BUDOWANIE KONTAKTÓW

Przygotowując się do oficjalnego rozpoczęcia misji, podyktowałem lokalnemu sekretarzowi po arabsku listę jej dwunastu najistotniejszych celów. Została ona oparta na programie działania, zatwierdzonym przez ministra Bronisława Geremka, specyfikującym zadania w dziedzinie politycznej, prawno-traktatowej, gospodarczej, konsularnej, kulturalno-naukowej i organizacyjnej, charakterystyczne dla etapu budowy podstaw stosunków.

Minister spraw zagranicznych, książę Saud al-Fajsal, przyjął mnie 16 października 1999 roku. Odnotował historyczny charakter wydarzenia – znaczenie Polski jako perspektywicznego partnera oraz moje doświadczenie zawodowe, w tym pobyt w Iraku. Wręczając kopię listów, przekazałem pozdrowienia od kierownictwa RP, zapewniłem o woli polskich władz dokonania szybkiego postępu w stosunkach, przypomniałem historyczny wymiar relacji i wizytę ojca Księcia w Warszawie w 1932 roku. Wręczyłem listę celów misji, prosząc o wsparcie i rozesłanie do zainteresowanych. Był to strzał w dziesiątkę. W dalszych kontaktach w MSZ i u innych ministrów miałem przygotowany klimat. Intuicji radcy Stanisława Smolenia zawdzięczam posiadanie zdjęć z audiencji, wykonanych własnym aparatem. Przed obliczem Króla stanąłem dopiero 25 kwietnia 2000 roku, w grupie ponad dwudziestu ambasadorów, przesuających się przed siedzącym monarchą jak taśmociąg, z prawem wypowiedzenia jednego ceremonialnego zdania. Powiadomienie, przekazane na kilkanaście godzin przed ceremonią, zastało mnie w Dżeddzie w dniu wizyty u gubernatora tego miasta i prowincji, podczas której towarzyszyła mi żona. Był to jej jedyny pobyt w Arabii, pamiętny z powodu dyskusji w nowoczesnym domu handlowym z ochotnikami religijnymi, którzy nie mogli zrozumieć, że nie zakrywa ona włosów, gdyż na to nie pozwalałam. Spotykaliśmy się natomiast podczas krótkich i względnie częstych urlopów w Polsce i regionie.

Ale wybiegłem w przyszłość. Audiencja u księcia Sauda miała oryginalny epilog. W części prywatnej rozmowy zostałem zapytany o obecność żony, na co odpowiedziałem, że jej pierwszy przyjazd jest

planowany za kilka miesięcy. Rozmówca zareagował żartem, że jako specjalista wiem, iż po trzech miesiącach separacji miałbym prawo się rozejrzeć za rozwiązaniem zastępczym. Wieczorem przekonałem się o sile sprawczej książących słów. Relacjonując wrażenia z rozmowy, nieopacznie wspominałem o „wątku żony” dyrektorowi Protokołu Dyplomatycznego, typowemu służbiście. Ten wypowiedź wziął dosłownie i... zapowiedział gotowość do działań wykonawczych. Musiałem wykluczyć w zarodku perspektywę castingu! Powiedziałem o kolidujących polskich i saudyjskich zwyczajach. Zdziwiony, zażądał wyjaśnień. Wy tłumaczyłem, że u nas nie kupujemy kota w worku, co w Arabii oznaczałoby wcześniejsze zajrzenie pod abaję kandydatki. A za to przewidziana jest kara batożenia, w najlepszym przypadku. Jako ambasador, zwłaszcza pierwszy w historii, nie chciałbym być na to narażony. Dyrektor uznał, że kpię i się obraził. Przez jakiś czas mnie unikał. Relacje wróciły do normy dopiero, gdy zapowiedziałem, że się poskarżę Księciu. Cała sytuacja nie była całkiem abstrakcyjna, skrajnemu purytanizmowi towarzyszyła bowiem w Arabii Saudyjskiej cicha swoboda obyczajowa. W kraju pracowało około pół miliona samotnych cudzoziemek, z czego przynajmniej 10-15% z państw zachodnich. Były też tysiące „przeterminowanych” Saudyjek, którym niedługo po dwudziestce minęła perspektywa zamążpójścia. Panie w takiej sytuacji wymogły nawet na ulemach po 1991 roku fatwę ustalającą procedurę „tymczasowych małżeństw”, motywując jej wydanie szariackim prawem do współżycia dla wszystkich wiernych, niezależnie od płci. Instytucja taka praktykowana była wcześniej w niektórych państwach muzułmańskich, zwłaszcza wśród szyitów. Niemniej wprowadzenie jej w Królestwie było ewenementem. Z europejskiej perspektywy, ale także ludzkiej, Saudyjki mają wiele powodów do narzekania, ale ich rzeczywista sytuacja jest bardzo zróżnicowana. Należy też pamiętać, że proces emancypacji kobiet w Europie trwał przez czterysta lat, a w Szwajcarii zakończył się w 1991 roku nadaniem im przez ostatni kanton praw wyborczych. Jeśli liczyć ten proces od uzyskania prawa do edukacji, to warto pamiętać, że pierwsze żeńskie szkoły podstawowe powstały w Rijadzie dopiero pół wieku temu. Zmiany jednak następują, a w ostatnim okresie gwałtownie przyspieszyły, stosownie do realiów na szczytach władzy oraz uwarunkowań gospodarczych i rozwojowych państwa, ale także w trosce o międzynarodowy wizerunek Królestwa, nadwerężony w wielu obszarach.

Uczestnicząc w ceremonii akredytacji, miałem świadomość, że zapisywany jest maleńki fragment historii. Jako pierwszy ambasador Polski w Królestwie chciałem szybko wypełnić misję konkretną treścią i nadrobić zapóźnienia w relacjach. Atutem była pamięć kontaktów w okresie międzywojennym, nadal żywa w Arabii Saudyjskiej, stanowiących element etosu założycielskiego państwa. Wyrazem tego były wzmianki w podręcznikach szkolnych i ekspozycje muzealne. Z polskiego punktu widzenia istotne było, że II RP dostrzegła w Bliskim Wschodzie partnera. Potwierdzało to powołanie Instytutu Wschodniego, instytucji, która nigdy później nie została odbudowana. Dekady PRL nie pozostawiły ważkich śladów współpracy. Przy analizie tego okresu zwraca jednak uwagę pewna przychyłność władz saudyjskich wobec Polski, kontrastująca z podejściem do innych państw obozu radzieckiego. Świadczą o tym pośrednie zakupy specjalistycznych polskich statków, duża aktywność Polskich Linii Oceanicznych w portach saudyjskich, udział naszych firm w pojedynczych przetargach, reeksport towarów poprzez jordańskich i libańskich pośredników. Co może dziwić, w budowie nowych podstaw stosunków niewielkie znaczenie miał udział RP w wyzwoleniu Kuwejtu w ramach wspólnej koalicji. Rijad ogólnie z opóźnieniem reagował na zmiany zachodzące na obszarze postsowieckim od 1989 roku, jakby nie bardzo wierząc w ich trwałość. Ministrowie spraw zagranicznych Polski i Arabii Saudyjskiej zaczęli wprawdzie w tym czasie regularnie się spotykać w Nowym Jorku przy okazji dorocznych sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, ale brakowało przełożenia na formalne relacje i współpracę, poza kontekstem kuwejckim. Choć i w tym przypadku wspólny udział w antyirackiej koalicji oraz ustanowienie swego rodzaju braterstwa broni i korzystanie przez nasz kontyngent z saudyjskiego zaplecza były jakby autonomicznym epizodem. Rijad niechętnie wracał do tego okresu. Źle przyjął również przedstawienie w 1999 roku przez Ministerstwo Obrony RP marginalnych roszczeń finansowych związanych z rejsami LOT na rzecz Polskiego Kontyngentu Wojskowego, bez wskazania podstawy prawnej.

Niekiedy prezentowane są opinie, że saudyjska wstrzeźliwość wobec Polski, poza względami wynikającymi z ostrożności politycznej, mogła się wiązać z siłą polskiego katolicyzmu, rodowodem Jana Pawła II, postrzeganiem „Solidarności” czy kontekstem stosunków polsko-izraelskich. Uważam to za spekulacje. Pewne decyzje musiały

w Rijadzie dojrzeć, choć zasadne jest pytanie, czy mogliśmy je przyspieszyć. Faktem jest, że nie skorzystaliśmy w tym celu z narzędzi historycznych. Zabrakło inicjatywy i być może wiedzy. Wysoce niefortunne, choć po części wymuszone brakiem alternatywy, było też powierzenie obsługi spraw saudyjskich reaktywowanej w 1991 roku Ambasadzie RP w Kuwejcie. Wyrazem niezadowolenia Rijadu praktycznym realizowaniem tych funkcji była formalna nota MSZ Królestwa postulująca, by ambasador RP w Kuwejcie podczas wyjazdów do Arabii korzystał wyłącznie z drogi lotniczej, rezygnując z podróży samochodem. Jednocześnie podróże radcy handlowego Krzysztofa Dąbrowskiego odbywały się bez przeszkód. Trudno zrozumieć, dlaczego w Warszawie nie podjęto przygotowań do ustanowienia placówki w Rijadzie niezwłocznie po nawiązaniu stosunków 3 maja 1995 roku, choć taką deklarację złożył minister Władysław Bartoszewski, odwiedzając Rijad 22-23 lipca 1995 roku.

Wraz z ustanowieniem Ambasady mogliśmy podjąć wyzwanie, jakim było zapewnienie równych formalnych warunków rywalizacji z innymi państwami wolnego świata, posiadającymi w Królestwie zbudowaną dekadami i zazdrośnie strzeżoną siatkę instytucjonalnych powiązań. Wymagało to jednak nadzwyczajnych zabiegów. Poza aktywami historycznymi startowaliśmy z silnym zespołem placówki i moimi kontaktami na wysokim szczeblu. Ambicje zawodowe i osobiste pracowników podsyczał fakt, że właściwie każdy podejmowany temat i projekt miał pionierski charakter. Mogliśmy też liczyć na niewielką, ale dobrze ulokowaną Polonię, wówczas prawie wyłącznie złożoną z osób o podwójnym obywatelstwie (nadal obowiązywały dawne restrykcje wobec obywateli państw komunistycznych), jak również na grupkę absolwentów polskich uczelni z innych państw arabskich.

W ciągu kilku tygodni odwiedziłem ważniejszych dostojników. Żadne z tych spotkań nie miało wyłącznie charakteru kurtuazyjnego. W rzeczywistości były to wizyty robocze, skoncentrowane na konkretnych tematach z „listy zadań ambasadora”. Każdy rozmówca miał ją wcześniej na biurku i z reguły był przygotowany do dokonania ustaleń realizacyjnych. Pomędzy poszczególnymi resortami i instytucjami wytworzył się nawet klimat rywalizacji, czemu sprzyjały zamieszczane po spotkaniach eksponowane doniesienia medialne o nowych

obszarach partnerstwa. Zwraçały one uwagę na Polskê środowisk biznesowych, dziennikarzy i elit intelektualnych. Tworzyły klimat życzliwości, sprzyjający inicjatywom Ambasady. Niewątpliwym wyzwaniem było harmonijne realizowanie wielu priorytetów w możliwie krótkim czasie i we wzajemnym powiązaniu, w oparciu o rozwiązania instytucjonalne wszędzie tam, gdzie było to możliwe. Chodziło nie tylko o trwałość stosunków, ale również o uwzględnienie faktu centralizacji państwa saudyjskiego, w którym ogromną rolę odgrywał czynnik polityczny, ogniskowany w Kancelarii Dworu. Zależności te dotyczyły wszystkich dziedzin życia, łącznie z gospodarką.



BUDOWANIE RELACJI GOSPODARCZYCH

W dziedzinie gospodarki zaczęliśmy od bardzo skromnego pułapu. Współpraca sprowadzała się jedynie do śladowego handlu. W 1998 roku polski eksport wyniósł zaledwie 33 mln USD. Każdego kolejnego roku niecierpliwie czekaliśmy na dane statystyczne dokumentujące efekty podejmowanych działań, świętując szampanem (raczej nie „saudyjskim”) przekroczenie 100 mln USD w eksporcie, przy zupełnym braku importu. Był to wówczas wynik porównywalny z wartością polskich dostaw do Chin czy Indii. Dzisiaj polsko-saudyjskie obroty handlowe przekraczają 1,5 miliarda dolarów (dane za 2017 rok) i jest to jedynie część rozbudowanych relacji. Pierwszym celem działania placówki był sektor prywatny. Dla instytucjonalizacji kontaktów i wykorzystania saudyjskich instrumentów promocji konieczne było doprowadzenie do podpisania przez Federację Izb Przemysłu i Handlu porozumienia z polskim odpowiednikiem. Federacja była monopolistą w zakresie oficjalnych kontaktów biznesowych i finansowała je, częściowo w obie strony. Nastąpiło to 2 marca 2000 roku podczas pierwszej misji Krajowej Izby Gospodarczej, z prezesem Andrzejem Arendarskim i wiceprezesem Markiem Kłoczka. Równocześnie powołano Radę Biznesu. Jak na saudyjskie warunki było to ekspresowe tempo. Precedensem było również włączenie do programu grupy wyjazdu do Abha, stolicy prowincji Asir na pograniczu jemeńskim, niezależnie od trzech wielkich miast – Rijadu, Dżeddy i Damnamu. Od tego czasu wymiana misji odbywała się przynajmniej dwa razy w roku.

Od początku placówka zabiegała, by równoległe z rozwojem eksportu poszukiwać form głębszej współpracy gospodarczej, w tym przyciągania saudyjskich inwestycji, koncentrujących się wówczas na USA i Europie Zachodniej. W pierwszych latach XXI wieku kilka prywatnych holdingów, w tym Zamil Steel i AMIANTIT, dokonało u nas pilotowych inwestycji produkcyjnych. Kilka innych próbowało to robić bez powodzenia. W 2000 roku nie doszedł do skutku potencjalnie przełomowy wielki projekt budowy przez koncern SBG tanich domów jednorodzinnych pod Warszawą. Inwestor uznał, że postępowanie niektórych polskich partnerów w sprawach nieruchomości było

biznesowo nieetyczne i się wycofał, ponosząc straty. Zainteresowania nie wzbudziła inicjatywa budowy rafinerii na wybrzeżu, podjęta przez prywatnego przedsiębiorcę, będącego właścicielem podobnego obiektu w Szwecji. Prawdziwie ogromny potencjał znajdował się jednak w sektorze publicznym. Poczynając od 2000 roku, doprowadziliśmy do ustanowienia kontaktów ze światowymi potentatami rynku ropy i petrochemii – ARAMCO i SABIC. Polscy eksperci dokonali tam prezentacji oferty, w ślad za czym rozmowy podjęły specjalistyczne firmy. Poparcie dla współpracy ze strony ministra ropy i bogactw naturalnych spowodowało zaoferowanie polskim przedsiębiorstwom z czołówki rankingu realizacji szeregu projektów inwestycyjnych – rurociągów, stacji odsalania, elektrowni czy kopalni, również w trybie bezprzetargowym. Okazało się jednak, że przekraczały one możliwości realizacyjne wykonawców. Było to niespodzianką i rozczarowaniem również dla placówki. Wzajemnie sondowano ewentualność zakupów ropy, ale do konkretnych rozmów nie doszło, co wykluczyło rozważane inwestycje ARAMCO, wiązane z rynkami zbytu. Stopniowo uświadamialiśmy sobie, że rzeczywista dywersyfikacja powiązań gospodarczych i finansowych pozostanie w sferze teorii, o ile w Polsce deklaracje zainteresowania inwestycjami nie zostaną uzupełnione rozwiązaniami organizacyjnymi i prawnymi, analogicznymi do istniejących na Zachodzie. To z kolei wymagało zaangażowania państwa i stworzenia w kraju na różnych szczeblach decyzyjnych i realizacyjnych życzliwego klimatu współpracy z kapitałem arabskim. Po ataku terrorystycznym na USA 11 września 2001 roku stało się to w dużym stopniu bezprzedmiotowe. Nie tylko nie doszło do poważnych inwestycji, ale większość saudyjskich inwestorów prywatnych wycofała się z Polski po kilku latach działalności. Doświadczenia placówki w tej sferze można podsumować jako mieszaninę sukcesów i rozczarowań.

Problematyką gospodarczą zajmował się solidarnie cały zespół placówki. W 2000 roku dołączył do niego, jako czwarty pracownik, Tomasz Maj, konsekwentnie i z zaangażowaniem realizujący zadania biznesowe. Etat był finansowany przez MSZ. Resort gospodarki nigdy nie utworzył w Rijadzie własnego pionu, na co wpłynęły również spory kompetencyjne z MSZ. Udostępnił nam natomiast wyszukiwarkę ułatwiającą kojarzenie biznesu, dzięki której odpowiadaliśmy na zapytania w ciągu 24 h. Nie było natomiast chętnych do wyposażenia placówki

w fundusz na promocję. Dawaliśmy sobie jednak radę, korzystając z życzliwości partnerów biznesowych po obu stronach. Cenili oni jakość wsparcia i zaangażowanie Ambasady. Nieraz jednak odbijaliśmy się od ściany. Grzechem kolejnych polskich rządów było nadmiernie liberalne podejście do zagranicznych stosunków gospodarczych, zaniechanie stworzenia narodowego systemu promocji handlu i przyciągania inwestycji oraz brak interwencji w sytuacjach, gdy podjęcie konkretnego działania na szczeblu państwowym było warunkiem ustanowienia współpracy. Sporo na sumieniu miał też polski sektor prywatny, o publicznym nie wspominając. Zainteresowanie rynkiem było ograniczone i nastawione głównie na doraźne zyski z eksportu. Nie pomagały nawet próbki ropy naftowej, które wręczałem podczas pobytów w Polsce prezesom wytypowanych firm, z sugestią powąchania, ani statuetki „Złotego daktyla”, wykonane gratisowo z lokalnego marmuru przez saudyjskiego przedsiębiorcę, przeznaczone dla naszych biznesmenów. O potknięciach mógłbym napisać oddzielną książkę. Nie jest jednak moim celem wylewanie gorzkich żali, więc podam jedynie garść przykładów.

Firma ze Śląska złożyła rekomendowanemu przez Ambasadę biznesmenowi ofertę na fabrykę sit budowlanych trzykrotnie droższą od analogicznej z Niemiec. Gdy zadzwoniłem do prezesa z prośbą o wyjaśnienia, chciał mnie upoważnić do zejścia z ceną poniżej konkurencji. Ostatecznie zlecenie za 10 milionów USD otrzymali Austriacy. Po roku realizacji przepadł wielomilionowy kontrakt na pulpę warzywną, gdyż kolejna partia przyszła w pojemnikach oznakowanych na Izrael. Rijad właściwie od zawsze miał dyskretne kontakty z tym państwem, ale – również z tego właśnie powodu – obowiązuje restrykcji handlowych przestrzegając w całej rozciągłości. Dzięki dobrym relacjom osobistym z prezesem Saudi Chemical Carriers Co., dr. Abderrahmanem Zamillem, dowiedziałem się, że firma ta, należąca do ARAMCO, eksploatuje chemikaliowce wyprodukowane w Polsce w latach 70. Nadal sprawne, ale musieli je wymienić ze względów prestiżowych. Rok zabiegałem, by nowe zamówili również u nas. W końcu „sukces”! Po licznych kontaktach ze Stoczną Szczecińską i posiadaczami pakietu wcześniejszych zamówień, Saudyjczycy wynegocjowali projekt kontraktu wartości 450 milionów dolarów i zaplanowali uroczyste podpisanie w Rijadzie. Tydzień przed terminem zdenerwowany dr Zamil

zadzwoił do mnie w środku nocy z pytaniem o bankructwo Stoczni. Od obudzonego w Warszawie ministra gospodarki dowiedziałem się, że to prawda. Wyszedłem na durnia. Stocznia padła, choć prawdopodobnie przy sprawnej wymianie informacji i uczciwym postawieniu sprawy można ją było jeszcze uratować za saudyjskie pieniądze. Inny Saudyjczyk, reprezentujący czołówkę biznesu i powiązany z rodziną panującą, pojechał do Warszawy na zaaranżowane przez placówkę spotkanie z właścicielem firmy farmaceutycznej, produkującej również kosmetyki. Panowie uzgodnili produkcję wybranego asortymentu w Królestwie na bazie importowanych polskich komponentów i marketing na Bliskim Wschodzie przez spółkę joint-venture. To mógł być biznesowy hit na miarę przepuszczającego wodę lakieru do paznokci firmy Inglot, którego kompozycja pozwalała się muzułmankom modlić (przepisowo pięciokrotnie w ciągu dnia) bez jego zmywania. Tymczasem do podpisania umowy nie doszło. Kontrahent ponownie pojechał do Warszawy na uzgodnioną finalizację projektu, ale zamiast tego dowiedział się od przysłanej w zastępstwie asystentki, że jego partner zmienił zdanie, nie fatygując się wyjaśnieniem. Po 11/9 doszło do nieusprawiedliwionego kojarzenia transparentnych firm saudyjskich z zagrożeniem terrorystycznym. Podam jeden z wielu przykładów: w końcu 2001 roku wydaliśmy wizę w paszporcie dyplomatycznym współwłaścicielowi i prezesowi jednego z największych holdingów budowlanych świata, szejkowi Bakrowi bin Ladenowi, przyrodniemu bratu Osamy, od którego reszta rodziny odcięła się notarialnie. Zwrotna informacja z MSW w Warszawie sygnalizowała, że nie zostanie on wpuszczony do Polski. Szykował się skandal. Ratunek znalazłem u amerykańskiego kolegi, ambasadora Williama Wyche'a Fowlera. Zacytowałem jego słowa: „Prezydent Bush niezmiennie uważa szejka Bakra za przyjaciela i traktuje jego zaangażowanie biznesowe w Stanach jako korzystne dla USA.” W Rijadzie nie było to żadną tajemnicą, ale siła przekonywania ambasadorów nie zawsze jest jednakowa. Saudyjczyka do Polski wpuszczono, ale klimatu biznesowego nie znalazł. Po latach i w Arabii Saudyjskiej przestało mu się wieść, gdy rząd w 2017 roku odstąpił od płacenia jego firmie miliardów dolarów za zrealizowane projekty, a prezes koncernu wraz ze światowym inwestorem księciem Walidem bin Talalem i gronem innych prominentnych osób zatrzymanych w areszcie hotelowym musiał podzielić się majątkiem z państwem, czego usprawiedliwieniem miała być korupcja. Z daleka trudno

oceniać zasadność oskarżeń, ale mnie na zawsze pozostanie w pamięci to, że szejk Bakr wycofał się ze stratami z ogromnego projektu deweloperskiego w Polsce, gdy tylko zauważył tworzący się wokół niego niejasny układ biznesowy.

Czasami dobre intencje polskich firm, zwłaszcza budowlanych, pamiętających czasy irackie i libijskie, rozбивały się o stanowisko zagranicznego kapitału właścicielskiego, wykluczającego składanie z Polski ofert na niektóre rynki. Zgrzytaliśmy zębami, ale robiliśmy swoje, w nieco naiwnej nadziei, że kropla drąży skałę. Jednym z dobrych pomysłów było doprowadzenie do kojarzenia biznesu dzięki bezpośredniej współpracy agencji konsultingowych. Inicjatywę placówki podjęła między innymi Ewa Plucińska, prezeska firmy EVIP i kobieta biznesu. Wbrew powszechnej opinii panie na rynku saudyjskim miały spore szanse, a ponadto korzystały z preferencji w relacjach z firmami prowadzonymi przez Saudyjki, w tym kredytowych. Należało się jednak liczyć z nietypowymi problemami. Podczas spotkania w supernowoczesnym gmachu Izby Handlowej w Dżeddzie prezes Plucińska wywołała panikę pytaniem o toaletę. Damskiej po prostu nie było. W końcu zaoferowali męską, wystawiając przy niej wartę. Gospodarze szybko wyciągnęli jednak wnioski i kilka miesięcy później kobiety uczestniczące w polskiej misji gospodarczej nie miały już takich problemów. Pani Ewie pokazałem legendarny grób jej imienniczki i pramatki ludzkości (*al-Chawa*), znajdujący się w centrum Dżeddy (nie wiadomo dlaczego nazywanej w Polsce „Dżuddą”), jakimś cudem ocalały z burz, jakie dotknęły hidżaską stolicę na przestrzeni wieków. Może dzięki sile tradycji, a może dlatego, że arabska nazwa miasta znaczy „babcia”.

Porozumienie pomiędzy organizacjami samorządu gospodarczego porządkowało regularne relacje biznesowe. Zbudowania podstaw umownych wymagała też sfera stosunków międzypaństwowych. W przypadku Arabii Saudyjskiej był to z reguły warunek realizacji współpracy tymi kanałami. Drogą na skróty było doprowadzenie do uzgodnienia ramowej umowy o współpracy od razu w wielu dziedzinach – gospodarki, handlu, inwestycji, techniki, kultury, turystyki, młodzieży i sportu. Strona saudyjska szybko podjęła inicjatywę i przekazała projekt, powielający formuły umów obowiązujących z głównymi krajami UE. Uzgodnienie tekstu zajęło jednak prawie dwa lata,

głównie z uwagi na zastrzeżenia Ministerstwa Gospodarki. Resort ten przez rok uważał, że wraz ze zbliżającą się akcesją do Unii Europejskiej dwustronne uregulowanie problematyki gospodarczej nie jest potrzebne. Wątpliwości nie usunęło nawet stanowisko ministra gospodarki, Janusza Steinhoffa, który był w Arabii Saudyjskiej w 2000 roku na zaproszenie ministra ropy. Ostatecznie umowę podpisał w Rijadzie dopiero w 2003 roku wicepremier, minister infrastruktury Marek Pol. Stała się pierwszym elementem infrastruktury prawno-traktatowej między oboma państwami, nie licząc wygasłych umów z 1990 roku w sprawie stacjonowania Polskiego Kontyngentu Wojskowego. Kilka lat później umożliwiła między innymi realizację programu kształcenia w Polsce tysiąca stypendystów saudyjskich, w tym studentek, przynoszącego naszym uczelniom kilkadziesiąt milionów euro rocznie.

Od początku zdawałem sobie sprawę, że efekt naszego działania w Rijadzie będzie ograniczony bez szybkiego ustanowienia ambasady saudyjskiej w Warszawie. Książę Saud potwierdził w pierwszej rozmowie ze mną taki zamiar, ale droga od deklaracji do realizacji potrafi być boleśnie długa. Potrzebny był skuteczny lobbying. Wychodząc od istnienia decyzji politycznej, należało doprowadzić do wprowadzenia zadania do budżetu saudyjskiego MSZ. A tam w kolejce czekało już kilkanaście placówek, a środków budżetowych i kadr starczało na dwie-trzy placówki rocznie. Sprawa ambasady w Warszawie stała się tematem wszystkich naszych kontaktów. Z polską argumentacją do ścisłej czołówki saudyjskiej i mediów skutecznie dotarła między innymi marszałek Senatu, Alicja Grześkowiak, składająca oficjalną wizytę w 2000 roku. Postulat był ponawiany podczas innych ważnych wizyt w tym samym roku – ministra Janusza Steinhoffa oraz I zastępcy saudyjskiego ministra spraw zagranicznych, dra Nizara Madaniego (nadal na tym stanowisku). Równolegle, w bardziej osobistym i praktycznym wymiarze, rozmawiałem z księciem odpowiedzialnym w MSZ za sprawy budżetowe oraz w środowisku dyplomatów potencjalnie zainteresowanych objęciem placówki w Polsce. Gra na wielu fortepianach okazała się skuteczna. Dokonano przesunięć środków w budżecie na 2000/2001 rok. Kolejki musiały nam ustąpić między innymi Czechy, które akredytowały swego ambasadora w Rijadzie kilka lat przed nami. 24 sierpnia 2001 roku Ambasada Królestwa w Polsce stała się faktem, od razu z rezydującym ambasadorem Osamą Sanusim i kompletnym

zespołem pracowników. Był to bezprecedensowy rekord czasowy. Rzutem na taśmę w sprawie pierwszeństwa bezskutecznie interweniował prezydent Czech Vaclav Havel podczas wizyty oficjalnej w Rijadzie w lutym 2001 roku. Z ambasadorem Sanusim współpracowaliśmy w trybie codziennym, koordynując większość projektów bilateralnych. Znajomi żartowali, że jesteśmy jak para koni ciągnących jeden wóz, niekiedy po wybojach. Wzmocnieniem naszych aktywów w Królestwie było powstanie w 2000 roku w Dżeddzie Konsulatu RP, kierowanego przez konsula honorowego, Hassana Attara, ze starej hidżaskiej rodziny kupieckiej, od dekad reprezentującej Polskie Linie Oceaniczne.

Modelowym przykładem współdziałania obu ambasad było zorganizowanie w 2002 roku obchodów siedemdziesiątej rocznicy wizyty księcia/króla Fajsala w Polsce. Podjąłem ten temat w rozmowie z prezesem Fundacji Króla Fajsala, Yahją bin Dżuneidem, proponując stosunkowo skromny program. Wkrótce rozrósł się on do rozmiarów daleko przekraczających oczekiwania i prawie w całości został sfinansowany przez stronę saudyjską. W reprezentacyjnym centrum konferencyjnym w Rijadzie odbyła się sesja naukowa z udziałem p.o. ministra spraw zagranicznych, saudyjskich elit intelektualnych, dziennikarzy i korpusu, transmitowana na żywo przez telewizję. Wydano drukiem wystąpienia oficjalne i referaty profesorów Janusza Daneckiego z UW i Jerzego Zdanowskiego z PAN, którzy w kolejnych latach wydali szereg cennych książek poświęconych historii regionu i kulturze islamu, jak również naukowców saudyjskich Abderrahmana al-Shubejli i Salecha al-Chatlana. Nawiązane kontakty były kontynuowane w kolejnych latach i doprowadziły między innymi do instytucjonalnej współpracy saudyjskiego Instytutu Dyplomatycznego z Polskim Instytutem Spraw Międzynarodowych, który z dużym zaangażowaniem dr Patrycji Sasnal jest obecnie uznanym europejskim centrum badań bliskowschodnich. Imprezie w Rijadzie towarzyszyła wystawa historycznych fotogramów dokumentujących pierwsze kontakty polsko-saudyjskie. Jakimś cudem zdjęcia zostały odnalezione w archiwach PAP przez prof. Andrzeja Kapiszewskiego we współpracy z Ambasadą Saudyjską, która sfinansowała również wykonanie okolicznościowego albumu. Fotogramy stały się stałym elementem oprawy najważniejszych imprez dwustronnych. Do obchodów włączyły się saudyjskie archiwa, które dokonały kwerendy własnych zasobów i uzupełniły

je o dokumentację z archiwów państw posiadających na początku lat 30. XX wieku placówki dyplomatyczne w Dżeddzie, pełniącej wówczas rolę saudyjskiej stolicy, a przynajmniej siedziby ambasad, dla których pustynne miasteczko Rijad nie było wówczas ani przyjazne, ani gotowe zaoferować możliwe do przyjęcia warunki. Naliczyliśmy ponad dwieście okolicznościowych artykułów, wywiadów i wzmianek medialnych oraz kilkanaście tematycznych prac licencjackich na saudyjskich uczelniach w kolejnych latach.

Gdzieś na krawędzi ustawionej poprzeczki znajdowało się zadanie doprowadzenia do współpracy wojskowej. Saudyjczycy od lat mieli jeden z największych budżetów obronnych w świecie, praktycznie całe zakupy pochodziły z importu, zaś zaplecze techniczne sił zbrojnych funkcjonowało dzięki specjalistom zagranicznym. Partnerzy byli dobierani według klucza politycznego, co oznaczało daleko idące zmonopolizowanie tej sfery przez USA. Istniała jednak pewna przestrzeń dla sojuszników z innych państw NATO, w której najlepiej radzili sobie Brytyjczycy, Francuzi i Niemcy. Ministrem obrony był wówczas książę Sultan bin Abdulaziz, jednocześnie wicepremier. W tym charakterze przyjmował szefów polskich delegacji oraz kierowaną do niego korespondencję rządową. Jak większość starszego pokolenia książąt, mówił tylko po arabsku i cenił możliwość bezpośredniej rozmowy z ambasadorem w tym języku. Przy częstych kontaktach pozwoliło mi to nawiązać bliższe relacje osobiste. Książę dał zielone światło dla kontaktów wojskowych. W 2001 roku w Rijadzie odbyła się kompleksowa prezentacja potencjału polskiego przemysłu obronnego. Od tego czasu delegacje saudyjskiego MON i Gwardii Narodowej zaczęły regularnie odwiedzać Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego w Kielcach. Placówka wytypowała kilka saudyjskich podmiotów z doświadczeniem w branży, mogących wspierać oferty naszych firm. W 2003 roku do Arabii przyjechał z wizytą oficjalną minister obrony Jerzy Szmajdziński, dokonując ustaleń otwierających drogę do współpracy według wzorów stosowanych przez państwa zachodnie. W tej formule procedowany był między innymi duży kontrakt na rewelacyjne spadochrony produkowane w Legionowie, w ostatniej chwili zablokowany przez konkurenta. Wizyta miała również efekt uboczny. Podczas przyjęcia w Dżeddzie siedziałem obok księcia Chaleda bin Sultana, wiceministra obrony. W czasie wojny o Kuwejt był dowódcą

sił koalicyjnych, a prywatnie między innymi hodował konie arabskie. Była okazja, by porozmawiać o polskich tradycjach i zachęcić do kontaktów również w tej dziedzinie. Kilka lat później książę kupił działkę i wybudował od podstaw pod Płońskiem dużą stadninę, dającą zatrudnienie prawie stu pracownikom. Szybko zyskała europejską renomę, organizując coroczne prezentacje. Niestety w zakresie wojskowości rozwój współpracy był mniej spektakularny, nie licząc przyjmowania grup kadetów na polskich uczelniach. Poza konkurencją ze strony sojuszników, mankamentami naszej oferty, brakiem umiejętności wyszukiwania obszarów niszowych, niezrozumieniem przez MON RP i potencjalnych eksporterów konieczności nadania współpracy kompleksowego charakteru oraz brakiem długofalowego programu rządowego zdecydowała o tym ograniczona zdolność naszych podmiotów do dostosowania się do branżowych reguł gry obowiązujących w Królestwie.

Arabia Saudyjska to wielki importer siły roboczej, przyjmujący blisko dziesięć milionów zagranicznych pracowników, przy rdzennej ludności rządu dwudziestu milionów. Gros to Azjaci i Arabowie, ale nie tylko. Ekspertów i specjalistów z Zachodu przyciągały atrakcyjne zarobki i preferencyjne warunki. Konieczne było oczywiście zaakceptowanie saudyjskich uciążliwości, ale to przy odrobinie determinacji i dobrej woli nie było aż tak dotkliwie. Szacuje się, że tylko branża naftowa stworzyła kilka tysięcy liczonych w dolarach milionerów, głównie wywodzących się z USA. Bezpośrednią rekrutację Polaków utrudniały lub uniemożliwiały stare ograniczenia i praktyki dyskryminacyjne. Od 1999 roku sytuacja zaczęła się stopniowo zmieniać w kierunku traktowania polskich obywateli równorzędnie z zachodnimi. Z Departamentem Konsularnym saudyjskiego MSZ uzgodniliśmy procedurę legalizacji przez naszą Ambasadę dyplomów i wszelkich dokumentów wymaganych do zatrudnienia, co pozwoliło uniknąć skomplikowanego i kosztownego wysyłania ich do saudyjskich placówek w krajach trzecich oraz zapewniało częściową porównywalność. Uproszczone zostały procedury wizowe dla polskich biznesmenów, w tym pracowników agencji zatrudnienia, aplikujących najczęściej w Berlinie. Na podstawie notyfikacji zaistniała możliwość uzyskiwania saudyjskich wiz na lotnisku dla osób podróżujących służbowo i innych, dla których w roli sponsora występowała Ambasada. Było to wyłomem w bardzo restrykcyjnych procedurach stosowanych przez gospodarzy.

Po moich spotkaniach z ministrem spraw wewnętrznych, księciem Naifem, i szefem wywiadu ogólnego, księciem Nawafem, zrównano traktowanie Polaków w sferze zatrudnienia i pobytu z obywatelami UE, co saudyjski MSZ potwierdził notą. Pozostawały jednak nierówności w sektorze zdrowia, tradycyjnie cieszącym się największym popytem w Polsce. Wizyta u prezesa Saudyjskiej Rady Medycznej wyjaśniła, że przyczyną nieuznawania polskich stopni i specjalizacji medycznych był brak danych zawartych w wydawanym corocznie Informatorze Rady. Powołany zespół polonijno-ambasadzki, współdziałając z kilkoma uczelniami medycznymi i ministerstwem zdrowia, w ciągu kilkunastu dni pozostających do wydania Informatora na 2001 rok przygotował wymaganą dokumentację po angielsku i arabsku, rozwiązując problem. Stopniowo środowisko polonijne powiększało się, chociaż w trakcie mojej misji nie przekroczyło kilkuset osób. Było bardzo zintegrowane z Ambasadą. Z zaangażowaniem pomagało w poszukiwaniu możliwości współpracy. Wspólnie organizowaliśmy wycieczki i pikniki w górach i na pustyni w rejonie Rijadu, a także uroczyste spotkania w plenerze z okazji Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Panie okazywały nieocenioną pomoc przy dużych przyjęciach. Dobrymi duszami tych relacji były małżeństwa Doroty i Vahe Atmadjianów, Elżbiety i Tomasza Ciołków, Lidii i Samira Ibrahimów, Ali i Ryszarda Kaszubów, Joanny i Włodzimierza Kielaków, Elżbiety i Krzysztofa Majewskich, Oli i Dariusza Talarów, choć lista ta była zdecydowanie dłuższa.

Wspólnie z Polską Organizacją Turystyczną, Unią Uzdrawisk Polskich, PLL LOT i kilkoma biurami podróży placówka uruchomiła program rozwoju turystyki kwalifikowanej do Polski mający docelowo stworzyć uzasadnienie dla ustanowienia bezpośredniego połączenia lotniczego. Saudyjczycy na wyjazdy zagraniczne wydawali 6–8 miliardów USD rocznie, niezależnie od rządowego programu medycznego i sanatoryjnego adresowanego do szerokiej grupy obywateli. Niestety, realizacja programu szła opornie, a po 11/9 zainteresowanie strony polskiej dla takiego przedsięwzięcia wygasło, z czego skorzystali nasi sąsiedzi, zwłaszcza Czesi, przyjmując w sanatoriach i szpitalach w ramach porozumienia rządowego po kilka tysięcy Saudyjczyków rocznie. Oznaczało to wpływy rządu kilkuset milionów euro, nie licząc aktywów biznesowych, a także otwarcie bezpośredniego połączenia lotniczego do Pragi przez linie saudyjskie. Promocja i organizacja turystyki

przyjazdowej nigdy nie były oczkiem w głowie polskich władz, w przeciwieństwie do niejednokrotnie przesadnej troski przywiązywanej do turystyki wyjazdowej. Rozwój współpracy i kontaktów oraz nowość miejsca zachęcały do indywidualnych i rodzinnych podróży do Polski wielu prominentnych Saudyjczyków. Zdarzało się, że bez najmniejszego uzasadnienia byli poddawani na punktach granicznych upokarzającej procedurze. Wprowadziłem praktykę wydawania dla tej kategorii osób listów rekomendacyjnych w języku polskim, prezentujących posiadacza i proszących właściwe władze o udzielenie w przypadku potrzeby koniecznej pomocy w granicach prawa. Sam je podpisywałem. Zbierałem gromy z wysokich szczebli Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale przez cztery lata incydenty zdarzały się jedynie sporadycznie i nie obejmowały posiadaczy listów. Nie odnotowaliśmy też przypadków naruszenia polskiego prawa. W kolejnych latach problemy z traktowaniem na granicach jednak wracały. Jednemu z biznesmenów na lotnisku we Wrocławiu rozkręcono fragmenty prywatnego samolotu. W Balicach rewizji osobistej poddano żonę szefa Królewskiego Protokołu, która nieopatrnie oddzieliła się od grupy towarzyszącej córce multimiliardera, księcia Walida bin Talala, w trakcie podróży studyjnej prywatnym samolotem do Krakowa oraz Pragi i Wiednia. Problem nie polegał na samych faktach, ale na kulturze postępowania, umiejętności przeproszenia i doznaniach gościa podróżującego latami po całym świecie bez tego typu doświadczeń. O ile wiem, żadnego niebezpiecznego przemytnika czy terrorysty nie złapano, choć to właśnie miało być powodem zaostrożonych procedur.



KULTURA ŁĄCZY I POMAGA

Większość placówek państw zachodnich nie widziała w Arabii Saudyjskiej partnera do współpracy kulturalnej i dawano to odczuć gospodarzom. My postanowiliśmy spróbować. Zaczęliśmy od wystawy zdjęć *Muzułmanie polscy*. Powstała na zlecenie MSZ i była rewelacyjnym pomysłem polskich środowisk orientalistycznych, wypromowanym w MSZ przez ambasadora Grzegorza Dziemidowicza, który dostrzegł promocyjny potencjał tematu. Pokazywała nie tylko zasłużoną dla Rzeczypospolitej mniejszość tatarską, ale dokumentowała również jej losy wtopione w historię tolerancyjnego i otwartego państwa oraz identyfikację z ojczyzną. Było to ważnym przekazem, nie tylko w krajach takich, jak Arabia Saudyjska. Gospodarze przyjęli inicjatywę z entuzjazmem, jako odkrycie. Pokryli całość kosztów promocji, oprawy i organizacji wernisaży kolejno we wszystkich wielkich miastach, w ponad półrocznych odstępach. Każdorazowo z wysokim patronatem oraz imponującą oprawą medialną, na którą składały się bezpośrednie transmisje z otwarcia, dziesiątki wywiadów i szerszych materiałów nt. współczesnej Polski. Gościem honorowym pierwszej wystawy w Rijadzie był Andrzej Wawrzyniak, twórca i dyrektor, a od niedawna także patron, Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, jedna z najbardziej barwnych postaci w polskiej dyplomacji i muzealnictwie, wzór pielęgnowania wartościowych kontaktów i autopromocji. Podczas wspólnego piątkowego pikniku na górskim odludziu pod Rijadem odnotował, że po raz pierwszy widzi cały zespół polskiej placówki zgodnie uczestniczący we wspólnej prywatnej imprezie. Wcześniej jakoś nie zdawaliśmy sobie sprawy z tej wyjątkowości.

Po ekspozycji wystawy w Dżeddzie otrzymałem zaproszenie od jednego z największych biznesmenów saudyjskich, Wahiba Binzagra. Zapowiedział, że ma dla mnie niespodziankę. Okazała się nią... żona, Polka z brazylijskim paszportem. Przy lampce szampana w pałacyku nad Morzem Czerwonym z prywatną mariną opowiedziała swój skomplikowany syberyjsko-brazylijski życiorys. Piękną polszczyznę zawdychała matce, która po całym dniu spędzonym przez dziecko w rosyjskim obozowym przedszkolu i szkole godzinami wieczorem uczyła ją języka ojczystego, pokonując zmęczenie i niekiedy opór dziecka.

Takich niespodzianek było więcej. Podczas jednego z przyjęć wydawanych przez gospodarzy podszedł do mnie młody Saudyjczyk Tarik Alireza, wysoki urzędnik jednego z resortów. Powiedział, że poniekąd uważa mnie również za swojego ambasadora. Był synem Marianne Alirezy, Amerykanki o polskich korzeniach, byłej żony pierwszego ambasadora Arabii Saudyjskiej w Waszyngtonie. Marianne wraz z synami – Tarikiem, Faisalem i Ghassanem odwiedziła mnie w rezydencji. Podarowała mi swą książkę *At the Drop of the Veil*, zawierającą pouczającą historię bodaj pierwszej cudzoziemki z Zachodu rzuconej w saudyjskie realia końca lat czterdziestych XX wieku. Czytając dziś jej historię „zrzucania zasłony”, nie można zaprzeczyć, że w sferze kulturowej nastąpił w Królestwie ogromny postęp.

Cykl wystaw miał ciąg dalszy. Gospodarze zaczęli zapraszać polskich dziennikarzy. Pierwszym był Ryszard Malik z „Rzeczpospolitej”. Wkrótce zapoczątkowana została wymiana grup studyjnych, dołączanie dziennikarzy do ważniejszych delegacji oraz przyjazdy na imprezy kulturalne. Gośćmi Międzynarodowego Festiwalu Kultury i Sztuki „Dżanadirija” w 2003 roku byli dziennikarze Beata Błaszczuk i Henryk Suchar oraz profesor UJ, Barbara Michalak-Pikulska, która w kolejnych latach podtrzymywała cenne kontakty naukowe i kulturalne z czołowymi instytucjami saudyjskimi i regionu. Ambasada dostała zgodę, co było odstępstwem od reguły, na zorganizowanie w reprezentacyjnym centrum handlowo-konferencyjnym Faisalija wystawy fotografów Jana Pieńkowskiego *Pixels from Saudi Arabia*. Precedensem stało się zaproszenie mnie na ponadgodzinną rozmowę na żywo w telewizji publicznej, poświęconą w większości sprawom historycznym oraz relacjom kulturalno-naukowym i związanym z hodowlą koni arabskich w Polsce. O promocję tego tematu niezmiennie zabiegaliśmy. Był on do tego stopnia nieznanym w ojczyźnie tej rasy, że w światowej edycji monumentalnego dwutomowego opracowania poświęconego historii konia na przestrzeni tysięcy lat, wydanego w 1998 roku przez Królewskie Towarzystwo Jeździeckie, nie znalazła się najmniejsza o tym wzmianka.

Do wszystkich zainteresowanych agend i fundacji rozesłaliśmy już w 1999 roku kopie mikrofilmu rękopisu hr. Wacława Rzewuskiego z podróży do Arabii. Rozdaliśmy też kilkaset kalendarzyków

na 2001 rok z charakterystycznym rysunkiem z rękopisu, wykonanych bezpłatnie przez zaprzyjaźnionego drukarza. Jeden z nich dotarł do Petera Harrigana, dziennikarza ekskluzywnego i szanowanego periodyku o zasięgu światowym „Saudi Aramco World Magazine”. Po kontakcie z Ambasadą redakcja zdecydowała się wysłać go do Polski. W numerze ze stycznia 2002 roku polski Emir był na okładce, a wielostronicowy ilustrowany rysunkami tekst o osiągnięciach hodowlanych na tle historii Polski wywołał międzynarodowe zainteresowanie. Autor wygłosił też wykład na specjalnej sesji Saudyjskiego Towarzystwa Historycznego. Do Warszawy udała się również delegacja Fundacji Dziedzictwa Narodowego, by porozumieć się z Biblioteką Narodową w sprawie tłumaczeń i wydania manuskryptu na ich koszt. Oczekiwania finansowe strony polskiej przekraczały jednak wyobrażenia Saudyjczyków. Mimo to poruszone struny zadziałały. W Paryżu, nakładem Biblioteki Jose Corti i Narodowego Muzeum Historii Naturalnej, wydano w 2002 roku w formie książkowej francuski transkrypt oryginału rękopisu wraz z rysunkami, a Biblioteka Narodowa opublikowała album z ilustracjami i opisem. Efektem biznesowym tych projektów było rozszerzenie kontaktów polskich hodowców z krajami Zatoki, zatrudnienie tam grupy fachowców i zakup koni. O stadninie księcia Chaleda pod Płońskiem wspomniałem wcześniej. W ostatnich latach wielkie zasługi dla promocji Polski oraz współpracy biznesowej z państwami Zatoki poprzez wykorzystanie tematu konia arabskiego położył Łukasz Łuniewski, prezes Polskiego Instytutu Kultury Jeździeckiej, starający się wykorzystać ogromny potencjał promocyjny i gospodarczy istniejący w tej dziedzinie.



NOWE OBSZARY WSPÓŁPRACY

W ustanowieniu kontaktów z najważniejszymi saudyjskimi instytucjami naukowymi i badawczymi pomogły wizyty ministra środowiska Jana Szyszki. Wkrótce rozwinęły się one w szerszą współpracę z takimi partnerami w Polsce, jak Akademia Nauk, UW, UJ i kilka instytutów. Polskich naukowców zaczęto zapraszać na ważniejsze konferencje międzynarodowe. W symposium „Islam i dialog między cywilizacjami” na początku 2002 roku uczestniczyli profesorowie Ryszard Stemplowski z PISM i Andrzej Kapiszewski z UJ. Regułą stały się wyjazdy naukowców saudyjskich do Polski. O saudyjskim programie stypendialnym na polskich uczelniach, głównie medycznych, wspominałem wcześniej. Ruch w drugą stronę był nieporównywalnie mniejszy. Jedynym Polakiem, który ukończył pełne studia w Arabii - prawo muzułmańskie na Uniwersytecie w Medynie w 2000 roku, jest Tomasz Miśkiewicz, pochodzenia tatarskiego, aktualny mufti Muzułmańskiego Związku Religijnego. Saudyjczycy przyjmowali też pojedynczych stażystów językowych, a Ambasada polskich studentów na praktyki wakacyjne. Z największą pasją wykorzystwała je Agnieszka Bakalarz z UJ w Krakowie, która była w Rijadzie w 2002 roku, a dzisiaj ma w dorobku pionierską książkę pt. *Polaków Arabii Saudyjskiej odkrywanie* oraz doktorat z polityki zagranicznej Królestwa. Energicznie inspirowała mnie do napisania tej książki.

Z Rijadu uważnie obserwowałem chmury gromadzące się nad Irakiem i perspektywę głębokiej destabilizacji regionu. Widziałem potrzebę ustanowienia kontaktów polskich i saudyjskich służb wywiadu. Po otrzymaniu zielonego światła od szefa Agencji Wywiadu, Zbigniewa Siemiątkowskiego, podjąłem temat w kilkukrotnych rozmowach z szefem Wywiadu Ogólnego, księciem Nawwafem bin Abdulazizem. W rezultacie polski minister otrzymał zaproszenie i w kwietniu 2003 roku złożył wizytę w Arabii Saudyjskiej. Otworzyła ona nowy obszar w relacjach dwustronnych, skutkujący pogłębieniem kontaktów także w innych dziedzinach. Kilka miesięcy później zastępca szefa saudyjskiej agencji, książę Saud bin Fahd, podpisał w Warszawie protokół o współpracy między agencjami, na mocy którego niezwłocznie wymieniono oficjalnych łączników. Dla naszej ambasady oznaczało

to uruchomienie łączności niejawnej z krajem, w ostatnich tygodniach mojej misji. Z wizyty ministra Siemiątkowskiego wyniosłem osobistą premię. Księżę Nawwaf zaferował delegacji prywatny samolot, którym poleciliśmy na kilka godzin w serce największej piaszczystej pustyni świata – Ar-Rab al-Chali (obecnie jej nazwę tłumaczy się jako „pusty czworobok”, choć oryginalnie – przy tym samym zapisie spółgłoskowym – była to „pusta łąka”). Byliśmy gośćmi ARAMCO w miejscu eksploatacji jednego z największych pól naftowych świata, Szeiba, ponad 900 km od Rijadu. Wśród wysokich na 400 metrów piaszczystych wydym o konsystencji mąki wydobywano tam ropę dzięki skośnym odwiertom. Wstyd się przyznać, ale bez tej okazji wyjechałbym z Arabii, oglądając jedynie obrzeża tej pustyni. „Pusta Łąka” dołączyłaby wtedy do nabatejskiego Hagar, Nadżranu, kiedyś kupieckiej stolicy Fao w Wadi Dawasir i do innych zasługujących na odwiedzenie perełek, do których było za daleko, nie po drodze lub po prostu zabrakło czasu na podróżowanie po tym rozległym i nieprzyjaznym turystyce kraju. Dotarłem jednak do trudno dostępnej Abhy, w Górach Soda na pograniczu jemeńskim, z ośnieżonymi zimą szczytami powyżej 3 tysiące metrów, intensywnie zielonymi stokami i wartkimi strumyczkami, a także zadziwiającej otwartości mieszkańców Medyny (przy okazji wizyty u gubernatora) oraz przepięknej rafy koralowej w rejonie Yanbu nad Morzem Czerwonym i w kilku innych miejscach, również takich, do których nie mają wstępu aktywiści religijni, akceptowane są kobiety w bikini i można wypić whisky & soda. Muszę też wspomnieć o pięknych dzikością górach Tuwaiq pod Rijadem, gdzie dawno wyschłe rzeki wracają na chwilę do życia po zimowych opadach. Oazach w rejonie Al-Chardż i Wadi Arid, stykających się z bezbrzeżną pustynią, gdzie można było porozmawiać z Beduinami i zobaczyć ich kobiety prowadzące samochód z karabinami na kolanach. Glinianej fortecy Saudów w Diraja i sąsiednich targowiskach, z wielką ofertą daktyli spośród łącznie ponad czterystu tutejszych gatunków. Zaletą tych ostatnich miejsc była możliwość dotarcia do nich w ramach jednodniowego wypadu.

Skuteczność placówki zapewniła jej uznane miejsce w korpusie. Reprezentacja dyplomatyczna w Rijadzie była prawie pełna – od wielkich mocarstw po drobiazg ze wszystkich kontynentów, szukający okoliczności współpracy, ofert pracy dla swych obywateli lub saudyjskiej łaskawości finansowej. W Rijadzie po prostu należało być. Ambasadorów

dobierano z reguły starannie, choć często nie tyle pod względem merytorycznym, co zaufania i zdolności do podtrzymywania dobrych relacji z saudyjskimi elitami władzy. Jeden z europejskich kolegów wyznał mi, że przed wyjazdem jego król dał mu tylko jedną wskazówkę – by nie popsuł kwitnących stosunków. Napoleon kiedyś oczekiwał od swojego posła wyłącznie kontrolowania czynności fizjologicznych w miejscach publicznych, ale się zawiódł. Wielu dobrze znało język arabski, choć nie był on bezwzględnie konieczny dla powodzenia misji. Niektóre państwa spoza obszaru islamskiego decydowały się delegować szefów placówek wyznających islam lub powiązanych z tą religią. Konsulat brytyjski w Mekce był w całości obsadzony przez muzułmanów, co było warunkiem funkcjonowania. Ambasador Szwajcarii, chrześcijanin, był ożeniony z muzułmanką z Turcji. Jego MSZ nie przewidział jednak konsekwencji. Prawo muzułmańskie nie dopuszcza takich małżeństw (w odwrotną stronę jak najbardziej). Saudyjski Protokół, po debatach, zmienił Szwajcarowi wyznanie i w legitymacji dyplomatycznej widniał jako „muzułmanin”. Mógł podróżować do świętych miejsc. „Pozazdrościł” mu Włoch, ale przy próbie wjazdu do Mekki został zatrzymany i postawiony wobec alternatywy – przejście na islam lub skandal skutkujący zakończeniem misji. „Dobrowolna” konwersja nastąpiła przed kamerami wszystkich telewizji i Sycylijczyk pełnił dalej z powodzeniem swą funkcję. Dobrze znał historię arabskiego panowania na Sycylii, z którą wiąże się nazwa „mafia”, gdyż miejscowi odstręczali żołnierzy od przeszukiwania domostw w pościgu za rebeliantami, wołając po arabsku: „ma-fi” (nie ma). Teraz jakby do tego nawiązują Rosjanie, określając żołnierzy prywatnych armii („zielonych ludzików”), wykorzystywanych w obszarach konfliktów, jako „tamich-niet’ów” (tam-ich-nie-ma). Kilka lat później w ślady Włocha poszedł Brytyjczyk, tyle że za przyczyną miłości do żony.

Niewielu było dyplomatów z wiedzą historyczną na temat bardziej odległej historii Bliskiego Wschodu, nawet wśród Arabów. Dawało mi to przewagę i było wyróżnikiem w korpusie. Nie musiałem w tym celu się ubierać szlachecki kontusz, co zdarzyło się jednemu z naszych ambasadorów w europejskiej stolicy. Kilku szefów placówek znałem jeszcze z Bagdadu, w tym Filipińczyka, Chińczyka i kolejnych Węgrów. Prawie cały obszar poradziecki był reprezentowany przez ambasadorów po MGIMO, ale także w Ambasadzie USA było kilku dyplomatów

z dyplomem tej uczelni. Wewnętrzny krąg towarzysko-zawodowy, w który byłem wpisany, obejmował ambasadorów wielkich mocarstw, głównych państw europejskich oraz azjatyckich i latynoskich, a także szefów pojedynczych placówek arabskich, z Egiptem na czele. Nastawienie na biznes i funkcje reprezentacyjne sprawiało, że zainteresowanie korpusu zbieraniem informacji było ograniczone. W tę filozofię wpisywał się saudyjski MSZ, który pełnił funkcje wykonawcze w stosunku do Kancelarii Dworu i nawet nie organizował briefingów. Gospodarze prowadzili hermetyczną politykę zagraniczną, co nieco usypiało czujność dyplomatów i utrudniało ocenę poszczególnych wydarzeń. Nie pomagały też media, choć z rodzaju zawartych w nich ogólników można było sporo wywnioskować. W zaabsorbowaniu sprawami dwustronnymi niektórym umykało znaczenie ważnych wydarzeń politycznych. Dotyczyło to na przykład bliskowschodniego planu pokojowego księcia Abdullaha (późniejszego króla, a wtedy regenta), który od przyjęcia przez Ligę Arabską w 2002 roku pozostaje aktualnym projektem normalizacji stosunków arabsko-izraelskich. Za marginalną inicjatywę uważał go między innymi ambasador Niemiec, ale po dyskusji wysłał do Berlina szerszy raport. Dostał pochwałę zamiast szykowanej reprimendy. Opiniotwórcza „Gazeta Wyborcza” także nie była do niego przekonana i zamieściła mętłą relację, kontrastującą z równoległe otrzymanym przeze mnie rzeczowym artykułem w izraelskim „Haaretz” (nazwa oznacza „glob” i ma identyczny korzeń i znaczenie jak arabski „al-ardh”). Telefonicznie zwróciłem na to uwagę redaktorowi Adamowi Michnikowi. Doraźnie pomogło, ale problem jakości i rzetelności relacjonowania tematyki bliskowschodniej w wielu polskich mediach nadal istnieje.

Saudyjczycy traktowali korpus dyplomatyczny jak piąte koło u wozu. Nie był im nawet potrzebny jako paprotka. Wyrażało się to między innymi w formie pożegnań wyjeżdżających szefów placówek. Organizowano je w grupach regionalnych, w powielanej do bólu formie obiadu, dopraszając „dziekanów” reprezentujących inne regiony. Miejsce też było stałe – w sali na parterze gmachu MSZ, obok wejścia. W roli gospodarza występował najczęściej dyrektor Protokołu Dyplomatycznego lub jego zastępca. Kończyły się „suchymi toastami”. Upominki nie były przewidziane. Może nie byłoby na co narzekać, gdyby nie irytujące przypadki wielominutowego spóźnienia

się gospodarzy. A ambasadorzy czekali jak króliki. Przy kolejnym takim przypadku, wraz z Austriakiem Haraldem Wiesnerem, próbowaliśmy zorganizować bunt. Oportunizm jest elementem dyplomacji, więc innych chętnych nie było. Wyszliśmy we dwójkę, przy wyjściu z budynku natykając się na nieśpiesznie podążających naszych gospodarzy. Zawrócili nas prawie siłą i na długo demonstrację wzięli sobie do serca. Z kolegą z Wiednia, podobnie jak z Manili, można było kraść konie, a nawet wielbłądy! Harald też nie cierpiał dyplomatycznego nadęcia i nieuzasadnionej poprawności. Opowiedział mi charakterystyczną historię, wysoce prawdopodobną. Po II wojnie światowej w zbiedniałym (słusznie!) Wiedniu odbywała się międzynarodowa konferencja. Po jej zakończeniu dyrektor Protokołu zarządził odjazdem szefów delegacji. „Cadillac dla Pana Prezydenta USA” – wołał. „Rolls-Royce dla Pana Premiera Wielkiej Brytanii i wreszcie... kalosze dla Pana Kanclerza Austrii!” Z tych kaloszy Austriacy szybko wyszli, zachowując dociekliwe podejście do życia. Jego przejawy nie zawsze były dla mnie radosne, na przykład, gdy Harald po dłuższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że najbardziej znanym w Austrii polskim produktem w przeddzień akcesji do UE były „krówki”, skądinąd niezmiernie popularne również w regionie Zatoki. Rafael Seguisse, Filipińczyk, był z kolei mistrzem w promowaniu wspólnych chrześcijańskich korzeni, wznosząc kolejne toasty za Kościół Wschodu i Zachodu, Trójcę, 12 apostołów. Czasami zwracał uwagę, że apostołów w rzeczywistości było więcej. Na tę okazję miałem zestaw miniaturowych kieliszków, dzięki czemu jedna butelka „Wyborowej” wystarczała na wiele spotkań. Kilkakrotnie wspólnie organizowaliśmy pobyt w Arabii Saudyjskiej „incognito” wikariusza apostołskiego Arabii Południowej, biskupa Bernarda Gremoli (zmarłego w 2017 roku), rezydującego w Abu Dhabi, choć to ogromna rzesza filipińskich katolików w pierwszym rządzie korzystała z jego duchowego wsparcia. Należy dodać, że władze saudyjskie przez szereg dekad akceptowały milcząco posługę kapłańską w chrześcijańskim środowisku Filipińczyków (największym w Królestwie), ale dramatycznie zmieniły podejście, gdy kilka uroczystości religijnych zorganizowano w miejscach publicznych.



ŻYCIE CODZIENNE W RIJADZIE

Życie dyplomatyczne w Rijadzie było bardzo aktywne ilościowo, generalnie nudne i jałowe merytorycznie. Przyjęcia narodowe z zaproszeniami „z rozdzielnika” i na stojąco przypadają właściwie co drugi dzień i w znakomitej większości miały ten sam scenariusz: jeden z kilku luksusowych hoteli, identyczny skład szefów placówek, słaba reprezentacja gospodarzy i powtarzalne menu. Na dodatek to godne pożałowania krojenie nożem tortów w barwach narodowych i niekiedy z godłem. Oczywiście na przyjęciach poza terenem placówek nie podawano alkoholu, co uzasadniało skrzykiwanie się na lampkę wina w drodze powrotnej, „w trosce o trawienie”. Mimo zakazu alkohol miał kto chciał, „organizowany” w najróżniejszy sposób. Nie słyszałem, by dyplomaci pędzili bimber, w przeciwieństwie do innych środowisk, również miejscowych, gdzie był znany pod nazwą *sadiqi* (chyba najbliższe tłumaczenie to *druh*). Napoje wyskokowe mogły być serwowane jedynie w obiektach korzystających ze statusu dyplomatycznego. Puste butelki tłukliśmy lub zabierał je personel obsługujący nas hotelu, by wycisnąć pozostałe krople, o ile nie zostały skonfiskowane przez policję przy wyjeździe z Dzielnicy Dyplomatycznej. W przyjęciach narodowych i oficjalnych imprezach ambasador musiał uczestniczyć, spotykając w tych samych miejscach tych samych służbowo uśmiechniętych ludzi, jedzących podobne potrawy i spragnionych urozmaicenia, najlepiej w formie trafionego dowcipu lub ciekawostki. Bardziej barwne i cenione były spotkania w wąskim gronie, w niektórych rezydencjach z wyrafinowaną kuchnią. Saudyjczycy prywatnie zapraszali rzadko, poza okresem Ramadanu, kiedy zaproszeń było dużo i raczej nie wypadało ich nie przyjmować. W środowiskach biznesowych i intelektualnych nie musiała dziwić obecność przy stole pani domu. Tradycyjnie do stołu zasiadali jednak tylko mężczyźni. Pozostali domownicy czekali na swoją kolej, a po nich służba. I to przy obfitości potraw, których nadwyżki były odbierane przez stowarzyszenia charytatywne i dzielone wśród biednych. Zgodnie z tradycją Saudyjki z bogatych rodzin nie jadły na proszonych przyjęciach, by „nie pomyślano, że brakuje im w domu”.

Od czasu zagospodarowywania rezydencji i ja regularnie zapraszałem gości. Oferowaliśmy głównie lżejsze dania polskie, z wyłączeniem wieprzowiny, która w przeciwieństwie do Iraku czy Jordanii nie była w żadnej postaci dostępna na rynku. Edward Stankiewicz, wspierany przez żonę, osiągnął w tym zakresie finezję, rozwijając doświadczenia irackie. W roli kelnerów występowało zatrudnione w rezydencji małżeństwo – Senait i Takhaste, a niekiedy również lokalni pracownicy Ambasady ze Sri Lanki – Falil i Anton. Przy większych imprezach zawsze łączyliśmy catering z Sheratona z wkładem własnym, przyrządzanym w szerszym polonijnym gronie. Wizytom z Polski towarzyszyły każdorazowo koktajle wydawane dla danego środowiska gospodarzy. Na jednym z pierwszych spotkań w niewielkim gronie zjawiała się samotna dziennikarka saudyjska z lokalnej telewizji, co samo w sobie było ewenementem. Z uwagą pomogłem jej zdjąć czarną pelerynę i zapytałem, co wypije. W krajach arabskich zawsze można oczekiwać zaskoczenia, ale uwagi kobiety, że w tym miejscu najbardziej oczywisty jest kieliszek polskiej wódki, skądinąd logicznej, rzeczywiście się nie spodziewałem! I wiedziała, że najlepsza jest „Wyborowa”. Polska wódka zawsze była w barku, choć serwowana bardzo oszczędnie, najczęściej przed otwarciem bufetu lub przejściem do stołu, w minikieliszkach ustawionych na platerowanej tacy, równolegle do identycznego rzędu z wodą „dla niepijących”. Napoje wyróżniały czerwony i biały kwiatek. Poczucie wspólnoty było na tyle silne, że niektórzy po wypiciu wody czuli się podchmieleni. Na koniec był zawsze mazagran, polska kawa, znany z irackich stronic książki. Corocznie organizowaliśmy w rezydencji dwa przyjęcia narodowe, uzupełniając szczupłość budżetu pomysłami, a niekiedy korzystając z cichego wsparcia dobrych ludzi polskiego biznesu. Niezapomniany był wieczór 11 listopada 2000 roku, z udziałem marszałek Grześkowiak, delegacji parlamentarnej, dużej grupy biznesowej i dziennikarzy, a jednocześnie bezprecedensowego szczebla miejscowych gości. Obecność dostojników była jednak warunkowana niepodawaniem alkoholu. Zapewniłem, że go nie zobaczą, wiedząc, że oficjele przyjadą punktualnie zaraz po ekipach telewizyjnych i opuszczą przyjęcie przed upływem godziny. Taka praktyka pozwalała na dopuszczalny kompromis, wyznaczany czasem otwarcia baru. Ponadto alkohol był podwójnie niewidzialny. Serwowaliśmy go tym razem wyłącznie z pojemników z kranikami, w trzech wersjach gotowych drinków – na bazie czystej wódki, żubrówki i dżinu, odpowiednio z sokiem

pomarańczowym, jabłkowym i tonikiem. Z tymi pojemnikami był duży problem.

Dyrekcja Sheratona jak ognia bała się podejrzania, że wykorzystywane są ich restauracyjne pojemniki do soku, co groziło zamknięciem hotelu. W końcu sami znaleźliśmy rozwiązanie, za co hotel odwdzięczył się prezentem w postaci zestawu dużych podświetlonych rzeźb z lodu, łącznie z orłem, który wprawdzie pocił się w temperaturze ponad 30 stopni, ale za to nie trzeba było go kroić. Przyjęcie odbywało się wieczorem w ogrodowej części posesji, świeżo zagospodarowanej, choć kilkumetrowe podświetlone palmy daktylowe sprawiały wrażenie zasiedziały. Elementem kompozycji była wielopiętrowa patera z pudrowanymi faworkami ułożonymi w choinkę, też zabronioną. Był to jeden z naszych wyróżników. Zawsze robiliśmy więcej faworków, by następnego dnia rozesłać je w paczuszkach osobistościom, które nie skorzystały z zaproszenia, wraz z listem wyjaśniającym, że jest to tradycyjny polski produkt ludowy, przygotowany przez panie z polskiej społeczności. Pilnowaliśmy przy tym, aby nie była to partia z dodatkiem spirytusu. Gest robił wrażenie, wyrażane podziękowaniami. Przy okazji ktoś odkrył, że podobne słodczyce jeszcze w XIX w. robiły Beduinki. Sprawę nagłośniły media, podkreślając podobieństwo tradycji. Niejeden z moich kolegów zgrzytał zębami. Tak jak w przypadku, gdy dyrektor z saudyjskiego MSZ uściskał mnie serdecznie w większym gronie ambasadorów, mówiąc, że „przez cały Ramadan będzie tęsknić za smakiem polskiej kawy”. Eleganckie termosy z mazagranem stały zawsze w sąsiedztwie faworków i rzeczywiście przyciągały wielu gości jak magnes, nawet już po pożegnaniu się cofających z drogi do czekających przy podjeździe samochodów.

Przebojem omawianego przyjęcia miała być jednak beczka bezalkoholowego piwa przywiezionego z Polski samolotem specjalnym. Ku zdziwieniu wtajemniczonych Pani Marszałek wyraziła na to zgodę. Założeniem było, że piwo dostaniemy bezpłatnie, w zamian za promocję. Zamiast tego sam „zapieniłem się” po rozmowie z prezesem czołowego browaru. Wprawdzie gotów był sprezentować nawet kilka beczek, ale wykluczył promocję, ani kropla tego napoju nie była bowiem produkowana w Polsce. W trakcie wizyty miało miejsce jeszcze jedno szczególne wydarzenie: Szefowa delegacji chciała uczestniczyć w niedzielnej

mszy świętej, zamierzając zabrać ze sobą kapelana. Przyjęła jednak zapewnienie, że o księdza zadbam sam. Ściągnęliśmy go z jednej z amerykańskich baz wojskowych. Na tę okazję salon rezydencji zamienił się w kaplicę. Podkreślało to jego wielofunkcyjność. Gościł bowiem również lokalnie organizowane koncerty pianistyczne. Był miejscem pierwszej ceremonii ślubu – Lidii i Samira Ibrahimów, obojga wielce zasłużonych dla promocji polskich interesów w Królestwie. Podczas mojej misji jeszcze jedno przyjęcie narodowe odbyło się w ponadprzeciętnym wymiarze i oprawie i również do dzisiaj jest wspomniane przez uczestników. Odbyło się to w listopadzie 2003 roku. Wśród gości była ponad pięćdziesięcioosobowa delegacja rządowo-biznesowa towarzysząca wicepremierowi Markowi Polowi i równie wysoka reprezentacja gospodarzy. Wizyta zainaugurowała praktykę posiedzeń dwustronnej komisji międzyrządowej. Tym przyjęciem żegnałem się z Arabią Saudyjską, choć... wcale tak być nie musiało! Ale o tym nieco dalej.

W kontaktach z powołaniem wykorzystywałem wiedzę o regionie, łączoną z doświadczeniami polskiej historii i transformacji. Z pewnym zdziwieniem odkrywałem chłonność intelektualną miejscowego środowiska, mimo historycznego drenażu zasobów ludzkich z tego obszaru i zaniedbań edukacyjnych. Zapotrzebowanie na szerszą debatę wzrosło po 11/9. W niewielkim stopniu wykraczała ona jednak poza elity, a poza tym nie mogła naruszać tabu – roli rodziny panującej i ortodoksyjnej wersji islamu. Przy bliższym poznaniu się w szerokim gronie rozmówców opadały jednak bariery nieufności i poprawności do przyznawania się do ateizmu i spraw wrażliwych włącznie. Po jednej z dyskusji zostałem zaproszony do uniwersyteckiego muzeum archeologicznego, znanego tylko wtajemniczonym, w obawie przed zniszczeniem przez aktywistów religijnych bogatych zbiorów dokumentujących świetność okresu przedislamskiego. Tereny pustynne i suche doliny rzek obfitowały w artefakty, jedynie sporadycznie trafiające do państwowych agencji. Pretensje do nich rościli sobie lokalni Beduini, nie wahający się użyć broni, by przepędzić intruzów. Kontakt ze środowiskiem religijnym był trudniejszy, ale i tam natykałem się na wielu otwartych i względnie liberalnych ludzi. A nawet samokrytycznych i z poczuciem humoru. To od nich usłyszałem dowcip o wkładzie ulemów w dyskusję na temat modernizacji kraju – ich zespół na początek chciał ustalić, czy seks to przyjemność, czy praca. Po zaciekłym sporze zgodzono się, że gdyby

to była praca, to Saudyjczycy do jej wykonania najmowaliby cudzoziemców. Inna historia mówiła o reakcji Boga na zarządzoną modlitwę o deszcz. Wszechmogący przyjrzał się proweniencji modlitewników w Rijadzie i... zesłał opady na Bangladesz i Pakistan. Niemniej niektóre poruszane w dyskusjach kwestie były trudne do przyjęcia przez miejscowych, z relacjami wczesnego islamu z judaizmem oraz istnieniem kiedyś więcej niż jednej Ka'aby na czele. Z każdym rokiem przybywało jednak ludzi gotowych przyznać, że niektóre wersety koraniczne odnoszą się do konkretnego czasu i miejsca, co dzisiaj jakby powoli staje się promowaną w Rijadzie linią, przynajmniej jeśli chodzi o reinterpretację zawartego w Koranie negatywnego obrazu Żydów. W takich momentach mówiliśmy w ambasadzkiem gronie, że znów mury oddzielające Saudyjczyków od świata zewnętrznego jakby stawały się dla nas niższe. Pod koniec mojego pobytu w Arabii kilku „starych znajomych” z kierownictwa Światowego Zrzeszenia Młodzieży Muzułmańskiej zgotowało mi niespodziankę prawie na miarę świętego kamienia. Zostałem zaproszony na *iftar*, kolację ramadanową, zorganizowany na pustyni w rejonie Hurajmili, jakieś sto kilometrów od Rijadu. Po drodze zaprezentowano mi miejsce, gdzie jeszcze w czasach współczesnych stał kościół, po którym pozostał zakopany dzwon. Uczestnikiem kolacji był prawnuk ostatniego dzwonnika.

Wśród setek moich saudyjskich rozmówców szczególne miejsce zajmował książę Talal bin Abdulaziz. Niedługo przed moim przyjazdem pozwolono mu wrócić do Arabii z wieloletniej emigracji. W połowie lat 50. XX wieku stał na czele grupy książąt-reformatorów, postulujących między innymi wprowadzenie monarchii konstytucyjnej, głębokie reformy modernizacyjne, unowocześnienie systemu edukacji, utworzenie lokalnego i zawodowego samorządu, równouprawnienie kobiet. Grupa zyskała miano „czerwonych książąt”, zero poparcia Zachodu i na kilka dekad wilczy bilet w ojczyźnie. Książę Talal został wyłączony z kolejki do tronu, ale poglądów nie zmienił, choć publicznie prezentuje je ostrożnie. Polskę traktował jako laboratorium transformacji i każdorazowo zasypywał mnie pytaniami. Pokłosem tych wielokrotnych spotkań było zorganizowanie w Warszawie w 2004 roku przez Fundację Księcia zarejestrowaną w Kuwejcie – AGFUND, światowej gali rozdania nagród za najlepsze projekty edukacyjne. Książę w ostatniej chwili musiał zrezygnować z przyjazdu ze względów zdrowotnych, delegując

syna. Może i dobrze, bo zabiegi Fundacji o wykorzystanie imprezy do nawiązania współpracy z polskimi organizacjami pozarządowymi spaliły na panewce. Żałuję, że to nie o Księciu pomyślano, szukając w 2017 roku saudyjskiego kandydata do Nagrody Sacharowa. Mógł do niej też pretendować Dżamal Chaszogdźi, od dawna reprezentujący nurt reformatorski, który podczas mojej misji kierował dziennikiem Arab News.

Saudyjczycy bez entuzjazmu podejmowali temat ataków terrorystycznych 11/9, nie od razu dostrzegając ich dalekosiężne konsekwencje. Pamiętali, że bazę dla powstania Al-Kaidy ich służby stworzyły wspólnie z amerykańskimi, i mieli wrażenie, że to współdziałanie nie zakończyło się wraz z usunięciem Rosjan z Afganistanu. Odnotowywali też, jaką pożywką dla międzynarodowego środowiska neokonserwatystów był atak na USA. Wstrząs, odczuwany przez cały świat, w mniejszym stopniu dotknął Królestwo, choć elity zdawały sobie sprawę z jego skutków regionalnych. Zamachy, wykonane z dominującym udziałem obywateli saudyjskich, stopniowo wymuszały reakcje władz – od zwrócenia uwagi na problem nędzy wśród rdzennej ludności kraju, po aktywny udział w światowej wojnie z terroryzmem, w tym poprzez kontrolę przepływów finansowych. Stworzono też program reedukacji i przywracania ekstremistów islamskich do normalnego życia, choć spóźniony i nie zawsze skuteczny. Rząd wolałby, żeby bojownicy, dla których był wrogiem nie mniejszym niż USA, zostali wyniszczeni poza granicami Królestwa, chyba że byłiby tam większym zagrożeniem dla jego wrogów. Potężne wrażenie pozostawiła natomiast dyskusja, która w 2001/2002 roku przetoczyła się przez zachodnie ośrodki analityczne na temat zachowanych w Arabii Saudyjskiej regionalizmów. Nie trwała długo, ale wzbudziła poważny niepokój możliwością dezintegracji państwa, w którym regiony zachowały poczucie tożsamości, a podporządkowana mniejszość szyicka coraz głośniejszymi domagała się swoich praw. W zaistniałej sytuacji przycichła sprawa reform i liberalizacji państwa, tym bardziej że zabrakło nacisków amerykańskiego sojusznika. W 2002 roku spotkałem się w Rijadzie z pełnomocnikiem Departamentu Stanu ds. naruszenia wolności religijnych, interesując się konsekwencjami jego wizyty dla wpisania Arabii Saudyjskiej na czarną listę. Rozmówca dostrzegł jednak stopniową poprawę sytuacji w tym zakresie, uzasadniając brak

zmiany statusu. Reformom nie sprzyjała także zaostrzająca się sytuacja w regionie i dobra koniunktura naftowa. Obalenie reżimu w Bagdadzie pozostawało stałym celem polityki saudyjskiej. Nie sądzę jednak, by przewidywano, że po dokonaniu tego w 2003 roku Irak bez widocznego amerykańskiego sprzeciwu zostanie zdominowany przez odwiecznego perskiego rywala i trzeba będzie rozpaczliwie szukać rozwiązań, by nie osaczył on Królestwa, rozciągając wpływy również na Syrię, Liban i Jemen oraz starając się „wyłuskać” innych sąsiadów. Atmosfera towarzysząca kolejnej oczekiwanej wojnie nie rzutowała na naszą bieżącą współpracę z Arabią Saudyjską. Przestraszeni byli natomiast cudzoziemcy, konfrontowani ponadto z coraz częstszymi zamachami na zamieszkiwane przez nich zamknięte osiedla, w tym dzielnicę dyplomatyczną. Uspokajaliśmy nastroje Polonii, podobnie jak wcześniej przed histerią „efektu roku 2000”, realistycznie oceniając skalę zagrożeń dla Arabii Saudyjskiej, niemniej podjęliśmy cały szereg działań prewencyjnych. Rozszerzyliśmy mailowy i telefoniczny systemem wczesnego ostrzegania i wymiany informacji, z którego korzystali również Polacy w krajach ościennych. Do komunikacji wykorzystywaliśmy także stronę internetową, jedną z pierwszych zbudowanych przez nasze placówki w regionie, a także zawierającą kalendarium najważniejszych wydarzeń w stosunkach dwustronnych.

Przed interwencją na Irak sprawdziliśmy trasy na wypadek napływu do Arabii Saudyjskiej uchodźców z Kuwejtu. Było to działanie niepotrzebne, gdyż taka perspektywa nie istniała, ale stanowiące sygnał, że Ambasada zachowuje czujność. Za karę ponieśliśmy straty. Wracając mercedesem z granicy kuwejckiej, wpadliśmy w burzę piaskową i trzeba było wymieniać zmatowione szkła reflektorów. Dobrze, że piasek nie zdarł lakieru. W warunkach intensywnej wojny propagandowej, poprzedzającej atak na Irak, wiele działań trzeba było podejmować na wszelki wypadek. Zarówno termin, jak „naftowe” motywy interwencji, można było dość precyzyjnie wskazać, słuchając amerykańskiej rozgłośni wojskowej, odbieranej w dzielnicy dyplomatycznej. Wskaźnikiem była narastająca propaganda wojenna. Robiliśmy „retransmisję” do Warszawy, uzupełniając ją moimi opiniami, że oskarżenia o posiadanie przez Irak broni chemicznej są nadużyciem. Udział Polski w interwencji nie miał dla nas w Arabii Saudyjskiej żadnych reperkusji, choć w korpusie znalazło się paru dyplomatów z państw

azjatyckich lub ich żon, którzy traktowali mnie jako współwinowajcę. Nie mogłem się zachować jednak jak mój kolega wysłany w ramach interwencji Układu Warszawskiego do Czechosłowacji, który uspokoił protestujący tłum, krzycząc: „k..., czy wy myślicie, że my tu jesteśmy dobrowolnie?!”. Należy podkreślić, że rząd polski z inicjatywy MSZ zadbał, by sąsiadom Iraku przedstawić motywy decyzji o udziale w koalicji. Do poszczególnych stolic udał się minister spraw zagranicznych lub jego zastępca jako specjalny wysłannik Prezydenta RP. W Rijadzie w takim charakterze w czerwcu 2003 roku przebywał wiceminister Bogusław Zaleski. To wówczas otrzymałem propozycję kierownictwa resortu objęcia stanowiska dyrektora Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu, na miejsce przygotowującego się do wyjazdu na placówkę Jana Natkańskiego, który towarzyszył Ministrowi.

Przepracowałem w Rijadzie cztery lata, typowy okres rotacji. Nie udało się wrócić wcześniej, choć chciałem, zgodnie z pierwotnym planem, a nawet ustaleniami. Po roku pobytu miałem pewność, że zrealizuję program działania w połowie misji. 8 września 2000 roku przesłałem ministrowi Władysławowi Bartoszewskiemu „raport postępu”, z prośbą o zaplanowanie odwołania na wczesną wiosnę 2002 roku. Adresat wyraził jedynie zrozumienie. Praktyczne działania w tym kierunku podjął dopiero minister Włodzimierz Cimoszewicz, ustalając odwołanie na koniec 2003 rok. W międzyczasie nadano mi stopień dyplomatyczny ambasadora tytularnego.

Mało brakowało, by moja misja została przedłużona na kolejny rok. W listopadzie 2003 roku minister w Kancelarii Prezydenta RP, Andrzej Majkowski, sondował zaplanowanie oficjalnej wizyty prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w Arabii Saudyjskiej w grudniu tego roku, wykorzystując posiadane zaproszenie. Okazją miał być świąteczny wyjazd do Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku. Na szczęście był to okres, kiedy Kancelarię Prezydenta i MSZ można było przekonać racjonalnymi argumentami. Zgodzono się z moją opinią, że jest uzasadnienie dla zaplanowania oddzielnej wizyty w Rijadzie, w połączeniu z odwiedzeniem sąsiednich monarchii naftowych, gdzie również nigdy wcześniej nie było polskiej wizyty tego szczebla. Uwzględniając czas na dobre przygotowanie i koordynację, taką podróż można było zrealizować kilka miesięcy później, co faktycznie nastąpiło.

Moja terminowa rotacja nie tylko nie komplikowała takiego planu, ale dawała możliwość jego realizacji z moim udziałem. Zmieniający mnie ambasador Adam Kułach był przygotowany do niezwłocznego podjęcia misji (dłuższe funkcjonowanie placówki bez ambasadora z reguły powoduje trudne do odrobienia straty, z czego decydenci nie zawsze zdają sobie sprawę). Jako referent ds. regionu Zatoki w MSZ pomyślnie przeszedł w ciągu kilku lat trudną saudyjską szkołę i znał problematykę na wylot. Nasze drogi zresztą jakoś się zahaczały. Mój brat, jako świeżo upieczony wikary sosnowieckiej parafii, odwiedził po kolędzie jego rodzinę i dowiedział się, że rozmawia z moim młodszym kolegą studiującym w MGIMO. Po zakończeniu misji w Rijadzie, podczas której zmarła mu żona, został tam jako ambasador UE, przeniesiony na drugą kadencję do Dżibuti. W 2017 roku byłem na jego ślubie z Wiktoria.

Moje wizyty pożegnalne stanowiły element przygotowania wizyty prezydenckiej. W tym czasie do Warszawy udał się jeszcze nowy przewodniczący Zgromadzenia Doradczego, szejk Saleh bin Humajda, co stworzyło okazję do przeglądu całokształtu stosunków i utrwalenia dobrej atmosfery współpracy. Polskę odwiedziła też grupa studyjna redaktorów naczelnych saudyjskich mediów. Przyjął mnie regent, książę Abdullah bin Abdulaziz, zapowiadając odwzajemnienie prezydenckiej wizyty (przyjechał do Warszawy 25–26 czerwca 2007 roku, już jako król). Elementem tworzenia klimatu do tej wizyty było sfinansowanie przez monarchę operacji rozdzielania polskich bliźniaczek syjamskich z Janikowa, Darii i Olgi. Miałem okazję rozmawiać z Królem podczas jego pobytu w Polsce, dzięki ministrowi w Kancelarii Prezydenta, śp. Mariuszowi Handzlikowi, mimo iż nie byłem już wtedy dyrektorem departamentu i poza MSZ. Obiad pożegnalny dla mnie wydał saudyjski wiceminister spraw zagranicznych i pojawił się punktualnie. Kilka miesięcy później otrzymałem Order Króla Abdulaziza I Klasy, jako pierwszy od kilkunastu lat odznaczony nim ambasador w Rijadzie i pierwszy Polak. Kawalerami tego orderu, oczywiście najwyższej klasy, są również śp. prezydent Lech Kaczyński oraz prezydent Donald Trump.

31 listopada 2003 roku zakończyłem misję, przekazując kierownictwo placówki radcy Andrzejowi Woźniakowi. Mogłem zamknąć raport dla MSZ z wykonania misji. Po raz pierwszy z placówki wracałem

samochodem, na dodatek w pojedynkę. Mój renault mégane pojechał na lawecie na granicę jordańską, a ja doleciałem samolotem do Tabuk. Zostawiałem solidnie zbudowaną w kilkuosobowym gronie konstrukcję stosunków polsko-saudyjskich. Do Warszawy dojechałem w nieco ponad tydzień. Po drodze, w Jordanii, Syrii i Turcji, korzystałem z gościnności ambasadorów Andrzeja Biery, Jacka Chodorowicza i Andrzeja Ananicza. W Serbii przenocowałem u kolegi, Józefa Kamińskiego, a na Węgrzech w pokoju gościnnym Ambasady. Przez Bułgarię i Słowację przejechałem tranzytem. W Tatry wjechałem wraz ze śnieżną zimą, na letnich oponach. Wystarczająco wcześnie, by włączyć się jeszcze w domowe przygotowania do Wigilii, Bożego Narodzenia i Nowego Roku oraz... nowych zadań w MSZ.



Rozdział dziewiąty

**DYREKTOR DEPARTAMENTU
AFRYKI I BLISKIEGO WSCHODU**

Warszawa, 2004–2006

PRIORYTETY I WYZWANIA

Minister Włodzimierz Cimoszewicz chciał umocnić resort, powołując na dyrektorów ważnych departamentów doświadczonych dyplomatów, mogących być partnerami dla Ministra. Szukając „pułkowników”, zwracał również uwagę na predyspozycje osobiste, posiadanie własnego zdania, wykazywaną skuteczność i umiejętność konstruktywnej współpracy. Dyrektor, tak jak ambasador, miał mieć kompetencje, wyobraźnię oraz odwagę, by zgłaszać Ministrowi swoje obiekcje na etapie podejmowania decyzji, merytorycznie je uzasadniając, oczywiście bez przesadzania konkluzji. Elementami tego podejścia były także staranny dobór podsekretarzy stanu nadzorujących poszczególne pionki i merytoryczna selekcja pracowników komórek bezpośrednio obsługujących szefa resortu, w tym Gabinetu Ministra, Biura Rzecznika i Gabinetu Politycznego, z którymi Departament współpracował na co dzień. Problematyka blisko-wschodnia, nadzorowana z dużym wyczuciem przez podsekretarza stanu Bogusława Zaleskiego, dość niespodziewanie stała się w 2003 roku jednym z priorytetów polityki zagranicznej. Przyczyniło się do tego głównie nasze zaangażowanie militarne w Iraku, wraz z rosnącym znaczeniem Izraela i zwiększającą się skalą polskich interesów w naftowych państwach regionu. Minister widział również potrzebę bardziej aktywnego zajęcia się Afryką Subsaharyjską. Ponadto oba regiony, bliskowschodni i afrykański, odgrywały ważną rolę w polityce Unii Europejskiej, co należało uwzględnić w przeddzień akcesji.

Kierownictwo Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu objąłem 16 stycznia 2004 roku, jako „pełniący obowiązki dyrektora do czasu rozstrzygnięcia konkursu na to stanowisko”, który zresztą nigdy nie został zorganizowany. Zastąpiłem praktycznie z dnia na dzień Jana Natkańskiego, mianowanego ambasadorem w Kairze. Warto odnotować, że nominację otrzymałem mimo krytycznego stosunku do uwarunkowań sojuszniczej interwencji w Iraku i publicznie prezentowanych wątpliwości co do realności rozbudzonych w Polsce oczekiwań na lukratywne korzyści gospodarcze w tym kraju. Jeszcze raz, *chapeau bas*, Panowie Ministrze. W oparciu o ocenę realiów po obu stronach i kontekstu sojuszniczego byłem przekonany, że w sferze biznesowej nie mamy w Iraku większych szans. Entuzjazm polskich przedsiębiorców

i urzędowa propaganda w sprawach irackich kontrastowały zresztą ze stonowanym podejściem naszego biznesu choćby do rynku saudyjskiego – stabilnego, z ogromnym popytem i gwarancjami płatności. W Polsce brakowało chłodnej kalkulacji, nie tylko w tej sprawie. W wielu środowiskach kierunek myślenia wyznaczały absurdalne słowa popularnej piosenki „Flaga na maszt, Irak jest nasz”, prezentujące neokolonialne mrzonki. Przeceniana była też nasza rola w wielonarodowej koalicji, gdzie w rzeczywistości byliśmy jednym z politycznych listków figowych, co w niczym nie umniejsza znaczenia operacji dla zdolności bojowej polskiej armii, doświadczeń, jakie stamtąd wyniosła oraz mądrości polskich wojskowych w układaniu stosunków z miejscową ludnością. Przyjmując propozycję kierowania Departamentem, wychodziłem z założenia, że w każdej sytuacji rola urzędnika państwowego polega na kompetentnym działaniu, zapewniającym w danych warunkach możliwie największe korzyści dla interesów kraju oraz minimalizującym zagrożenia i straty. O Iraku wspominam na początku, ponieważ był to przedmiot szczególnego zainteresowania kierownictwa państwa i opinii publicznej oraz temat, który na kilka lat zakłócił i zdominował funkcje Departamentu, choć bezpośrednio obsługą spraw irackich zajmowała się wydzielona w ramach tej komórki kilkuosobowa Grupa Zadaniowa, kierowana przez Jarosława Bratkiewicza. Uczestniczyłem w budowie podstaw polsko-amerykańskiej współpracy w Iraku, ale ówczesne moje intencje i oczekiwania twardo zderzyły się z późniejszym rozwojem wydarzeń.

Dobrze znałem Departament, jego problemy i związane z nim środowisko dyplomatów, z reguły doświadczonych i mających przygotowanie specjalistyczne. Miałem też świadomość koniecznych dalszych zmian w kształtowaniu relacji z państwami regionu, realizowanych od początku transformacji. Departament wymagał wówczas stabilizacji kadrowej, przesunięć strukturalnych, realizacji odkładanych od lat tematów, a także doprowadzenia do budowy stosunków z priorytetowymi i perspektywicznymi partnerami w oparciu o długofalowe programy. Czyli czegoś, co nazywamy polityką i czego nie robi się z dnia na dzień. Zmorą było zaabsorbowanie obsługą zadań bieżących, których skala, pilność i ważność w obfitującym w turbulencje regionie zmuszała do odsuwania na dalszy plan spraw analitycznych, koncepcyjnych i planistycznych. Niewielki zespół i tak często pracował na granicy

wytrzymałości. Przed przystąpieniem do realizacji bardziej długofalowych planów należało jednak zadbać o sprawy doraźne.

W momencie obejmowania przeze mnie stanowiska należało do nich między innymi przygotowanie wizyt prezydenta RP w Izraelu oraz w Arabii Saudyjskiej, Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Katarze i Kuwejcie, zaplanowanych na ostatnią dekadę marca. Od strony merytorycznej było to w całości zadanie departamentu terytorialnego, oznaczające wykonanie setek podstawowych i technicznych czynności. Przebieg i efekt wizyt, o ile miały one być czymś więcej niż punktem w rocznym sprawozdaniu, w zasadniczym stopniu zależały od wielomiesięcznych działań je poprzedzających, zaplanowania pracy zespołowej, wykorzystania placówek i zmotywowania partnerów krajowych.

Państwem priorytetowym był Izrael, niezależnie od dążenia do podtrzymywania zrównoważonych relacji z całym regionem. W 2004 roku stosunki z tym państwem były już odbudowane, ustabilizowane, kompleksowe i rozwijały się dynamicznie, również dzięki częstym kontaktom na najwyższych szczeblach. W przeciwieństwie do innych państw pozostających w gestii Departamentu Izrael miał wyraźnie sprecyzowane interesy w Polsce, dbał o nie i korzystał z życzliwej współpracy polskich podmiotów. Planowana wizyta była elementem kontynuacji, w odróżnieniu od precedensowej rundy Zatokowej Prezydenta. Dokonałem podziału obowiązków, powierzając zastępcy odpowiedzialność za rozmowy w Jerozolimie. Sam skoncentrowałem się na wchodzeniu w obowiązki i drugiej podróży. Jej celem było otwarcie kolejnego etapu budowy przez niepodległą Polskę stosunków z obszarem Rady Współpracy Państw Zatoki i przejście do bardziej złożonych form współpracy, w tym inwestycyjnej i finansowej, w ewentualnym powiązaniu z naszą obecnością w Iraku. Chodziło także o rozszerzenie bazy traktatowej i otwarcie w Warszawie kolejnych placówek dyplomatycznych, ale także rozeznanie warunków, jakie należało spełnić w Polsce, by szerzej wykorzystać potencjał kapitału naftowego. Było to naszą najważniejszą słabością, nigdy nie usuniętą. Wizyta dała silny impuls współpracy z Arabią Saudyjską, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Katarzem i Kuwejtem, zwłaszcza w sferze handlu, a także zdynamizowała stosunki w kolejnych latach w większości dziedzin, niestety bez liczących się inwestycji w Polsce. Zapoczątkowała także

regularny dialog na najwyższym szczeblu. W Rijadzie jednym z rozmówców prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego był czołowy inwestor światowy, książę Walid bin Talal, właściciel Kingdom Holding. Książę wyraził gotowość poważnych inwestycji „we wskazanym sektorze o znaczeniu cywilizacyjnym dla Polski”. Mimo zabiegów MSZ i poparcia Prezydenta, dobrze wyczuwającego znaczenie spraw ekonomicznych, resortom gospodarczym nie udało się przygotować stosownych propozycji. Polskie instytucje były przyzwyczajone, że inwestor zagraniczny ma już sprecyzowany pomysł i interesy oraz zna sposoby wprowadzenia ich w życie bez absorbowania agend rządowych. Nie widziały też potrzeby wypracowania rozwiązań systemowych pod kątem specyfiki kapitału arabskiego, wzorem państw zachodnich, choć miały świadomość, że w grę wchodzi dziesiątki miliardów dolarów. Tak więc Książę kontynuował swój światowy program biznesowy, do którego włączył Czechy, tracąc natomiast zainteresowanie Polską. Rozmowy w Katarze przyczyniły się w późniejszym okresie do zawarcia kontraktu gazowego, ale Katarczycy nie chcieli już wracać do propozycji sfinansowania budowy terminalu gazowego w Świnoujściu i inwestycji towarzyszących. Kuwejckich deklaracji odwdzięczenia się Polsce za udział w wyzwoleniu też nie skonsumowaliśmy. W przypadku ZEA po prezydenckiej wizycie nastąpił silny wzrost naszego eksportu. Polskie postrzeganie regionu stało się bardziej kompleksowe, zaś partnerzy zaczęli w większym stopniu doceniać rosnące znaczenie naszego kraju, czego wyrazem było ustanawianie kolejnych ambasad w Warszawie – emirackiej, katarskiej i kuwejckiej.

Obie wizyty zostały bardzo dobrze ocenione. Powstała możliwość spokojniejszego podejścia do innych spraw. Departament włączył się w przygotowanie rządowej Strategii w odniesieniu do pozaeuropejskich krajów rozwijających się, przyjętej przez rząd 30 listopada 2004 roku, w późniejszym okresie uszczegółowionej podobnym dokumentem dla obszaru Afryki Subsaharyjskiej. Mimo słabości instrumentów wykonawczych i ograniczonego zaangażowania innych niż MSZ podmiotów dokumenty te przyczyniły się do rozszerzenia stosunków z wybranymi państwami. Istotnym wydarzeniem na kierunku afrykańskim była regionalna wizyta ministra Cimoszewicza w 2004 roku, wraz z grupą biznesmenów, pierwsza tego rodzaju. Rok później reaktywowana została placówka w Tanzanii, pomyślana jako

modelowa w zakresie pomocy rozwojowej i współdziałania z polskimi misjonarzami. W obszarze kompetencji Departamentu miała ona również stanowić laboratorium włączenia się naszych organizacji pozarządowych w projekty afrykańskie finansowane z funduszków rozwojowych i pomocowych UE, poprzedzone pomocą dla nich ze strony MSZ w przejściu złożonej procedury akredytacyjnej. Jeszcze niedawno taką akredytację posiadał tylko jeden polski podmiot.

Już w okresie poprzedzającym akcesję zostaliśmy włączeni w tryby potężnej biurokracji unijnej, przy czym najbardziej uciążliwe dla Departamentu było ciągle uzgadnianie stanowisk w najróżniejszych, często bardzo drobnych sprawach. Problem rozwiązaliśmy utworzeniem w połowie 2004 roku trzyosobowego specjalistycznego zespołu unijnego, nadzorowanego przez wicedyrektora. Do Brukseli jeździłem niechętnie, z uwagi na małą produktywność spotkań koordynacyjnych, odporność struktur unijnych na specyfikę regionu i bezpodstawną wiarę unijnych biurokratów w możliwość eksportowania tam demokracji. Podejście to stało się jedną z przyczyn krachu południowego wymiaru polityki Brukseli podczas Arabskiej Wiosny. Poza tym było co robić w Warszawie. Uzyskanie nowego etatu wicedyrektora do spraw organizacyjnych pozwoliło zharmonizować bieżącą pracę oraz otworzyć przestrzeń do poważniejszego zajęcia się pracą analityczną i koncepcyjną, a także usprawnić koordynację. Istotną zmianą było włączenie w 2004 roku do struktury Departamentu, wcześniej funkcjonującego samodzielnie, pełnomocnika Ministra ds. diaspory żydowskiej. Dla mnie było to okazją do bliższego zapoznania się z problematyką żydowską. Jednym z ważnych podejmowanych wówczas tematów była formuła Marszu Żywych, w którym jako dyrektor uczestniczyłem corocznie. Po analizie uzyskanych materiałów informacyjnych podjęliśmy wobec organizatorów starania o ich zobiektywizowanie oraz większe uwzględnianie w programie kontaktu z polską młodzieżą i współczesnością kraju. Kilkakrotnie, wspólnie z Maciejem Kozłowskim, omawiałem te sprawy z dyrektorem Marszu, Avrahaemem Hirschonem. Stopniowo następowała w tym zakresie pozytywna ewolucja, choć priorytet narodowego formowania młodych Żydów z Izraela i diaspory, w dużej części przygotowanych do odbycia obowiązkowej służby wojskowej w Izraelu (i na terytoriach okupowanych), miał własne uwarunkowania.

Organizacyjnie zaczęliśmy łąpać oddech. Opracowaliśmy listę zaległych spraw, kolejno realizując jej punkty. W 2005 roku do ZEA wyjechał ambasador RP. Nastąpiło to po ośmiu latach przerwy od zakończenia misji profesora Andrzeja Kapiszewskiego. Przy Autonomii Palestyńskiej akredytowany został przedstawiciel RP (Piotr Puchta), co było realizacją rządowych deklaracji składanych od szesnastu lat. W 2006 roku powstała Ambasada RP w Doha, wyłącznie dzięki doprowadzeniu do zaakceptowania przez Kierownictwo MSZ ponawianej wcześniej kilkakrotnie propozycji rządu Kataru bezpłatnego oddania na potrzeby naszej misji nieruchomości i pokrycia niektórych innych kosztów przez okres dwóch lat. Pod kierownictwem Roberta Rostka placówka szybko uzasadniła sens istnienia i znalazła trwałe miejsce w rodzimym budżecie. Dwa lata później Katarczycy zrewanżowali się ustanowieniem regionalnej placówki w Warszawie, a od 2012 roku narodowy przewoźnik katarski oferuje atrakcyjne połączenia z lotniska imienia Fryderyka Chopina, konkurując z operatorem emirackim. Przez wiele miesięcy Departament intensywnie pracował nad stworzeniem warunków do korzystnego uregulowania sprawy wzajemnych roszczeń finansowych z Libią, sięgających czasów PRL, trochę wychodząc poza kompetencje. Porozumienie zostało sfinalizowane podczas wizyty premiera Marka Belki w Trypolisie w 2005 roku i doprowadziło do normalizacji stosunków z tym krajem, o co znacznie wcześniej zadbały inne państwa UE. Wspólnie z dyrektorami zainteresowanych firm, w tym Stefanem Bekirem Assanowiczem, pomogliśmy resortowi finansów wynegocjować kwoty należne przedsiębiorstwom znacznie powyżej pułapu wskazanego w instrukcji negocjacyjnej. Niemal niezwłocznie po tym otrzymaliśmy ofertę realizacji wielomilionowego projektu konwersji libijskich zakładów produkujących w przeszłości broń chemiczną na cele pokojowe, z zaangażowaniem finansowym USA. Zabiegi o jej podjęcie, dokonywane przy współdziałaniu Krzysztofa Patureja, autorytetu w dziedzinie nieprolifracji broni chemicznej, nie zmieniły jednak negatywnego stanowiska polskich podmiotów. Oddaliśmy pole zachodniej konkurencji.

Zmianom strukturalnym towarzyszyły korekty w systemie wyznaczania zadań, realizacji funkcji informacyjnych, monitorowania i koordynacji działalności podległych placówek. Stawialiśmy nacisk

na większą konkretyzację i odpowiedzialność, na sprawy gospodarcze, szybkość reagowania, odejście od fasadowości oraz pełniejsze wykorzystanie potencjału zespołów pracowniczych. Jedną ze starych bolączek była merytoryczna zawartość szyfrogramów, które wielu ambasadorów traktowało jako instrument przypominania o swoim istnieniu, zapominając o obowiązujących kryteriach – ważności, pilności i tajności. W wielu przypadkach przegadane i nieprzemysłane były również clarisy, czyli otwarte depesze. Przypominanie zasad „według rozdzielnika” nie zawsze skutkowało, ale pierwsze indywidualne zwrócenie uwagi – już tak. Zastanawiająco szybko zadziałała poczta pantoflowa. Zauważono, że korespondencję ktoś czyta i merytorycznie ocenia, a żaden ambasador, łącznie z nominatami politycznymi, nie jest świętą krową. Po pewnym czasie zrozumiano też, że nie chodzi o polowanie na czarownice, ale lepsze wykorzystanie już nieźle opłacanej służby. Doświadczenie pracownicze i z kierowania placówkami ułatwiało mi uczciwe ocenianie nadzorowanych ambasadorów oraz własnych współpracowników, w czym cieszyłem się życzliwym wsparciem przełożonych. Pomagała też znajomość sztuczek stosowanych przez wielu dyplomatów celem osiągnięcia oczekiwanego efektu w kraju oraz sposobów ukrywania przed centralą wrażliwych spraw i zabiegania o partykularne interesy. Ukrócenie złych przyzwyczajzeń mogło być bolesne, ale stanowiło konieczność. Nie było powodu, by akceptować propozycję nieprzygotowanej i niepotrzebnej wizyty oficjalnej lub praktykę podróży ambasadora samolotem do sąsiedniej placówki tylko po to, by przeczytać tam nieistotny, kierowany na cały świat, szyfrogram informacyjny z MSZ, a także prób kreowania rzeczywistości w przekonaniu, że w centrali są sami idioci (często w MSZ odwzajemnianym). Bardziej kontrowersyjna była natomiast sprawa organizacji narad regionalnych, na które moda upowszechniała się wraz ze wzrostem budżetu MSZ od 2004 roku. Wnioskodawców i potencjalnych uczestników prosiłem o wyspecyfikowanie tematów takich spotkań, których nie można podjąć korespondencyjnie lub omówić przy okazji corocznych narad w Warszawie. Okazywało się, że łatwiej było rzucić pomysł niż go racjonalnie uzasadnić. Wraz z wejściem do UE ciężar pieniądza w MSZ zmniejszył się dramatycznie, a ważenie kosztów i pożytków z działalności wyraźnie straciło na znaczeniu. Resortowa praktyka w tym zakresie zasługuje na publiczny audyt lub doktorat, na przykład zestawiający materiały dokumentujące przygotowanie, przebieg i konkluzje

regionalnych narad ambasadorów, konsulów i dyplomatów innych specjalności z ich budżetem.

Dyrektor Departamentu Terytorialnego miał w tamtym okresie wiele do powiedzenia, jeśli chodzi o obsadę etatów pracowniczych własnej komórki i podległych placówek. Mógł też zablokować ewidentnie złe pomysły kadrowe i trudno było wyobrazić sobie sytuację, by dostał do parafy niezgodniony dokument kadrowy już zaakceptowany przez przełożonego. Wymagało to oczywiście pewnej odwagi i determinacji, ale również po to Minister chciał mieć „pułkowników”. Biuro Kadr nie musiało być tym zachwycone, choć w ostatecznym rozrachunku i ono korzystało, dzięki ograniczeniu problemów w przyszłości. Niestety, takie sito nigdy nie było całkowicie szczelne. Na podstawie centralnej listy rotacyjnej typowaliśmy osoby wracające z placówek w danym roku, starając się przyciągnąć specjalistów i wyróżniających się pracowników. Departament oferował trudną, ale ciekawą i rozwojową pracę oraz transparentność oceniania i koleżeńską atmosferę. Był atrakcyjnym wyborem i dawał szansę przyspieszonego awansu, co potwierdza fakt, że w pierwszych dekadach transformacji większość stanowisk ambasadorskich w krajach kompetencji obsadzali jego pracownicy. Wraz z upływem lat, mierzonych czteroletnimi rotacjami, dochodziło jednak w departamencie do zakłócenia proporcji pomiędzy ilością wyższych i niższych stanowisk dyplomatycznych. Nie było tu dobrego rozwiązania, poza ewentualnym wykorzystaniem formuły służby cywilnej do delegowania doświadczonych pracowników do innych resortów i instytucji, na tak potrzebne stanowiska doradców do spraw współpracy zagranicznej. Rozbudowa etatowa komórek terytorialnych nie nadążała za zakresem działań oraz łatwością zwiększania obsady wszelkiego rodzaju funkcjonalnych biur, niekiedy do kuriozalnych rozmiarów. Wielu ambasadorów po zakończeniu misji dostawało stanowiska referentów, w większości akceptując je bez specjalnego narzekania. Również w dyplomacji należy kierować się zasadą, że przesiadka z mercedesa do tramwaju nie jest czymś nadzwyczajnym, nawet jeśli odwrotna perspektywa jest bardziej kusząca. Tak czy inaczej chętnych do pracy w Departamencie było więcej niż zwalnających się etatów, nawet na stanowiskach technicznych. Raz w tygodniu lub ad hoc robiliśmy krótkie robocze spotkania informacyjno-koordynacyjne dla wszystkich pracowników, w tym sekretariatu i kancelarii. Rzadko miałem powody

do nerwowego reagowania. Zespół co do zasady pracował wzorowo. Reprimendy były rzadkie i nigdy w trakcie sytuacji kryzysowej, a takie nie były niczym wyjątkowym. Istniała robocza atmosfera, a współpracownicy mieli też sposoby rozbrojenia mnie. Czy można kontynuować wyrzuty, gdy koleżanka, korzystając z tego, że muszę złapać oddech, nagle chwali mój krawat?

Typowanie kandydatów na ambasadorów w każdej służbie rządzi się własnymi prawami i może mieć miejsce bez jakiegokolwiek udziału Departamentu Terytorialnego. Ale nie radzę! Specyfika regionu kompetencji oraz występujące tam trudności i zagrożenia sprawiały, że osób przypadkowych trafiało tu stosunkowo niewiele. Niemniej nominacje polityczne powodowały często problemy, zwłaszcza na małych placówkach, do których niejednokrotnie przypisane były dodatkowe akredytacje (dla wielu mające ogromną siłę przyciągania). Państwa traktujące poważnie swe interesy zagraniczne stosują w takich przypadkach praktykę równoległego kierowania na zastępcę doświadczonego zawodowego dyplomaty w odpowiedniej randze oraz z twardymi kompetencjami. Na 2005 rok uzgodniłem z kierownictwem resortu bezprecedensowe rozwiązanie. Departament przedłożył ministrowi Cimoszewiczowi ze sporym wyprzedzeniem listę kandydatów z MSZ na podlegające rotacji stanowiska ambasadorów, wraz z uzasadnieniem. Uzyskaliśmy akceptację. Plan został w 100% zrealizowany, eliminując tradycyjne rozgrywki, „wychodzenie stanowiska” i personalną szarpaninę, oraz pozwalając zainteresowanym dobrze przygotować się do wyjazdu. Precedens nigdy nie został powtórzony, gdyż wymagał równoczesnego zaistnienia kilku czynników: mądrego kierownictwa resortu, konsensusu sił politycznych w polityce zagranicznej, odzwierciedlającego interes narodowy oraz inicjatywy i odpowiedzialności Departamentu Terytorialnego, posiadającego ugruntowaną pozycję. Dokonany wybór sprawdził się, z minimalnym marginesem błędu.

Obsada niższych stanowisk na placówkach nastroczała trudności, zwłaszcza gdy w MSZ znalezienie odpowiednich kandydatów na zwalniane się stanowiska nie było możliwe. W szczególności chodziło o takie piony, jak administracyjny czy ekonomiczny. Coraz częściej Ministerstwo uciekało się tu do rekrutacji zewnętrznej w ramach kontraktów do czterech lat, nie zawsze trafionej. Jednym z wymogów

na małych placówkach była wszechstronność pracownika, obsługującego różnicowane zadania, często przy ponadprzeciętnym obciążeniu.

Bolączką polskiej służby zagranicznej jest słabość jej wymiaru ekonomicznego. Struktury promocyjne, pozostające w gestii resortu gospodarki, oparte o wydziały promocji handlu i inwestycji, krewniaka starych biur radcy handlowego, działały autonomicznie i w dużym stopniu nie przystawały do nowej rzeczywistości (niniejsze uwagi nie dotyczą nowych rozwiązań wprowadzanych sukcesywnie od 2017 roku przez PAHiI, które chyba też będą wymagały modyfikacji, zwłaszcza poza obszarem OECD). Dyskusje o reformie umożliwiającej powstanie zintegrowanego systemu, z precyzyjnie określonymi kompetencjami resortów, nie przekształcały się w decyzje, między innymi z uwagi na rozbieżne interesy zainteresowanych ośrodków władzy, a może grup wpływów, oraz kontrowersje na linii resort gospodarki – MSZ. Deklarowana w różnych okresach ekonomizacja służby zagranicznej nie mogła przynieść oczekiwanych rezultatów bez rozwiązań systemowych w skali państwa. Doraźne tworzenie przez MSZ ekonomiczno-handlowych stanowisk pracy na placówkach podlegających MSZ nie zawsze było tak udane, jak w przypadku Rijadu. Przejęcie przez resort ponad stu etatów z Ministerstwa Gospodarki miało stanowić pierwszy etap reformy, która nie miała jednak dalszego ciągu. Pomyłką było również tworzenie pionów ekonomicznych w krajach, gdzie potrzebna była jedynie sprawna obsługa biznesowo-handlowa, a nie specjalistyczne raporty i analizy ekonomiczne, opracowane najczęściej na podstawie okresowych sprawozdań któregoś z banków i w MSZ odkładane na półkę. Sytuacji nie zmienił również pierwszy rząd Prawa i Sprawiedliwości, choć gotowy do parlamentarnego procedowania był projekt ustawy o Agencji Promocji Handlu i Inwestycji, zablokowanej przez spory kompetencyjne. Groteskowym przykładem efektów „ekonomizacji” było przekształcenie po kolejnej rotacji jednego z takich stanowisk na placówce azjatyckiej w etat kierowcy.

Departament nadzorował dwadzieścia bliskowschodnich i afrykańskich ambasad RP. Jednocześnie miał pieczę nad siedemnastoma placówkami dyplomatycznymi z tego obszaru działającymi w Warszawie, niezależnie od relacji z kilkudziesięciu ambasadorami z regionu akredytowanymi w Polsce z siedzibą w państwach ościennych. Byliśmy

dla nich głównym kanałem bieżącej komunikacji z polskimi władzami w sprawach dwustronnych. Istotnym ułatwieniem w kontaktach z ambasadorami grupy regionalnej na miejscu było wprowadzenie praktyki okresowych briefingów, organizowanych oddzielnie również dla dziennikarzy, w związku z ważniejszymi wydarzeniami, przy nieocenionym wsparciu zespołu rzecznika MSZ, w tym Pawła Dobrowolskiego i Justyny Lewańskiej. Ambasadorzy obcy wiedzieli, że są przyjmowani w Departamencie bez zwłoki, ale rozmowa jest planowana na pół godziny, czyli trzeba się streszczać. Część spraw załatwiana była przy okazji przyjęć. Musiałem selekcjonować zaproszenia, by co jakiś czas mieć wieczór wolny, ale chodziłem na wszystkie recepcje narodowe z obszaru kompetencji oraz większość imprez w węższym gronie. Udało się zachęcić wielu ambasadorów do większej aktywności i zainspirować coś w rodzaju rywalizacji między nimi w sprawach dwustronnych. Znaczenie problematyki regionalnej powodowało również, że częstymi gośćmi w Departamencie byli dyplomaci państw zachodnich i innych zainteresowanych Bliskim Wschodem, nie wykluczając ambasadora USA, Christophera R. Hilla (na dalszym etapie kariery reprezentował swój kraj w Iraku). Spośród „własnych” ambasadorów najbardziej aktywny był izraelski – David Peleg, który z pożytkiem zerwał z praktyką swego poprzednika, Szewacha Weissa, załatwiania wszystkich spraw ponad Departamentem, a także saudyjski – Osama Sanusi. Swoim imieniem wywołał w 2002 roku nieco zamieszania w stolicy Dolnego Śląska, gdy lokalna gazeta dała na pierwszej stronie wielki tytuł *Osama we Wrocławiu*, budzący pierwsze skojarzenie z bin Ladenem. Z nazwiskami ambasadorów i nazwami państw często łączą się anegdotyczne historie. Ambasador Czarnogóry opowiadał mi, że starał się nie używać polskiej nazwy kraju po tym, jak przedstawiony w ten sposób podczas spotkania w Zakopanem usłyszał z sali: „cholera, żeby taka góralska wiocha miała swego ambasadora w Warszawie!”

Polityczne zainteresowanie korpusu spoza regionu koncentrowało się na sprawach irackich, co wynikało zarówno z posiadania przez Polskę w Iraku własnej strefy odpowiedzialności, jak i bardzo częstych wyjazdów najwyższych osobistości polskich do tego kraju. Stanowiły one okazję do kontaktów z gospodarzami, wykorzystywaną w różnym zakresie. Kuwejt w pierwszym okresie był traktowany zasadniczo wyłącznie jako konieczny punkt przesiadkowy w drodze do Bagdadu.

Wystawiało to Kuwejczyków na próbę wrażliwości, od dawna testowaną przez amerykańskich sojuszników. Miałem okazję przekonać się o tym osobiście w 1998 roku. Jako wicedyrektor Departamentu pojechałem wówczas do Kuwejt z przedstawicielem MON w związku z otrzymaniem od władz amerykańskich sugestii pilnego wysłania tam polskiego specjalistycznego pododdziału chemicznego. Na tę okoliczność zostałem wyposażony w telefon szyfrujący, z którego nigdy więcej nie korzystałem, mimo że jako pełny dyrektor miałem własny bardzo drogi aparat przechowywany w kasie pancерnej. Amerykanie oczekiwali domniemanego irackiego ataku na Kuwejt, z użyciem broni chemicznej, której rzekome posiadanie przez Saddama Husajna Waszyngton starał się uwiarygodnić. Nasi kuwejccy rozmówcy w MSZ i MON, po pierwsze, nie widzieli zagrożenia. Po drugie, zwrócili uwagę, że należałoby na początek podpisać bilateralne porozumienie o stacjonowaniu wojsk (SOFA) lub uzgodnić aneks do analogicznej umowy amerykańskiej. Ze źródeł dyplomatycznych ustaliliśmy, że żołnierzy plutonów chemicznych z Kanady i Australii, które się pośpieszyły, nie wpuszczono do Kuwejt, odmawiając wydania wiz na lotnisku lub zgody na lądowanie samolotu wojskowego. Ostatecznie przyjeżdżali rejsowymi lotami jako cywile. „Allah sprzyja cierpliwym”, a jeszcze bardziej ostrożnym! Uniknęliśmy wpadki, a wkrótce po powrocie do Warszawy sprawa okazała się nieaktualna. Podczas pobytu w Kuwejcie usłyszałem sporo przykładów afrontów czynionych przez sojuszników miejscowym dygnitarzom, najwyższych nie wykluczając. W naszym przypadku zaplanowanie podczas podróży polskich polityków przynajmniej kurtuazyjnej rozmowy „w tranzycie” z kuwejckimi politykami wymagało jedynie inicjatywy i technicznych korekt. Dzięki temu polskie delegacje mogły korzystać z ponadstandardowej gościnności gospodarzy oraz podejmować sprawy bilateralne. Niektóre podróże organizowane „w parze” miały charakter wizyt oficjalnych, w tym premiera Marka Belki w Iraku i Kuwejcie w 2004 i 2005 roku. Ta ostatnia uzyskała dodatkowo wymiar historyczny poprzez dodanie trzeciego etapu.

Po rozmowach w Bagdadzie Premier RP odwiedził 27 lipca 2005 roku iracki Kurdystan, jako pierwszy tej rangi zagraniczny polityk oficjalnie wizytujący rodzące się w bólach państwo kurdyjskie. Na tym odcinku przelot odbył się herkulesem oddanym do dyspozycji delegacji przez armię amerykańską. Po zmasakrowanej wojną stolicy Iraku

Irbil zaprezentował się nam jako oaza spokoju i porządku. Gospodarze nadali wizycie najwyższą rangę. Na lotnisku zabrzmiał hymn „(...) Kurdowie jeszcze nie zginęli”. Rozmowy z prezydentem Masudem Barzanim i premierem Nechivanem Barzanim ujawniły istotny potencjał stosunków, w dużym stopniu wykorzystany w kolejnych latach, również dzięki zaangażowaniu przedstawiciela Regionalnego Rządu Kurdystanu w Polsce, Ziada Raufa. Wracając do Polski, premier Marek Belka przeprowadził w Stambule rozmowy z przywódcami tureckimi, zamykając okres chłodu w relacjach dwustronnych na tle podejścia do odpowiedzialności za ludobójstwo Ormian.

Każdorazowo wracałem z Iraku przygnębiony. Kraj już w okresie mojego pobytu był w marnej kondycji, ale chaos, bezhołowie, dezintegracja i korupcja, panujące po obaleniu reżimu, przekraczały wszelkie wyobrażenia. Demontaż struktur państwa, rodzące się milicje wyznaniowe i etniczne, represje wobec ludności sunnickiej, tendencje dezintegracyjne oraz stan gospodarki zapowiadały pogłębienie katastrofy. Amerykanie nie skorzystali ze zwycięskiej wojny, by narzucić proces demokratyczny, podobnie jak miało to miejsce w przypadku Niemiec i Japonii. Co więcej, konstytucja zadekretowana przez Lewisa Paula Bremerera, cywilnego administratora kraju, wypychała parlament iracki w permanentne rozgrywki na bazie wyznaniowej. Elementy konstruktywnej roli polskiej dyplomacji z początku lat 90. odeszły do lamusa, a sama dyplomacja jako sposób rozwiązywania problemów przestała w Iraku mieć jakiegokolwiek zastosowanie. W sprawach bilateralnych brakowało konkretów. Jedynym wyjątkiem pozostawał duży kontrakt na transportery opancerzone, choć odbiorców prowokowała nazwa „Dzik”, kojarzona z nieczystym stworzeniem, a okoliczności finansowe transakcji do dziś są przedmiotem śledztwa w Bagdadzie. Kontrowersyjnym posunięciem było ulokowanie polskiej bazy wojskowej w historycznym Babilonie, a na dodatek paru archeologów z Polski było gotowych rozkopywać babilońską stolicę. Od pierwszych dni urzędowania starałem się wpłynąć na zmianę tego stanu rzeczy, pamiętając, że w moim kraju zaborca zamienił królewski Wawel w stajnie. W kwietniu 2004 roku bazę przeniesiono do Hilli. Był to okres najcięższych walk naszych żołnierzy z irackimi powstańcami, inspirowanymi przez skrajnie radykalnego Muktadę Sadra, który dekadę później wyrósł do rangi umiarkowanego męża stanu. Iracka Grupa Zadaniowa

pracowała z pełnym zaangażowaniem i wykonała zadanie w zakresie, w jakim było to możliwe. Patrząc na Irak z dzisiejszej perspektywy, bardzo trudno jednoznacznie podsumować ten okres. Na pewno jednak nie walczyliśmy o to, co stało się udziałem tego kraju.

Udział Polski w „wojnach Zachodu” na Bliskim Wschodzie, zaliczając do tego regionu również Afganistan, zmuszał do zwracania przez instytucje krajowe coraz większej uwagi na sprawy bezpieczeństwa, w tym zagrożenie terrorystyczne. W praktyce było ono wówczas w Polsce niewielkie, ale służby, nie tylko polskie, dmuchały na zimne. Udział specjalistów w gremiach międzyresortowych sprzyjał kompetentnemu ich procedowaniu. Dzięki temu przzerwano na przykład poważne dywagacje w związku z wyłowionym w Internecie przez służbę jednego z krajów skandynawskich materiałem mało znanej bliskowschodniej organizacji ekstremistycznej zawierającym profesjonalną analizę sytuacji w Polsce. Emocje na temat „posiadania przez terrorystów ekspertów od spraw polskich” i być może przygotowywanej akcji uległy schłodzeniu, gdy poprosiłem o arabski oryginał. Okazało się, że dokument zawierał na końcu napisaną małymi literami adnotację o wykorzystaniu materiałów ze strony internetowej Ambasady RP w Kairze. Sprawa zapachniała prowokacją. Przechylenie i chęć wykazania się czujnością przyczyniły się również do wielu chybionych akcji, w tym aresztowania na dłuższy czas tureckiego Kurda prowadzącego interesy w Polsce podejrzanego o przynależność do „Szarych Wilków”, organizacji tureckich ekstremistów zwalczających właśnie przedstawicieli jego narodu. Przypomniało mi to przypadek znajomego Jordańczyka, którego aresztowano w Syrii jako członka Bractwa Muzułmańskiego, na podstawie posiadania brody. Torturowano go parę tygodni, zanim przyjęto do wiadomości, że jest chrześcijaninem. Mieliśmy również do czynienia z co najmniej dziwnym uprowadzeniem Polki w Iraku, do którego służby musiały podejść z pełną powagą. Istotne zagrożenie dla polskich interesów mogło się wiązać z karykaturami proroka Mohammada, przedrukowanymi w dzienniku „Rzeczpospolita” na początku 2006 roku. W nocy poprzedzającej wydanie uprzedził mnie o tym jeden z ambasadorów arabskich. Natychmiastowa reakcja, z włączeniem ministra spraw zagranicznych oraz premiera – za pośrednictwem Ryszarda Sznepfa, wtedy ministra w Kancelarii RM – spowodowała, że jeszcze przed ukazaniem się dziennika PAP zamieściła

oświadczenie rządowe odcinające się od publikacji karykatur, rozesłane jednocześnie do wszystkich polskich placówek dyplomatycznych. Zapobiegło to oczekiwanym protestom.

Istotną słabością naszych stosunków z Bliskim Wschodem i Afryką było ich rachityczne zaplecze w kraju, na dodatek rozproszone i nieskoordynowane. Niezależnie od zwiększenia roli Departamentu z wykorzystaniem istniejących instrumentów dążyliśmy do konsolidacji związanych z regionem środowisk – naukowych, badawczych i akademickich – oraz praktycznego ukierunkowania ich na potrzeby polityki zagranicznej. Podczas narady ambasadorów w Warszawie latem 2005 roku Departament po raz pierwszy zorganizował sesję z udziałem przedstawicieli tego środowiska, która przyczyniła się do wzajemnego poznania się uczestników i zaplanowania współpracy. Powstała też inicjatywa powołania Polskiej Rady Badań Azji i Afryki. Niestety, utknęła na szczeblu ówczesnego i kolejnego rządu. Bez efektu pozostały też starania o modyfikację systemu nauczania języków orientalnych, w tym arabskiego, w kierunku nadania mu bardziej praktycznego wymiaru oraz kierowania pojedynczych osób na kursy tłumaczy synchronicznych. Podobny los spotkał plany rekrutacji do pracy młodych specjalistów, która pozwoliłaby uniknąć poszerzania się luki pokoleniowej.



ZMIANY NA HORYZONCIE

W drugim roku mojego kierowania Departamentem nastąpiła zmiana na stanowisku prezydenta RP oraz powołanie nowego rządu. Wydarzenia te traktowałem jako normalny element procesu demokratycznego, który nie powinien mieć istotnego wpływu na zadania realizowane na odcinku bliskowschodnim i afrykańskim. Potwierdzało to rzeczowe podejście do spraw regionu Anny Fotygi, od listopada 2005 roku sekretarz stanu w MSZ. Wkrótce po objęciu stanowiska poprosiła mnie o dłuższy briefing, a następnie wielokrotnie żywo interesowała się bieżącymi sprawami, choć nie nadzorowała Departamentu. Ceniła konstruktywne podejście. Minister traktowała resort z pewną nieufnością, jako jej niechętny. W tej opinii mogło ją rzeczywiście utwierdzać podejście części kadry, niekoniecznie wywodzącej się z PRL. W sprawach regionu dość szybko uzyskiwała rozeznanie, jednak zdobycie doświadczenia w całokształcie problematyki resortu wymagało czasu i stabilizacji. Ponadto znajdowała się pod presją sprostania oczekiwaniom politycznym, w warunkach dogorywającego konsensusu w polityce zagranicznej. MSZ stawał się polem rozgrywek, w których nie chciała i nie mogła być mistrzynią. Również jako szef resortu była w centrum nacisków zewnętrznych i grupy rozgrywających w Ministerstwie, chcących powstałą sytuację wykorzystać instrumentalnie w swoim interesie. Przystawało być ważne, czy kot łąwi myszy, tym bardziej że gdy ma rodowód z MGIMO i korzenie w PRL, a na dodatek nie jest związany z żadną koterią. Cel miał uświęcać środki, a chaos zacierać punkty odniesienia. Ale nie stało się to od razu. Po objęciu kierownictwa resortu przez Panią Minister nasze relacje pozostawały konstruktywne, a spotykaliśmy się dość często przy okazji ważniejszych spraw bieżących, wizyt ambasadorów, wyjazdów do Brukseli, Sztokholmu i Helsinek. Do tego doszły sprawy związane z wizytami oficjalnymi prezydenta Lecha Kaczyńskiego w regionie. Pierwszy był wyjazd do Iraku w kwietniu 2006 roku. Minister dbała o najmniejsze detale, stąd polecenie, bym wcześniej udał się do Bagdadu, choć nadzorujący wiceminister nie widział takiej potrzeby. Wspólnie z kierującym placówką Stanisławem Smoleniem staraliśmy się przewidzieć wszystkie zagrożenia oraz uzgodnić z gospodarzami i stroną amerykańską najlepszy program. Wizyta przebiegła perfekcyjnie w układzie merytorycznym

i organizacyjnym, zarówno w części państwowej, jak i wojskowej. Pewne odstępstwo od założeń nastąpiło jedynie przy przylocie. Samolot specjalny zamiast w oczekiwanej wojskowej części lotniska wylądował na jego drugim końcu. O trzydzieści minut opóźniło to rozpoczęcie nieprawdopodobnie napiętego programu zaledwie kilkugodzinnej wizyty. Okazało się, że „ze względów bezpieczeństwa” polscy dysponenci zgłosili amerykańskiej kontroli lotów numer ogona drugiego Tupolewa. Gdyby nie nasze wcześniejsze rozmowy „na zapas” w bazie wojskowej w Bagdadzie i kontakty bezpośrednio na lotnisku, kontrolerzy mogliby zareagować bardziej zdecydowanie. Na szczęście nie było innych konsekwencji, zawsze możliwych przy igraniu z procedurami, co niestety przez całe lata stanowiło nagminną praktykę przy organizacji przelotów samolotów specjalnych. Był to już okres, kiedy lotnisko w Bagdadzie działało, ale ze względu na możliwość ostrzału podejście do lądowania następowało pod bardzo ostrym kątem, podobnie jak start. Decydowały minuty, tym bardziej że loty były możliwe jedynie w ścisłych widełkach czasowych. Zignorowanie tej okoliczności rok później uniemożliwiło wlot w przestrzeń powietrzną Iraku i spowodowało przerwanie podróży premiera Jarosława Kaczyńskiego do Kuwejtu i Kataru, bez niezwłocznego powiadomienia czekających na gościa gospodarzy. Coś mi się wydaje, Panie Prezesie, że nie doszłoby do tego, gdybym to ja organizował tę wizytę. Wystarczyło mieć wiedzę, telefon do centralnego amerykańskiego ośrodka kontroli lotów w Tampa na Florydzie lub trochę zdecydowania przed wylotem z Warszawy. Wojskowi USA i nasi oficerowie profesjonalnie zorganizowali przelot Prezydenta i towarzyszącej delegacji, ubranej w hełmy i kamizelki kuloodporne, helikopterami do miejsca stacjonowania kontyngentu w Hilli. Zapewnili też bezpieczeństwo części państwowej wizyty w Bagdadzie, wymagającej pojedynczego wyjazdu poza Dzielnicę Rządową. Prezydent był bardzo dobrze przygotowany do rozmów z politykami irackimi i zdobył ich sympatię. Włączyłem się w intensywne tłumaczenie, pozwalając odpocząć Marcinowi Grodzkiemu. Podczas przerwy związanej z przemieszczeniem się Prezydenta zostałem w sali konferencyjnej z grupą irackich ministrów. Znali jedynie język arabski i ucieszyli się, że mają we mnie rozmówcę. Jak wspomniałem wcześniej, takiej krytyki postępowania sojuszników amerykańskich i tyłu tego przykładów nigdy wcześniej i nigdy potem nie słyszałem. Prezydent bardzo dobrze ocenił pobyt. Niezadowolony był natomiast wiceminister gospodarki,

który w nocy na kilka godzin przed przylotem delegacji przysłał szyfrogram, życząc sobie sprowadzenia do Bagdadu zidentyfikowanego jedynie z popularnego nazwiska dostojnika kurdyjskiego przebywającego w Irbilu, gdyż chciał rozmawiać o sprawach energetycznych. Nie podobała mu się moja odwrotna depesza z informacją, co o tym myślę. Może rzeczywiście niezbyt kurtuazyjna.

Do Izraela prezydent Kaczyński pojechał we wrześniu 2006 roku wraz z małżonką. Termin był ustalony ze znacznym wyprzedzeniem, co umożliwiło solidne przygotowanie tej państwowej wizyty oficjalnej. W podobnych przypadkach polska i unijna praktyka zawsze przewidywała przynajmniej krótki pobyt w Autonomii Palestyńskiej. Ten punkt został jednak wykreślony z przygotowanych przez Departament założeń programowych przez nadzorującego wiceministra. Podczas jego nieobecności w kraju minister Anna Fotyga poprosiła mnie o zreferowanie przygotowań. Przedstawiłem wszystkie elementy. Po ich wysłuchaniu Minister zatelefonowała do Prezydenta i następnego dnia rano udaliśmy się wspólnie do Pałacu, gdzie przez godzinę „briefowałem” Lecha Kaczyńskiego i odpowiadałem na pytania. Decyzja o włączeniu Ramallah zapadła zaraz na początku spotkania. Oba etapy podróży przebiegły zgodnie z planem i oczekiwaniami. Kolejny raz miałem przyjemność tłumaczyć fragment rozmów Prezydenta, tym razem z prezydentem Mahmudem Abbasem.

O ile atmosfera w Jerozolimie i Ramallah była słoneczna, to w MSZ gromadziły się chmury burzowe. Powszechnie spodziewano się, że „odzyskanie” resortu przez Prawo i Sprawiedliwość będzie oznaczało poważne zmiany, w tym kadrowe. Ich zapowiedzią było nagłe i nieprzygotowane odwołanie, jeszcze za ministra Stefana Mellera, kilkusobowej grupy ambasadorów wywodzących się z wywiadu MSW PRL. Zrobiono to nagle, po bolszewicku, nie oglądając się na interes i prestiż państwa oraz konsekwencje dla pracy placówek. Obcy ambasadorowie pytali w związku z tym, dla jakiego państwa dymisjonowani pracowali i otwierali szeroko oczy słysząc, że dla własnego. Z obszaru Departamentu przerwano misję Waldemara Markiewicza w Bejrucie, gdzie jego praca była nie tylko dobrze oceniana, ale również ważna z uwagi na warunki sojusznicze. Na szczęście udało się zablokować pomysł jednoczesnej likwidacji placówki, zrodzony z ignorancji. Liban najdłużej

w świecie utrzymywał stosunki z polskim rządem w Londynie, przyjął tysiące naszych wojennych emigrantów, był cennym punktem obserwacyjnym i logistycznym, sporo u nas kupował i miał placówkę w Warszawie, a na dodatek stacjonował tam Polski Kontyngent Wojskowy w UNIFIL, wycofany w 2009 roku z niemożliwych do usprawiedliwienia powodów. Odtworzenie placówki w Bejrucie, konieczne po zawieszeniu po 2011 roku funkcjonowania Ambasady RP w Damaszku, kosztowałoby polskiego płatnika jakiś milion USD i nie byłby to jedyny koszt. Klimat niepewności tworzony w MSZ w 2006 roku był dobrą receptą na częściowe sparaliżowanie bieżącej pracy resortu i wielu placówek, w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Osobiście jestem dość odporny na plotki, spekulacje personalne i sprawy, na które nie mam wpływu. Płacono mi za pracę w służbie publicznej i dalej wraz z zespołem Departamentu robiłem swoje. Mieliliśmy powody do satysfakcji z udokumentowanego i znajdującego potwierdzenie w wysokich ocenach postępu osiągniętego pod moim kierownictwem na każdym odcinku. Dokonaliśmy go zbiorowym wysiłkiem wszystkich pracowników, w tym kolejnych wicedyrektorów, z którymi współpracowałem dwa i pół roku. Nigdy nie pytałem, jaką reprezentują opcję i jaką ukończyli uczelnię, a miałem okazję współpracować ze sporą grupą – Romanem Chałaczkiewiczem, Wojciechem Bożkiem, Jarosławem Bratkiewiczem, Maciejem Kozłowskim, Marcinem Kubiakiem, M. Jackiem Stępińskim, Krzysztofem Suprowiczem, a także Witoldem Waszczykowskim.

Ostatni z wymienionych pracował pod moim kierownictwem krótko, a tryb jego przyjęcia do Departamentu odbiegał od wcześniejszej praktyki doboru kandydatów pod kątem predyspozycji do podjęcia konkretnych obowiązków. Otóż pod koniec swojego kierowania resortem minister Adam D. Rotfeld poprosił mnie do siebie, by wysondować gotowość przyjęcia Witolda Waszczykowskiego do Departamentu. Nie znałem go wcześniej osobiście. Jego kontakt z regionem ograniczał się do niepełnej kadencji na stanowisku ambasadora RP w Iranie. Trafił tam bezpośrednio z Przedstawicielstwa RP przy NATO w Brukseli po konflikcie z ambasadorem Andrzejem Towpikiem, uważnie obserwowanym przez sojuszników. Po powrocie do kraju w 2002 roku funkcjonował jako szeregowy pracownik Departamentu Strategii i Planowania Polityki Bezpieczeństwa, bez poświadczenia bezpieczeństwa, mając

bardziej czy mniej uzasadnione powody do frustracji. Taka pozycja w MSZ zawsze może procentować w przypadku zmian politycznych, w które dana osoba potrafi się wpisać. Wyraziłem gotowość uwzględnienia prośby Ministra, choć po głowie chodziła mi wspomniana historia o doborze zarządzających zoo pod kątem akceptacji dla rezydentów, a przynajmniej równego ich traktowania. Zastrzegłem jednak, że ostateczną decyzję podejmę po rozmowie z samym zainteresowanym i stwierdzeniu jego gotowości do współpracy. Jednocześnie wykluczyłem, by planowana aranżacja miała oznaczać zwolnienie stanowiska wicedyrektorskiego przez jednego z moich aktualnych zastępców. Bezbolesnym rozwiązaniem mogło być powierzenie Witoldowi Waszczykowskiemu kierowania Iracką Grupą Zadaniową, gdzie akurat był wakat, z dodaniem etatu wicedyrektora. Minister zaakceptował taki model. Moja rozmowa z kandydatem do pracy była konstruktywna, rutynowo przeszliśmy na ty i tym sposobem zyskałem czwartego zastępcę. Mieliśmy poprawne rzeczowe relacje. 4 listopada 2005 roku zmieniły się role. Dotychczasowy zastępca stał się moim przełożonym w randze wiceministra nadzorującego Departament i członka grupy kształtującej politykę kadrową resortu.

26 października 2006 roku w MSZ nastąpiło wydarzenie niemające precedensu w historii, może poza czystkami w czasie kampanii antyżydowskiej w połowie lat sześćdziesiątych, co nie znaczy, że bez przyszłości. Zwolniono jednocześnie z godziny na godzinę grupę dyrektorów i wicedyrektorów. Znalazłem się w dobrym towarzystwie – Jarosława Bratkiewicza, Remigiusza Henczela, Tomasza Lisa, Jerzego Margańskiego, Stanisława Stebelskiego, Henryka Szlajfera, Pawła Świebody. Nie wnikając w logikę i konsekwencje, była to chaotyczna i prymitywnie przeprowadzona akcja, w czym wielka „zasługa” nadgorliwych kadrowych wykonawców, na czele z Andrzejem Papierzem (to ten sam urzędnik państwowy, który jako konsul generalny w Ałmaty odmówił swemu poprzednikowi odwiezienia na lotnisko samochodem służbowym). Trwale przetrącono istotny fragment fundamentu, na którym opierał się resort, przy czym nie chodzi o samych zwolnionych, ale o podważenie pozycji departamentów ważnych z punktu widzenia zadań całego resortu, no i precedens. To tak jakby z jadącego płynnie pociągu wyrzucać maszynistę, nie przejmując się, czy osoba wepchnięta na jego miejsce potrafi kierować, czy nie.

W takiej sytuacji awaria lub katastrofa za pieniądze podatnika są tylko kwestią czasu. W większości przypadków nie zrobiono nic, by przygotować następców i zapewnić bezkolizyjne przejście obowiązków. Rachunek, oczywiście ciągniony, resort wraz z państwem płacą do dziś, i jeszcze bardzo długo będzie musiał być spłacany. Sądzę, że obecnemu ministrowi, Jackowi Czaputowiczowi, trudno poznać Ministerstwo, bo jest ono inne od tego, jakie znał, pracując w nim do 1992 roku, w tym na stanowisku dyrektora Departamentu Konsularnego.

Minister Fotyga kilka dni po dymisjach zaprosiła mnie na dłuższą rozmowę, ponawiając ogólnie propozycję wyjazdu na placówkę (z sugestii z „Kadr” wynikało, że miałyby chodzić o Irak lub Jemen, a może Liban). W wywiadzie dla publicznej telewizji podkreśliła też, że „dobrze pracowałem jako dyrektor”. Przyczyn usunięcia mnie ze stanowiska zapewne jest więcej, łącznie z moim moskiewskim dyplomem, ale była też presja osób z najbliższego otoczenia Pani Minister, schlebiających jej w oczy i niekoniecznie lojalnych za plecami. Miałem też naruszać równowagę naszej polityki bliskowschodniej na korzyść świata arabskiego!

Cóż, nie jest przyjemnie tracić status człowieka sukcesu i oddawać ster harmonijnie działającej jednostki. Najbardziej żałowałem jednak dorobku wypracowanego przez Departament i przerwania w połowie realizowanego programu. Miało w nim udział i miejsce wielu ludzi, związanych zawodowo i emocjonalnie z regionem, rozumiejących polskie tam interesy i przekładających je na konkretne pieniądze. Podważanie ich pozycji to sabotaż, a nie walka z widmami przeszłości. Niestety, za rządów Platformy Obywatelskiej (PSL zostało z resortu wymanewrowane) powtarzano w MSZ wiele starych błędów, a po Ministerstwie długo krążył projekt ustawy o służbie zagranicznej, w którym zapisano „lojalność pracownika wobec klasy politycznej”! Na szczęście ktoś się puknął w czoło.

Nie bardzo wiedziałem, jak zaplanować przyszłość zawodową. Na placówkę jechać nie chciałem. Znowu byłbym bez żony. Ponadto nie byłem skłonny testować, czy ktoś nie dojdzie do wniosku, że jednak się nie kwalifikuję na stanowisko ambasadora. Zgodziłem się tymczasowo kierować Iracką Grupą Zadaniową, która w tym okresie stopniowo traciła już rację bytu. Otrzymałem w związku z tym pisemne

podziękowanie od wiceministra Waszczykowskiego, z odręcną adnotacją, bym „nie podejmował urlopu do czasu (odległego o tygodnie) przejścia departamentu przez nowego dyrektora”! A urlopu nazbierało mi się kilka miesięcy. Cała ta sytuacja wyglądała na tyle groteskowo, że zacząłem poważnie przeglądać biznesowe i akademickie oferty pracy z kraju i zagranicy, które napływały po informacjach medialnych o dymisji. Za najlepszą uznałem propozycję właściciela Grupy Bartimpex, Aleksandra Gudzowatego, który był jednym z obdarowanych próbką ropy naftowej i odwiedził Arabię Saudyjską, gdzie miał okazję poznać moją pracę. Kilka tygodni później wystąpiłem o urlop bezpłatny na czas określony, poczynając od 15 stycznia 2007 roku. Dostałem natychmiast zgodę. Witold Waszczykowski wyraził zdziwienie i ubolewanie, że odchodzę. Minister Fotyga odesłała moje pismo pożegnalne z dopiskiem: „Proszę o pozostawanie w dyspozycji Dyrektora Generalnego i informację o sobie, która pozwalałaby na kontakt z Panem. Dziękuję za pomoc w okresie sprawowania przeze mnie funkcji ministra spraw zagranicznych”. W późniejszym okresie taki kontakt rzeczywiście kilkakrotnie miał miejsce, bezpośrednio lub przez rzecznika MSZ Andrzeja Sadosia. Dotyczył konkretnych spraw regionalnych. Wielu kolegów z MSZ miało do mnie żal, że opuszczam okręt w okresie burzy, mając nadzieję, że mój przypadek mógłby być precedensem w traktowaniu przez rząd Prawa i Sprawiedliwości pracowników ze stażem sprzed transformacji i dyplomem MGIMO. Z pewnej perspektywy zasadność takich złudzeń nie budzi raczej wątpliwości. Wzloty i upadki w MSZ to również przyplawy i odpływy przyjaciół, tyle że te drugie następują w postępie geometrycznym.



Rozdział dziesiąty

**KU ROZSTANIU
ZE SŁUŻBĄ PUBLICZNĄ**

2006–2013

PRZYGODA ZE ŚWIATEM BIZNESU

Przenosiłem się zaledwie kilkaset metrów dalej od gmachu Ministerstwa, na drugi koniec alei Szucha, na stanowisko dyrektora regionalnego. Naiwnie wierząc, że resort może się o mnie w każdej chwili upomnieć, nie chciałem być związany z nowym pracodawcą wysokością pensji. Sam określiłem pułap wynagrodzenia na poziomie kwoty otrzymywanej jako dyrektor Departamentu w MSZ, która wraz z dodatkami wynosiła ponad 10 tysięcy złotych, co było bardzo godziwą zapłatą, tym bardziej że resort użył również średniej klasy samochodu. Zarobki dyrektora departamentu w MSZ były zresztą wówczas wyższe niż podstawowe uposażenie podsekretarza stanu.

Dyrektor Gudzowaty był biznesowym dzieckiem sukcesu polskiej transformacji. W okresie przejściowym zbudował pozycję jednego z najbogatszych ludzi w Polsce transakcjami „żywność za gaz” z Rosją i handlem paliwami. Miejsce w historii gospodarczej kraju zapewniło mu zorganizowanie pod flagą Bartimpeksu budowy gazociągu jamalskiego i kilku innych pionierskich projektów, w tym biopaliwowych. Na początku XXI wieku konsorcjum najlepsze lata miało już jednak daleko za sobą. Dobre relacje z Gazpromem przekształciły się w ostry konflikt, zakończony sądowym wyrokiem, uznającym racje polskiej firmy oraz będącym pierwszą tego rodzaju prestiżową i kosztowną porażką rosyjskiego koncernu. Wizjonerskie podejście właściciela Bartimpeksu wykraczało daleko poza sferę biznesową. W jego rezydencji pod Warszawą można było znaleźć miejsca refleksji i symbole różnych religii światowych oraz odniesienia do tolerancji wyznaniowej. Aleksander Gudzowaty, przy serdecznym wsparciu uroczej żony Danuty, angażował się między innymi w dialog między religiami oraz na rzecz pokoju pomiędzy Izraelem a Palestyńczykami, co docenił między innymi Sekretarz Generalny ONZ, Ban Ki-moon. Sztandarowym projektem w tej sferze było utworzenie Fundacji oraz sfinansowanie zaprojektowanego i wykonanego w Polsce Pomnika Tolerancji w Jerozolimie, usytuowanego dokładnie na granicy żydowskiej i arabskiej części miasta na wzgórzu Armon Ha-Naciv/Dżebel Al-Mukaber. Aktywnie uczestniczyłem w przygotowaniu i realizacji tego przedsięwzięcia, w którym liczącą się rolę odegrał zatrudniony w Bartimpeksie

ambasador Jan Bisztyga, oraz w uroczystościach w Jerozolimie/Al-Kuds. Inauguracja Monumentu 15 września 2008 roku stała się ważnym wydarzeniem międzynarodowym, któremu patronowali byli prezydenci Polski i Izraela, a w ceremonii odsłonięcia udział wzięły również osobistości palestyńskie.

Mój nowy pracodawca uważał, że niezależnie od odbudowy potencjału krajowego firm wchodzących w skład Grupy Bartimpex oraz lepszego wykorzystania powiązań biznesowych z partnerami w USA (Lockheed-Martin) i Izraelu, jednym z kierunków działania pozwalających nawiązać do wcześniejszych osiągnięć powinna być współpraca z krajami naftowymi. Nie zniechęciły go nieudane próby wejścia na rynek iracki. Bartimpex był pierwszym polskim przedsiębiorstwem zarejestrowanym w Bagdadzie niezwłocznie po obaleniu reżimu Saddama Husajna, ale w 2006 roku oddział ten już nie działał.

W krótkim czasie zorganizowałem niewielki zespół, zatrudniając jako eksperta Stanisława Łańcuckiego, byłego radcę handlowego w Kuwejcie i wybitnego specjalistę w branży paliw, a także Marka Kubickiego, przedsiębiorczego orientalistę i organizatora portalu Arabia.pl. Blisko współpracowaliśmy z szefem pionu biokomponentów i alkoholi Jerzym Małyską, wcześniej między innymi dyrektorem Centrali Przemysłu Naftowego (CPN) oraz Krystyną Stepaniuk, pracującą na samodzielnym stanowisku handlowym. Zespół na bieżąco monitorował pod kątem zainteresowań Grupy bliskowschodnią i afrykańską problematykę gospodarczą oraz relacje tego obszaru z Polską. Opracowany został plan działania ukierunkowany na realizację projektów infrastruktury paliwowo-energetycznej w krajach Zatoki, sprzedaż partnerowi z tamtego obszaru należącego do Grupy Banku Współpracy Europejskiej oraz rozeznanie możliwości wspólnych inwestycji w Polsce. Podjęte zostały rozmowy biznesowe z szeregiem dużych, w większości znanych mi wcześniej, firm z państw Zatoki oraz Egiptu dotyczące zidentyfikowanych przedsięwzięć. Praktyczne rezultaty jedynie w części spełniły oczekiwania. Nie udało się zmontować konsorcjów z udziałem innych polskich firm do realizacji dużych projektów za granicą, co było konieczne między innymi dla spełnienia wymogów prekwalfikacji. Perspektywa sprzedaży Banku kontrahentom z Zatoki napotkała w Polsce na przeszkody niezależne od intencji

właściciela i ostatecznie trafił on w ręce kapitału austriackiego. Z kolei wprowadzenie w 2007 roku dużego arabskiego inwestora do zakładów Grupy produkujących biopaliwa nie mogło zostać zrealizowane z uwagi na wysunięte wobec nich przez Urząd Skarbowy roszczenia, których bezzasadność sąd orzekł dopiero po kilku latach. Atmosfera w otoczeniu Bartimpeksu nie była zresztą najlepsza, do czego przyczyniła się również niezależność polityczna właściciela, a także konsekwencje wycieku nagrań z jego rozmów z politykami. Nastąpił natomiast postęp w zakresie transakcji handlowych, które – w zmienionych warunkach rynkowych – nie przynosiły już jednak stopy zysku osiąganey w pierwszych latach transformacji. Reprezentowałem Bartimpex w Związku Polskiego Przemysłu Handlu i Finansów Lewiatan, gdzie zostałem członkiem rady, a także w kontaktach z Krajową Izbą Gospodarczą. Do MSZ nie chodziłem, ale zawsze reagowałem pozytywnie na otrzymywane zapytania, które jednak zanikły wraz z odejściem Anny Fotygi ze stanowiska ministra. Na początku 2008 roku Dyrektor Generalny Służby Zagranicznej poinformował mnie, że kierownictwo resortu po zmianie rządu jedynie wybiórczo koryguje skutki kadrowych decyzji poprzedników. Niemniej przedstawiciele MSZ spotykałem często, głównie podczas przyjęć dyplomatycznych oraz imprez gospodarczych. Do moich obowiązków należało między innymi utrzymywanie kontaktów z akredytowanymi w Warszawie placówkami dyplomatycznymi, w szczególności arabskimi oraz amerykańską i izraelską. Miałem również swobodę kontaktów z mediami, z czego korzystałem, wypowiadając się w sprawach paliwowo-energetycznych, w których pogłębiłem wcześniejszą wiedzę, a także w kwestiach współpracy bilateralnej z obszarem Bliskiego Wschodu. Przedmiotem zainteresowania mediów i opinii publicznej była wówczas między innymi sprawa przejęcia Stoczni Gdańskiej przez kapitał z państw Zatoki. Publicznie nie wyrażałem swych wątpliwości odnośnie podstaw biznesowych projektu, jego organizacji po stronie polskiej oraz relacji partnerskich, które w moim przekonaniu skazywały przedsięwzięcie na niepowodzenie. Opinią tą podzieliłem się natomiast z nadzorującym problematykę bliskowschodnią wiceministrem spraw zagranicznych Jackiem Najderem. Docenił ją dopiero po paru miesiącach, przypisując mi „zdolności profetyczne”. Niestety, nie trzeba być prorokiem, by widzieć, jak sprawy idą w złym kierunku. Trzeba natomiast mieć kompetencje do rzeczowej oceny, nie kierować się myśleniem życzeniowym oraz nie dzielić

skóry na niedźwiedziu zgodnie z prywatnymi interesami osób mających zajmować się finalizacją transakcji. Za bezinteresowną gotowość pomocy w wyprowadzeniu projektu z kolizyjnego kursu reprimendę otrzymał również były ambasador w Kuwejcie Kazimierz Romański. Niekompetencja i niedocenywanie znaczenia uwarunkowań kulturowych to zresztą dużo poważniejszy problem w różnych sprawach z obszaru muzułmańskiego. Zauważałem to również, obserwując z daleka dramat rozgrywający się wokół inżyniera Piotra Stańczaka, uprowadzonego w Pakistanie i zamordowanego przez islamistów na początku 2009 roku.

Na przyjęciach dyplomatycznych wielokrotnie spotykałem ministra Radosława Sikorskiego. Były to sympatyczne rozmowy, podczas których padały sugestie, że po upływie terminu urlopu bezpłatnego znajdzie się dla mnie odpowiednie miejsce w resorcie. Postanowiłem nie przedłużać urlopu poza ustalony termin, choć Pan Aleksander zachęcał mnie do pozostania w Bartimpexie, bardziej realistycznie oceniając rzeczywistość. Chciałem jednak ze swej strony dotrzymać ustaleń, niepomny przykładu wielu kolegów, którzy po urlopowaniu w MSZ woleli kontynuować bezpieczną i wolną od politycznych zawirowań karierę w organizacjach międzynarodowych, służbie unijnej czy biznesie. Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że ciężka choroba pracodawcy, jednoosobowo i dość autorytarnie zarządzającego Grupą Bartimpex, pozostawiała wąską przestrzeń dla bardziej ambitnych przedsięwzięć i moja pomoc niewiele w tym zakresie mogła zmienić. Podtrzymywaliśmy jednak życzliwy kontakt do śmierci Aleksandra Gudzowatego 14 lutego 2013 roku.



REFERENT W DEPARTAMENCIE WSCHODNIM

Gdy późną jesienią 2009 roku zapukałem ponownie do drzwi macierzystego resortu, Dyrektor Generalny Służby Zagranicznej nadal zastanawiał się, co ze mną zrobić. W końcu powiedział mi, że najlepiej byłoby, gdybym sam coś zaproponował. Wiedziałem, że na powrót do rodzimego Departamentu nie mogę liczyć, a chodzić po korytarzach i gabinetach w poszukiwaniu wakatów zwyczajnie nie chciałem. W tej sytuacji przyjąłem pierwszą racjonalną propozycję. Złożył ją mój dawny zastępca, Jarosław Bratkiewicz, kierujący Departamentem Wschodnim. W ten sposób zostałem usytuowany na kierunku jeszcze bardziej wschodnim niż ten, z którym miałem dotąd do czynienia. Zostałem referentem ds. Uzbekistanu i Tadżykistanu, wracając w strukturze urzędniczej do punktu, z którego startowałem w MSZ. W następnych latach na ten odcinek pracy kierowano kolejnych specjalistów od Bliskiego Wschodu, przed którymi zatrzaśnięto drzwi właściwego departamentu terytorialnego, w tym Zdzisława Raczyńskiego.

Warsztat pracy opanowałem szybko. O regionie Azji Środkowej miałem pewną wiedzę, którą w ciągu kilku miesięcy pogłębiłem. Obciążenie pracą nie było nadmierne. Stosunki dwustronne były nikłe i bez perspektyw na przełom. Ambasadę mieliśmy tylko w Taszkencie, gdzie ambasador Marian Przeździecki starał się wnieść do stosunków nieco więcej życia. W Warszawie funkcjonowała placówka uzbecka z ambitnym, ale działającym w określonych realiach chargé d'affaires Uzbekistanu, Ikromem Nazarovem. Znaczenie regionu wzrosło w związku z naszym zaangażowaniem w Afganistanie w ramach wielonarodowej operacji NATO, dla której kraje Azji Środkowej stanowiły alternatywne zaplecze, również ewakuacyjne z koniecznym etapem rosyjskim, na wypadek, gdyby ewentualne wymuszone wycofanie jednostek i sprzętu via porty pakistańskie okazało się niemożliwe ze względów bezpieczeństwa. Z tym wiązały się pewne kontakty po linii wojskowej również z Uzbekami, łącznie z wizytą ministra obrony narodowej Tomasza Siemoniaka w Taszkencie w 2012 roku.

Moja sytuacja w jakimś stopniu przypominała okres zsunienia na margines przed wyjazdem do Arabii Saudyjskiej, tyle że tym razem

miałem jednak co robić, a wyjazdu na placówkę zupełnie nie brałem pod uwagę. Trudniej też było do mnie trafić. Pokoik nr 154 na I piętrze, usytuowany był w bocznym ślepyim korytarzu na obrzeżach Biura Audytu i przychodni lekarskiej, dość daleko od reszty Departamentu. Od dawna stanowił schronisko dla pracowników, z którymi nie wiedzianno, co zrobić i uważano, że lepiej, by specjalnie nie rzucali się w oczy. Zostałem dokwaterowany do ambasadora Mariusza Maszkiewicza. Po powrocie z Białorusi też się mu niespecjalnie wiodło, ale zawsze zachowywał dozę optymizmu i wrażliwość na ludzkie sprawy jako prezes resortowej „Solidarności”. Na pewien czas zrobiliśmy miejsce także ambasadorowi Krzysztofowi Olędzkiemu, znajdującemu się przejściowo na statusie *stand-by*. Wstawienie trzeciego biurka znacznie utrudniało poruszanie się po pokoju, który na pewno nie spełniał wymogów powierzchni na pracownika przewidzianych Kodeksem Pracy. W znacym gronie ciasnota nie jest jednak nieszczęściem, tym bardziej że były w Departamencie pokoje sześciuosobowe, gdzie naprawdę nie można było spokojnie pracować. Z tego względu, gdy znów zostało nas dwóch, zaproponowałem wprowadzenie się koleżance zawiadującej resztą Azji Środkowej. W tym okresie na dłużej zresztą zastępowałem Annę Walczak, która po katastrofie smoleńskiej została delegowana do Moskwy celem wzmocnienia pionu konsularnego. Smoleńsk był potężnym wstrząsem dla całego Departamentu, który uczestniczył w przygotowaniach do tej tragicznej podróży.

Czułem potrzebę zagospodarowania nadmiaru energii. Zacząłem prowadzić wykłady na jednej z uczelni prywatnych, uczciwie odpracowując godziny nieobecności. Bez problemu dostałem na to zgodę Dyrektora Generalnego. W trybie odwrotnej akceptacji mailowej dostawałem OK dyrektora generalnego lub rzecznika na wypowiedzi dla mediów. Większość urzędników resortu wolała się nie pokazywać w mediach, choć byli też tacy, których zapraszano tylko raz. Wypowiadając się jako dyplomata w aktywnej służbie, musiałem zachowywać elementy poprawności politycznej. Więcej swobody uzyskałem po przejściu na emeryturę, ale wtedy często okazywało się, że i media też muszą spełniać wymogi poprawności, unikając podejmowania niektórych tematów lub podejmując je sporadycznie i reaktywnie, bez wystarczającego czasu na analizowanie uwarunkowań przyczynowo-skutkowych pomiędzy zachodzącymi na Bliskim Wschodzie wydarzeniami i unikając

odniesień do polskich interesów, w tym gospodarczych. W zakresie pogłębionej eksperckiej informacji międzynarodowej na wyjątkowe uznanie wśród polskich mediów elektronicznych zasługiwały programy Polsat News 2, a zwłaszcza *To był dzień na świecie*, prowadzony przez zespół dobrze zorientowanych w tematyce i dociekliwych dziennikarzy. W tym bloku tematycznym swą ekspercką wiedzę o zachodzących na świecie wydarzeniach dzieliła się z telewidzami spora grupa ambasadorów, starając się, by ważne sprawy międzynarodowe były naświetlane z polskiego punktu widzenia.

Miałem też swobodę publikacji. Wiosną 2010 roku ukazał się mój artykuł *Uwarunkowania inwestycji arabskich w Polsce* (<http://www.psz.pl/118-gospodarka/krzysztof-plominski-uwarunkowania-inwestycji-arabskich-w-polsce>), niestety nadal aktualny. Wydawcą była Fundacja Pułaskiego, ze strukturami której byłem związany od czasu, kiedy jako dyrektor Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu wspierałem utworzenie Akademii Młodych Dyplomatów. Później znalazła ona siostrę w postaci Europejskiej Akademii Dyplomacji, przy której działa Rada Ambasadorów, złożona z dyplomatów, którzy zakończyli służbę, o charakterze głównie programowym. Instytucje te posiadają obecnie uznaną rangę międzynarodową, skutecznie szkoląc i kształtując tysiące młodych ludzi z Polski i 150 innych państw, zainteresowanych pracą w służbie zagranicznej. Na liście laureatów przyznawanej corocznie nagrody „Rycerza Wolności” znajdują się najwybitniejsi politycy i działacze na rzecz demokracji i praw człowieka z całego świata. Sukces struktury te w ogromnym stopniu zawdzięczają kompetencji, wytrwałości i innowacyjności Katarzyny i Zbigniewa Pisarskich, wspomaganych przez grono wspólników.

Opracowanie na temat inwestycji arabskich było pierwszą w Polsce analizą tego tematu. Odnotowując ogromne środki lokowane za granicą przez publicznych i prywatnych inwestorów z państw naftowych i gazowych Bliskiego Wschodu oraz Afryki Północnej, zwracałem uwagę na brak w Polsce systemowych rozwiązań, które decydują o przyciąganiu tych kapitałów przez kraje wysoko rozwinięte. W konsekwencji powoduje to omijanie naszego kraju i uniemożliwia wsparcie rozwoju liczącymi się kwotami, kierowanymi do pożądanego z polskiego punktu widzenia dziedzin. Biorąc pod uwagę import katarskiego gazu,

sugerowałem rozważenie wytypowania projektów związanych z przeobem, wykorzystaniem oraz infrastrukturą transportu i dystrybucji gazu, dla których realne byłoby ściągnięcie kapitału, mimo wcześniejszych negatywnych doświadczeń potencjalnych inwestorów. Widziałem w tym realną drogę wzmocnienia bezpieczeństwa energetycznego Polski, wymagającą jednak politycznej woli rządzących. Bez takiej woli i przygotowania nie jesteśmy też w stanie skorzystać z ofert tworzenia dwustronnych celowych funduszy inwestycyjnych czy pozyskać środki państw naftowych przeznaczone na finansowanie za granicą projektów w sferze bezpieczeństwa żywnościowego, ukierunkowanych na eksport produkcji do kraju inwestora. Na własne życzenie rezygnujemy również z potencjalnych korzyści, jakie dawałoby wprowadzenie instrumentów bankowości islamskiej, z powodzeniem stosowanych przez inne państwa UE i globalne prywatne banki, w tym z kapitałem żydowskim. W artykule podałem kilka propozycji wyjścia poza głównie „kebabowe” inwestycje, które są realizowane przez indywidualne osoby o skromnych zasobach finansowych. Niezależnie od pozytywnych głosów z szeregu środowisk, rzeczowej analizie sygnalizowanych problemów nigdy nie podjęto na szczeblu rządowym i biznesowym, a w kolejnych latach pojawiły się nowe problemy.

Rok później drukiem ukazał się mój tekst *Ku gospodarczemu wymiarowi polityki zagranicznej RP* (<http://www.geopolityka.org/komentarze/krzysztof-plominski-ku-gospodarczemu-wymiarowi-polityki-zagranicznej>), cytowany w raporcie NIK dotyczącym promocji z 2016 r.

Postulowałem, by do dwóch tradycyjnych filarów polityki zagranicznej, jakimi od czasu transformacji były kwestie bezpieczeństwa i problematyka integracji euro-atlantyckiej, dołączyć trzeci – wymiar gospodarczy. Zwracałem uwagę, że popularne wówczas określenie, iż polska dyplomacja gra w pierwszej lidze europejskiej może być prawdziwe dopiero w przypadku nadania systemowej rangi realizacji przez nią interesów gospodarczych, wzorem krajów bardziej rozwiniętych i bogatszych. I w tym przypadku potrzebne są rozwiązania na poziomie narodowym, ale także zmiana mentalności na wszystkich szczeblach aparatu państwa, samorządu gospodarczego i terenowego, z odpowiednią rolą dyplomacji i agend rządowych działających za granicą. Apelowi o trzeci filar towarzyszyły przykłady rozwiązań stosowanych przez reprezentatywne kraje, ocena dlaczego od nich odstawiamy

i dość szeroki zestaw propozycji mogących poprawić sytuację, jako zaczyn do dalszej dyskusji. Obejmowały one sprawy zasadnicze, jak uchwalenie ustawy o powołaniu Agencji Promocji Handlu i Inwestycji (co obecnie drugi rząd PiS w jakimś stopniu materializuje), skorelowanie pomocy rozwojowej z ekspansją biznesową, nałożenie na ambasadorów zadań wzorowanych między innymi na amerykańskiej praktyce, ale także drobniejsze, możliwe do niezwłocznego wprowadzenia kroki, jak wycofanie z funduszków dyspozycyjnych ministrów prezentów pochodzących z importu czy spolszczenie menu i trunków serwowanych delegacjom zagranicznym odwiedzającym Polskę, w tym przedstawicielom biznesu, podejmowanym gremialnie przez polskich partnerów w lokalach oferujących zagraniczne kuchnie. Publikacja stała się przedmiotem bardziej żywego zainteresowania dopiero po przedrukowaniu jej przez specjalistyczne portale amerykańskie, ale na krótko.

Z uwagi na rzadką w MSZ znajomość spraw gospodarczych często dostawałem do zapoznania się lub zaopiniowania dokumenty lub ich projekty z zakresu tej problematyki. W związku z tym w późniejszym okresie trafił do mnie – celem przedstawienia uwag – projekt interpelacji posła Adama Szejnfelda w sprawie stworzenia systemu promocji polskiej gospodarki. Jego brak – przypadek unikatowy wśród państw wysokorozwiniętych – szacunkowo kosztuje kraj utratę od 1,5 do 2,0% PKB rocznie. Przydałoby się choćby na służbę zdrowia! Dobrze udokumentowany i obszerny materiał przygotowany przez Posła odbił się jednak od resortów gospodarki i spraw zagranicznych jak groch od ściany.

Minister Sikorski kilkakrotnie przyjmował mnie w związku z publikacjami lub przekazywanymi mu opiniami dotyczącymi problematyki bliskowschodniej. Podczas pierwszego spotkania, zaraz po moim powrocie z urlopu bezpłatnego, powitał mnie jako powracającą „ofiara kaczynizmu”. Odpowiedziałem, że być może nie tylko ja się nie podobalem, ale także odnoszone sukcesy, a sama dymisja i długa nieobecność w MSZ bardziej niż mnie szkodziła interesom służby i kraju. Odnotowałem, że kompetencje i samodzielność kadry kierowniczej cały czas są bardziej obciążeniem niż premiowaną postawą. Nie wiem, jakie Minister miał przemyślenia na temat mojej kariery w resorcie w okresie obejmującym misję w Rijadzie i kierowanie departamentem,

ale jesienią 2010 roku otrzymałem Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Do macierzystego Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu nadal raczej nie chodziłem, ale podtrzymywałem życzliwy kontakt osobowy. W tym okresie komórka ta była już przejściowo ustabilizowana pod kierownictwem doświadczonego dyplomaty, Jacka Chodorowicza. W marcu 2011 roku otrzymałem propozycję zajęcia się projektem związanym z Arabską Wiosną, również pod kątem polskiej prezydencji w UE. Chyba zbyt poważnie do tego podszedłem, przedstawiając aide-memoire wnioskujący powołanie minizespołu zadaniowego dla kompleksowego zarządzania projektem i wsparcia procesu przeobrażeń w świecie arabskim. W rezultacie pomysł upadł, a sprawa nie wyszła poza Departament. Innym „stykiem” z obszarem bliskowschodnio-afrykańskim było powołanie mnie do resortowej komisji zajmującej się opiniowaniem doraźnych projektów pomocowych dla krajów arabskich wchodzących w okres przemian. Były na to liczące się środki budżetowe. Karierę na tym forum zakończyłem po kilku posiedzeniach, gdy w odpowiedzi na moje dociekania przedstawiciel Fundacji Solidarności Międzynarodowej, odpowiedzialnej za dostarczenie z pieniędzy polskiego podatnika lekarstw i sprzętu medycznego dla powstańców w libijskiej Misuracie, musiał ujawnić, że wszystkich zakupów za łącznie ponad dwa miliony PLN dokonano poza Polską. W innej komisji dotrwałem jednak do końca pracy. Rozpatrywała ona wnioski konkursowe organizacji pozarządowych w ramach pomocy rozwojowej, w tym dla obszaru Azji Środkowej. Starałem się przekonywać o potrzebie wiązania ich z interesami polskich firm, co nie dla wszystkich było oczywiste. Przez kolejne lata byłem członkiem kapituły nagrody Ministra SZ za najlepszą pracę magisterską poświęconą polityce zagranicznej RP. Czytanie i ocenianie opracowań było zajęciem pracochłonnym, ale dodatkowo wynagradzanym. Była to rozpowszechniana praktyka, choć gdyby w Ministerstwie przyjrzeć się rezerwom kadrowym, to pewnie można by zacytować odpowiedź jednego z papieży na pytanie o to, ilu ludzi pracuje w Watykanie, brzmiącej: „co drugi”. Dodatkowe środki miały znaczenie, gdyż moja ówczesna pensja nie przekraczała połowy uposażenia otrzymywanego w MSZ przed urlopem bezpłatnym. W tym samym trybie i czasie oceniałem opracowania przygotowywane przez

aplikantów MSZ, z których część była napisana na przyzwoitym merytorycznym poziomie.

W końcu 2012 roku zdecydowałem się na dość desperacki krok. Obserwując dokonywane wówczas co kilka miesięcy zmiany na stanowisku szefa Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu, dezintegrację zespołu, bezhołowie panujące na wielu naszych placówkach i zniechęcenie części ambasad państw regionu w Warszawie, zdecydowałem się stanąć do konkursu na dyrektora. Przeszedłem wysoce specjalistyczne badanie kompetencji kierowniczych wykonane przez dobrze opłacaną przez MSZ firmę zewnętrzną. Wyprodukowała ona laurkę, przypisując mi takie walory, jak „precyzyjna natura i zdolność zapewniania stosowania systemów i polityki oraz determinację w dążeniu do wygranej, szczególnie gdy zajmuję się faktami i konkretami”. I dalej w podobnym stylu, cokolwiek by to nie znaczyło. Z trudem się poznawałem. Przedstawiłem solidne opracowanie programowe i odbyłem rozmowę kwalifikacyjną przed komisją. Uzyskałem 100% i wyszło, że konkurs wygrałem. Procedury nie musiały być jednak czymś więcej niż listkiem figowym. Dyrektor Generalny Służby Zagranicznej Mirosław Gajewski, mój młodszy kolega z MGIMO, skorzystał z prawa wybrania drugiego na liście. Problemem nie była osoba – Marcin Kubiak miał kompetencje i był wcześniej moim zastępcą. Farsą było natomiast powierzanie mu tej funkcji, gdy wiadomo było, że za kilka tygodni zostanie mianowany podsekretarzem stanu w innym resorcie, a Departament przeżyje kolejne trzęsienie ziemi. Trzeba było rozpisac jeszcze jeden konkurs, w którym oczywiście nie miałem już zamiaru uczestniczyć. Wydaje się jednak, że parę osób w MSZ nie było co do tego przekonanych. Zaczęły wokół mnie krążyć sugestie emerytalne. To prawda, że byłem już w odpowiednim wieku, ale chciałem odejść ze służby w następnym roku. W końcu zdecydowałem, że nie będę gryźć się z wielbłędami, a właściwie z paroma paniami zarządzającymi sprawami kadrowymi lub hodującymi koty, przeciwko którym nic mam. Zresztą i tak nie miałem szans w zderzeniu z biurokratyczną machiną. Funkcjonariuszki z kadr o wojskowej proveniencji nie przebierały w środkach, by skłonić niewygodnych pracowników do odejścia. Z braku lepszych pomysłów proponowały szukanie „haków”, mnie nie wyłączając, wychodząc z założenia, że każdemu można coś przylepić. Wystarczy spóźnienie, wykonanie „podejrzanej”

fotokopii, pozostawienie na chwilę komputera bez wyjęcia karty i dziesiątki innych mniej czy bardziej wyrafinowanych pomysłów. Ręki dołożył również wiceminister Jerzy Pomianowski, któremu nieopatrnie zwróciłem uwagę na nieznaną przepisy konkursowych. Kiedyś w Libii pogranicznicy pytali mnie grzecznie, przy okazji częstując kawą, czy deportuję się dobrowolnie, czy chcę być przymusowo doprowadzony do samolotu. Paradoksalnie to oni działali w rękawiczkach, a nie nasi resortowi „dyplomaci”. Szybko uzyskałem na elektronicznej obieguce około czterdziestu potwierdzeń, że nikt ode mnie nic nie chce. Zdałem urzędniczy sprzęt i identyfikator. Wcześniej odebrałem dokumentację do ZUS, nieprecyzyjnie wypełnioną w punkcie dotyczącym wyboru korzystniejszego wariantu wyliczenia emerytury. Lata ambasadorskie i dyrektorskie zapewniły mi prawie pięć tysięcy PLN miesięcznie. Z wyroku pracodawcy umowa o pracę została rozwiązana z dniem 26 sierpnia 2013 roku. W okresie trzech tygodni pozostających do tego terminu zostałem zwolniony z obowiązku świadczenia pracy, przy zachowaniu wynagrodzenia.



Rozdział jedenasty

AKTYWNOŚĆ EMERYTA

KORZYSTAĆ Z DOŚWIADCZENIA EMERYTOWANYCH DYPLOMATÓW

Nie zwlekałem z opuszczeniem gmachu, zostawiając na bramce jednorazową przepustkę. Od tego czasu w MSZ byłem oficjalnie tylko dwa razy. Na zbiorowym pożegnaniu emerytów, gdzie każdy z nas otrzymał wieczne pióro marki Waterman oraz na zaproszenie Dyrektora Generalnego, który wyraził przelotne zainteresowanie moimi propozycjami wykorzystania przez Ministerstwo emerytowanych pracowników. Ponadto byłem na kilku pracowniczych pożegnaniach oraz uczestniczyłem w Wigiliu Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu, organizowanej tradycyjnie od dekad, okresu PRL nie wyłączając. Zaproszono kilku byłych dyrektorów i ambasadorów, za co osobom z dobrym sercem należy się uznanie. Mam nadzieję, że nie miały z tego powodu przykrości i rozumiem, że atmosfera w MSZ uniemożliwiła powtórzenie tej praktyki. Taki mamy klimat, że najbardziej oczywiste podtrzymywanie przez byłych pracowników otwartych kontaktów z kolegami w aktywnej służbie jest na cenzurowanym i może wpędzić ich w personalne kłopoty. Należy nawet wystrzegać się udokumentowania przez dziennikarzy wspólnej obecności na imprezach i przyjęciach dyplomatycznych. Jednym z nielicznych, który apeli o rezygnację z zamieszczania takich zdjęć wprawdzie nie potrafi zrozumieć, ale uwzględnia w praktyce, jest Stanisław Błaszczyk, na przekór trudnościom wydający niezmiennie na najwyższym poziomie „Ambasadora”, magazyn dokumentujące życie korpusu dyplomatycznego w Warszawie. Swoją drogą to zadziwiające, jak mało media interesują się tym, co robi w Ministerstwie i na placówkach kilkutyśięczna polska armia dyplomatyczna, otrzymująca do dyspozycji rocznie kilkaset milionów w postaci wynagrodzeń i operująca wielomiliardowymi środkami na działalność.

W okresie konwulsji, jakie wstrząsają służbą zagraniczną pod rządami Prawa i Sprawiedliwości, kwestionowania konsensusu i ciągłości polskiej polityki zagranicznej oraz generalnego zdziczenia obyczajów, trudno mówić o harmonijnym wykorzystaniu kadry pozostającej w służbie, a tym bardziej o sięganiu po potencjał starszego pokolenia. Ograniczę się więc do kilku uwag, na wypadek, gdyby ktoś jednak chciał się zreflektować. Brak oferty resortu dla pracowników

odchodzących ze służby stanowi zresztą starą bolączkę, nawet jeśli w różnych okresach zdarzały się pozytywne wyjątki. Należało do nich powołanie przez ministra Sikorskiego „Grupy Refleksyjnej”, złożonej z wybranych emerytowanych ambasadorów. Zabrakło jednak nośnej formuły i inicjatywa dość szybko uwiędła. Nie mam nadziei, że w dającej się przewidzieć przyszłości w resorcie uda się ograniczyć upolitycznienie i zniwelować stworzone podziały, których ofiarą jest również młode pokolenie dyplomatów, zamiast od starszych kolegów uczące się często na własnych błędach. Na emeryturę odchodzi coraz więcej ludzi zachowujących energię i potencjał intelektualny. Podejmują działalność akademicką, są aktywni w stowarzyszeniach, fundacjach, organizacjach i klubach, uczestniczą w gremiach doradczych i programowych, publikują, są komentatorami w mediach, pracują w biznesie, otrzymują zagraniczne zaproszenia. Resortu i państwa z reguły to nie interesuje i dzieje się to w kraju, w którym wielu polityków i całe środowiska wykazują niezrozumienie i ignorancję w sprawach polityki zagranicznej. Pracownicy odchodzący ze służby mogliby być w tym zakresie pomocni, choćby w sferze doradczo-analitycznej. Niektóre obszary aktywności zewnętrznej aż proszą się o takie wsparcie. Przykładem może być obrót specjalny, gdzie nagminnie popełnia się kardynalne błędy. To samo dotyczy niektórych segmentów działania służb specjalnych, w tym zajmujących się przeciwdziałaniem terroryzmowi o podłożu islamskim. Niewątpliwie doradziliby też, jak unikać niekompetentnej infiltracji polskich firm działających za granicą. Wsparcie emerytowanych ekspertów posiadających wycucie kulturowe i doświadczenie może pomóc uniknąć nieszczęścia lub kompromitacji. Jeden ze znanych badaczy dżihadyzmu wyciągał na przykład publicznie daleko idące wnioski z ostrzeżenia o planowanym zamachu terrorystycznym, w którym „Allah” napisano po angielsku małą literą, widząc w nim „fałszywkę”, gdyż zapewne nie wiedział, że w alfabecie arabskim nie ma wielkich liter. Uwagi te są szczególnie istotne, jeśli się uwzględni możliwe prowokacje ze strony wrogich Polsce ośrodków podszywających się pod religijną ekstremę lub inspirujących ją. To samo dotyczy kompetentnego rozpracowania kwestii uchodźców, kiedy już jakichś będziemy musieli zaakceptować, choć osobiście uważam to za zły pomysł. Specjaliści poza służbą z pożytkiem mogliby uczestniczyć w przygotowywaniu programów współpracy, rozmów z delegacjami zagranicznymi, tematycznych i regionalnych

konferencji, w pracach działających w resortach komisji opiniodawczych, oceniających czy konkursowych. Kolejną sprawą jest spisywanie doświadczeń, od czego zacząłem tę książkę, ale według określonego schematu i wymogów. Polem wsparcia mogą być organizacje pozarządowe, w tym ubiegające się o udział w programach finansowanych ze środków unijnych i innych międzynarodowych, co odnosi się między innymi do dyplomatów zatrudnionych wcześniej w służbie unijnej, z czego pożytek dla kraju jest raczej mizerny. Dlaczego emerytowani dyplomaci nie mogliby wchodzić w skład doraźnych misji obserwacyjnych czy weryfikacyjnych organizacji międzynarodowych, do których zresztą odeszła spora grupa pracowników MSZ, o ile ich kandydatury nie zostały zablokowane przez własny resort, jak choćby Tomasz Chłonia na dyrektora Biura NATO w Moskwie. A z jakim powodzeniem można w tych strukturach działać pokazuje przykład Mariana Staszewskiego pracującego dla OBWE w Ukrainie. To tylko niektóre refleksje z tych, które przekazałem na odchodne Dyrektorowi Generalnemu, gdyż wątpliwe znaczenie ma powtarzanie propozycji niemających szans realizacji. Dodam tylko, że w większości przypadków nie musiałyby one generować kosztów lub byłyby znacznie tańsze od szalejącego w MSZ outsourcingu. Warto wyjść poza miłą praktykę wysyłania emerytom kartek świąteczno-noworocznych, która chyba w ostatnim roku padła ofiarą „dobrej zmiany”, podobnie jak szacunek resortu dla zasłużonych pracowników odchodzących na wieczny odpoczynek.

Krajowa Izba Gospodarcza pokazała, jak cenne i obopólnie pożyteczne może być instytucjonalne skorzystanie z doświadczenia dyplomatów, którzy o swych regionach specjalizacji wiedzą prawie wszystko, gdyż zajmowali się nimi przez całe lata i są tam szanowani. Prezes Andrzej Arendarski poprosił bowiem grupę ambasadorów, z dorobkiem również w sferze stosunków gospodarczych, by weszli w skład społecznego Zespołu Doradców Dyplomatycznych. Od lat pomaga on w planowaniu przedsięwzięć Izby na rzecz polskiego biznesu, organizacji międzynarodowych konferencji i spotkań, przygotowywaniu najważniejszych dwustronnych kontaktów biznesowych, współpracy z placówkami dyplomatycznymi w Warszawie. Jest u kogo się uczyć, gdyby znaleźli się chętni.

W zasadzie na pytanie, co robię na emeryturze, odpowiedziałem już wcześniej. Prawie wszystko, co wyżej wymieniłem. Dodam tylko jeszcze, że wraz z Anitą Tatarczaną i Robertem Mikulskim jestem współzałożycielem fundacji promocyjnej, znajdującej się na etapie rozwijania skrzydeł. No i napisałem tę książkę – raport, niezłe męcząc się przy tym, po latach deformacji stylu notatkami, depeuszami i opracowaniami, nie mówiąc już o braku nawyku kompletowania dokumentacji osobistej. Uważałem to jednak za swój obowiązek, tym bardziej że w MSZ i na placówkach następuje przerwanie zbiorowej pamięci i niedługo młody dyplomata nie będzie już w stanie w oparach propagandy odróżnić tego, co w historii jego resortu jest mitem, a co prawdą. Tak jak w przypadku saudyjskiego studenta, który pisząc pracę licencjacką o naszej transformacji, nie mógł zrozumieć, jak naród polski przetrwał PRL na samym occie. Staralem się przy tym rzetelnie i szczerze opowiedzieć, jak przyszedłem do służby w starej Polsce i „co robiłem w dyplomacji”. Nie pomijając tego, co „dyplomacja” robiła ze mną. Zachęcam innych kolegów do podjęcia podobnego wyzwania.



WŁADZA NIE MA MONOPOLU NA PATRIOTYZM

Ogromnie żałuję, że polskie państwo pod rządami ludzi Prawa i Sprawiedliwości, choć mam wśród nich również przyjaciół, traktuje takich jak ja – z korzeniami w PRL i z moskiewskim dyplomem – jak trędowatych. To także dla tego środowiska jest ta książka. Nie zamierzam się wstydzić, że urodziłem się w 1947 roku, skorzystałem z możliwości awansu dostępnych w minionym ustroju i służyłem POLSCE, takiej jaka była, niezależnie od widniejących przy niej przymiotników czy numerów.

Jestem dumny, że na swej drodze zawodowej miałem okazję wykazać dowody patriotyzmu, o których wielu nie może nawet marzyć, a zapewne nie ma też na to czasu tropiąc „wrogów”. Dziś polskie „elity” zapominają, że kiedyś zgodnie budowaliśmy nową Rzeczpospolitą, wprowadzaliśmy ją do NATO i UE, dbaliśmy o nasze wspólne interesy u wcześniej niedostępnych partnerów, umacnialiśmy sojuszniczą wiarygodność, nadstawiając karku. Irak jest jednym z symboli, choć kusi, by zakończyć to zdanie znakiem zapytania. Czyż jest bowiem czymś normalnym, że z okazji 25. rocznicy bezprecedensowej akcji polskiego wywiadu w tym kraju, przeprowadzonej w pierwszych dniach mojego urzędowania w Bagdadzie, do Warszawy przyjeżdżają wysocy przedstawiciele administracji USA, wręczają zaangażowanym obywatelom polskim indywidualne listy i wybite z tej okazji medale Centralnej Agencji Wywiadowczej oraz akcentują historię wspólnie budowanego sojuszu, zaś przedstawiciele polskich władz i środowisk politycznych marginalizują uroczystość i nie widzą jej związku z dzisiejszymi interesami Państwa? To, że obecnie komuś nie podoba się fragment życiorysu wielkiej części mojego pokolenia (też korzystającego z praw obywatelskich i wyborczych), można jeszcze przelknąć. Ale zapominać, że za Irak USA i Zachód skreśliły 50% długów PRL, dziedziczonych przez nową Polskę?! Ciągłości prawnej Państwa w tym zakresie i istnienia tego samego Narodu chyba jeszcze nikt bowiem nie kwestionuje! A nadal niefrasobliwie się zadłużamy! Przecież to obciach. I karać za sukcesy w służbie państwa! Tego chyba nie mogli wymyślić polscy patrioci.



Medal Centralnej Agencji Wywiadowczej USA upamiętniający 25. rocznicę akcji polskiego wywiadu w Iraku, kierowanej przez gen. Gromosława Czempińskiego, wręczony uczestnikom operacji oraz Autorowi podczas ceremonii zorganizowanej w Ambasadzie USA w Warszawie z udziałem ambasadora Paula W. Jonesa, 2015

Gorzej, że gdyby dzisiaj powtórzyło się takie, jak w 1990 roku irackie wyzwanie, nie miał by go kto w Polsce zrealizować, zakładając, że ktoś zdecydowałby się zwrócić do nas o pomoc. Etykieta znaczy więcej niż zawartość. Dodam jeszcze, że jestem dumny z wiedzy zdobytej w Moskwie, gdyż dzięki niej mogłem dobrze służyć krajowi. Trochę żałuję, że zaniedbałem kontakt z rosyjską Alma Mater, która w międzyczasie otwarła się na cały świat. Również Stowarzyszenie Polskich Absolwentów MGIMO nie wyszło poza ramy wąskiego i kurczącego się klubu towarzyskiego, zamiast promować wzajemnie korzystne relacje, wszędzie tam, gdzie jest to możliwe i pożądane. Wiele osób, a w ZSRR, Rosji i republikach poradzieckich wykształconych zostało około piętnastu tysięcy Polaków, ukrywa fakt studiów. Sam nie jestem tu bez grzechu, bowiem w Moskwie po studiach (poza tranzytem) byłem tylko raz (choć nie wynikało to z bojaźni), gdy kierowałem Departamentem – na konsultacjach regionalnych, identycznych jak te, które prowadziłem w wielu stolicach państw UE i NATO, z Waszyngtonem włącznie. Za to zawsze podtrzymywałem dobre robocze kontakty z rosyjskimi odpowiednikami na placówkach, od początku będąc dla nich przynajmniej równorzędnym partnerem. Niedługo wytykani politycznym palcem absolwenci MGIMO znikną całkowicie

z aktywnej służby państwowej, a później biologia dokończy dzieła nawiedzonych reformatorów. W tym czasie na pomysły naszych czołowych sojuszników (i jednocześnie konkurentów) będą pracować specjaliści wysyłani na studia w Instytucie.

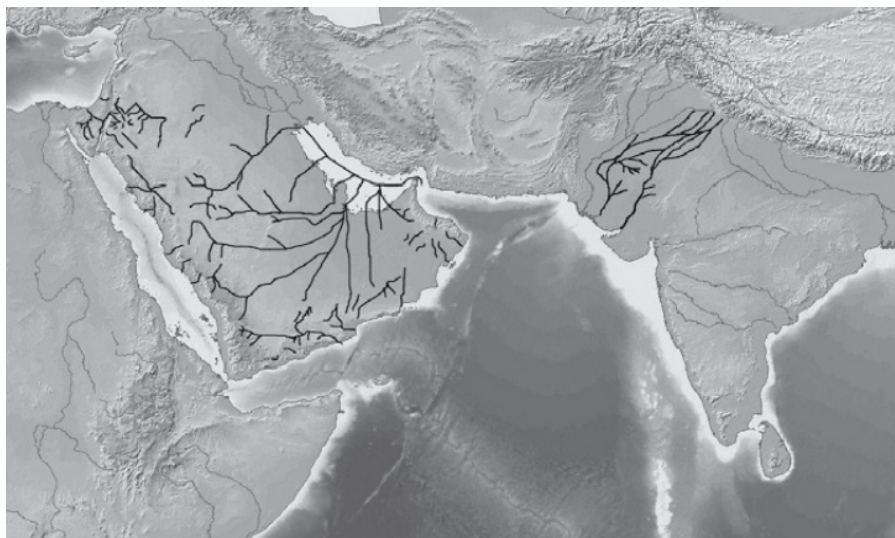
Niewiele można zrobić indywidualnie w obliczu zachodzących procesów, poza uzbrojeniem się w kartkę wyborczą, korzystaniem z form obywatelskiego protestu i apelami o zdrowy rozsądek w zgodzie z interesem państwa. Przykładem wołania na puszczy (przynajmniej jak na razie, bowiem „Bóg sprzyja cierpliwym”) jest list, który w grudniu 2016 roku doręczyłem do gabinetu Prezesa Prawa i Sprawiedliwości, Jarosława Kaczyńskiego. Zareagowałem w nim na zapowiedzi ustawowej „weryfikacji” pracowników MSZ pracujących w resorcie przed 1989 rokiem i wykształconych w MGIMO. Zwracałem uwagę, że zaraz po transformacji niepodległa Polska powierzyła mi oraz grupie pracowników Ambasady, w tym współpracowników służb też obecnie szykowanych do odstrzału, najbardziej delikatne i potencjalnie grożące śmiercią zadania w Iraku, których bezpieczne i dobre wykonanie oznaczało trudne do przecenienia korzyści dla Polski – polityczne, finansowe, wizerunkowe i w sferze bezpieczeństwa. W tym miejscu należy oddać cześć pamięci polskich dyplomatów z irackim stygmatem, którzy zginęli w trudnych do wyjaśnienia wypadkach, w tym Edmunda Żurawskiego i Jarosława Wojtary. Zwracałem również uwagę na wymierny dorobek w Arabii Saudyjskiej, osiągnięty pod moim kierownictwem w krótkim czasie i w miniaturowym zespole. Tymczasem w przypadku pozostawania w służbie podlegałbym weryfikacji – z pewnością negatywnej – z dwóch paragrafów, tj. cywilna służba w MSZ PRL i dyplom MGIMO. Gdybym miał również w życiorysie jakiś nawet przelotny epizod w służbach specjalnych, co w świecie dyplomacji nie jest niczym nadzwyczajnym, doszedłby jeszcze dodatkowy paragraf. Na jego podstawie również grupa bohaterów z Bagdadu, na czele z generałem Gromosławem Czempińskim, jest pozbawiana prawa do zasłużonej i wypracowanej w nowej Polsce emerytury. I gdzie tu jest wróg, a gdzie przyjaciel?!

Wieloletnia służba dla państwa kształtuje osobowość i postawę oraz pobudza do dalszego pozytywnego angażowania się pro publico bono, nawet jeśli państwo odwraca się do obywatela tyłem i stara się

go zaszufładkować. I tak należy trzymać. Ale emerytura to również więcej czasu dla rodziny, niejednokrotnie zaniebawianej w konfrontacji z zawodowymi obowiązkami i okolicznościami pracy. Wraz z żoną mamy satysfakcję ze służby dla kraju i nic tego nie zmieni. Chcemy, by Polska była przyjaznym krajem marzeń dla naszego pokolenia i przyszłych. Dobrze rządzonym i wykorzystującym potencjał wszystkich obywateli, mocno osadzonym w pokojowym sąsiedztwie i otwartym na konstruktywną współpracę nawet z odległymi partnerami. Bliskim motto tej książki, które jako potrójny dziadek dedykuję również wnukom – Adzie, Frankowi i Piotrusiowi (licząc na kolejne). Oby świat zszedł ze złej drogi ku konfrontacji, a liberalna demokracja przyniosła odpowiedzi na fundamentalne wyzwania. Jeden z rysunków Andrzeja Mleczki przedstawia Boga z globusem w objęciach, zmierzającego w kierunku wyznaczonym drogowskazem „Serwis”. Pozostaje mieć nadzieję, że Wszechmogący zdąży oddać glob w ręce kompetentnych i przyjaznych mechaników. Zanim dojdzie do katastrofy.

Załącznik.
ARABIA INCOGNITA.
RZUT OKA NA PRZESZŁOŚĆ PÓŁWYSPU*

Arabia Saudyjska zajmuje lwią część Półwyspu Arabskiego. To w zasadzie subkontynent, równy połowie powierzchni Europy i większy od Półwyspu Indyjskiego. Stanowi ważną kolebkę kształtowania się człowieka i teren jego najdawniejszych migracji. Niedocenianą rolę w tym procesie odegrały zmiany geologiczne, w tym powolne, w tempie przyrostu paznokcia, powstawanie uskoku tektonicznego, stanowiącego dziś Morze Czerwone. Chodzi tu między innymi o wpływ na sposób życia, dietę i kształtowanie się mowy ludzi pierwotnych, mających ten pas wody za sąsiedztwo lub przeszkodę na drodze migracji z Afryki. Na Półwyspie udokumentowano miejsca ciągłego osadnictwa na przestrzeni kilkuset tysięcy lat. Długo istniały tu cieplarniane warunki środowiskowe. Ta era skończyła się jednak nagle jakieś osiem tysięcy lat temu. W kalendarzu bliskowschodnich cywilizacji nie jest to data odległa. Najstarszy znany w tym regionie rozległy kompleks sakralny w Gobekli Tepe ma dwanaście tysięcy lat, a przecież nie mógł powstać bez jeszcze wcześniejszych fundamentów.



Sieć pradawnych rzek Arabii Nieznanej, odwzorowana zgodnie z ich obecnymi suchymi korytami, kończących swój bieg w przedpotopowej Rajskiej Dolinie, zalanej wodami Oceanu Indyjskiego i znanej dzisiaj jako Zatoka (Perska? Arabska?). Pierwotny nurt uchodzącej do Oceanu super rzeki – zlewni znajdował się mniej więcej pośrodku obecnego akwenu. Wadi Batin była najbardziej wysunięta na północ i pierwotnie kończyła swój bieg na terenie obecnego Kuwejtu (Źródło: <https://6000generations.wordpress.com>)

Ogromne obszary regionu, w tym Afrykę Północną, dotknęła katastrofa klimatyczna, prawdopodobnie spowodowana konsekwencjami zmiany osi ziemi. Zielona i stosunkowo gęsto zaludniona kraina, lepsza wersja dzisiejszej afrykańskiej sawanny, przekształciła się we wrogą człowiekowi pustynię. Wyschły wielkie rzeki i wyparowały jeziora, o ile nie zdążyły się schować pod ziemię. Deszcz, poza enklawami, stał się rzadkością, a jeśli padał, to głównie punktowo i nieregularnie. Ludzie musieli się przemieszczać w poszukiwaniu wody. Warunki do stałego osadnictwa zachowały się jedynie w oazach, korzystających z wód podziemnych oraz w nielicznych dolinach i na stokach górskich.

Rewolucja klimatyczna przyniosła konsekwencje aktualne do dziś. Przestało istnieć społeczeństwo zbieracko-agrarne. Jego miejsce zajęli koczujący hodowcy i myśliwi oraz rozproszone i rachityczne rolnictwo. Ludność trwale podzieliła się na osiadłą i pustynnych nomadów – Beduinów. Obie głęboko zróżnicowane grupy zdane były na nieustanną bezwzględną walkę o wciąż kurczące się zasoby i przetrwanie, kształtującą stosunki społeczne na przestrzeni tysięcy lat. Ekstremalne warunki wymuszały jednak sporadycznie współpracę między obiema grupami ludności. Na tym etapie szczególną rolę spójnika i przetrwalnika dla społeczności ludzkich odegrała palma daktylowa, a gdzieś od trzeciego tysiąclecia p.n.e. również wielbłąd. Palma i dromader miały na Półwyspie opatrnościowy charakter, a ich znaczenie można porównać do wpływu Nilu na Egipt.

Warunki klimatyczne wymusiły migracje, które gruntownie wymieściły semickie plemiona i ludy zamieszkujące ten obszar, tworząc niekiedy niemożliwy do rozwikłania węzeł, pozostający w ścisłym związku z wędrownymi w obu kierunkach pomiędzy Półwyspem i wschodnim wybrzeżem Afryki. Równoległym kierunkiem przemieszczania się ludności był bardziej przyjazny obszar Żyznego Półksiężycy, ciągnący się od Mezopotamii, przez Syrię i Palestynę, do Egiptu. Żywiół semicki wtapiał się tam we wcześniejsze osadnictwo i z czasem go zdominował. Ogromne obszary wnętrza Półwyspu, najbardziej dotknięte pustynnieniem, pozostały na tysiąclecia w dużym stopniu bezludne i odizolowane od wpływów zewnętrznych. Cały region stał się czymś w rodzaju wyspy (Al-Dżazira), ziemi niedostępnej i nieznanego zewnętrznemu światu.

Większość śladów tej rewolucji zatarł czas. Uważny obserwator dostrzeże jednak jej odległe echa zachowane w zbiorowej pamięci i mentalności ludzi, archaicznych elementach języków i bogactwie ich wyrazu zawartym choćby w antycznej poezji arabskiej sławiącej zieloną łąkę (będącą obecnie największą piaszczystą pustynią świata), pierwotnych nazwach miejsc, wędrujących wraz z ludźmi i przybierających po drodze skarłale czy zdrobniałe formy, zachowanej od starożytności tożsamości plemion, zabobonach, których nie udało się do końca wykorzenić nawet żarliwym wahabito. Wielu Beduinów nadal słyszy w dźwiękach pustynnego wiatru zawodzenia Lilit, pierwszej towarzyszyki Adama, odsuniętej przez niego na tyle wcześniej, by mogła zachować nieśmiertelność i stać się prawzorem wyzwolonej kobiety. Przetrwiała również ponadczasowa pamięć potęgi sił przyrody, zdolnych za jednym zamachem zmienić los całych pokoleń. To żywioły szalejące na przestrzeni tysięcy lat powstawania cywilizacji, wielkie katastrofy i boski majestat pustyni kształtowały specyficzne podstawy duchowego rozwoju człowieka tych stron, które zrzędzeniem losu miały się okazać ważną częścią światowego dziedzictwa. W czynnikach tych należy również szukać odpowiedzi na pytanie o obfitość proroków z tej ziemi i jej najbliższych obrzeży, których tylko w Koranie wymienionych jest dwudziestu sześciu – od Adama i Noego, poprzez Abrahama, Mojżesza i Dawida, po Jezusa i Mohammeda, mającego według muzułmanów zamykać ich listę. Wszyscy oni symbolizują jakiś etap historii regionu, nawet jeśli wobec braku pewnych dowodów nazywamy ją po części prehistorią. Są również stopniami procesu dochodzenia do koncepcji jedyne Boga, koniecznego, by na tym padole nieszczęść Arabii zaprowadził jakiś porządek. Ale też często bezradnego w zderzeniu z realiami. Cóż można bowiem zrobić, jeśli warunki życia kształtujące cechy wspólnot nie pozwalają owieczkom zaakceptować nakazów uniwersalnego prawa zawartych w Dekalogu? Akadyjczykom – niezabijania, Amorytom – niecudzołożenia, Arabom – zaniechania kradzieży. Bliskowschodnia anegdota mówi wprawdzie, że Stwórca zasmucony tą sytuacją napotkał w końcu na pustyni plemię Hebrajczyków, którzy po upewnieniu się, że przykazania są za darmo, poprosili o cały zestaw. Niestety, bliskowschodnie rozwiązania tylko z pozoru są proste. W Izraelu jest biblijne zoo, które kiedyś odwiedził amerykański sekretarz stanu, Henry Kissinger. Zachwyił się sielankowym widokiem lwa i owieczek w jednej klatce. Pytając, jak możliwy

jest taki cud pokojowego współistnienia, dowiedział się, że wystarczy odpowiednio często uzupełniać liczbę owieczek. Ale co zrobić, gdy każdy chce być lwem!

Na Bliskim Wschodzie jest wiele spraw, które z najwyższym trudem przebijają się do naszej świadomości, ukształtowanej przez oba Testamenty. W religiach jest tyle boskości, ile nadadzą im wierzący. Warstwa materialna oparta jest natomiast na rzeczywistych wydarzeniach, choć często stanowi jedynie ich odległe i wielokrotnie odbite echo. Dotyczy to między innymi wydarzenia fundamentalnego dla naszej kultury – potopu. Ten autentyczny towarzyszył katastrofalnej suszy sprzed ośmiu tysięcy lat i miał miejsce na wschodnich peryferiach Półwyspu. Kiedyś był on oddzielony od Wyżyny Irańskiej nie obecną rozległą zatoką morską, a Doliną Wielkich Rzek. Pomijając inne potężne rzeki półwyspu, w dzisiejszej północnej jego części była ona kształtowana przez nurty Tygrysu i Eufratu oraz płynącej z gór irańskich Karun i tej bodaj największej – Wadi Batin, niosącej wody Arabii, obecnie jedynej z tej czwórki całkowicie wyschłej. Jej imponujące wadi oraz równie suche dorzecze można z łatwością dostrzec z samolotu, wpatrując się w bezkresne saudyjskie piaski i płaskowyże. Była tam kiedyś kraina mlekiem, miodem i rybami płynąca, świat słodkiego, beztróskiego i pokojowego życia. Obfitość słodkiej wody, żyzne gleby, bujna flora i fauna oraz umiarkowany klimat zapewniały błogostan zrównoważonej populacji, nie zmuszając do szczególnego wysiłku. O poziomie cywilizacyjnym tej kultury może świadczyć fakt, że prawdopodobnie znano tam pismo i dokumentowano historię. Tak, to był raj, raj zabrany przez potop. Wyjątkowość miejsca pośrednio przeorała naszą mentalność, a mglista pamięć o nim przetrwała tysiąclecia. Zachowała się nawet do dziś w dalekich zakamarkach Azji, w mitach i legendach o „leżącej gdzieś na zachodzie krainie szczęścia i dobrobytu”. I na pewno nie chodzi o Unię Europejską! Co więc się stało?

Rajską dolinę, która rozciągała się aż po Cieśninę Ormuz, w ciągu niespełna wieku zalał słoń żywiol Oceanu Indyjskiego, wypierając słodką wodę życia jakieś tysiąc dwieście kilometrów na północ, daleko poza dzisiejszą linię brzegową Zatoki i Szatt al-Arab, a przy okazji zalewając kilkudziesięciokilometrowy pas lądu na obecnym zachodnim brzegu akwenu. Istnieje teoria, że kataklizm miał bardziej gwałtowny

charakter i nie był rozłożony w czasie, ale nastąpił jednorazowo w wyniku tsunami. Moim zdaniem, jest to mało prawdopodobne, gdyż wówczas praprzodkowie Sumerów, osiedlonych w widłach wielkich rzek Mezopotamii, mieliby niewielkie szanse na uratowanie się i ewakuację.

Raj stał się płytką zatoką morską, chowając pod dnem ślady przedpotopowej cywilizacji oraz cichy dowód w postacią podmorskich źródeł słodkiej wody. W bliskowschodniej tradycji prawda wychodzi z ziemi, ale w tym przypadku wyłania się spod wody, choć na razie głównie dzięki zdjęciom satelitarnym. Musiało minąć kilka tysięcy lat cywilizacyjnego rozwoju, by potwierdzić i uwiarygodnić opisy zawarte w sumeryjskich księgach, na których opiera się Genesis. Precyzyjnie wskazują one lokalizację przedpotopowego raju i pierwotnych siedzib sumeryjskich przodków. To bliskowschodnia Atlantyda. Heros Gilgamesz, kierując się wiedzą i zbiorową pamięcią swego ludu, wybrał się właśnie gdzieś w rejon Bahrajnu, by w okalających go wodach znaleźć roślinę zapewniającą nieśmiertelność. Stamtąd odlegli przodkowie Sumerów przywieźli opisy stworzenia świata i listę królów panujących przed potopem, wyjątkowo długowiecznych, co zapewne jest odzwierciedleniem dynastycznego liczenia czasu. Zachowali też tęsknotę za rajem utraconym, traumę pytania o boskie wyroki i dylemat dlaczego Zło zwycięża Dobro. Ale też zdolność odbudowy cywilizacji i wzniesienia jej w kolejnej epoce na nieosiągalny wcześniej poziom. Opis potopu i swe refleksje zapisali pismem klinowym na dobrze wypalanych glinianych tabliczkach, praktycznie nieśmiertelnych, o ile nie przejadą po nich czołgi. Nie należy jednak wykluczać, że korzystali przy tym nie tylko z ustnego przekazu. Wcześniej wspominałem, że asyryjski król Aszurbanipal, panujący kilka tysiącleci po „wygnaniu z raju”, szczycił się umiejętnością odczytania – jako ostatni człowiek na ziemi – kamiennych tablic sprzed potopu. Może nadal czekają one gdzieś w zrzuconym Iraku na swojego odkrywcę.

Ucieczkę przed Oceanem opisuje sumeryjski epos o Ziusudrze (Utnapisztimie), który z bożą pomocą dotarł arką do okolic irackiego Kut, jakieś sto kilometrów na północ od Kurny, gdzie mezopotamska tradycja sytuuje iracki fragment raju. Exodus na północ wraz z wodnym nurtem był jedynym możliwym kierunkiem. Od południa wdzierał się Ocean, na wschodzie były góry, a od zachodu rozciągała się zalewowa

pustynna równina i suchy płaskowyż. Mieszkańcy Doliny musieli być obcy z wodą i powszechnie używać łodzi. Zapewne nie cały żywy inwentarz zdołali zabrać na łodzi, część hodowanych i dzikich zwierząt z bogatego afrykańskiego katalogu mogła podążyć łodem w ślad za ludźmi. Jeśli dzisiaj wielu ludziom trudno uwierzyć w taką realistyczną wersję wydarzeń, to czy można się dziwić rozterkom starożytnych skrybów żydowskich kompilujących święte księgi, starających się opowiedzieć pradawne historie językiem zrozumiałym dla współczesnych im ludzi? Przecież z tego samego względu Ur Abrahama stał się w Biblii „chaldejskim”, a „królową Saby” wykreowano na władczynię państwa, które jeszcze nie powstało, zaś Koran jest pełen odniesień do spraw dziejących się w danym miejscu i czasie.

Gwoli prawdy należy powiedzieć, że gigantycznych powodzi było więcej. Spiętrzone wody morskie zalały również słodkowodne jezioro będące dziś Morzem Czarnym. To także bliskowschodnie ludy przechowywały w pamięci. Z czasem różne fakty przemieszały się w czasie i przestrzeni, podobnie jak pokolenia ludzi. Mówimy przecież o skompresowanych wydarzeniach mających miejsce na przestrzeni wielu tysięcy lat i na ogromnych obszarach, na których mogły istnieć niezliczone „raje” zabrane poszczególnym społecznościom przez siły przyrody i zmiany klimatyczne. Takie miejsce mogło znajdować się również na pograniczu saudyjsko-jemeńskim, gdyż biblijna nazwa „kraj Chawila” sugeruje rejon Wadi Bisha, a może dalej na południe – w Adenie (Eden?). Nic dziwnego, że różni entuzjaści szukają szczątków „arki Noego” na stokach Araratu, a nie tam, gdzie być może nadal leży – głęboko w konserwującym mule południowego Iraku. Trudno im odmówić prawa do tego. Niemniej jedynie wielkość i dramat Doliny Czterech Wielkich Rzek, tak jak to opisali Sumerowie, zostały uświęcone we wszystkich objawionych religiach – judaizmie, chrześcijaństwie i islamie, stanowiąc fundament Genesis. Aby jednoznacznie potwierdzić prawdziwość sumeryjskiego świadectwa, trzeba po prostu zejść na dno Zatoki Raju, ani perskiej, ani arabskiej. No i mieć odwagę spojrzeć prawdzie w oczy.

Sumerowie w IV tysiącleciu p.n.e. stworzyli w Mezopotamii, w wódłach Tygrysu i Eufratu na terenie dzisiejszego południowego Iraku,

podstawy wspaniałej cywilizacji, która przetrwała swych twórców, podobnie jak grecka czy rzymska. Przejęły ją, kultywowały i rozwijały odmienne od nich rasowo ludy semickie, poczynając od Akadyjczyków. Europa zaczęła odkrywać tę kulturę dopiero pod koniec XIX wieku – po odczytaniu pisma klinowego, błędnie przypuszczając jednak, że „wszystko zaczęło się w Sumerze”. Osiągnięcia, w wielu dziedzinach wyprzedzające nasz kontynent o całe epoki, często zostały bezwiednie przejęte i nadal z nich korzystamy, chociażby w matematyce. Kres postsumeryjskiego świata nastąpił wraz ze zdobyciem przez Persów w 539 roku p.n.e. Babilonu, z rozmachem odbudowanego z wojennych zgliszcz przez króla Nabuchodonozora. Jednocześnie upadła reforma religijna intronizująca Marduka na jedyne boga, ważniejsza od wcześniejszego o kilka stuleci epizodycznego projektu wywyższenia boga Atona w Egipcie, bowiem oddolna i akceptowana społecznie. Tabliczki z klinowym pismem i kamienne stele stopniowo zamilkły, choć po części zostały wtopione w hebrajskie dziedzictwo. Żydzi byli świadkami otwarcia przed Persami bram i archiwów Babilonu. Mimo pozostawiania wcześniej w niewoli, cieszyli się w państwie babilońskim wysoką pozycją materialną i społeczną. Na tyle atrakcyjną, że po odzyskaniu wolności z rozkazu Cyrusa II Wielkiego nie spieszyli się wcale z powrotem do prowincjonalnej i biednej Palestyny. Stworzyli w Mezopotamii wyrafinowane ośrodki intelektualne, korzystające pełnymi garściami z dziedzictwa zlikwidowanego przez Persów świata. Byli jednym z pasów transmisyjnych prastarej kultury Wschodu do Europy, choć proces ten trwał już od tysiącleci. Cywilizacja naszego kontynentu była przecież młodszą siostrą lub bratem bliskowschodnich sąsiadów. To oni nadali nam imię „Europa”. „*Ereb*” (‘A-R-B), to po prostu semicki „zachód”. To samo dotyczy „*Arab-ów*” (‘A-R-B), tyle, że ci byli na zachód od Asyrii. Także „*Hebrajczyk*” („*Ha*”-‘A-B-R) mieści się w tej wykładni, nawet jeśli możliwe są inne wyjaśnienia. Trzeba tylko uwzględnić występującą w językach semickich praktykę wymiany kolejności sylab, zamiennosc spółgłosek „*A*” z „*Gh*” oraz istnienie w języku hebrajskim rodzajnika „*Ha*”, będącego odpowiednikiem arabskiego „*al-*”. Koniec panowania semickich władców w Mezopotamii wiąże się z imieniem Nabonida. Król ten rezydował w saudyjskiej oazie Tema, nierozważnie pozostawiając sprawowanie rządów w Babilonie synowi Baltazarowi, dzięki Biblii bardziej znanemu od ojca.

W czasie, gdy dogorywało imperium babilońskie, inni Semici na dalekim południowo-zachodnim krańcu Półwyspu Arabskiego, odległym geograficznie o dwa tysiące kilometrów zasadniczo bezludnej pustynnej i górskiej przestrzeni, od kilku wieków pracowali na swą prosperity, która miała trwać dziesięć stuleci. Ta część Arabii posiadała atrakcyjną i pożądaną ofertę luksusowych towarów, przede wszystkim kadzidło, ale także mirrę, balsam konieczny do sakralnych namaszczeń, gumę arabską, cynamon, kamienie szlachetne. Dysponowała również zdolnością do elastycznego reagowania na zapotrzebowanie dzięki uzupełniającemu własną produkcję importowi z Indii, Rogu Afryki, a nawet Birmy i Chin. Od zarania dziejów istniał na te towary popyt w państwie faraonów i we wszystkich centrach antycznego świata. Geograficzna i klimatyczna izolacja oraz problemy logistyczne sprawiły, że gospodarze tej mającej cechy mityczne krainy nad swym skarbem nigdy nie oddali obcym kontroli. Persowie – pomimo wieków swej obecności w regionie – nigdy nie zdobyli ziemi kadzidła. Nie poszczęściło się też Aleksandrowi Wielkiemu, który „poruszony bogactwem tej krainy” planował zdobycie jej ze swej stolicy w Babilonie. Na przeszkodzie stanęła jednak niespodziewana śmierć Macedończyka w 323 roku p.n.e. O Rzymie będzie jeszcze mowa. Powstawanie nowych mocarstw na Bliskim Wschodzie i w Europie, kształtowanie się greko-rzymskiej cywilizacji oraz konieczna w tym celu „rewolucja wielbłądzia” stworzyły możliwość handlu tymi produktami na niespotykaną w historii skalę. Wzdłuż Morza Czerwonego od pradawnych czasów istniały regionalne drogi handlu solą (południe) i złotem (północ), o długości 2500 kilometrów, wykorzystywane również do przewożenia innych dóbr. Rozszerzenie przedsięwzięcia stosownie do popytu i nowych możliwości transportu (wielbłąd) wymagało jednak spełnienia kilku warunków. Szlaki należało spiąć w całość, unowocześnić ich organizację, a przede wszystkim zapewnić bezpieczeństwo. W południowo-zachodniej Arabii istniały wówczas stosunkowo silne ośrodki plemienne i państwowe. Zachodnie obrzeża półwyspu w jego centralnej części, aż po granice Palestyny, były kontrolowane przez arabskie plemiona, tworzące konfederacje. Było to jednocześnie centrum hodowli na dużą skalę i transportowego wykorzystania wielbłąda, mające swe zaplecze wewnątrz Półwyspu. Na północy znajdowało się silne państwo izraelskie. Pozostawało dogadać się i uruchomić biznes.

W tym celu około 950 roku p.n.e. do króla Salomona udała się pewna wysoko postawiona Arabka (teksty biblijne nie wymieniają jej imienia). Współcześnie wiemy, choć daleko nie wszyscy, że tytuł królowej Saby został jej przypisany „profetycznie”, bowiem królestwo o takiej nazwie miało powstać dopiero parę wieków po tym spotkaniu. Bilkis, jak nazywają ją rodacy (lub Makeda w etiopskiej tradycji), była władczynią czy szefową plemiennej konfederacji w „wielbłądziej” części planowanego szlaku, sąsiadującej z państwem Salomona. Dysponowała stadami jucznych wielbłądów i kontaktami z innymi ziolkami na dzisiejszym wybrzeżu saudyjskim, a zapewne i dalej na południe, aż po Jemen, Hadramaut i Zofar. Przedsiębiorcza kobieta dogadała w Jerozolimie intratny arabsko-żydowski biznes. Być może przypieczętowany w łóżku, zgodnie z mitem założycielskim dynastii abisyńskich cesarzy. Później w relacjach między obu ludami bywało różnie, ale współdziałanie uzgodnione w Jerozolimie przetrwało upadek państw żydowskich, a kupieckie więzi między Arabami i Żydami funkcjonowały aż po czasy najnowsze, sięgając w kolejnych epokach malabarskiego wybrzeża Indii, arabskiej Hiszpanii i Słowiańszczyzny.

Kadzidło było towarem na wagę złota. Łaknęli go bogowie niebiańscy i ziemscy. Konieczne było też w tonących w smrodzie metropoliach starożytności. Każdy chciał mieć odrobinę luksusu i był gotów za niego dobrze zapłacić. Interes z wonnościami po pierwszych wiekach rozruchu przekształcił się w Eldorado, gdy na arenie dziejów pojawił się imperialny Rzym, z jego nieograniczonymi – do czasu – możliwościami finansowymi i nienasyconym apetytem. Był to boom porównywalny jedynie z epoką petrodolarów, która kiedyś też się skończy. Stały wzrost popytu i spekulacje pośredników na ostatnich etapach szlaku sprawiły, że udział wonności w całym imporcie Rzymu sięgał w poszczególnych okresach 30%. Ten drenaż monetarny przyczynił się do kryzysu finansowego i w konsekwencji upadku Zachodniego Cesarstwa. Zwycięski pochód chrześcijaństwa też miał w tym swój udział. Kij ma jednak dwa końce. Kłopoty nabywców natychmiast przełożyły się na producentów, przewoźników, kupców i całe zaplecze. Dla tych ludzi, ich rodzin i całych lokalnych społeczności handel wonnościami stanowił sprawę życia lub zdania się na wegetację. By unaocznić skalę przedsięwzięcia, warto podać, że w okresach największej koniunktury główny szlak obsługiwało jednocześnie ponad sto tysięcy wielbłądów,

każdy o ładowności półciężarówki. Oznacza to, że bezpośrednio dawał on pracę setkom tysięcy ludzi, a pośrednio – wielokrotności tej liczby. Stanowił podstawę oraz warunek rozwoju i stabilizacji całego przylegającego regionu.

Nieszczęście polegało na tym, że *Arabia Felix*, niezależnie od formalnie zróżnicowanej oferty, budowała swą pomyślność na kadzidlanej monokulturze. Nie dysponowała zresztą alternatywą. Dlatego tak zażdośnie strzegła przez wieki swych tajemnic, wspomagana klimatem i przyrodą niegościnnego lądu i usianego skałami morza. W obliczu przeciwności natury i przebiegłości Arabów nawet Rzymianie nie byli w stanie położyć ręki na drogach do krainy kadzidła. Wysłany w tym celu do Jemenu w 27 roku p.n.e. rzymski korpus ekspedycyjny, prowadzony pokrętnie przez sprytnego nabatejskiego przewodnika z Petry, poniósł sromotną klęskę i wrócił zdziesiątkowany. Od tego czasu Rzymianie zostawili w spokoju arabski interior, kwalifikując go jako *ubi leones* (tereny, gdzie mieszkają lwy). Rzymskim łupem padł natomiast na ponad czterysta lat, a – licząc wraz z okresem bizantyjskim aż do najazdu arabskiego – cały obszar południowego śródziemnomorza, z bogatymi arabskimi państwami handlowymi i państwem żydowskim. Stając się częścią prowincji rzymskich, królestwo nabatejskie ze stolicą w jordańskiej Petrze (Raqmu) i syryjska Palmira (Tadmur) zachowały autonomię i osiągnęły szczyt rozwoju. Materialny rozkwit przeżywała również Jerozolima, pod rządami dynastii herodiańskiej, wywodzącej się z arabskiej arystokracji Edomu, nawróconej na judaizm, podobnie jak na przestrzeni kolejnych wieków arabscy władcy jemeńskich państewek i Hazarowie posiadający swe rozległe włości między Morzami Kaspijskim i Czarnym w granicach dzisiejszej Ukrainy.

W kontekście Arabii Saudyjskiej należy powiedzieć kilka słów o państwie nabatejskim. Obejmowało ono znaczną część dzisiejszych północno-zachodnich prowincji saudyjskich, sięgając tam, gdzie obecnie książę Mohammad bin Salman kładzie kamienie węgielne pod nowatorskie w skali świata megamiasto (a w zasadzie autonomiczną prowincję) Neom, zintegrowane z wydzielonymi terenami egipskich, jordańskich, a zapewne również izraelskich i palestyńskich sąsiadów. Współcześnie Nabatejczycy kojarzeni są głównie ze stolicą w jordańskiej Petrze,

co wynika głównie z saudyjskiej niechęci do promocji starożytności oraz turystyki, w zasadzie zakazanej. Ich prężne ośrodki znajdowały się bowiem również dalej na południe. Najważniejszy z nich to Hegra, której nazwę, „skała”, być może mylnie przeniesiono na Raqmu. Dzisiaj to Madain Saleh, z przepięknym zespołem grobowców wykutych w skałach i całym zespołem miejskim czekającym na odsłonięcie. Określenie „**Madain**”, mające wspólny („**m-d-n**”) korzeń z **Madianitami**, sugeruje związek z tym ludem, z którego pochodziła arabska żona Mojżesza, córka miejscowego pogańskiego kapłana. W pobliżu znajdowały się też jedyne w regionie aktywne wulkany, ogniem i dymem wskazujące drogę wędrowcom.

Z punktu widzenia oddziaływania na obszar dzisiejszego Królestwa nie mniej istotne były również inne ośrodki handlowe wzdłuż szlaku wonności, a także państwa rozwijające się na pograniczu saudyjsko-jemeńskim i jeszcze bardziej na południe. Wymienić należy przede wszystkim imperium Himjarytów, którzy przez ponad sześć wieków poprzedzających erę islamu, tj. po VII wiek, dominowali na obszarach przylegających do Morza Czerwonego i kontrolowali ten akwen. To zresztą w rzeczywistości Morze „**Himjaryckie**”, choć można znaleźć dziesiątki opracowań zawierających inne, niekiedy na granicy fantazji, wyjaśnienia nazwy. Obecnie używana jest kolejnym przykładem błędu, powstałego w wyniku zatarcia pamięci historycznej lub niedokładności tłumaczenia. Korzeń „**h-m-r**” występuje bowiem również w słowie „**czerven**”. Nie chcę wchodzić w skomplikowaną i niedostatecznie udokumentowaną historię starożytnych państw pogranicza jemeńsko-saudijskiego, ale należy podkreślić, że jest to kolebka najdawniejszych cywilizacji. W Maribie, na przysłym terytorium Saby, już w III tysiącleciu p.n.e. zbudowano wielką tamę na okresowej górskiej rzece. Mając długość 700 i wysokość 14 metrów była jednym z technicznych cudów starożytnego świata, niepowtarzalnym aż po współczesność. Sądząc po podobieństwie rozwiązań, himjaryccy inżynierowie stworzyli również wyrafinowany system retencji i gospodarki wodnej, bez którego niemożliwe byłoby powstanie na zasadniczo bezwodnym obszarze metropolii w Petrze i innych ośrodków nabatejskich.

Mimo zachowania odrębności politycznej i kulturowej regionalnych struktur państwowych i plemiennych, zależność od handlu sprzyjała

mobilności migracyjnej oraz przepływowi idei, innowacji i prądów religijnych. W Arabii „od zawsze” obecne było wyznanie mojżeszowe, rozwijające się równoległe do pogańskich religii arabskich i prowadzące politykę, którą dziś nazwalibyśmy działalnością misyjną. Znane są przypadki plemion arabsko-żydowskich, o ile można się pokusić o wyróżnienie odrębności obu ludów na najdawniejszych etapach ich kształtowania. Na początku naszej ery liczne prężne wspólnoty żydowskie rozsiane były na rozległych obszarach Arabii, wyspach Morza Czerwonego i na półwyspie Synaj, choć koncentrowały się głównie wzdłuż szlaku wonności. Jednocześnie nie należy zapominać o ich powiązaniach ze skupiskami żydowskimi w Mezopotamii, Syropalestynie, Egipcie, Etiopii, a zapewne także na afrykańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego i na całym obszarze Imperium Romanum, w granicach którego Żydzi stanowili około 10% ludności. Centrum żydowskie w granicach dzisiejszej Arabii Saudyjskiej stanowił Jasrib (Medyna), będący „miastem synagog”.

Bardzo wcześnie półwysep stał się również obiektem zainteresowania i ekspansji chrześcijaństwa. Działali tam apostołowie Paweł i Bartłomiej. Przynajmniej od końca III wieku judaizm i chrześcijaństwo stały się w Arabii, podobnie jak w całym regionie, religiami agresywnie konkurującymi o wyznawców. Obok pogańskich sanktuariów i żydowskich synagog szybko wyrastały kościoły. Dźwięk ich dzwonów pobrzmiwa we wczesnej poezji arabskiej. W wiekach poprzedzających islam istniały one między innymi w saudyjskim Nadżranie i innych ośrodkach himjaryckich, w Nabatei, a także po wschodniej stronie półwyspu, wzdłuż Zatoki Perskiej. Kościół w saudyjskim Dżubeil, datowany na połowę IV wieku, odkryty w 1986 roku i do 2017 roku niedostępny, uważany jest za najstarszy zachowany na świecie. Wielką niewiadomą pozostają ośrodki chrześcijańskie w głębi półwyspu, niewątpliwie istniejące, w tym w Wadi Arid, gdyż w Rijadzie uzyskałem wiarygodne tego potwierdzenie, niestety bez możliwości wglądu do istniejących dokumentów. Temat ten de facto nigdy nie był naukowo badany lub badań nie ujawniono. Pewną wskazówką co do zasięgu wczesnego chrześcijaństwa w Arabii może być fakt, że w pierwszym powszechnym Soborze Nicejskim (obecna Turcja) w 325 roku uczestniczyło kilku biskupów diecezjalnych z tego obszaru. Słabością wczesnego chrześcijaństwa, nie tylko w Arabii, były zażarte spory dogmatyczne

prowadzące do rozbicia na wiele wyznań, a także fanatyzm, agresywna chrystianizacja i podatność na rozgrywanie przez chrześcijańskie mocarstwa, rzymsko-bizantyńskie, a w przypadku Arabii Południowej również przez Królestwo Aksum. Zewnętrzne poparcie przyczyniało się również do wzajemnej wrogości chrześcijaństwa i judaizmu nie mającego sponsora, spychanego na margines. W Arabii w rozgrywki religijne zaangażowana była też Persja.

Laboratorium tych antagonizmów była oaza Nadżran (dzisiaj południowo-zachodnia prowincja Arabii Saudyjskiej). W przededniu islamu znajdowały się tam trzy silne wspólnoty – politeistyczna, żydowska oraz chrześcijańska, podzielona na dwa odłamy. W miejscowym kościele znajdowała się „Ka’aba” – sanktuarium posiadające święty kamień, konkurujące z mekkańskim, dzisiaj uważanym za jedyne „od zawsze” i będące najświętszym miejscem islamu. Dla porządku dodam, że również arki przymierza nie były w tym regionie niczym unikatowym, a do miana narodu wybranego pretendowało wiele plemion.

Rywalizowały ze sobą również elity kupieckie zamierającego Szlaku Kadzidlanego. W jego południowej części Nadżran był jedną z najważniejszych stacji. Stałe źródło niepokojów stanowiły sąsiednie plemiona beduińskie, najbardziej dotknięte krachem długodystansowego handlu. Kulminacja konfliktu nastąpiła w 524 roku, gdy nawrócony na judaizm i powiązany z Persami lokalny król Zu Nuwas podjął próbę podporządkowania sobie oazy, realizując program odbudowy potęgi himjaryckiej na dawidowych fundamentach. Chrześcijanie odmówili konwersji. Napastnicy w odwecie zniszczyli sanktuarium i w „rowie” pod murami miasta spalili żywcem tysiące wiernych. Odwet przyszedł z Aksum. Ekspedycja etiopska wyposażona w oddział słoni bojowych, pierwszy raz tu widzianych, krwawo przywróciła chrześcijaństwo. Rocznicą nadżrańskiego mordu, 24 października, jest obecnie jedynym świętem kościelnym związanym z Arabią, a przywódca wspólnoty chrześcijańskiej został kanonizowany jako św. Aretas (Haris). Prześladowany żywioł żydowski uległ znacznemu osłabieniu. Wydarzenia w Nadżranie wstrząsnęły całym regionem oraz wpłynęły na kształtowanie się i ewolucję poglądów proroka Mohammada. Rzutowały na jego podejście do chrześcijan i Żydów. Wskazywały na celowość znalezienia przez Arabów własnej drogi do monoteizmu, wolnej od wpływów możnych

sponsorów. W Koranie, w surze „Konstelacje”, znalazły się słowa: *Spaleni zostali Ludzie Rowu – a ogień ciągle podsycany – gdy oni siedzieli wokół niego, świadkowie tego, co uczyniono wiernym.*

Krótko przed śmiercią w 632 roku prorok Mohammad spotkał się w Medynie z delegacją czternastu chrześcijańskich wodzów plemiennych i biskupów Nadżranu. Po wspólnej modlitwie w meczecie zawarło porozumienie dające wspólnocie chrześcijańskiej wolność wyznania w zamian za trybut. Podobny pakt gwarantujący swobody religijne i protekcję otrzymali zakonnicy klasztoru św. Katarzyny na Synaju i można go odnieść szerzej do całych relacji muzułmańsko-chrześcijańskich, również współczesnych.

Stosunek Proroka i wczesnego islamu do Żydów był bardziej radykalny. Stanowił odbicie splotu głębokich bezpośrednich konfliktów między rodzącą się gminą muzułmańską w Medynie a poszczególnymi klanami żydowskimi w tym mieście, ale również bogatą wspólnotą żydowską w Chajbar, sprzymierzoną z arabską starszyzną Mekki, wrogiej misji Mohammada. W bratobójczym konflikcie o Medynę pomiędzy pierwszymi muzułmanami a dominującym w Mekce rodem Kurajszytów lokalni Żydzi zachowali wprawdzie neutralność, ale odmówili uznania kupca Mohammada bin Abdullaha za proroka, drwiąc z jego pretensji. W Medynie doszło do pierwszego konfliktu muzułmańsko-żydowskiego. Jego odsłony to wygnanie, konfiskata mienia i wreszcie rzeź ostatniego z trzech żydowskich plemion. Na tle doraźnych interesów i personalnych animozji zasiana została wrogość na całe pokolenia, niekoniecznie konsekwentna, choć jej powody odnosiły się do konkretnych wydarzeń w konkretnym czasie, co również było przedmiotem moich ostrożnych dyskusji w Rijadzie z przedstawicielami saudyjskich elity. Następcy Proroka zdecydowali, że „święta ziemia narodzin islamu” ma być wolna od innych religii i wysiedlili innowierców do Mezopotamii.

Realizacja tej akcji nie była jednak konsekwentna. W Arabii Saudyjskiej, której wahabicka ortodoksja pozostawia niewiele miejsca na tolerancję, nadal słychać o ukrytych chrześcijanach praktykujących wiarę pod przykryciem islamu oraz o Żydach, których przodkowie tylko pozornie przyjęli islam, idąc wzorem Sabataja Cwi, fałszywego

mesjasza z XVII wieku. Zwarta pięćdziesięcioletnia społeczność żydowska przetrwała w Jemenie i w okolicach Nadżranu do 1948 roku, żyjąc generalnie w zgodzie z muzułmanami przez całe wieki, podobnie jak na innych obszarach świata islamu. Aż po czasy najnowsze. Państwo Izrael sprowadziło ich w ramach operacji „Czarodziejski Dywan”, choć chyba w tym przypadku trudno mówić o repatriacji. Zderzyli się tam z wielkimi problemami kulturowymi. Odrębnym tematem są małżeństwa muzułmanów z żydówkami, zapewne częstsze niż może się to wydawać, zwłaszcza w przypadku arystokracji. Konieczne jest też odnotowanie, że historycznie islam jako religia nigdy nie był na półwyspie monolitem.

Nie sposób zrozumieć fenomenu islamu bez uwzględnienia całości kształtu uwarunkowań towarzyszących narodzinom tej religii. Wiedza taka jest konieczna dyplomacie w Arabii Saudyjskiej, gdzie konstytucją jest Koran, a władca nosi tytuł Służebnika (Strażnika) Dwóch Świętych Meczetów w Mekce i Medynie. Nie jest zasadne, praktykowane niekiedy w Europie, łączenie stanu rzeczy w saudyjskim Królestwie z datami muzułmańskiego kalendarza, wskazującego europejskie późne średnio-wieczne, jako że zapoczątkowany został 16 lipca 622 Anno Domini wywędrowaniem (hidżra) Mohammada z Mekki do Medyny, a na dodatek jest to kalendarz księżycowy, krótszy od gregoriańskiego (ma 354 dni). Prawdą jest natomiast, że czas tam i w innych w krajach islamu nie płynie w zgodzie z europejskim i ma inny wymiar. Ponadto w ortodoksyjnych środowiskach muzułmańskich występuje tendencja do deprecjonowania całej przedislamskiej epoki, traktowanej jako czasy ignorancji, niegodne uwagi. Nawet gdy tak, jak przypadku Arabii Saudyjskiej, oznaczało to odcięcie się od świetnego starożytnego dziedzictwa.

Kapitałne znaczenie dla uświadomienia sobie skomplikowanego splotu uwarunkowań poprzedzających misję Proroka ma czynnik gospodarczy, z reguły pomijany w analizach. Jest on co najmniej równie ważny jak względy polityczne, społeczne i kulturowe. Upadek Szlaku Wonności i zawalenie się wielkiej tamy w Maribie – dwóch filarów, na których od wieków opierała się egzystencja i stabilizacja regionu, spowodowały bowiem strukturalny kryzys ekonomiczny, wpływający na wszystkie aspekty życia lokalnych społeczności i pozostający w ścisłym związku z powstawaniem nowej religii. Z gospodarczego punktu

widzenia na przełomie VI i VII wieku region był w stanie agonii. Nie posiadał racjonalnej alternatywy, innej niż ekspansja zewnętrzna. W tym celu Arabowie, będący żywiołem dominującym na całym obszarze Półwyspu, potrzebowali przesłania, którym stał się islam.

Uniesieniom religijnym sprzyjała również kumulacja w tym czasie klęsk żywiołowych, trzęsień ziemi i wybuchów wulkanów. To był czas tworzący popyt na proroków, niosących siłę objawienia i nadzieję na odmianę losu. Odrodzeniu Arabów sprzyjały czynniki zewnętrzne. Oba światowe mocarstwa – Persja i Bizancjum – były głęboko osłabione wieloletnią rywalizacją i tak zajęte sobą, że nie zauważyły siły i skali desperacji Arabów. Ci z kolei dobrze poznali przyszłych przeciwników, stanowiąc od dziesięcioleci najemne „mięso armatnie” ich armii. Ponadto władcy ówczesnego świata do tego stopnia gnębili wieloetniczne i wielowyznaniowe ludy Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki, że te gotowe były powitać z otwartymi rękami każdą nową władzę oferującą pozytywną odmianę losu. A taką ofertę muzułmanie mieli w pakiecie, podobnie jak sprawność administracji i względną tolerancję. Niejednokrotnie w dyskusjach na temat początków islamu pada pytanie, dlaczego Mohammad nie oparł się na doktrynie chrześcijańskiej lub żydowskiej. Odpowiedź jest prosta – oparł się w rzeczywistości na obu, ale dokonana została ich synteza, korzeniami sięgająca poprzedzającego Biblię przekazu epoki Abrahama, protoplasty wszystkich semitów. A poza tym żydzi i chrześcijanie mieli już swoich proroków i miejsce dla nowego mogło się znaleźć jedynie wśród pogańskich Arabów.

Islam wyprowadził z półwyspu setki tysięcy spauperyzowanych mieszkańców. Była to kolejna fala odpływająca na przestrzeni tysiącleci. Powstające w błyskawicznym tempie arabskie imperium, budowane orężem, ale równie często perswazją, dyplomacją, handlem i inkluzyjnym podejściem, potrzebowało rodaków, którzy na opanowanych terenach stawali się uprzywilejowaną, ale szybko wtapiającą się w miejscowe struktury społeczne, mniejszością. Proces ten miał w sobie coś wspólnego z kolonizacją. A arabskie włości już w połowie VIII wieku, a więc niespełna stulecie od śmierci Proroka, obejmowały cały Bliski Wschód, Północną Afrykę i Hiszpanię, a na wschodzie sięgały granic Chin i Indii. Arabowie pełnymi garściami przyswajali

sobie dorobek cywilizacyjny podbitego obszaru, wzbogacali go i rozwijali, tworząc kulturę promieniującą na inne regiony świata. Jakkolwiek wychodźcy nie zrywali całkowicie więzi rodowych i plemiennych ze starą niegościnną ziemią, a islam zwielokrotnił ruch pielgrzymkowy do Mekki i Medyny, to region pozostawał w stanie głębokiego застоju i marazmu, wegetując na dalekim marginesie kwitnących ośrodków islamskiej wspólnoty. Jedynym obszarem półwyspu odnotowującym rozwój i ekspansję był odizolowany od reszty subkontynentu Oman. Jego władcy kontynuowali tradycje handlowe, skolonizowali znaczną część wybrzeża wschodnio-afrykańskiego i opanowali południową Persję. Nie miało to jednak większego wpływu na interior półwyspu ani na jego wschodnie i zachodnie obrzeża. Można zaryzykować twierdzenie, że na znacznych obszarach Arabii uśpiła się historia i z tego snu zaczęła ją stopniowo wybudzać dopiero ekspansja Portugalii i innych zachodnich mocarstw u schyłku średniowiecza, rysującego się w tym regionie wraz z epoką wielkich odkryć, a bardziej precyzyjnie – początkiem europejskiego podboju świata.

Plemiona interioru, z tradycją sięgającą setek pokoleń, rządziły się własnymi prawami. Były w zasadzie poza zasięgiem jakiegokolwiek imperialnej władzy, dla której koszt ewentualnego ścisłego podporządkowania sobie tego jałowego i niedostępnego obszaru przekraczał potencjalne korzyści. W tej sytuacji stosunki lokalne zdominowały federacje plemienne, na bazie których powstawały wzajemnie zwalczające się dynastie, tylko przejściowo tworzące silniejsze struktury terytorialne. Regionem najbardziej odizolowanym oraz zacofanym gospodarczo, społecznie i cywilizacyjnie był Nadżd. Pod pojęciem tym należy rozumieć rozległy obszar geograficzny centralnej Arabii, zdominowany przez wojownicze plemiona koczownicze oraz ludność rzadkich oaz, w sąsiedztwie których powstawały lokalne forty stanowiące zaplecze dynastycznej starszyny rodowej. W procesie budowy państwa saudyjskiego to właśnie elitom tego najbardziej odstającego od otoczenia regionu przypadła wiodąca rola.

W świetle powyższego staje się jasne, dlaczego właśnie w Nadżdzie w XVIII wieku powstał jeden z najbardziej ortodoksyjnych nurtów islamu, odwołujący się do jego korzeni. Ruch wahabitów był reakcją zarówno na zdeformowany islam ludowy i lokalne „herezje”,

jak i na docierające z zewnątrz idee modernizacyjne i wpływy zachodnie. Od początku miał charakter ekstremistyczny, nietolerancyjny i ksenofobiczny, nie tylko wobec świata zewnętrznego, ale przede wszystkim wobec różnorodności w ramach własnej religii, w szczególności jej szyickich odłamów i wszystkiego, co postrzegano jako podważające zasadę jedynobóstwa pogaństwo. Stojący na czele ruchu kaznodzieja Mohammed Ibn Abd al-Wahhab zbudował własną doktrynę w oparciu o szkołę hanbalicką, najbardziej ortodoksyjną w islamie. Być może pozostałaby ona lokalnym kuriozum, gdyby nie zawarte w 1744 roku porozumienie z innym Mohammedem – naczelnikiem rodu Al Saud, jednej z miejscowych plemiennych dynastii. Była to transakcja, którą dziś moglibyśmy nazwać „religijną legitymacją w zamian za ochronę ze strony rodu”. Sojusz okazał się zadziwiająco skuteczny jako trwała baza ekspansji – świeckiej i religijnej. Już rok później powstało pierwsze państwo saudyjskie, na tyle prężne i ekspansywne, by w kolejnych dekadach zorganizować krwawą napaść na Karbalę w Iraku, niszcząc sanktuarium szyickie wnuka Proroka, imama Husajna, zdobyć Mekkę i Medynę, gdzie wahabici zdewastowali cmentarz Al-Baki z grobem Proroka Mohammada (podobna akcja powtórzyła się w 1925 roku, skutkując zniszczeniem grobów imamów szyickich), a także atakować karawany pielgrzymie i kupieckie, znajdujące się pod opieką osmańskiego sultana i kalifa. Porta musiała zareagować, zlecając interwencję kedywowi Egiptu. Emirát ze stolicą w Diraja (miejscowość w pobliżu Rijadu) został zlikwidowany w 1819 roku, a lokalna twierdza zburzona, z użyciem armat nigdy wcześniej w Nadździe nie widzianych. Mimo represji wobec przywódców rodu Saudów oraz stracenia bezkompromisowych liderów religijnych ruch przetrwał do 1881 roku, zachowując kontrolę nad częścią Nadźdu (wraz z Rijadem) i Kasimu. To okres drugiego państwa saudyjskiego. Tym razem cios zadała mu konkurencyjna dynastia Raszidów z północnego emiratu Dżabal Szammar. Sprawdziło się jednak powiedzenie, że do trzeciego razu sztuka. Saudowie i wahabici odczekali dwie dekady na emigracji w Kuwejcie i w 1902 roku śmiałym atakiem garstki bojowników odbili Rijad, zapoczątkowując proces jednoczenia Arabii i tworzenia współczesnego państwa. To już epoka jego owianego legendą twórcy i od 1932 roku króla Arabii Saudyjskiej – Abdulaziza Al Sauda (1875–1953). Ta data to formalna unifikacja Królestwa Nadźdu i Terytoriów Zależnych z Królestwem Hidżazu, rządzone od czasów pierwszych kalifów przez szeryfów Mekki z dynastii

Haszymidów, której po utracie dotychczasowego władztwa udało się przetrwać w Jordanii, a tymczasowo również w Syrii i Iraku. Kilka lat wcześniej rodzące się państwo wyszło zwycięsko z ciężkiej próby, jaką był bunt jego tradycyjnej plemiennej armii przeciwko władcy (powstanie Ichwanów), zapamiętany na zawsze przez rządzącą dynastię jako memento. A parę lat później ustalony został ostateczny kształt granic królestwa. W wyniku wojny z Jemenem Saudyjczycy inkorporowali Assir, Dżazan oraz Nadżran, importując również kłopoty tych ciężających do Jemenu obszarów. Prowincje te zamieszkuje spora społeczność muzułmanów zajdytów, identycznie jak po jemeńskiej stronie granicy, gdzie stanowi zaplecze ruchu Huti. Pamięć o męczeństwie chrześcijan Nadżranu jest tam nadal inspiracją do bronięcia odrębności wyznaniowej i kulturowej. W procesie jednoczenia część granic Królestwa została wytyczona przez brytyjskich oficerów i agentów „pod linijkę”, podobnie jak w całym regionie.

Regionalizmy przetrwały jednak, mimo inkluzyjnej polityki matrymonialnej króla Abdulaziza, który zenił się z córkami szejków kolejnych podbijanych terytoriów, dbając by w jednym czasie nie przekraczać określonego w Koranie limitu czterech żon. Praktyka ta – wraz z żywotnością i długowiecznością króla – spowodowała, że dzisiaj saudyjska rodzina panująca może liczyć nawet osiem tysięcy ksiąząt i zapewne podobną ilość księżniczek. Przyzwyczajeni do przywilejów, stanowią dla modernizującej się stopniowo monarchii rzeczywisty problem, a perspektywa reform, liberalizacji i obcinania przywilejów zagraża części z nich swoistą pauperyzacją.

Aktywności rodu Saudów na różnych etapach historii uważnie przyglądali się urzędnicy Wielkiej Brytanii, która od 1775 roku wielokrotnie próbowała wyrwać z próchniejącego państwa Osmanów przyczółek w sąsiednim Kuwejcie. Wzajemne relacje okazały się owocne, gdyż już w 1788 roku Brytyjczycy mieli w rękach Kuwejt, a Saudowie – mimo doznawanych klęsk – pozostawali jedną z głównych lokalnych sił Arabii. Podczas I wojny światowej „państwo saudyjskie w budowie” zachowało neutralność, mimo nacisków zarówno osmańskich, jak i brytyjskich. I dobrze na tym wyszło, w przeciwieństwie do Królestwa Hidżazu. Brytyjczycy nie spełnili obietnic danych jego władcy i szeryfowi Mekki, Sajdowi Husajnowi bin Alemu, w zamian za wzniesienie antyturskiego powstania. Nie tylko nie utworzono

pod jego berłem państwa arabskiego, ale też stracił Hidżaz na rzecz Saudów, przy bierności Brytyjczyków. Również podczas kolejnego światowego konfliktu Rijad zachował wstrzeźliwość, wypowiadając wojnę Niemcom i Japonii dopiero 28 lutego 1945 roku oraz podpisując Kartę Atlantycką 1 marca 1945 roku. Od udziału w działaniach wojennych ważniejsze było jednak bezkolizyjne zaopatrywanie aliantów w ropę.

Przynajmniej od końca XIX wieku w polityce europejskich mocarstw, zmierzającej do rozbioru Imperium Osmańskiego, obok globalnej gry interesów przewijały się sprawy związane z opanowaniem terenów potencjalnie roponośnych i stworzeniem żydowskiego ogniska narodowego. W 1917 roku z rozgrywki wypadła carska Rosja, a równocześnie pojawił się nowy aktor Stany Zjednoczone. Po II wojnie światowej Amerykanie narzucili Brytyjczykom podział naftowego tortu: Iran pozostawał na wyłączność Londynu, Irak i Kuwejt miały być wspólną strefą wpływów, zaś Arabia Saudyjska – wraz z pozostałymi sąsiadami – domeną Waszyngtonu. Obalenie monarchii w Bagdadzie, a następnie w Teheranie, wprowadziło do tych ustaleń istotne korekty. Brytyjczycy stopniowo tracili „wielkość”, zaś Amerykanie trwale zdominowali Arabię Saudyjską. Ten strategicznie położony, autorytarnie rządzony i potwornie zacofany kraj stał się w okresie „zimnej wojny” jednym z najważniejszych elementów polityki amerykańskiej, współdecydujących o jej wyniku. Od 1939 roku do filarów stanowiących fundament Królestwa – dynastii, religii i armii, doszedł kolejny – eksploatacja ropy naftowej z jednych z największych na świecie i najtańszych w wydobywaniu zasobów, pozwalających decydować o cenach i kształcie światowego rynku paliw. Wymienione filary byłyby jednak chwiejne bez kolejnego i najważniejszego z nich. W dzień walentynek 1945 roku na pokładzie krążownika Quincy, którym prezydent USA wracał z Jałty (gdzie przesądził o losie Polski na następne półwiecze), F.D. Roosevelt zawarł z królem Abdulazizem jeden z najważniejszych i najtrwalszych paktów w nowożytnej historii – ropa za bezpieczeństwo. Amerykanom zapewniał przewidywalność światowego rynku energii, a Saudom parasol bezpieczeństwa oraz pozostawienie spraw wewnętrznych do ich uznania, z czego skwapliwie korzystali. Wymienione komponenty stopiły się w całość, gwarantując Królestwu dekady stabilizacji i petryfikacji porządków społecznych. Jednocześnie należy pamiętać,

że wypadnięcie któregokolwiek z tych filarów, grozi naruszeniem całej konstrukcji, z dezintegracją państwa włącznie.

Bez paktu Roosevelt – Abdulaziz nie da się zrozumieć nie tylko stanu rzeczy we współczesnej Arabii Saudyjskiej, w tym w sferze kulturowo-społecznej, ale całej jej polityki zagranicznej i regionalnej, roli w „zimnej wojnie” oraz wkładu w osłabianie i dezintegrację Związku Radzieckiego, a także wielu wydarzeń i procesów regionalnych i międzynarodowych. Nie sposób zrozumieć również saudyjskiego wkładu w odzyskanie przez Polskę pełnej suwerenności. Formuła paktu saudyjsko-amerykańskiego pozostaje daleka od wyczerpania, co nie znaczy, że jest ona czytelna dla szerszej publiczności, w tym wielu polskich decydentów i publicystów. Za prezydentury Baracka Obamy na tych stosunkach pojawiły się wprawdzie rysy, ale jego następca już na początku kadencji zadbał, by je zatrzeć i odnowić sojusz, nadając mu nowy wymiar. Pytanie na jak długo i czy obecny plan modernizacji i wejścia w erę ponaftową – *Wizja 2030* – firmowany przez księcia Mohammada bin Salmana, nie jest zbyt późną i niepełną odpowiedzią na skumulowane przez kilka dekad wyzwania, w obliczu których stoi Królestwo. Saudyjczycy „od zawsze” dzięki dochodom z ropy naftowej powstrzymywali postęp społeczny i teraz tą samą bronią próbują odwrócić ten kierunek, odrzucając jednak istotniejsze zmiany systemu politycznego. Rewolucja, zwłaszcza wybiórcza, ma to do siebie, że czasem wywołuje kontrrewolucję, a niekiedy zjada własne dzieci. Tym bardziej że w regionie nie brakuje wrogów, a zarówno dalsze zaniechanie rzeczywistych reform, jak ich realizacja mogą przynieść podobną w skutkach destabilizację. Są powody, by za Saudyjczyków trzymać kciuki, bowiem za niepowodzenie transformacji słony rachunek zapłacilibyśmy wszyscy, nie tylko na stacjach paliw. Po kryzysie energetycznym 1973 roku król Fajsal mówił sekretarzowi stanu USA, Henry’emu Kissingerowi, że Saudowie przyszedli z pustyni i mogą tam wrócić. Dzisiaj już nie ma takiej pustyni i Saudyjczycy, by przetrwać, muszą zbudować nowe państwo.

** Rozdział zawiera opinie własne Autora zebrane na podstawie lektur i osobistych doświadczeń na przestrzeni lat zajmowania się problematyką regionu. Nazwa Incognita, czyli Nieznana, nawiązująca do rzymskiego podziału Arabii na Skalistą, Pustynną i Szczęśliwą, zwraca uwagę, że region i jego przeszłość mają jeszcze inny wymiar oraz kryją tajemnice początków naszej cywilizacji i kręgu kulturowego.*

INDEKS OSÓB¹

- Abderrahman Al-Shubejla 222, 226
Abderrauf Rawabdeh 103
Abdessalam Dżallud 71, 75, 83
Abdulaziz Al Saud (Ibn Saud), znany jako Ibn Saud, założyciel i król Arabii Saudyjskiej w latach 1932–1953 205, 206, 207, 313, 314, 315, 316
Abdullah Al-Dabbagh 212
Abdullah bin Abdulaziz Al Saud, król Arabii Saudyjskiej w latach 2005–2015 227, 247
Abdullah II, król Jordanii 108
Abu Bakr Y. Dżaber 84
Abu Musab az-Zarkawi 174
Abu Tajjib Al-Mutanabbi 82
Adamczyk Alicja 95
Adamczyk Janusz 95
Adnan Malik 188
Adnan Zaghlul 103
Ahmad Asmat Abd al-Madżid
Ahmed Husajn 170
Aleksander Macedoński, Aleksander III Wielki 186
Ali Al-Naimi 212
Alia, królowa Jordanii, trzecia żona króla Husajna I 108
Alireza Marianne 232
Ananicz Andrzej 248
Anders Władysław 94, 107, 135
Antebi Yigal, Jigal 199
Anwar Sadat 89
Arendarski Andrzej 212, 220, 290
Aretas, św., Haris 308
Arnett Peter 162
Assanowicz Stefan Bekir 255

¹ Ze względów praktycznych osoby z obszaru kultury arabskiej są wykazane w Indeksie pod pierwszą literą imienia własnego, przy zachowaniu kolejnych członów identyfikujących tożsamość w formie maksymalnie zbliżonej do rzeczywistej i możliwie bliskiej polskiemu zapisowi fonetycznemu. W przedmiotowym obszarze kulturowym zasadniczo nie ma odpowiednika nazwiska w europejskim rozumieniu. Tożsamość jest identyfikowana z reguły imieniem własnym, ojca oraz dziadka. To ostatnie w relacjach zewnętrznych traktowane jest najczęściej jako odpowiednik nazwiska. W praktyce sytuacja jest bardziej skomplikowana. „Nazwisko” może bowiem nie tylko zmieniać się wraz z pokoleniem, ale również być modyfikowane na przykład poprzez dodanie kolejnych członów, nawiązujących do miejsca pochodzenia, imion pierwotnych dzieci, przydomków oraz genealogii rodowej, plemiennej i dynastycznej.

- Aszurbanipal, król Asyrii 300
Atmadjian Dorota 229
Atmadjian Vahe 229
Attoun Elżbieta 103
Azmi Attoun 103
- Baczyński Tadeusz 68
Bakalarz Agnieszka 234
Baker James A. 150
Bakr bin Laden, szejka 223, 224
Baliński Krzysztof 77, 127
Baltazar, książę, syn króla Nabonida 302
Ban Ki Moon 274
Bartoszewski Władysław 197, 218, 246
Bator Ewa 117
Begin Menachem 18
Bekir Stefan 206, 255
Belka Marek 255, 261, 262
Ben Gurion Dawid 11
Bielawski Józef 100
Bielecki Jan Krzysztof 122
Bieliński Piotr 88
Biera Andrzej 111, 127, 248
Bigan Sun 183
Bilkis, znana jako „królowa Saby”, Makeda 304
Biszytyga Jan 275
Błaszczyk Beata 232
Błaszczyk Stanisław 288
Bokova Irina 39
Bonaparte Napoleon, Napoleon I 236
Bożek Wojciech 77, 128, 268
Bratkiewicz Jarosław 251, 268, 269, 278
Bremer Lewis Paul 262
Burchardt Johann L. 109
Burski Ksawery 197
Bury Jan 128
Bush George H.W. 149, 150, 176, 185, 223
Buzek Jerzy 200

- Calislar Sadi 182
Chaled bin Sultan bin Abdulaziz, księżę 227, 233
Chałaczkiwicz Roman 37, 43, 127, 192, 268
Chatun 174
Chłoń Tomasz 290
Chodorowicz Jacek 248, 283
Ciećwierz Piotr 77, 128
Cieplowska Janina 117
Cimoszewicz Włodzimierz 199, 200, 246, 250, 253, 258
Ciołek Elżbieta 229
Ciołek Tomasz 229
Clinton Bill i Hillary, Fundacja Clintonów 149
Curyło Zbigniew 95
Cyrus II Wielki, król Persji z dynastii Achemenidów 302
Czapla Krzysztof 77
Czaputowicz Jacek 270
Czempiński Gromosław 138, 143, 144, 293, 294
- Danecki Janusz 226
Daszkiewicz Andrzej 151, 157, 158
Dayong Zheng 169, 183
Dąbrowski Krzysztof 137, 218
De Gaulle Charles 111
Dęborski Tadeusz 61
Dobrowolski Paweł 260
Domański Bolesław 191
Domska Anna 117
Dowgiałło Jan 121
Drożdż Jerzy 212
Dworak Janusz 127, 137
Dziemidowicz Grzegorz 197, 231
Dzaber Ewa 103
Dżamal Falla 191
Dżuma Al-Ferdżani 71
- Edelman Marek 199
Ekeus Rolf 182
Etchegaray Roger 148
Ezzeddin Tall 102

- Fabian Pal 65
Fahd bin Abdulaziz, Fahd bin Abdulaziz Al Saud, król Arabii Saudyjskiej w latach 1982-2005 Fahd bin Saud 57, 234
Feldeszy Jene 183
Fijałkowski Ryszard 120
Filipi Eva 183
Fotyga Anna 265, 267, 270, 271, 276
Fowler William Wyche 223
Freyberg Piotr 123
Füle Štefan 39
- Gajewski Mirosław 284
Gannon Matthew 19, 97
Gawlikowski Michał 88, 107
Gągor Franciszek 23
Genscher Hans-Dietrich 154
Geremek Bronisław 215
Glaspie April 149, 150
Granat Jan 119
Grela Marek 120
Gremoli Bernard 238
Grodzki Marcin 266
Grześkowiak Alicja 204, 225, 240
Gudzowaty Aleksander 271, 274, 277
Gudzowaty Danuta 274
- Hamad bin Dżasem bin Dżaber Al Thani, szejk 198
Handzlik Mariusz 247
Harrigan Peter 233
Harun Raszid 174
Hassan Ibn Talal, książę jordański 92
Hassan Attar 226
Hassuna Aszur 71
Havel Vaclav 226
Henczel Remigiusz 269
Hill Christopher R. 260
Hirschon Avraham 254
Hobbes Thomas 16, 134
Hosni Mubarak 115

- Husajn bin Ali Sajd 314
Husajn bin Talal, król Jordanii 108
Husajn Wahbi 95
- Ibrahim Lidia 229, 242
Ibrahim Samir 229, 242
- Jabłoński Henryk 82
Jackowski Czesław 121
Jahja Chres 102
Jakubowska Katarzyna 66
Jan Paweł II, papież, Karol Wojtyła 99, 153
Jaroszewicz Piotr 82
Jaruzelski Wojciech 82, 83, 84, 114, 127
Jaser Arafat 18, 200
Jelonek Hanna 100
Jędrys Marek 120
Jurasz Witold, ambasador 120, 123, 136,
Jusuf Owaimer 212
- Kaczyński Bogusław 107
Kaczyński Jarosław 266, 294
Kaczyński Lech 82, 168, 191, 247, 265, 267
Kais Karchi 182
Kamal Salibi 207
Kapiszewski Andrzej 197, 226, 234, 255
Kaszuba Alicja 229
Kaszuba Ryszard 229
Kielak Joanna 229
Kielak Włodzimierz 229
Kim Ir Sen 150
Kissinger Henry 87, 298, 316
Kłoczko Marek 212, 220
Kobieracki Adam 120
Kohout Jan 39
Kohut Vlad 168, 183
Kończak Daria i Olga 247
Komendarczyk Włodzimierz 179
Konaré Alpha Oumar 201

Korwin-Pawłowski Stanisław 206
Kostro Małgorzata 117
Kozłowski Maciej 254, 268
Krystosik Ryszard 120, 188, 189
Kubiak Marcin 268, 284
Kubicki Marek 275
Kubiš Jan 128
Kucharska Beata 117
Kukuryka Stanisław 115
Kulka-Kulpiowski Paweł 120
Kułach Adam 128, 247
Kułach Wiktoria 247
Kwaśniewski Aleksander 82, 246, 253
Kwiatkowski Stefan 91, 121

Lachs Manfred 120
Lahib Rawi 140
Lajčák Miroslav 39
Lajla Attar 176
Lawrence Thomas Edward 111
Leith Szpilat 99
Lemkin Rafał 120
Lengyel Ladislav 183
Lewandowska Hanna 117
Lewandowski Bogdan 120
Lewańska Justyna 260
Lewicki Zbigniew 171
Lis Tomasz 269

Łańcucki Stanisław 275
Ławrow Siergiej 39
Łoś Andrzej 157
Łuniewski Łukasz 233

MacArthur Douglas 150
Mahmud Abbas 267
Mahmud Subhi 66
Maj Tomasz 210, 221
MajStanisława, Asia 210

- Majewska Elżbieta 229
Majewski Jan 114, 116, 126, 171
Majewski Krzysztof 229
Majkowski Andrzej 125, 126, 161, 246
Malik Ryszard 232
Małyska Jerzy 275
Mantykiewicz Janusz 137
Mao Tse-tung 85
Margański Jerzy 269
Markiewicz Waldemar 267
Maronde Andrzej 137, 140, 162
Marszałek Rafał 203
Masud Barzani 262
Maszkiewicz Mariusz 279
Matar Selim „Marian” 94
Matosek Stanisław 76, 90
Matuszewski Zbigniew 120
Mazowiecki Tadeusz 122, 127
Mehdi Ben Barka 19
Meller Stefan 267
Messner Zbigniew 116
Michalak-Pikulska Barbara 232
Michałowski Kazimierz 88
Michnik Adam 237
Mihály Géza 183
Mikulski Robert 291
Milczarek Cezary 210
Milka-Wieczorkiewicz Lidia 203
Miśkiewicz Tomasz 234
Młodziejewski profesor 181
Mohammad Al-Aboudi 100
Mohammad Asad, Leopold Weiss 207
Mohammad bin Dżubajr 212
Mohammad bin Salman bin Abdulaziz Al Saud, książę, saudyjski następca tronu 305, 316
Mohammad Makija 152
Mohammad Mossadek 19
Mohammad Zintani 71
Mohammed Al-Habubi 136

- Mohammed ibn Abd al-Wahhab 313
Mościcki Ignacy 206
Mroziewicz Krzysztof 197
Mruk Jerzy 64
Muammar Kaddafi 67, 73, 74, 83, 84
Muhammad bin Abdullah bin Abdulaziz, książę 247
Muktada As-Sadr 262
Mulicki Tadeusz 71
Murkociński Michał 128
Musleh George 99
Mustafa Kazi 183
- Nabil Zubajdi 149, 150
Nabonid, król Babilonii 302
Nabuchodonozor, król Babilonii 302
Naimski Piotr 198
Natkański Jan 77, 89, 115, 128, 246, 250
Nawwaf bin Abdulaziz Al Saud, książę 234, 235
Nazarow Ikrom 278
Nechivan Barzani 262
Netanjahu (Netanyahu) Benjamin 14, 199, 200
Niesyto Janusz 118, 120
Niszonow Rafik 95
Nizar Madani 225
Noel Abdulahad 99
Norblin Stefan 107
Nowak Jerzy M. 120
Nowakowska Maria 212
Nur (Nour), królowa Jordanii, czwarta żona króla Husajna I 108
- Obama Barack 14, 316
Ogrodnik Janina „Janeczka” 117
Oleś Marian, arcybiskup, nuncjusz 147, 148, 153, 165, 172, 183, 188
Ołędzki Krzysztof 279
Olszewski Kazimierz 71, 77
Omar Muchtar 75
Omar Sahrawardi 174
Oporska Edyta 117
Orzechowski Marian 115, 116

- Osama bin Laden 18, 223
Osama Kurdi 212
Osama Sanusi 225, 260
Osas Józef 77, 127
Ostrasz Antoni 107
- Palzur Mordechaj D. 121
Pandżunaj Haliun 42
Papierz Andrzej 269
Pasikowski Władysław 144
Paturej Krzysztof 255
Pawlak Edmund 163
Pawlak Stanisław 120
Peleg David 260
Philby Jack 205
Piekarski Jan Wojciech 120, 121, 161, 171, 172, 188, 189
Pieńkowski Jan 232
Pierzchała Antoni 89
Pietrzyk Edward 191
Piłsudski Józef 18, 206
Pisarska Katarzyna 280
Pisarski Zbigniew 280
Plucińska Ewa 224
Podemski Zygmunt 96
Pol Marek 225
Pomianowski Jerzy 196, 285
Posuwaliuk Wiktor 182
Powell Colin 174
Prawda Marek 120
Prystor Aleksander 206
Przeździecki Marian 278
Puchta Piotr 255
- Raczyński Edward hr. 205, 206
Raczyński Zdzisław 278
Rakowski Mieczysław F. 122, 136
Rania, królowa Jordanii, żona króla Abdullaha II 108
Rapacki Adam 39, 120
Rapacki Zdzisław 120

- Rękas Bogusław 163
Roberts David 109
Rogala Krzysztof 151
Romański Kazimierz 128, 277
Roosevelt Franklin Delano 315, 316
Rostek Robert 127
Rotfeld Adam Daniel 268
Rybczyński Witold 120, 137
Rychłowski Bogumił 120
Rzewuski Wacław hr. 206, 232
- Saad Fajsal 152, 168
Sabah Jassin 176
Sabataj Cwi 309
Sabeh Masri 108
Sadoś Andrzej 271
Sajd Husajn bin Ali, emir Mekki 314
Salamończyk Agnieszka 212
Salech Al-Chatlan 226
Saleh Hamarneh 102
Saleh in Humajd, szejka 247
Sasnal Patrycja 226
Saud al-Fajsal bin Abdulaziz, książę, minister 152, 168, 206, 215, 226, 316
- Sawicki Eugeniusz 125
Sayed Sultan 183
Scali John A. 87
Šefčovič Maroš 39
Seguise Rafael 183, 238
Shulz George 124
Siemiątkowski Zbigniew 234, 235
Siemoniak Tomasz 278
Sienkiewicz Wincenty 77
Sikorski Radosław 18, 55, 211, 277, 282, 289
Skolimowski Janusz 70, 77, 120, 191
Skubiszewski Krzysztof 120, 125, 138, 154
Smoleń Hanna 210
Smoleń Stanisław 191, 204, 210, 214, 215, 265
Sokolak Jerzy Henryk 120

- Spiteri Joseph 183
Stalin Jozef 85, 205
Stankiewicz Edward 177, 210, 214, 240
Stankiewicz Izabela 210
Stańczak Piotr 277
Staszewski Marian 37, 290
Stawiarski Stanisław 116, 118, 126
Stebelski Stanisław 269
Steinhoff Janusz 225
Stemplowski Ryszard 234
Stepaniuk Krystyna 275
Stępiński M. Jacek 77, 127, 268
Stępniewska Anna 117
Suchar Henryk 232
Sultan bin Abdulaziz Al Saud, książę, wicepremier 227
Suprowicz Krzysztof 268
Suski Piotr 162
Szapowal Joanna Stanisława, Asia 153
Szapowal Kazimierz 140, 153, 157, 165
Szejnfeld Adam 282
Szewczenko Aleksander 42
Szibli Dżaber 103
Szklennik Anna 116
Szlajfer Henryk 269
Szłęczak Michał 118
Sznepf Ryszard 263
Szumski Krzysztof 120, 137
Szwedo Janusz 128
Szydłowski Jacek 96
Szynkiewicz Jakub 206
Szyszko Jan 212, 213, 234
Śmidowski Witold 128
Świeboda Paweł 269
Świtalski Piotr 120
- Taha Jasin Ramadan 145
Takamura Kunyo 182
Talał bin Abdulaziz Al Saud, książę 19, 243
Talar Aleksandra 229

- Talar Dariusz 229
Tarek Aziz 147, 149, 150, 168, 170
Tarik Alireza 232
Tatarczana Anita 291
Tho 42
Timofiejew Wadim 42
Tissowski Vladimir 65
Towpiak Andrzej 268
Trad Al-Kadi 102
Trepczyński Krzysztof 145, 157
Trump Donald 16, 21, 133, 247
Truszczyński Jan 120
Turbański Stanisław 76
Tuwim Julian 163
- Velev Zdravko 65
Vulis Felix 39
- Wahib Binzagr 231
Walczak Anna 279
Walid bin Talal bin Abdulaziz, książę 223, 230, 253
Wałęsa Lech 143, 168, 213
Waszczykowski Witold 268, 269, 271
Wawrzyniak Andrzej 231
Weiss Szewach 200, 260
Wędzicha Eugeniusz 96, 97
Węzyk Jerzy W. 212
Widźdan, księżna 107
Wiesner Harald 238
Wilson Joseph 148
Wiśniewska Iwona 117
Wojtara Jarosław 77, 128, 171, 294
Wolski Jakub T. 120, 140, 162
Woźniak Andrzej 210, 247
Woźniecki Bernard 162
Wronecka Joanna 127, 203
Wróblewska Irena 177
Wyzner Eugeniusz 120

Yahya bin Dżuneid 226

Zaghlul Małgorzata 103

Zagórski Bogusław 207

Zaleski August 206

Zaleski Bogusław 246, 250

Zapisek Wiesław 96

Zdanowski Jerzy 226

Zijad (Ziad) Rauf 262

Zohar Gershon, Gerszon 199

Zotov Aleksander 65

Żelazowski Zbigniew 82, 128

Żurawski Edmund 294

Żyrinowski Władimir 176

